Viktor Farkas

Niewytłumaczalne zjawiska

Z niemieckiego przełożył
Krzysztof Żak

Świat Książki

Spis treści

Słowo wstępne 12

Czy naprawdę wiemy to, co wiemy? 15

Część I

O REALNOŚCI TEGO CO FANTASTYCZNE

W poszukiwaniu rzeczywistości 20

Drogi poznania · Zegar kosmiczny · Paradoks Olbersa · Nowa fizyka · To, co niewiarygodne, jest możliwe · Prawa prawdopodobieństwa · Wartość spekulacji · Otwarte pytania · Biofizyka · Amatorzy autorami odkryć

Bezgraniczna siła ducha 31

Mózg człowieka i jego zagadki · Wiedza intuicyjna · Pamięć materii · Postrzeganie pozazmysłowe · Wiedza o odległych zdarzeniach · Nieprawdopodobne doniesienie prasowe

Pęknięcia w zasłonie czasu 44

Teraźniejszość nie istnieje · Załamanie się przyczynowości · Paradoksy · Prekognicja · Hitler jasnowidzem? · Nostradamus · Zdumiewające przepowiednie wszystkich czasów · Makabryczny przykład · Proroctwa czarno na białym · „Titanic" · Synchronizm · Przestrzeń i czas nie istnieją · Nowa wizja wszechświata · Prekognicja jako zjawisko codzienne

Parapsychologia, ESP i cały ten róg obfitości 60

Powiązanie tachioniczne · Zginanie łyżek · Przyczyna i skutek zamieniają się miejscami · Parapsychologia bez granic · Parapsychologia a nauka · Dr Joseph Banks Rhine · Badania zjawisk paranormalnych od starożytności do czasów współczesnych

Rzut oka za żelazną kurtynę 66

Leonid Wasiliew · Blok wschodni rajem dla badaczy zjawisk paranormalnych · Mistrzowie szachowi a parapsychologia · Zastosowania wojskowe

Ludzie tacy jak my? 71

Nieświadome zdolności paranormalne · Seks a parapsychologia

Tajna broń Stalina 73

Wolf Messing nieuchwytny dla gestapo i KGB · Jasnowidz na usługach władzy

Panowanie nad prawami natury? 75

D.D. Home, wiktoriański nadczłowiek? · Psychokineza, lewitacja, ogniotrwałość, wydłużanie ciała · Eusapia Palladino · Nina Kułagina · Edgar Cayce · Peter Hurkos · Gerard Croiset · Próba inwentaryzacji

Część II

BIAŁE PLAMY NA MAPIE NAUKI

Więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie... 88

To co nieznane

Ogień piekielny 90

Spontaniczne samospalenie · Od stuleci ludzie giną w płomieniach · Charles Dickens *Samotnia* · Upiorny ogień i niemożliwe pożary · Przypadki, przypadki, przypadki · Nauka jest bezradna · Za gorący, zbyt krótkotrwały, za bardzo ograniczony

Zagadka jako wyjaśnienie misterium 103

Ogniste kule i pioruny kuliste · Flammarion kronikarzem · Latające kuchenki mikrofalowe? · Myślące pioruny kuliste? · Dziwne prawa przyrody · Grad piorunów kulistych · Badania piorunów kulistych w ZSRR

Odejść w płomieniach 109

Samospalenie człowieka w okresie kryzysowym? · Zewnętrzne czynniki wyzwalające · Pola magnetyczne · Zdumiewająca zbieżność · Duchowe podpalenie? · Straż pożarna walczy daremnie · Młodociani jako ogniste diabły · Odwrotna strona medalu: odporność na ogień i wodę · Związek podobieństw?

Nietykalni 128

Nie wszystkich czeka taki sam los po śmierci · Zmarli nie poddający się rozkładowi · Nie tylko święci · Zagadkowe okoliczności towarzyszące · Lecznicze wydzieliny

Piwnica poza czasem 136

Mumie w ołowianej piwnicy w Bremie · Niewytłumaczalne zakonserwowanie zwłok

Zmarli, którzy nie zaznali spokoju 143

Wędrujące trumny · Niewidzialna ręka · Radykalne rozwiązanie zamiast wyjaśnienia zagadki

Na progu do tamtego świata... 154

Upiorny obraz wewnątrz grobowca · Niecodzienne zdjęcie rentgenowskie

...i z powrotem? 156

Nieboszczka w roli świadka na rozprawie sądowej

Wiadomości, wiadomości, wiadomości 160

Informacje z zaświatów · Plan pięciu nieboszczyków · Society for Psychical Research · „Cross Correspondences" · Przemówił Konfucjusz · Meldunek z wojny secesyjnej · Sterowiec R 101 · Nieżyjący świadkowie składają zeznania · Ekspertyzy z tamtego

świata · Fachowcy się zgadzają · Reinkarnacja · Wiedza kosmiczna? · „Bóg nie gra w kości" · a może jednak?

Księgi znikąd 182

Mówi Set · Róg obfitości pełen wiedzy · Najnowocześniejsze nauki przyrodnicze w szacie wiedzy tajemnej · Materiały Seta kopalnią informacji

Śmierć i życie pozagrobowe na stanowisku diagnostycznym 192

Badania życia po życiu dr. Moody'ego · Przeżycia transcendentalne czy program genetyczny? · Jak znaleźć wyjście z sytuacji?

Ślad duszy 197

Eksperymenty z falami myśli · Człowiek rodzi się bez ducha · Komórki nerwowe, tory preferowane, cząsteczki pamięci · Całość jest czymś więcej niż tylko sumą części · Duch jest materią · Znakowanie świadomości · Grey, Delpasse i van Amsynck · Biofeedback i EEG · Fala gotowości · Dowód nieśmiertelności?

Rozpłynąć się w powietrzu 203

Zniknęli na oczach świadków · Kroki donikąd · Uwikłanie w przestrzeni i czasie

Każdy może być celem 207

1653: Podróż na odległość 15 000 kilometrów odbyta w ciągu jednego dnia · Inwalida znika z wózka · Sprawa Benjamina Bathursta · Między jednym a drugim krokiem

Zapaść się pod ziemię 211

Widmowe miasta i wsie · Dokąd udali się Eskimosi? · Zaginiony legion rzymski · Jednostki wojskowe w nowszych czasach rozpływają się w powietrzu · Żołnierze maszerują ku nicości · Pochłonięci przez obłok na oczach świadków

Drogi wodne donikąd 220

Zagadka „Mary Celeste" · Znikają statki i ich załogi: „J.C. Cousins", „Iron Mountain", „Missisipi Queen", „Iroquois Chief" i „København" · Sążniste wyliczenie

W powietrzu nie ma przeszkód — ale jest coś innego 230

Zderzenie czołowe dwóch obłoków · Toalety w samolotach jako czynnik ryzyka · Zagadka L-8 · Zniknięcie w obłoku · Trójkąt Bermudzki

Niebieskie śluzy 240

Deszcze organizmów (żaby, ropuchy, salamandry, węgorze, ryby, ptaki, pająki, raki, jaszczurki...) · Zmiażdżone w powietrzu · Opady kamieni · Wybiórczość wiatru · Bombardowanie bryłami lodu · Deszcz śrutu · Materializacje · Zbieranina z podniebnych przestworzy · Deszcz krwi

Tam w górze jest strasznie 248

Wielka jatka nad chmurami · Deszcz mięsa · Bryłki tłuszczu

„Rozpruwacz" krów 252

Okaleczenia krów · Jak przy użyciu skalpela · Jatki w kilku stanach USA · Groza wśród zwierząt

Niewidzialni sadyści 260

Jak po przekręceniu przez maszynkę do mięsa · Ataki na dzieci · Niewidzialne noże i pazury · Fantomy kąsające i pozbawiające włosów · Niewidzialny nożownik

Próba tymczasowego bilansu 268

Przyjąć to, co się nie daje pomyśleć · Fale materii i stabilność kwantów · „Kot Schrödingera" · Stwarzanie rzeczywistości przez obserwację · Wszechświaty bez końca · Elementy układanki

Część III

ŚWIAT BEZ GRANIC

Maski życia 276

Czy naprawdę znamy zwierzęta? · Tajemne życie roślin · Tajemnica natury

Stwory z bajek, monstra i fantomy 279

Ślady diabła

Nieludzkie ślady · Nie istnieją przeszkody · Coś niewidzialnego przechodzi tuż obok · Nie zidentyfikowane formy życia i egzotyczne stwory

Stworzenia nie z tego świata

„Człowiek-mól" z Wirginii Zachodniej

Atawizmy i wytwory człowieka, odmieńcy i chimery

Wybryki natury i manipulacje genetyczne · Olbrzymy · Zagłada dinozaurów · Przedwcześni ludzie · Gigantyczne szkielety · Nadmiar zębów i palców u nóg · Mumia krasnoludka · Niemożliwe znaleziska · Prehistoryczna broń palna? · Roślinka silfion

Żywe sagi i mity

Powóz diabła · Zielonoskóre rodzeństwo · Postacie z bajek · Zdjęcia wróżek jako powód konfliktu · Przeszło sześćdziesięcioletnia dyskusja bez rezultatu

Tajemne siły 306

Gdy prawa natury stoją na głowie

Wir z Oregon i Magnetic Hill · Ciemności w południe · Słońce w innym kolorze · Mila zagadek · Zdjęcia błyskowe

O bioenergii inaczej

Iskra życia, siła witalna... · Świecący ludzie · Żywe prądnice i magnesy · Tajemnicze sztuki walki z Dalekiego Wschodu · *Dim mak*, opóźniona śmierć · Dwie słabe kobiety o nadludzkiej sile · Siła życia jako napęd wagi · Nieruchome lusterko · „Na moim grobie nie wyrośnie trawa!" · Myślenie mimo zniszczonego mózgu · Zwierzęce narządy zmysłów · Ludzie rozmawiający ze zwierzętami, zwierzęta rozmawiające z ludźmi · Mądre, a nawet uczone psy

Poza wszelką logiką 324

Klątwy

„Scharnhorst" · Klątwa prześladuje dzieła rąk ludzkich · „Great Eastern" i „Hinemoa"

Sprzeczność sama w sobie: prawo przypadku

Jak Gustav Gans · Osobliwe losy prezydentów USA powiązanych przestrzenią i czasem · Zbieżności, jakie nie mogą istnieć · Nessie i George Orwell · Sfinks · Chaos albo porządek wyższego rzędu · Wielka liczba kosmogonii · Demon Maxwella

Na zakończenie 333

Słowo wstępne

Nauki przyrodnicze z niechęcią odnoszą się do zjawisk nie dających się wytłumaczyć, w jakiejkolwiek dziedzinie by występowały. Nic dziwnego, skoro swój zasadniczy cel nauki te upatrują w ostatecznym zrozumieniu natury. Według światopoglądu racjonalno-przyrodniczego natura to po prostu wszystko.

A przecież jednocześnie nauki przyrodnicze potrzebują właśnie tego co niezrozumiałe jako bodźca do działania. Gdyby bowiem wszystko już wyjaśniono, byłby to ich ostateczny kres.

Tak więc stosunek nauki do zjawisk będących tematem tej książki zawiera sprzeczność: nauka chciałaby zlikwidować to, co utrzymuje ją przy życiu. Wynika z tego zarówno nieustanne odrzucanie lub kwestionowanie kolejnych teorii, co możemy obserwować w fizyce kwantowej i kosmologii, jak i uporczywa negacja faktów niepożądanych, wyraz pychy nauki pragnącej bronić wypróbowanych twierdzeń skonstruowanych w pocie czoła.

Zajmując się moją dziedziną zainteresowań mogłem się przekonać, że tylko nieliczni koledzy fizycy reagują na fakty niezrozumiałe mówiąc: „To fantastyczne. Musimy to zbadać!" Z reguły reakcją na to co niezrozumiałe jest próba bagatelizowania albo uporczywa negacja.

Fizyków cechuje ponadprzeciętna inteligencja, wyrozumiałość, gotowość do dyskusji (wiem o tym z doświadczenia; by uprzedzić głosy sprzeciwu, przyznaję jednak od razu, że fizycy mają również wiele niemiłych cech). O ileż więc bardziej gwałtowne musi być działanie tego mechanizmu obrony przed niewygodnymi informacjami w przypadku zwykłych śmiertelników, którzy wprawdzie mogą być całkiem mili, ale zapewne nie są aż tak wyrozumiali ani skłonni do dyskusji. Czego nie rozumiemy, tego

nie chcemy przyjąć do wiadomości, a często nawet zwalczamy z zaciekłością misjonarzy.

Co jednak zwykły śmiertelnik uznałby za najbardziej niezrozumiałe? Twierdzenia nauk przyrodniczych. Dlatego właśnie takim powodzeniem cieszą się książki pseudonaukowe, które udają, że są kluczem do wielkich tajemnic świata. Zwolennicy propagowanych w nich pomysłów nie pomijają naturalnie żadnej okazji, by zarzucać naukom przyrodniczym ignorancję, pragmatyzm, zawężone spojrzenie czy wręcz nieprzydatność. Ten mechanizm obronny jest znany w psychologii pod nazwą projekcji. W każdym razie pogłębia to podział społeczeństwa na dwa obozy: ludzi myślących zgodnie z regułami ustanowionymi przez nauki przyrodnicze i wbrew nim. Klarowną analizę tego zjawiska przedstawił już C.P. Snow przeszło 30 lat temu.

Nasze spolaryzowane społeczeństwo wyniosłoby korzyść z obiektywnej inwentaryzacji zjawisk nie poddających się wyjaśnieniu. Musiałaby ona uwzględniać zarówno tematy kontrowersyjne, jak jasnowidzenie, telekinezę, proroctwa itd., a więc sferę pozanaukową, jak też przystępne przedstawienie problemów nauk przyrodniczych, które dziś pozostają nie rozwiązane albo przynajmniej są przedmiotem dyskusji. Są to np.: problem pomiaru w fizyce kwantowej („kot Schrödingera"), pojęcie nieodwracalności, znowu aktualne dzięki pracom Manfreda Eigena i Ilii Prigogine'a po wielu dziesiątkach lat trwania w stanie uśpienia, czy też dyskutowane modele kosmologiczne, których często dziecinnie naiwna konstrukcja w świetle nowoczesnych badań nasuwa coraz więcej wątpliwości.

Krótko mówiąc, potrzebne jest przedstawienie faktów niezrozumiałych wolne zarówno od skłonności do usuwania ich z pola widzenia, jak i popadania w przesadną pochwałę tajemnicy. Takie dzieło nie istnieje i może nigdy nie powstanie. Nawet gdyby znalazł się autor zdolny wznieść się ponad uprzedzenia naukowe czy też pseudonaukowe, to opracowanie tak obszernej inwentaryzacji byłoby prawie niewykonalne z racji mnogości fragmentarycznych źródeł i niesprawdzalnych doniesień.

Książka ta jest próbą zbliżenia się do takiego opracowania. Jej autor otwarcie przyznaje, że nie ma gwarantowanego wyjaśnienia dla spraw niewyjaśnionych. Oddzielenie bzdury od faktów pozostawiono oczywiście fantazji i sceptycyzmowi czytelnika. W każdym razie, aby móc dokonać krytycznej oceny, należałoby przestudiować znacznie więcej źródeł, niż uczynił to autor tej książki.

Niezależnie od nastawienia, z jakim czytelnik przystąpi do lektury, czeka go interesująca, trzymająca w napięciu wędrówka przez tereny niczyje. Lektura ta może skłonić do refleksji, pokory, a przede wszystkim rozwijania naszej słabowitej wyobraźni.

Dr Peter Schattschneider
Docent w Instytucie Fizyki
Stosowanej Uniwersytetu
Technicznego w Wiedniu

Wiedeń, w marcu 1988

Czy naprawdę wiemy to, co wiemy?

(Zamiast przedmowy)

W XIX wieku najwybitniejsi naukowcy żywili przeświadczenie, że właściwie wszystko, co tylko było do zbadania, zostało już zbadane i że dążenie człowieka do wciąż nowych odkryć, nie znajdujące ujścia w dalszym zdobywaniu wiedzy przyrodniczej, powinno się odtąd całkowicie skierować ku sztukom pięknym i filozofii. Drobne niejasności, jakie jeszcze pozostały do rozwikłania, jak np. istota siły ciążenia albo sposób funkcjonowania mózgu już wkrótce bowiem zostaną usunięte.

Trudno o większy błąd. Dysponujemy dziś taką wiedzą, jakiej nie mógłby sobie nawet wyobrazić naukowiec z ubiegłego stulecia. Stało się to możliwe dzięki temu, że jednak nie odłożyliśmy nauk przyrodniczych *ad acta*. Zdołaliśmy się wgłębić w istotę czasoprzestrzeni i odkryliśmy takie tajemnice życia, które podważyły twierdzenia klasycznej nauki. A jednak naprawdę wiemy tylko tyle, że rozwiązanie „równania świata", które badaczom kilkadziesiąt lat temu wydawało się już bliskie na wyciągnięcie ręki, znowu się od nas oddaliło i jest teraz bardziej nieosiągalne niż kiedykolwiek. Wiemy też, że świat, który w naszym mniemaniu poznajemy, jest tylko odblaskiem ukrytej rzeczywistości, na zawsze niedostępnej dla rozumu człowieka, którą jedynie w przybliżeniu można się starać opisać w abstrakcyjnym języku matematyki.

Ogrom wiedzy nagromadzonej przez nowoczesne nauki przyrodnicze zapiera dech i przechodzi wprost nasze wyobrażenie. Trudno więc nie dziwić się, że naukowcy rozprawiający z największą pewnością siebie o odwróconych wektorach czasu, powstawaniu materii z niczego, rzeczywistych i nierzeczywistych cząstkach elementarnych, dualizmie falowo-korpuskularnym, zakrzywieniu przestrzeni i temu podobnych sprawach, jednocześnie zbywa-

ją zjawiska niewytłumaczalne wzruszeniem ramion, uważając je za blagę, oszustwo, masową sugestię, wytwór wybujałej wyobraźni, histerię, urojenia, fatamorganę itp. Bardzo niechętnie byliby skłonni uznać teoretyczną możliwość, że na świecie mogłoby oprócz nas istnieć jeszcze coś nieuchwytnego.

A przecież np. „teoria wielu światów" głoszona przez nowoczesną fizykę kwantową bynajmniej nie wyklucza przypuszczenia, iż być może otaczają nas niezliczone światy równoległe do naszego, które wprawdzie nie są dostępne naszemu postrzeganiu, ale jednak pozostawiają ślady, jeśli płaszczyzna naszej egzystencji przetnie się z jednym z nich. Ślady tego zetknięcia są dla nas zjawiskami niewytłumaczalnymi. To oczywiście tylko jeden aspekt tych zjawisk. Poprzestańmy na razie na zacytowaniu nieustająco prawdziwych słów Szekspira: „Więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie, niż się ich śniło waszym filozofom". Przyczyny niektórych z nich mogą zapewne określić tylko najśmielsze koncepcje fizyki teoretycznej; inne może po prostu wymykają się próbom naukowego zaszufladkowania, a jeszcze inne mogą stanowić wynik działania siły ducha człowieka. W każdym razie ich istnieniu nie da się zaprzeczyć, choć faktyczne rozmiary tych zjawisk są zupełnie nieznane.

Jakkolwiek jest, nie ulega wątpliwości, że nasza wiedza wykazuje luki. Aby spróbować je bliżej określić, warto jest przyjrzeć się bogatej kolekcji tajemnic, koszmarów sennych i osobliwości o wiele bardziej codziennych, niż można by sądzić. Badania wykazują, że w każdym miejscu na Ziemi w promieniu 300 km można znaleźć przynajmniej jedną osobę, która zetknęła się ze zjawiskiem niewytłumaczalnym albo jakimś monstrum. I tak jest od stuleci! Co prawda wrażenia takie po większej części niewątpliwie wynikają z urojeń, zabobonów albo niezrozumienia procesów naturalnych.

Jeśli wziąć pod uwagę, że 200 lat temu znano jedynie 808 gatunków ssaków, ptaków, płazów i gadów, gdy dziś sklasyfikowano 350 000 gatunków roślin, 4 320 ssaków, 860 000 owadów, 250 000 kwiatów, 28 050 ryb, 6 127 gadów i 8 630 ptaków, to trudno nie przyznać pewnej racji twierdzeniom nowoczesnej nauki, jakoby odkryto już prawie wszystko, co tylko żyje na naszej planecie.

W naszych czasach nie ma już prawie na Ziemi takiego zakątka, w którym mogłyby się na dłużej schronić przed dociekliwością badaczy potwory, małpoludy, koboldy, dinozaury i inne egzotyczne stworzenia.

A mimo to co roku miliony naocznych świadków informują o spotkaniach ze skrzydlatymi monstrami, z sześciorękimi olbrzymami, przybyszami z kosmosu, przypominającymi karzełki, kosmatymi potworami, wężami morskimi i niezliczonymi innymi formami życia, które nie mieszczą się w oficjalnym drzewie genealogicznym gatunków żyjących na Ziemi. Przecież nie wszyscy ci ludzie mają halucynacje, urojenia czy manię wielkości. A spotkania z dziwnymi stworami to tylko jedna z wielu kategorii zjawisk niewytłumaczalnych.

Jakikolwiek przyjąć punkt widzenia, to jeśli tylko nie będziemy skwapliwie zamykać oczu na niewygodne fakty, niemal na każdym kroku napotkamy zagadki, których rozum nie rozwiąże nawet największym wysiłkiem.

Pojedynczy ludzie, całe rodziny i wsie znikają w niewytłumaczalny sposób · Statki i samoloty rozpływają się dosłownie w powietrzu · Od stuleci coś masakruje zwierzęta domowe · Prawa natury nagle stają na głowie · Zmarli nie mogą zaznać spokoju w grobie albo nie ulegają pośmiertnemu rozkładowi · Grobowce zaczynają wędrować · Forma okazuje się energią · Szkielety ludzi i zwierząt sprzed milionów lat noszą ślady ran postrzałowych · Coś (z innego świata?) nawiedza kobietę nie mającą pojęcia o sprawach nauki, aby jej podyktować opis frapująco aktualnych odkryć przyrodniczych · Ludzie stają nagle w płomieniach i rozsypują się w popiół · Duch człowieka dokonuje cudów · Istoty pozaziemskie pozostawiają ślady w kosmosie i na Ziemi · Przedmioty i ludzi prześladuje klątwa · Tajemnicze wytwory z pradawnej przeszłości drwią z wszelkich badań naukowych · Można się podłączyć do wiedzy kosmicznej · Przestrzeń i czas przestają obowiązywać · Rzeczy niemożliwe działy się w przeszłości i nadal się dzieją...

Jeśli już powyższe wyliczenie jest tak dziwaczne, że w porównaniu z nim znane zjawiska niewytłumaczalne, jak deszcz ryb albo potwór z Loch Ness, wydają się czymś konwencjonalnym, to jednak nie zdołaliśmy tu jeszcze nawet uchylić rąbka zasłony, która być może dzieli nas od innej rzeczywistości.

Oczywiście nie mam zamiaru dodawać własnych, niemożliwych do udowodnienia, interpretacji do pstrej palety istniejących teorii. Zamysł tej książki sprowadza się do wykazania, że istnieje coś, czego być nie powinno, a tym samym do zasiania wątpliwości co do tego, czy naprawdę wiemy to, co wiemy.

By przetrwać na Ziemi, na której coraz trudniej jest żyć, gdy rozstrzyga się nasz los między dalszym rozwojem lub zagładą, musimy nauczyć się akceptować myśli nie do przyjęcia.

Pierwszym krokiem w tym kierunku może się stać akceptacja tego co fantastyczne...

Viktor Farkas

wiosną 1988 r.

O realności tego co fantastyczne

W poszukiwaniu rzeczywistości

Rzeczywistość jest niczym skłonna do zdrady kochanka. Nim jeszcze sformułowano teorię komunikacji, przed narodzinami wielu dyscyplin naukowych naszego stulecia, filozofowie mieli świadomość, że rzeczywistość to bardzo osobista sprawa, produkt informacji docierających z otoczenia do naszych zmysłów.

Wrażenia odbierane przez zmysły współuczestniczyły także w kształtowaniu rozwijającego się mózgu, wytwarzając w nim mikrokosmos, który odzwierciedla ten bardzo skromny wycinek wszechświata, dostępny naszej bezpośredniej obserwacji. Można się o tym przekonać bez potrzeby uciekania się do jakichkolwiek karkołomnych teorii. Widać to wyraźnie już na poziomie języka, który natychmiast straci przydatność, gdy zechcemy nim wyrazić to, czego nikt dotąd nie przeżył.

Dawni myśliciele, świadomi tego faktu, mieli więc powody, by zastanawiać się, dlaczego obserwacje natury nie ujawniają żadnych rozbieżności między teorią a praktyką. Ponieważ jednak dociekliwy umysł człowieka był w stanie wydzierać naturze jedną tajemnicę po drugiej, sądzono, że za istniejącymi niezgodnościami kryje się jedynie to, co zostało jeszcze do zbadania. Klasyczny pogląd o możliwości zrozumienia wszechświata nie ponosił uszczerbku, a demon Laplace'a żył nadal i cieszył się najlepszym zdrowiem.

Ta abstrakcyjna istota wymyślona przez Laplace'a (poprzednik demona Maxwella i „kota Schrödingera", które również stanowią poglądowe analogie) odzwierciedla odziedziczony po starożytnych sposób myślenia, opierający się

na przekonaniu, że ostatecznie wszystko ma jakieś wytłumaczenie.

Wielki matematyk i astronom francuski Pierre Simon markiz de Laplace, który już w XVIII wieku przypuszczał, że mogą istnieć czarne dziury, choć ich tak nie nazywał, i któremu nauka zawdzięcza wiele fundamentalnych odkryć, zastanawiał się również nad możliwością obliczania przyszłych zdarzeń. Wyobraził sobie fikcyjnego demona, który, znając miejsce pobytu i impuls wszelkich cząstek istniejących we wszechświecie, mógłby zarówno wyliczyć każde przyszłe zdarzenie, jak też uzyskać dokładne migawkowe zdjęcie każdego dowolnego momentu w przeszłości. Dziś demon ten przeszedł już do historii, tak samo jak wyobrażenie starożytnych Greków o ostatecznej niepodzielności atomu.

Nie wydaje się realne zakodowane w naszym umyśle pragnienie, by widzieć świat jako układ uporządkowany, nie zaś jako chaotyczny i niekontrolowany ciąg przypadkowych zdarzeń. Rozbrat naszych wyobrażeń o wszechświecie z tym, co naprawdę jest „tam na zewnątrz" albo „w samym środku", stał się w XX wieku faktem. Od dawna z trwogą to przeczuwaliśmy.

Nasi dalecy praprzodkowie wznosili wzrok ku niebu i przypisywali potężnym bóstwom odpowiedzialność za to, że w dzień jest widno, a w nocy ciemno, że czasem z nieba leje się woda, spadają białe płatki albo biją pioruny. Wraz z rozwojem nauk przyrodniczych miejsce bogów zajęły prawa natury. Kosmos już nie był igraszką nieziemskich mocy, ale dobrze naoliwionym mechanizmem, gigantycznym zegarem, który można było rozłożyć na najdrobniejsze elementy.

Nikomu nie przychodziło do głowy, że mogłaby istnieć nieprzekraczalna granica poznania, za którą działają siły, wobec których człowiek jest tak samo bezradny, jak demon Laplace'a.

Proste pytanie zadane przez niemieckiego lekarza i astronoma Wilhelma Olbersa (1758–1840): „Dlaczego w nocy jest ciemno?", stało się wprawdzie słynnym paradoksem Olbersa, który do naszych czasów nie dawał nauce spokoju, jednak wcale nie nadwątliło podstaw klasycznego obrazu świata. Kosmiczny zegar tykał nadal.

Olbers, któremu w świecie nauki największe uznanie przyniosło odkrycie sześciu komet, planetoid Pallas i Westy, oraz dokładne obliczenie orbit wielu komet, rozumował w następujący sposób: jeśli gwiazdy są równomiernie rozłożone w całym wszechświecie (tak przypuszczano na podstawie ówczesnych obserwacji), to w każdym punkcie sklepienia niebieskiego powinna się znajdować jakaś gwiazda. Tak więc Ziemię za dnia i w nocy musiałaby otaczać świecąca powłoka dziesiątki tysięcy razy jaśniejsza od naszego Słońca, co zniszczyłoby wszelkie życie na Ziemi, a raczej nie pozwoliłoby mu w ogóle powstać. Jak wiemy, tak jednak nie jest.

Upłynęło niemal 200 lat, zanim paradoks Olbersa przestał być paradoksem w świetle odkrycia ucieczki galaktyk, zjawiska Dopplera (przesunięcie czerwieni lub błękitu w widmie) i jeszcze innych praw fizyki. Dogmat głoszący ostateczne zwycięstwo rozumu ludzkiego już przedtem rozsypał się w proch.

Początkowo wprawdzie na drodze poznania udało się odnieść niemałe sukcesy, czego wyrazem stało się wspomniane już powszechne w XIX wieku przekonanie, że odkryto w zasadzie wszystko, co tylko było do odkrycia.

Wydaje się, że my sami w naszym stuleciu również brniemy w ślepy zaułek. Kosmiczny zegar przepadł bezpowrotnie. Tacy naukowcy, jak: Paul Dirac, Enrico Fermi, Niels Bohr, Erwin Schrödinger, Max Planck, Linus Pauling, Louis de Broglie, Nathan Rosen, John Bell, Richard Feynman i wielu innych rozbili go na cząstki mniejsze od atomu — które w dodatku mają naturę fal. Nikt nigdy nie zdoła zrozumieć nieuchwytnych, podlegających prawom prawdopodobieństwa schematów wewnętrznej budowy atomu, aby z nich znowu skonstruować wielki, obejmujący cały wszechświat mechanizm zegarowy. Innymi słowy, jak to sformułował krócej i dosadniej amerykański pisarz James Blish: Einstein pożarł Newtona.

Nauka schyłku XX wieku wyrzekła się przyczynowości, możliwości wytłumaczenia i poglądowego przedstawienia zjawisk. Promienista błyskawica bomby atomowej była sygnałem pożegnania determinizmu, który już kilkadziesiąt lat wcześniej zachwiał się pod ciosami zadanymi mu przez teorię

względności, mechanikę fal i inne dziwne opisy procesów naturalnych.

Teraz wszystko jest nieokreślone, nieostre, nieuchwytne, niepewne, przypadkowe. Z masochistycznym wprost zapamiętaniem fizyka teoretyczna tworzy coraz to dziwaczniejsze modele. Jednak głęboko ludzkiej potrzeby zrozumienia nie zaspokoi ani teoria zakładająca, że przy każdym możliwym rozstrzygnięciu „tak — nie" wszechświat rozpada się na dwa kolejne wszechświaty, ani koncepcja szybszej od światła komunikacji wszystkich cząstek elementarnych między sobą, ani tym bardziej pomysł, że rzeczywistość stwarza dopiero obserwacja. Jeśli nawet można to uzasadnić matematycznie, to któż chciałby żyć w takim wszechświecie, który przestaje istnieć, kiedy się na niego nie patrzy?

Natura człowieka domaga się nowego rozumu, rozumu fantastycznego.

I dziś także element fantastyczny jest uważany za naruszenie praw natury. Jeśli jednak zważyć, jak rozumie prawa natury nowoczesna fizyka teoretyczna, to okaże się, że w gruncie rzeczy nic naprawdę fantastycznego już nie istnieje. Oczywiście, również tych zdumiewających praw natury nie wolno łamać, jednak nadzwyczaj trudno jest rozstrzygnąć kwestię, gdzie do tego dochodzi.

Gdyby starożytny Germanin zaczął mówić o latających kamieniach, jego współplemieńcy uznaliby to za skutek ingerencji Odyna, Tora, Lokiego lub jakiegoś innego nordyckiego bóstwa albo zarzucili opowiadającemu łgarstwo. W ubiegłym stuleciu ktoś głoszący takie rzeczy zostałby natychmiast napiętnowany jako kłamca, gdyż dla bóstw nie było już miejsca w mechanistycznym obrazie świata, a kamienie latać nie mogą.

Inaczej w naszych czasach. Latające kamienie nie są oczywiście jeszcze czymś powszednim, nie są jednak również czymś niemożliwym. Naukowiec wypowiadający się w tej sprawie stwierdziłby jedynie, że skrajnie nieprawdopodobny jest równoczesny ruch cząstek w jednym kierunku.

To co niewiarygodne nie zawsze więc musi być niemożliwe. Nauka nowoczesna ukazuje, że za tym co widzialne, co może pojąć nasz zdrowy rozsądek i opisać nasz język, czai się to, co

jest niewidzialne, czego ani nie można pojąć, ani poglądowo przedstawić. Ani gwiazda, ani mszyca nie mają w końcu nic wspólnego z wyobrażeniem, które sobie tworzymy na ich temat. Kto sądzi, że ławka w parku jest solidnym przedmiotem, na którym można sobie wygodnie usiąść, by w spokoju przyglądać się zabawie dzieci, ten jest w wielkim błędzie. *De facto* stanowi ona bowiem niemożliwy do wyobrażenia układ, składający się w 99,9999... procent z niczego, a w pozostałej drobnej części z zanieczyszczenia, czyli materii, którą z kolei tworzą nieuchwytne fale, niedostępne dla niczyjego rozumu. Ściśle biorąc, ławka w parku, o której mówimy, to może być jedynie padający z hiperprzestrzeni cień, lokalne zakłócenie geometrii czasoprzestrzeni lub coś innego, zależnie od tego, jaką teorię wybierzemy. Kogo takie koncepcje przyprawiają o ból głowy, tego może pocieszy myśl, że ci, którzy je rozważają, sami nie są ani odrobinę bardziej substancjalni.

Frapującą właściwością tych wymyślonych modeli jest to, że funkcjonują. Prawa prawdopodobieństwa — a nie prawa skutku i przyczyny — są decydujące w obrębie wnętrza atomu. To one, a nie mechanistyczny, dający się z góry obliczyć model świata, są odpowiedzialne za to, że gwiazdy świecą, prąd płynie, żelazo daje się rozżarzyć do czerwoności, a potem do białości, i za niezliczone inne zjawiska, które widzimy i możemy zastosować w praktyce.

Zapewne w tym miejscu wielu czytelników nie będzie mogło oprzeć się wrażeniu, że niektórzy teoretycy mocno się zagalopowali. Przecież wszechświat nie może być aż tak absurdalny. A jednak niestety tak jest.

Przytoczę tu pewien przykład, ilustrujący egzotyczne prawa nowej fizyki. Wyobraźmy sobie naczynie wypełnione grochem. Zgodnie z pewnymi twierdzeniami z zakresu rachunku prawdopodobieństwa, jakie podobno obowiązują w mikrokosmosie, niektóre z ziaren grochu powinny znajdować się poza naczyniem. Nikt jednak przy zdrowych zmysłach nie będzie się spodziewał, że samo tylko prawdopodobieństwo może skłonić ziarenka grochu, by się tam zmaterializowały.

Natomiast cząstki elementarne mogą się tak zachowywać.

Dokładnie taka liczba elektronów, jakiej każe się spodziewać rachunek prawdopodobieństwa, opuszcza atom albo wyznaczoną orbitę. Nazywa się to zjawiskiem tunelowym. Naukowcy mogą je obliczyć, a technicy na podstawie ich obliczeń konstruują tak solidne urządzenia, jak na przykład radio tranzystorowe. Bez zjawiska tunelowego nie byłoby ani tranzystorów, ani diod (półprzewodników), ani wielu innych urządzeń życia codziennego. Więcej, nie byłoby nawet samego życia, gdyż tylko dzięki cząstkom elementarnym, którym zjawisko tunelowe pozwala pokonać barierę potencjału atomowego, ogień gwiazd może w ogóle płonąć. Choć wydaje się to dziwne, nie da się temu zaprzeczyć.

Może się wydać kusząca możliwość pogodzenia się z fantastycznymi właściwościami praw natury za cenę równoczesnej negacji zjawisk niewytłumaczalnych. Skoro nauka umie odkrywać i obliczać tak osobliwe procesy i znajdować dla nich zastosowania w technice nuklearnej czy laserowej, to można chyba od niej oczekiwać, że zdoła przynajmniej odpowiedzieć, co jest możliwe, a co nie.

Nauka nie może jednak udzielić takiej odpowiedzi.

Jak pokazuje historia poznania, liczne, bardzo przekonujące teorie mimo całej swej logiki były błędne. Przez całe wieki dla nikogo nie ulegało kwestii, że Słońce wschodzi na wschodzie i kryje się pod horyzontem na zachodzie, a zatem logicznie biorąc, musi krążyć wokół Ziemi. (Przedtem oczywiście przyszło się rozstać z wyobrażeniem, że nasza planeta jest płaska jak talerz).

Ten geocentryczny albo ptolemejski model świata obowiązywał przeszło 1000 lat. Dziś wiemy już, że to Ziemia krąży wokół Słońca; jednak na nieboskłonie nie zaszły wskutek tego żadne zauważalne zmiany.

W naszych czasach poważani astronomowie i astrofizycy: Fred Hoyle, Hermann Bondi i Thomas Gold przedstawili tzw. teorię stanu trwałego wszechświata (*steady-state*) jako alternatywę teorii wielkiego wybuchu (*Big-Bang*). Ich koncepcja zakłada, że kosmos jest wieczny i ma stale taką samą strukturę i gęstość. Aby ominąć problem rozrzedzania się materii wskutek potwierdzonej przez obserwacje ekspansji wszechświata, autorzy teorii zastosowali wybieg, przyjmując założe-

nie nieprzerwanego powstawania nowej materii (w ilości mniej więcej kilku atomów wodoru na kilometr sześcienny rocznie). Kiedy odkryto kosmiczne mikrofalowe promieniowanie tła, uchwytne echo prawybuchu, co zaczęło spychać teorię stanu trwałego wszechświata w stronę teorii o świecie pustym wewnątrz, Fred Hoyle nie porzucił swojej koncepcji, ale ze swym kolegą Narlikarem opracował rozbudowaną jej wersję.

W 1975 r. obaj naukowcy włączyli do rozważań pole masy, które miałoby wyznaczać masę każdego atomu. Nie koniec na tym: według Hoyle'a i Narlikara kosmos mógłby się składać z wielu wszechświatów. Niektóre z nich miałyby masę pozytywną, inne zaś negatywną. W tej części kosmosu, która jest dostępna naszej obserwacji, pole to, ich zdaniem, jest pozytywne, wskutek czego masa każdej cząstki musiała się zwiększyć od czasu pozornego prawybuchu.

Istotnie, ta karkołomna konstrukcja myślowa w nieortodoksyjny sposób wyjaśnia nie tylko przesunięcie czerwonej części widma promieniowania widzialnego, które należy wiązać z ekspansją galaktyk, ale także pozwala na nową interpretację promieniowania tła (według Hoyle'a jest to światło gwiazd z wcześniejszego wszechświata, które przesącza się przez granicę czasoprzestrzeni, oddzielającą pozytywne i negatywne pola masy). Mimo tych dziwacznych poglądów, których świat nauki nie bierze na serio, reputacja Freda Hoyle'a jest słusznie niekwestionowana. Jego prace na temat pochodzenia pierwiastków zapewnią mu trwałe miejsce w dziejach nauki.

Godne uwagi wydaje się nie tylko to, że Fred Hoyle jest szczególnie twórczym uczonym, ale też że napisał kilka popularnych powieści *science fiction* (najbardziej znaną z nich jest zapewne *Czarna Chmura*), kilka monografii, a nawet libretto do opery *The Alchemy of Love*.

Przytaczamy ten przykład nie po to, by eksponować omylność nauki, gdyż mylić się jest doprawdy rzeczą ludzką, ale by podkreślić wartość swobodnej spekulacji. Myśl wykraczająca poza ustalone tory może być wspaniała i godna podziwu także wtedy, gdy nowe odkrycia pozbawią ją aktualności. Sensu dążenia do wiedzy nie przekreślają nawet popełniane pomyłki, a to dzięki ludziom mającym odwagę postawić nogę na nie zbadanym gruncie. Do lamusa historii trzeba

odłożyć ograniczoność jednostronnych poglądów, inaczej nasza przyszłość będzie tylko karykaturalnym odbiciem teraźniejszości.

Kosmos, w którym żyjemy, jest tak dziwny, że nie sposób sobie tego nawet wyobrazić. Cząstki powstają z niczego i znowu znikają w nicości (fluktuacja próżni). Gdziekolwiek spojrzeć, otaczają nas zagadki.

Powinniśmy zdobyć się na odwagę i przyznać, że we wszelkich dziedzinach współczesnej nauki są obszary niezbadane, z którymi musimy się uporać.

Mamy bogaty wybór takich zagadnień:

- Medycyna objaśnia wszystko — tylko nie to, jak funkcjonuje nasze ciało...
- Psychologia objaśnia wszystko — tylko nie to, jak funkcjonuje nasz duch...
- Biologia objaśnia wszystko — tylko nie to, czym jest życie...
- Historia objaśnia wszystko — tylko nie to, co jest jej motorem sprawczym...
- Archeologia objaśnia wszystko — z wyjątkiem paru drobnych niezgodności, których wyjaśnić nie potrafi...
- Ewolucja objaśnia wszystko — tylko nie to, w jaki sposób życie znalazło się na lądzie...
- Paleontologia objaśnia wszystko — tylko nie to, co stało się z dinozaurami...
- Fizyka objaśnia wszystko — z wyjątkiem praw natury...

Nie jest przypadkiem, że obecnie zachodnia fizyka i wschodnia mistyka, dyscypliny, które przez wiele stuleci były nie do pogodzenia, zaczynają nawiązywać ze sobą kontakt. Mogły się do tego przyczynić zwłaszcza zdumiewająco zbieżne twierdzenia mistyki Wschodu i fizyki kwantowej.

Fizyk Fritjof Capra w swym dziele *Das Tao der Physik* ujął to w następujących słowach:

Nauka nie potrzebuje mistyki, a mistyka nie potrzebuje nauki, jednak człowiek potrzebuje ich obu. Doświadczenie mistyczne jest niezbędne, aby zrozumieć najgłębszą istotę rzeczy, a z nauki we współczesnym życiu zrezygnować się nie da. Potrzebna jest więc nie synteza, ale dynamiczny dialog między mistyczną intuicją i naukową analizą.

Większość dzisiejszych fizyków wydaje się nie dostrzegać implikacji filozoficznych, kulturalnych i duchowych własnych teorii. Wielu z nich ciągle jeszcze aktywnie propaguje w społeczeństwie fragmentaryczną, mechanistyczną wizję świata, nie rozumiejąc, że nauka daleko wykracza poza taki punkt widzenia. Wskazuje ona bowiem na jedność wszechświata, obejmującą nie tylko nasze naturalne otoczenie, ale także naszych bliźnich.

Sądzę, że wizji świata tworzonej przez nowoczesną fizykę nie da się pogodzić z obecnym stanem naszego społeczeństwa, dalekiego od harmonii we wzajemnych stosunkach, jaką widzimy w naturze. Dla osiągnięcia takiego stanu dynamicznej równowagi konieczna jest radykalna zmiana struktury społecznej i ekonomicznej: prawdziwa rewolucja kulturalna.

Być może przetrwanie całej naszej cywilizacji zależy od tego, czy uda nam się wywołać taką zmianę. Od tego, czy będziemy w stanie przyswoić sobie niektóre właściwości *jin* mistyki Wschodu, to znaczy przeżywania jedności natury i sztuki życia w harmonii z nią...

To przesłanie, choć tak rozsądne, nie jest jednak istotą naszych rozważań. Ma ono tylko pokazać, że także najbardziej analityczna nauka może zmienić swój punkt widzenia, uznając to co fantastyczne i niewyobrażalne za istniejące realnie. Powstają nauki interdyscyplinarne; od kilku lat naucza się biofizyki, będącej syntezą biologii i fizyki, której m.in. zawdzięczamy odkrycie komunikacji międzykomórkowej za pośrednictwem światła(!) Udało jej się także sformułować rewolucyjne, fundamentalne tezy dotyczące istoty i genezy raka.

Kto więc zdobędzie się na rezygnację z przebrzmiałych teorii i pozbycie się tego co przestarzałe, ten będzie zdolny uchylić rąbka tajemnic, które co krok napotykamy. Nauka powoli do tego dojrzewa. To za mało. Każdy powinien być na to gotów!

Potrzebna jest jednak najpierw odwaga kwestionowania tego, co nam przekazała tradycja. Przypatrzmy się więc w celu ćwiczenia umysłu takiej dziedzinie, która z natury nie pozwala

na ścisłość wypowiedzi (możliwą choćby w matematyce), a jedynie na snucie domysłów i interpretacji, aby w prowokujący sposób wyrazić wątpliwość co do ogólnie przyjętej koncepcji rozwoju człowieka.

Piętnaście tysięcy lat temu, jak się sądzi, człowiek umiał w najlepszym razie łupać kamienie i podtrzymywać ogień. Nie znał takich umiejętności, jak hodowla czy uprawa roli. A jednak właśnie z tej epoki pochodzą rzeźby o najwyższym kunszcie. Przedstawiają one twarze. Niektóre z nich wykonano nawet w tak zdumiewający sposób, że po obróceniu rzeźby o 125 stopni twarz męska przemienia się w kobiecą. Jak to pogodzić z wizją kudłatych postaci z małpimi twarzami, odzianych w skóry zwierzęce, które umieją jedynie pocierać kamień o kamień?

Ku zdumieniu fachowców wykopaliska w Medzamor w Armenii wydobyły na światło dzienne stalowe narzędzia i instrumenty(!) liczące sobie około 3000 lat(!)

A to tylko mała próbka!

Trzeba przyznać, że archeologia buduje obraz przeszłości mając do dyspozycji fragmentaryczne znaleziska, a także poszlaki. Możliwe są więc błędy, należy się jednak do nich przyznawać. Inaczej bowiem może się zdarzyć, że zuchwali amatorzy (których co prawda nie krępuje obawa utraty dobrego imienia) sięgną po palmę pierwszeństwa.

Właśnie archeologia zna wiele takich przypadków. Amatorami byli: Schliemann — odkrywca Troi, Boucher de Perthes — odkrywca kultury paleolitu, Hawkins — odkrywca tajemnicy Stonehenge, Hapgood — który dostarczył dowodów na wędrówkę kontynentów.

Zdarzało się tak często, i to niemal w każdej dziedzinie ludzkiego poznania. To nic nie szkodzi, wprost przeciwnie. Nie należy sądzić, że odrzucenie dogmatu: „nie może istnieć to, co istnieć nie powinno", musi oznaczać akceptację *a priori* tego wszystkiego, co nieprawdopodobne, niewiarygodne, zagadkowe. Oznaczałoby to wylewanie dziecka z kąpielą.

Wszystko, czego nam potrzeba, aby z otwartym umysłem wkroczyć w następne stulecie, a zarazem tysiąclecie, które postawi przed ludzkością ogromne wyzwania, to gotowość

obserwacji. Jeśli będziemy zamykać oczy na wszystko to, co jest niewytłumaczalne, ponieważ jest nieprawdopodobne (a więc niemożliwe), znajdziemy się już wkrótce w poważnej opresji.

Jako jednostki i jako gatunek...

Bezgraniczna siła ducha

„Wprawdzie siły duchowe zaczynają i kończą funkcjonowanie razem z najbardziej skomplikowanymi mechanizmami mózgu, duch jednak posiada energię, której forma różni się od potencjału komórek nerwowych, przemieszczającego się po torach aksonów..."

(Wilder Penfield: *The Mystery of the Mind*)

Wszechświat jest dziwnym miejscem, co do tego nie ma wątpliwości. Czas jest plastyczny, przestrzeń zakrzywiona, a związki przyczynowo-skutkowe pozostają w sferze marzeń; przynajmniej w widmowym świecie tańczących fal i cząstek.

Z tego kosmicznego łona w ciągu 20 miliardów lat (czasu, który w przybliżeniu upłynął od prawybuchu) wyłonił się przynajmniej jeden twór równie (a może nawet bardziej) od samego wszechświata skomplikowany i niezgłębiony.

Tym zagadkowym tworem jest mózg człowieka, siedlisko albo przyczyna (dokładnie jeszcze nie wiadomo) ludzkiego ducha.

W niewiarygodnie krótkim czasie, wynoszącym zaledwie milion lat, nasz mózg rozwinął się niczym olbrzymia narośl na końcu rdzenia kręgowego. Wyrósł tam szarobiały, miękki twór, tkwiący w naszej czaszce jak nieporządnie upchnięta do ciasnej walizki kołdra, dając nam nieograniczone panowanie na Ziemi i otwierając bramę do cudów przestrzeni i czasu. Wiele przemawia za tym, że nasz mózg (czy też duch) kryje w sobie zadatki na jeszcze wyższe wzloty.

Bardzo prawdopodobne, że aparaty do myślenia, jakie mają pozaziemskie istoty inteligentne, nie są ani odrobinę prostsze w budowie; na razie nic o tym nie wiemy. Już to jednak, czym rozporządza *homo sapiens*, jest dostatecznie fantastyczne, mimo że mamy na ten temat dość mgliste wyobrażenie.

Nikt nie umie przekonywająco wyjaśnić, jak to się dzieje, że nieraz ludzie mogą znieść bez uszczerbku utratę dużej części mózgu (a nawet całej jego półkuli), rozdzielenie obu półkul i inne radykalne ingerencje, a kiedy indziej jedno uderzenie w głowę albo nawet operacja dwunastnicy(!) mogą mieć poważne skutki (od zmiany osobowości do zaniku najróżniejszych umiejętności i funkcji organizmu).

Liczbę neuronów (komórek nerwowych) w mózgu człowieka szacuje się na około 100 miliardów, co odpowiada mniej więcej liczbie gwiazd galaktyki średniej wielkości. Do tego dochodzą jeszcze komórki glejowe, które zapewniają komórkom nerwowym oparcie, osłonę i pożywienie. Widać z tego, że liczba możliwych połączeń między komórkami jest ogromna; niektórzy naukowcy sądzą, że byłaby to liczba tego rzędu co liczba wszystkich atomów we wszechświecie. O wrażliwości mózgu na bodźce świadczy np. fakt, że jego receptory światła są w stanie zarejestrować jeden jedyny foton. Tak więc nasz myślący mechanizm staje się stacją odbiorczą dla procesów przebiegających na poziomie cząstek elementarnych, gdzie nie istnieje ani przeszłość, ani teraźniejszość, ani przyszłość, gdzie nie ma też związków przyczynowo-skutkowych. Później jeszcze się dowiemy, jakie to ma następstwa.

Choć, jak dotąd, bardzo mało wiemy na temat mikrokosmosu znajdującego się w naszych głowach, to jednak już to, co wiemy, budzi najwyższy respekt.

Porzucimy teraz fascynującą dziedzinę badań mózgu, aby poświęcić uwagę sferze zjawisk fantastycznych, gdyż pod tym względem nasz duch ma niemało do zaoferowania.

Przełamuje on bariery przestrzeni i czasu, odbiera wibracje, których nie można zmierzyć, pozwala nam osiągnąć jedność z naturą, daje nam wiedzę intuicyjną (czymkolwiek ona jest) i nieoczekiwanie zdradza zagadkowe umiejętności. Zajmiemy się na początek wiedzą intuicyjną — zjawiskiem,

z którym już każdy chyba kiedyś miał do czynienia, nie zdając sobie sprawy, jak niesamowite ono jest w swej istocie.

Wszyscy znamy to uczucie, kiedy nieświadomi niczego skręcamy w boczną ulicę i nagle nabieramy absolutnej pewności, że kiedyś już tu byliśmy, choć dobrze wiemy, że to niemożliwe. Przypominamy sobie szczegóły albo możemy dokładnie powiedzieć, jaki dom ukaże się za zakrętem. Rozmawiamy o tym dziwnym przeżyciu w gronie rodziny i znajomych, a potem o nim znów zapominamy.

Weryfikację podobnych twierdzeń — podobnie jak w przypadku wszystkich innych zjawisk niewytłumaczalnych — utrudnia przede wszystkim brak możliwości dowolnego powtarzania badanego zdarzenia w warunkach laboratoryjnych. Do zainteresowania takimi przypadkami poważnej nauki nie przyczyniają się również okultystyczne interpretacje, opierające się na koncepcji kolejnych wcieleń. Gdyby zresztą na serio przystąpić do badań tego zjawiska, to zrodziłoby się więcej pytań niż odpowiedzi, na przykład kwestia, jak zaklasyfikować taką niemożliwą wiedzę.

Informacje gromadzące się w naszej świadomości, do których można stale sięgać, należałoby zdefiniować jako wspomnienia. Taka klasyfikacja wydaje się pomocna, jednak tak nie jest.

Powszechnie znanymi pojęciami są pamięć krótko- i długotrwała. Wiadomo również, że treść pamięci jest najpierw zapisywana elektrycznie, a następnie utrwalana przez procesy neurochemiczne. Niczego niezwykłego nie kryje też w sobie koncepcja tworzenia się protein pamięci.

Jeśli nawet nie wiadomo dokładnie, co dzieje się w naszych mózgach, to jednak panuje zgodność poglądów co do tego, czym są wspomnienia. Zapamiętujemy to, co widzimy, słyszymy, odczuwamy i przeżywamy (przynajmniej częściowo). Przeważająca część wspomnień jednak tkwi w naszej podświadomości czekając na chwilę, w której wydobędzie się znowu na powierzchnię albo zostanie wydobyta różnymi metodami, np. przez głęboką hipnozę. Tu kończy się teren zbadany.

Nikt na przykład nie wie, gdzie znajduje się siedlisko pamięci. Zdarzające się przypadki całkowitego zachowania

pamięci nawet przy zniszczeniu jednej z półkul mózgowych, mogłyby świadczyć o tym, że istnieje pamięć nie zlokalizowana, w postaci jakby hologramu.

Jeśli idzie o zadania, jakie pamięć ma do spełnienia, to sprawa wydaje się jasna. Tak jednak nie jest, jeśli uwzględnimy kwestię, dlaczego mogą się w niej zadomowić obce wspomnienia. Jeszcze trudniej zaakceptować fakt, że istnieje też coś takiego jak wspomnienia z przyszłości.

Nie mniej dziwnym zjawiskiem jest odczytywanie treści pamięciowych zapisanych w materii nieożywionej.

Dość, chciałoby się zawołać, tego już za wiele! Gdzieś musi się kończyć gotowość do akceptacji. Pogląd, że kamień czy stół mógłby mieć jakieś wspomnienia, wyraźnie nie jest już możliwy do przyjęcia.

Nie sposób uwierzyć, aby osoby uwrażliwione mogły się wczuwać w skalne bloki albo inne przedmioty tak jak w innych ludzi.

A jednak tak było!

W 1953 r. holenderski jasnowidz Gerard Croiset zdołał, mając w ręku jedynie maleńki odłamek kości, dokładnie opisać jaskinię, z której pochodził, jak również całe jej otoczenie, ówczesnych mieszkańców i ceremonię religijną, w której ta kość miała odegrać pewną rolę. Absolutną ścisłość podanych przez niego informacji potwierdził rektor uniwersytetu Witwatersrand, który tę kość znalazł w pewnej jaskini w Lesotho.

Powie ktoś, że to czysty przypadek. Skąd rektor uniwersytetu mógłby tak dokładnie wiedzieć, co się wtedy wydarzyło? Jasnowidze mają po prostu swoje sztuczki; takie zdolności trzeba by poddać dokładnej weryfikacji. Tak właśnie zrobiono w Polsce w latach czterdziestych.

Polski inżynier Stefan Ossowiecki na podstawie samego tylko dotknięcia kamiennego grotu sprzed piętnastu tysięcy lat, należącego do kultury magdaleńskiej, zdołał podać wiele frapujących informacji. Grot ten otrzymał od profesora etnologii Uniwersytetu Warszawskiego, Stanisława Poniatowskiego. Ossowiecki, dla którego archeologia prehistoryczna była całkowicie obcą dziedziną, szczegółowo opisywał życie codzienne w epoce paleolitu: ubiory, wygląd ludzi, tryb ich życia itp.

W następnych latach inżynier Ossowiecki zdołał się wczuć w dalsze 32(!) eksponaty z muzeum. Mając do dyspozycji kości, haczyki na ryby, kamienne narzędzia, figury ceramiczne i inne przedmioty, przedstawiał barwne opisy przeszłości, przywodzące wręcz na myśl zeznania naocznego świadka. Jego relacje obejmowały okres sięgający od epoki aszelskiej przeszło pół miliona lat temu przez kulturę mustierską do oryniackiej. Laik nie byłby nawet w stanie zidentyfikować wielu z odczytywanych przez Ossowieckiego przedmiotów. Ossowieckiemu natomiast wystarczało wziąć jakiś przedmiot kilkakrotnie do ręki, by podać konkretne szczegóły. Jego słowa nie tylko całkowicie zgadzały się z ówczesnym stanem wiedzy o archeologii, ale także z odkryciami, które nastąpiły dopiero po jego śmierci.

Nawet zatwardziali racjonaliści nie mogą tu już mówić o przypadkowym zbiegu okoliczności. Natomiast my poświęcimy jeden z dalszych rozdziałów przypadkowi, gdyż, jak się zdaje, przejawia się w nim coś na kształt poczucia humoru wszechświata. Ale po kolei.

Jeszcze bardziej niezwykłe okazały się wyniki eksperymentu przeprowadzonego niedawno przez Psychic Research Foundation w Północnej Karolinie (USA), a dotyczącego pamięci martwych przedmiotów.

Eksperymenty mające na celu stwierdzenie zdolności postrzegania pozazmysłowego przy użyciu kart (kart do gry albo specjalnych kart Zenera–Rhine'a) to nic nowego. Nie wiedziano natomiast dotąd, że niektórzy ludzie umieją rozróżniać zupełnie czyste karty jedynie na podstawie ich indywidualnych losów.

Osoby poddane testowi, mimo najsurowszej kontroli, umiały w sposób pewny identyfikować nie zadrukowane karty do gry, odczytując zapisaną w nich pamięć.

Nikt poza nimi nie mógł tych kart rozróżnić. Zawiódł nawet wytresowany pies gończy. W niektórych przypadkach udawało się nawet oznaczać siłą ducha określone karty w celu ich późniejszej identyfikacji.

W świetle tych eksperymentów nie powinno się już bagatelizować ludzi mówiących o złych miejscach, domach itp., gdzie

źle się czują; zwykło się im zarzucać dziwaczenie albo klasyfikować ich jako neurotyków.

Norman Emerson, profesor archeologii na uniwersytecie w Toronto, nie traktuje takich uwrażliwionych ludzi jako zbzikowanych, wprost przeciwnie. Dzięki współdziałaniu George'a McMullena, kierowcy ciężarówki obdarzonego takimi zdolnościami, Emerson zdołał zlokalizować pod ziemią stary dom indiański. Kiedy indziej McMullen wskazał archeologowi Patrickowi Reedowi miejsce, gdzie można było odkryć ostrokół indiańskiej wioski z X wieku.

Znajdując się na terenie niczym się nie różniącym od otoczenia, kierowca ten umiał opisać dokładnie i ze wszystkimi szczegółami, co znajduje się pod ziemią i co kiedyś w danym miejscu się wydarzyło. Wiele instytutów archeologii i liczni naukowcy w USA, Ekwadorze, Francji, Meksyku i ZSRR zaczęli odtąd regularnie korzystać z pomocy tak uzdolnionych osób. Odsetek zakończonych sukcesem prób jest imponujący; można było w ten sposób ogromnie zmniejszyć koszty poszukiwań i uniknąć zbędnych wykopalisk próbnych.

Jak z powyższego wynika, osoby mające odpowiednie uzdolnienia mogą z przedmiotów martwych odczytywać treści pamięciowe (w najszerszym rozumieniu). Jest to możliwe przy bezpośrednim kontakcie albo względnej bliskości z danym przedmiotem. Naukowiec nazwiskiem Chorwin informuje na przykład o eksperymencie, w którym pewna kobieta zdołała odczytać cyfry napisane na kartce papieru i przykryte pięcioma innymi kartkami. Określiła ich pozycję na spodniej kartce, przesuwając tylko palcami po kartce leżącej na samym wierzchu.

Jest jasne, że za pośrednictwem przedmiotów materialnych można przesyłać i odczytywać także informacje pochodzące z najdalszych stron.

W Meksyku w latach dwudziestych zyskała rozgłos niejaka Maria Zierold. W transie hipnotycznym odczytała ona wspomnienia odłamków pumeksu, dostarczając całego mnóstwa zgodnych z prawdą informacji.

To jeszcze nic szczególnego; potem jednak panią Zierold zajął się Walter Prince, prezes American Society for Psychical

Research. Okazało się, że testowana osoba umiała rozpoznać mały strzępek papieru jako część listu przesłanego w butelce, mimo że był w zapieczętowanej kopercie. Nie koniec na tym, pani Zierold podała całkiem ścisłe informacje na temat nadawcy listu, który morze wyrzuciło na brzeg jednej z wysp azorskich. Ich prawdziwość potwierdziła wdowa po nadawcy.

Wielkie wrażenie wywarły informacje podane przez Marię Zierold, uzyskane z zaklejonego listu, który Walter Prince otrzymał od swego przyjaciela. Z zaskoczeniem usłyszał on aż 38 szczegółów o swoim przyjacielu, z których żaden nie był opisany w liście, a wielu nie znał nawet sam Prince. Jak się jednak zaraz przekonał, także i te informacje odpowiadały prawdzie.

Jeśli nawet zgodzimy się z koncepcją, że w martwym przedmiocie mogą być zapisane jakieś informacje o przeszłości, to jednak w takich przypadkach jak powyższy muszą wchodzić w grę także inne czynniki.

Wejdziemy teraz na jeszcze cieńszy lód, chcemy się bowiem zająć wspomnieniami odległych zdarzeń, które pojawiają się nagle w mózgach ludzi mimo braku jakichkolwiek fizycznych powiązań.

Zjawiska te nie tak łatwo jasno określić. Spróbujmy jednak to zrobić.

Jesienią 1960 r. centrala policyjna w Grosse Pointe Woods (Michigan) odebrała meldunek o napadzie rabunkowym. Meldunek przekazano patrolowi, w którym był policjant Don Sabel i jego partner Robert Sass. Opis dwóch sprawców napadu był bardzo niedokładny. Ofiarą padli małżonkowie Lambardi, którzy we własnym domu zostali obrabowani ze znacznej ilości gotówki i klejnotów. Wskutek szoku nie mogli przekazać policji ścisłych informacji.

Sam nie wiedząc dlaczego, Don Sabel rozkazał swemu kierowcy skręcić w Mack Street. Jakby wiedziony intuicją, Sabel zatrzymał radiowóz, wyskoczył z niego i natknął się na człowieka, który właśnie wchodził do restauracji.

Po krótkim przesłuchaniu Sabel aresztował nieznajomego. W czasie rewizji osobistej znaleziono przy nim większą sumę pieniędzy i bransoletkę od zegarka pani Lambardi. W ten

sposób, gdy koledzy Sabela jeszcze nawet nie wiedzieli dokładnie, kogo szukać, on już przyprowadził zatrzymanego na komisariat.

Można by powiedzieć, że to przypadek (znowu!). Ba, gdyby to chodziło o odosobnione zdarzenie; jednak Sabel dokonuje aresztowań przeważnie w taki właśnie sposób. I nie popełnia omyłek, czego dowodzi niemała kolekcja wyróżnień i awansów. Kiedy Sabel bez wyraźnego powodu zaczyna wypytywać jakiegoś nieznajomego, to fakt ten ma głębsze przyczyny. Sam zainteresowany ich nie zna — a my możemy tylko snuć domysły...

Sceptycy skwitują ten przykład mówiąc, że widocznie ten policjant ma akurat nosa. Należałoby w takim razie zapytać, na czym konkretnie to polega i dlaczego miliony innych policjantów na całym świecie nie mają takiego nosa, choć wielu z nich na pewno lepiej umie obserwować, szybciej kojarzy, czy też ma gruntowniejsze wykształcenie.

Znacznie trudniej o takie racjonalne wytłumaczenie niezaprzeczalnej wiedzy na odległość (w przypadku Sabela poważniejsze odległości nie wchodziły w grę). Przedstawimy teraz zdarzenie, gdzie nawet o względnej bliskości nie może być mowy.

Działo się to w Szwecji w r. 1759, w czasie pewnej uroczystości odbywającej się w pałacu oddalonym o trzy dni drogi od Sztokholmu; na ówczesne warunki była to odległość wręcz astronomiczna.

Zaproszeni goście należeli do śmietanki towarzyskiej. Na przyjęciu panował świetny nastrój aż do chwili, gdy jeden z gości (dokładnie o szóstej godzinie) dostał ataku histerii. Wzburzony zaczął krzyczeć: „W Sztokholmie wybuchł pożar!" Zapanowała konsternacja; skąd on mógłby to wiedzieć? Nie istniało wówczas nic takiego jak telekomunikacja. Zakłócona uroczystość w końcu potoczyła się swoim trybem, skoro i tak nic nie można było zrobić.

Gość ów wpadł jednak w panikę. „Ogień się szerzy! — wołał. — Jest już blisko mojego domu, mój dom się spali!" Nie można go było uspokoić. Zrozpaczony wybiegał na dziedziniec, załamując ręce, to znowu wracał do pałacu, i tak przez dwie godziny.

Dopiero prawie dokładnie o ósmej godzinie uspokoił się mówiąc: „Pożar został opanowany, dzięki Bogu". Na pytanie pewnej damy, co stało się z jego domem, odpowiedział: „Pożar udało się zatrzymać o trzy domy od mojego".

Po trzech dniach przybył konny posłaniec z wiadomością, że istotnie w Sztokholmie wybuchł pożar, i to dokładnie o szóstej godzinie; dokładnie o ósmej zaś zdołano go opanować — i to w odległości trzech domów od domu gościa, który uległ panice.

Swój szczególny wymiar i absolutną wiarygodność opisane wydarzenie zyskuje dzięki uczestniczącym w nim osobom: gościem, który krzyczał: „Pali się!", był Emanuel Swedenborg, do dziś uważany za największego skandynawskiego uczonego. Natomiast rzeczowy opis wydarzenia pochodzi spod pióra Immanuela Kanta.

Przyjrzymy się teraz przypadkowi, który został udokumentowany w sposób jeszcze bardziej zaskakujący i niepodważalny. Co ciekawe, z początku wydaje się, że chodzi tu o wiedzę o przyszłości (która oczywiście kryje w sobie więcej zagadek, ale będzie o tym mowa później).

...Zegar w kącie czytelni w redakcji pisma „Boston Globe" pokazywał trzecią nad ranem, kiedy dziennikarz Byron Some zerwał się ze snu.

W głowie jeszcze mu huczało od okropnej wizji, która go nawiedziła we śnie. Wydawało mu się, jakby przed chwilą jeszcze sam brał udział w potwornych wydarzeniach.

Słyszał krzyki nieszczęśników wpadających do wrzącego oceanu. Strumienie roztopionej lawy spływały po zboczu góry, grzebiąc gospodarstwa, wsie i ludzi. Ogromny wybuch wyrzucił całą wyspę w jednej tytanicznej erupcji ognia, dymu i ziemi ku niebu. Nad miejscem, gdzie jeszcze chwilę temu kwitło życie, zamknęła się otchłań morza wrzątku...

Rozbudzony Some siedział w redakcji „Globe" sam, z głową opartą na dłoniach, wstrząsany wspomnieniami (pozostańmy przy tym określeniu), które nie były jego. Obraz nie mógłby jednak być bardziej realistyczny, nawet gdyby Some przeżył to wszystko naprawdę. Po pewnym czasie uznał, że był to wyjątkowo wyrazisty sen i postanowił go wykorzys-

tać najlepiej, jak umiał — jako temat opowiadania przeznaczonego na sezon ogórkowy.

Jak pomyślał, tak też zrobił. Zapisał treść swego snu. Obrazy, które zapamiętał, były tak barwne i autentyczne, że nie przeszło mu nawet przez myśl, żeby coś w nich upiększyć czy udramatyzować. Po prostu przelał tylko na papier to, co w jego umyśle istniało tak wyraziście, jakby przydarzyło się naprawdę jemu samemu. Opisał więc, jak tubylcy z wyspy Pralape koło Jawy (ze snu wiedział nawet, jak się ta wyspa nazywała i jakie było jej geograficzne położenie), szaleni z przerażenia, znaleźli się w pułapce między ognistą lawą i wrzącym morzem. Gdy ogromne masy ziemi wyrzucił w górę potężny wybuch wulkanu, statki znajdujące się w pobliżu zdruzgotały fale o wysokości domu. Na koniec apokaliptyczne siły przyrody wyładowały się w jednej potwornej erupcji, która zmiotła z powierzchni ziemi pół wyspy Pralape.

Kiedy dziennikarz skończył pisać, opatrzył tekst nagłówkiem „WAŻNE", położył rękopis na swoim biurku i wyszedł z redakcji.

Następnego ranka zaczął się ciąg omyłek. Najpierw redaktor dyżurny uznał zapiski Some'a za wiadomość agencyjną, która nadeszła w nocy.

Ponieważ nikt jeszcze nie wiedział o takim kataklizmie, redaktor ten postanowił wykorzystać okazję, by zamieścić w „Boston Globe" jako pierwszej gazecie sensacyjną informację o wydarzeniu światowej rangi. Tak więc zagłada wyspy Pralape znalazła się na pierwszej stronie „Boston Globe". Aby dodatkowo podkreślić pierwszeństwo swojej gazety, ten sam redaktor przekazał doniesienie do sieci agencji Associated Press, która z kolei niezwłocznie rozesłała meldunek do wszystkich gazet w Ameryce. Krótko mówiąc, dnia 29 sierpnia 1883 r. wybuchła sensacja.

Kiedy jednak do „Globe" zaczęły nadchodzić pytania od prasy żądnej dalszych szczegółów, redaktor, który uruchomił lawinę, znalazł się w nie lada kłopocie. Nie był bowiem w stanie spełnić tych żądań. Z okolic Jawy nie nadeszły żadne informacje, a nikt nie wiedział, gdzie jest Some. Kiedy jeszcze tej samej nocy odnalazł go wydawca „Globe", bomba pękła.

W całym kraju opublikowano zapis snu w charakterze sensacyjnego doniesienia! Jak się okazało, wyspa o nazwie Pralape w ogóle nie istnieje. Some został zwolniony z pracy w trybie natychmiastowym. Agencja Associated Press, która również znalazła się w opałach, rozpowszechniwszy niepotwierdzoną wiadomość, pospiesznie zwołała konferencję wszystkich zainteresowanych, aby znaleźć jakieś wyjście z tej przykrej sytuacji. Wydawało się nieuchronne, że prasa amerykańska stanie się pośmiewiskiem całego świata, a jej prestiż legnie w gruzach.

Gazeta „Boston Globe" wyraziła gotowość wypicia nawarzonego piwa i zamieszczenia sprostowania na stronie tytułowej.

Nie doszło jednak do tego, natura zaoszczędziła bowiem gazecie największej kompromitacji w jej dziejach. O zachodnie wybrzeża USA zaczęły nagle uderzać niezwykle wysokie fale. Z różnych części świata donoszono o niewyobrażalnym kataklizmie na Oceanie Indyjskim. Fale morskie o nigdy dotąd nie notowanej gwałtowności spowodowały tysiące ofiar w ludziach, zatonęło wiele statków.

Kiedy w redakcji „Boston Globe" ciągle jeszcze usiłowano wymyślić jakieś w miarę przekonujące usprawiedliwienie, w innych gazetach pojawiły się pierwsze fragmentaryczne doniesienia o tajemniczej katastrofie. Informacji stale przybywało.

Z Australii donoszono, że powietrze tam drgało jakby od ognia gigantycznych dział. Ogromne fale dotarły już także do wybrzeża Meksyku i Ameryki Południowej.

Fala powodziowa obiegała całą kulę ziemską. Historia ludzkości nie notowała jeszcze niczego podobnego.

Kilka dni później było już wiadomo, co właściwie się stało, dzięki załogom statków, którym się udało ujść cało z opresji.

Chodziło o zagładę wyspy Krakatau. Zaczęła się od wybuchu wulkanu, który rozerwał skorupę ziemską, otwierając dostęp wodzie morskiej. Spowodowało to eksplozję, której siła była odczuwalna na całej Ziemi, a fala uderzeniowa w atmosferze okrążyła całą planetę trzy razy, ku wielkiemu zadziwieniu świata nauki.

Redakcje gazet, nie wyłączając „Boston Globe", od razu uświadomiły sobie, że jest to jeden z największych tematów wszechczasów.

Kiedy wydarzenia zaczęły nabierać rozmachu, zamiast opracowywanego sprostowania na tytułowej stronie pojawiło się zdjęcie Some'a, reportera, który jako pierwszy doniósł o końcu świata w Cieśninie Sundajskiej.

Dyskretnie przemilczano, w jaki sposób wszedł on w posiadanie tych informacji.

Jest to przykład wiedzy o przyszłym zdarzeniu, opublikowany czarno na białym na całym świecie, zanim ono jeszcze nastąpiło. Dowód niepodważalny, nie do obalenia.

A jednak niezupełnie. Wprawdzie autentyczność tego faktu nie ulega kwestii, ale nie chodzi tu, jakby się zdawało, o prekognicję.

Pierwsze wstrząsy nawiedziły wyspę Krakatau 27 sierpnia 1883 r. Następnego dnia nastąpił wybuch zarejestrowany na całym świecie, a 29 sierpnia połowa wyspy zatonęła w falach morza.

Dantejskie sceny z drugiej półkuli pojawiły się w świadomości Some'a w tej samej chwili, w której się rozgrywały, mimo odległości odpowiadającej połowie równika. No tak, pomyśli czytelnik, a więc jest to przypadek telepatii i nic więcej.

Gdyby tu chodziło tylko o telepatię, to i tak ze wszech miar uzasadnione byłoby przedstawienie tego zdarzenia, co najwyżej w innym rozdziale. Tu jednak telepatia nie wchodzi w rachubę. A przynajmniej nie tylko ona. Zaklasyfikowanie tego przypadku jako telepatii nie wyjaśnia bowiem, skąd się wzięła ta osobliwa, nikomu nie znana nazwa Pralape.

Ten szczegół przez wiele lat budził kontrowersje. Jego wyjaśnienie świadczy zarazem o tym, że wizja Krakatau, którą miał Some, musi być czymś więcej niż tylko snem przedstawiającym rzeczywiste, odległe zdarzenia. W następnym etapie naszych rozważań poświęcimy zatem uwagę wzajemnym oddziaływaniom między duchem człowieka a informacją zapisaną w przestrzeni i czasie.

Wiele lat później Some otrzymał pocztą od holenderskiego Towarzystwa Historycznego bardzo starą mapę, na której wyspa Krakatau nosiła jeszcze swoją pierwotną nazwę.

Nazwa ta brzmiała właśnie, jak czytelnik już się domyśla, Pralape.

W tym miejscu musimy przez chwilę ochłonąć. Jak się okazuje, nasz mózg, czy też duch, jest zdolny odbierać i przyswajać sobie takie informacje, które zupełnie słusznie powinny być dlań niedostępne. Pamiętamy wydarzenia, przy których nie byliśmy obecni, a w których uczestniczyli inni ludzie — czy nawet przedmioty(!)

Pamiętamy również przyszłość...

Pęknięcia w zasłonie czasu

W istocie w ogóle nie istnieje coś takiego jak teraźniejszość. Na cokolwiek byśmy spojrzeli, to nic nigdy nie ukaże się naszym oczom takie, jakie naprawdę jest teraz, w tym konkretnym momencie.

Obraz Słońca, które nas ogrzewa na spacerze, liczy sobie około ośmiu minut, ponieważ tyle właśnie czasu światło potrzebuje na pokonanie około stu pięćdziesięciu milionów kilometrów dzielących nas od życiodajnej centralnej gwiazdy Układu Słonecznego. Gdyby Słońce miało nagle przeobrazić się w Nową, to o takim zdarzeniu oznaczającym zagładę ludzkości dowiedzielibyśmy się dopiero po upływie tych ośmiu minut. Uspokójmy się jednak: szacuje się, że może do tego dojść dopiero za jakieś pięć miliardów lat.

Na temat obecnego stanu gwiazd i galaktyk odległych od nas o miliony lat świetlnych możemy snuć jedynie przypuszczenia (teoretycznie jest możliwe, że od dawna już nie istnieją). Największe teleskopy pozwalają sięgnąć wzrokiem na odległość miliardów lat świetlnych, do tzw. czerwonej granicy, gdzie można obserwować wszechświat we wczesnych stadiach rozwoju tuż po jego narodzinach.

Te fakty początkowo mogą się wprawdzie wydać oszałamiające, nie ma w nich jednak niczego, co byłoby sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. Nie podważają ani naszych wyobrażeń o związkach skutkowo-przyczynowych, ani poczucia wewnętrznego porządku rzeczy. Zresztą w naszym bezpośrednim otoczeniu nie ma żadnego znaczenia, czy obraz, który widzimy, ma kilka mikrosekund, czy nie. Zupełnie inaczej mają się jednak sprawy wtedy, gdy przyszłość

rzuca swój cień na przeszłość, która dla nas jest teraźniejszością.

Wtedy związek przyczynowo-skutkowy ustaje, paradoksy stają się regułą, a nasz obraz świata wali się w gruzy. Wystarczy sobie choćby uświadomić, jak horrendalne sprzeczności kryje jedna jedyna, konkretna przepowiednia, aby włos zjeżył się na głowie.

Zaraz, powie ktoś w tym miejscu, przecież nie byłoby wcale źle np. wiedzieć z góry o jakimś wypadku. Nie zmienia to jednak faktu, że sytuacja jest paradoksalna.

Jeśli jasnowidz powie komuś, że widział, jak ten w określonym dniu, godzinie i miejscu został przejechany przez ciężarówkę, to ostrzeżony w ten sposób człowiek ma do wyboru dwie możliwości. Albo zlekceważy ostrzeżenie i zrealizuje swoje spotkanie z ciężarówką, co go będzie kosztowało życie, ale związek przyczynowo-skutkowy zostanie uratowany.

Albo też posłucha rady jasnowidza i będzie omijał miejsce wypadku; wtedy wprawdzie ocali życie, poświęcając jednak przyczynowość.

A to czemu?

Kiedy jasnowidz dostrzeże w przyszłości konkretne wydarzenie i zapobiegnie mu, to przyszłe zdarzenie już nie nastąpi. Wtedy jednak nie będzie mógł go widzieć, a więc także przed nim ostrzec — i zdarzenie jednak się stanie. Wtedy znowu będzie widoczne dla jasnowidza, który odzyska zdolność zapobieżenia mu, i tak w nieskończoność.

Matematycy nazwaliby to pętlą, my natomiast wariactwem.

Zdrowy rozsądek nie chce mieć z czymś takim do czynienia. To po prostu niemożliwe. Omówiona sytuacja jest tak samo pozbawiona sensu, jak słynny paradoks o podróży w przeszłość: Człowiek, który przeniósłby się w przeszłość, aby zabić własnego dziadka, musiałby wskutek tego zacząć wieczną wędrówkę tam i z powrotem, między istnieniem i nieistnieniem. Skoro bowiem dopuściłby się morderstwa, sam przestałby również istnieć i z tego powodu nie mógłby go popełnić. Wtedy jednak mógłby się urodzić, przenieść się w przeszłość itd...

Jednym słowem: czyste wariactwo. Niech tam sobie matematycy i inni abstrakcyjni myśliciele dzielą włos na czworo (czym też faktycznie się zajmują); w prawdziwym życiu nie ma na to miejsca.

Niestety! Jasnowidzenie jest faktem, a zatem przyszłość istnieje już teraz. Skutki tego są po prostu potworne. Zanim rzucimy ukradkowe spojrzenie na egzotyczne konstrukcje myślowe fizyki teoretycznej i innych dyscyplin naukowych (w których przeszłość, teraźniejszość i przyszłość w zgodzie mieszkają obok siebie albo też czas przestaje obowiązywać), zbadajmy najpierw, ile jest prawdy w twierdzeniu, jakoby jasnowidzenie faktycznie istniało. Poznamy przy tej okazji tak dziwne sprawy, że czymś zgoła zwyczajnym wydadzą się fale tachionów, wszechświaty równoległe, wsteczne linie świata i wszelkie inne modele czasoprzestrzeni, jakie ma do zaoferowania nauka.

Przeczucia zna każdy z nas — z własnego doświadczenia albo z opowiadań. Poddanie ich ścisłej analizie w celu ewentualnego wyodrębnienia zawartego w nich jądra prekognicji to zadanie trudne czy wręcz niewykonalne. Przeczucia są bowiem zbyt mgliste, za trudno jest od nich oddzielić komponentę normalnych częściowych informacji, nieświadomie odebranych wskazówek itd. Niczego więc dokładnie nie wiemy na ich temat.

Dobrą ilustracją tej problematyki jest toczona od jakiegoś czasu dyskusja o tym, czy Adolf Hitler miał zdolność jasnowidzenia, czy też nie.

Jeśli wziąć pod uwagę jego ostateczny „sukces", to odpowiedź wypadłaby negatywnie. Sprawa jednak nie jest taka prosta. Przecież także mniej opętani współcześni potrafią ignorować zupełnie konkretne informacje o istniejących zagrożeniach.

Faktem historycznym jest, że Hitler od zagarnięcia władzy w 1933 r. aż do fatalnej napaści na Polskę w 1939 r. jako jedyny był w stanie przewidzieć reakcje przeciwników na własne prowokacje i akty agresji, niczym w grze w szachy. Zarówno w przypadku otwartej polityki ponownych zbrojeń wbrew układom międzynarodowym, zajęcia Nadrenii, hazardowej rozgrywki o Czechosłowację, jak i przyłączenia siłą Austrii,

Hitler zawsze umiał lepiej przewidywać niż cały sztab generalny i wszyscy inni profesjonaliści. To omijanie z chłodną determinacją wielu bardzo nieraz groźnych przeszkód (na przykład Francja stale nalegała na podjęcie interwencji wojskowej w Niemczech, która podówczas nie byłaby jeszcze zbyt ryzykowna, czemu jednak sprzeciwiała się Anglia) było z pewnością jednym z zasadniczych filarów, na których opierała się sława Hitlera jako geniusza polityki militarnej. Przynajmniej początkowo.

Ta argumentacja nie jest zbyt przekonująca. W naturze hazardzisty leży podejmowanie wysokiego ryzyka, więc kiedy jednak uda mu się wygrać, to zwykle w dramatycznych okolicznościach, których nie dało się przewidzieć.

Główny kontrargument brzmi: Gdzie podziały się zdolności Hitlera do jasnowidzenia w chwili wkraczania do Polski, które doprowadziło w końcu do klęski?

Choć wyda się to paradoksalne, mogły i wtedy być aktywne, jeśli założymy, że je w ogóle miał.

Pójdźmy za tropem tej myśli i wyobraźmy sobie, co wówczas mógłby zobaczyć ktokolwiek obdarzony zdolnością jasnowidzenia w najbliższej przyszłości, a więc w tygodniach i miesiącach po okupacji Polski w 1939 r.

Nic.

Nie można bowiem sobie wyobrażać, że wizja przyszłości jest czymś w rodzaju jasno sformułowanego kalendarium zawierającego ścisłe daty i opisy wydarzeń; jest to raczej pobieżny rzut oka na dzień jutrzejszy, widziany niczym w kalejdoskopie.

Taki rzut oka na nadchodzący przełom lat 1939/40 nie wykryłby żadnych działań wojennych. Wprawdzie alianci we wrześniu 1939 r. wypowiedzieli Niemcom wojnę, ale nie padł ani jeden strzał. Francuskie i niemieckie wojska obserwowały się przez granicę, nic jednak się nie działo. Choć na froncie zachodnim najsilniejsza armia świata, za jaką wówczas uważano armię francuską, stała naprzeciw zaledwie 26 dywizji niemieckich, to nie miała najmniejszego zamiaru wychylać się poza gigantyczne fortyfikacje z betonu i stali, Linię Maginota. Ten dziwaczny stan przeszedł do historii jako „siedząca wojna" (*Sitzkrieg* — nazywana w krajach anglosaskich *phony war*).

Mogłoby to zmylić nawet najlepszego jasnowidza. Co jednak nie musi znaczyć, że akurat Hitler nim był.

Co prawda na korzyść takiej tezy wydaje się przemawiać pewna poszlaka, w której jasno się wyraża cała problematyka widzenia przyszłości.

19 września 1939 r. Hitler wygłosił swoje pierwsze przemówienie w czasie wojny. Było to w Gdańsku. Polska była już wówczas w niemieckich rękach.

Znaczna część wojsk wracała już do domu. Wprawdzie istniały jeszcze punkty oporu w Warszawie, ale upadek był już tylko sprawą dni. Zarówno członkowie sztabu generalnego, jak i zwykli przechodnie w Niemczech uważali, że jest już po wojnie. Niemcy były u szczytu potęgi, a na ich czele stał Hitler.

Odpowiednie do tej sytuacji było też przemówienie wygłoszone w Gdańsku. Jednak płomienne słowa Hitlera, wprawiające słuchaczy w hipnotyczny trans, zawierały dziwny element.

Amerykański dziennikarz i pisarz William L. Shirer, autor słynnego dzieła *The Rise and Fall of the Third Reich*, jeden ze słuchaczy, informuje o zupełnie nieoczekiwanym wybuchu Hitlera, który bez wyraźnej przyczyny kilkakrotnie zawołał: „Nigdy się nie poddamy!"

Skąd pomysł poddawania się? Komu? I w jakim celu?

W późniejszych wojennych latach to sformułowanie stało się *credo* Hitlera, ale wtedy w Gdańsku w 1939 r. było całkiem nie na miejscu. Albo też nie na czasie.

Jałowym zajęciem byłoby rozważanie, czy teza o zdolności Hitlera do jasnowidzenia jest prawdziwa, czy nie. Jeśli nawet powyższe jego słowa budzą zdziwienie (podobnie jak inne, wypowiedziane przez niego w tym samym roku ku osłupieniu jego zwolenników zgromadzonych w monachijskiej piwiarni, zapowiadające wojnę, która miałaby trwać około pięciu lat), to jednak nie są niczym więcej niż tylko poszlakami.

Ten przykład, prowokujący do sprzeciwu, przytaczamy jedynie w celu pokazania, jak trudno jest — w sposób nie budzący wątpliwości — choćby tylko zidentyfikować wiedzę o przyszłych zdarzeniach. A już próby oceny (szczególnie z perspektywy czasu) mają niewielkie szanse powodzenia i niewiele można w ten sposób udowodnić.

Sam Hitler wprawdzie zawsze podawał się za wizjonera, ale nigdy za jasnowidza.

Są jednak tacy, którzy utrzymują z dużą pewnością siebie, że potrafią uchylić rąbka tajemnicy i zdradzić, co niesie przyszłość. Czy rzeczywiście? Seria często zadziwiająco trafnych przepowiedni, wygłaszanych na różne sposoby, sięga od starożytności aż do naszych dni. Z pewnością znajdzie też kontynuację. Wiele z tych prognoz cechowało się niejasnością i tajemniczością. Aby wydobyć ich sens, potrzebna jest fachowa interpretacja. Takich przypadków nie będziemy rozpatrywać.

Wprawdzie kuszącym wyzwaniem może być zmierzenie się na przykład z ogromnym proroczym dziełem Nostradamusa, ale nic by to nam nie dało.

Proroctwa tego jasnowidza, zapewne najsłynniejszego wróżbity wszechczasów, zebrane w 12 centurii z 965 czterowierszami, 141 bezpośrednich przepowiedni i 58 sześciowierszy, cechują się wprost skrajną wieloznacznością, a do tego zostały zaszyfrowane z obawy przed Inkwizycją.

Dzisiejsze interpretacje twierdzą, jakoby była w nich zawarta niemal cała historia świata od XVI w. do dziś (Nostradamus żył w latach 1503—1566); jednak przy odrobinie dobrej woli taki sam rezultat można by zapewne uzyskać interpretując wzór dywanu perskiego.

Nie chcemy przez to bynajmniej umniejszać daru Nostradamusa. Istnieje wiele wiarygodnych przekazów mówiących o jego zdolnościach jasnowidzenia. Przepowiednia śmierci króla Henryka II na turnieju w walce z dowódcą gwardii szkockiej Gabrielem de Lorges, hrabią Montgomery, jest udokumentowana, podobnie jak zapowiedź własnej śmierci Nostradamusa.

Jednak jego dzieło jest dla nas niezbyt przydatne, gdyż wymyka się jednoznacznej analizie.

Dla naszych celów potrzebne są przepowiednie jasno sformułowane, a przynajmniej wolne od wieloznaczności.

Zastępy jasnowidzów, wizjonerów, zwiastunów, proroków, mediów itd., zarówno profesjonalistów jak i amatorów, są niezliczone. Każdy z tych ludzi był niepowtarzalną indywidualnością, podobnie indywidualne głosili prognozy.

Niewielu jasnowidzów miało możliwość kształtowania historii, niektórzy jednak zdołali ją faktycznie przewidzieć.

Słynna w USA kobieta-jasnowidz, Jeane Dixon, ostrzegała Johna F. Kennedy'ego przed listopadem 1963 r. (w tym miesiącu zginął on z ręki Lee Harveya Oswalda). Prezydent jednak niewiele sobie robił z tych ostrzeżeń. Miał zwyczaj mówić w takich razach: „Jeśli chcą cię dopaść, to i tak to zrobią."

Świadkowie informują, że 22 listopada tego roku, w dzień zamachu, Jeane Dixon była niezwykle zdenerwowana przy obiedzie w hotelu Mayflower w Waszyngtonie. Pytana o powód zdenerwowania, powiedziała: „Nie mogę jeść, jestem taka niespokojna. Dziś prezydentowi przytrafi się coś okropnego".

Jeane Dixon miała przepowiedzieć zamordowanie Martina Luthera Kinga, Mahatmy Gandhiego, jak też Roberta Kennedy'ego; również daty śmierci sekretarza generalnego ONZ Daga Hammarskjölda, Johna Fostera Dullesa i samobójstwa Marilyn Monroe.

Prezydent Franklin Delano Roosevelt, który nie był niechętny objawieniom i jasnowidzom, tak jak Kennedy, zaprosił Jeane Dixon pod koniec 1944 r. do Białego Domu, aby ją zapytać, ile życia jeszcze mu pozostało. Kiedy zdołał przekonać opornego gościa, że chce to wiedzieć naprawdę, usłyszał w odpowiedzi: „Ma pan jeszcze sześć miesięcy życia". Umarł istotnie 12 kwietnia 1945 r., co oczywiście — jeśliby ten przypadek rozpatrywać w oderwaniu od innych podobnych — mogłoby być również tak zwaną samosprawdzającą się przepowiednią. Coś w tym jednak jest...

Na przyjęciu w Waszyngtonie Jeane Dixon powiedziała *attaché* wojskowemu Indii, że jego kraj 2 czerwca 1947 r. zostanie podzielony (tak się stało). Przepowiedziała też Churchillowi klęskę w przyszłych wyborach. Ten odpowiedział rozdrażniony, że naród angielski go nie opuści. Był w błędzie.

Świat obiegła przestroga Jeane Dixon przed katastrofą Apollo IV, która nastąpiła miesiąc później, 27 stycznia 1967 r., pociągając za sobą pierwsze ofiary amerykańskiego programu kosmicznego. Byli to astronauci Grissom, White i Chaffee.

Na zdjęciach zniszczonej kapsuły kosmicznej widać plątaninę drutów, w której tkwi jakieś narzędzie. W przepowiedni Jeane Dixon była mowa o niewłaściwych drutach w kapsule.

a także o czymś w rodzaju narzędzia, które znalazło się w nieodpowiednim miejscu.

Dość pewne wiadomości posiadamy także na temat Jacques'a Cazotte'a, słynnego francuskiego jasnowidza żyjącego w XVIII w. W przededniu Rewolucji Francuskiej przepowiedział on markizowi de Condorcet, że ten popełni samobójstwo przez zażycie trucizny w celi więziennej. Cazotte zapowiedział również „przewlekłe" samobójstwo słynnego aktora Sébastiena Chamforta: aktor ten zadał sobie brzytwą 22 rany, ale zmarł dopiero wiele miesięcy później. Natomiast lekarz dr Félix Vicq-d'Azyr usłyszał, że słabość nie pozwoli mu zdobyć się na podobny czyn i że będzie musiał prosić o pomoc współtowarzysza z celi. Cazotte przewidział także swoją własną śmierć na gilotynie. Wyliczenie wszystkich jego przepowiedni zajęłoby za wiele miejsca. O ile wiadomo, wszystkie się ziściły. Jasnowidz ten zginął na szafocie 25 września 1792 r.

Nie znany szerszemu ogółowi jest dziennikarz amerykański David Goodman Croly (1829 — 1889), który na dwa lata przed faktem zapowiadał krach bankowy z 1873 r., wymieniając nawet bank, który miał upaść jako pierwszy (Jay Cooke & Company). On sam wprawdzie uważał się nie tyle za jasnowidza, co raczej futurologa (jak byśmy to dziś powiedzieli). Jednakowoż przepowiednie jego charakteryzuje imponująco daleki horyzont czasowy. Przewidywał m.in. pierwszą wojnę światową oraz niepodległość Indii, która miała stać się faktem do 1950 r. (w rzeczywistości było to dokładnie w 1950 r.).

Prawdziwym prorokiem był Norweg Anton Johanson (1858 – 1929). Największą sławę przyniosły mu zdumiewająco precyzyjne wizje (które miał w ciągu jednej jedynej nocy w listopadzie 1907 r.), dotyczące wydarzeń nadchodzących lat 1914 – 1921 i 1947 – 1953. Podamy tylko kilka przykładów: wybuch pierwszej wojny światowej, rosyjska ofensywa na froncie wschodnim, wojna pozycyjna na Zachodzie, wielka bitwa morska koło Jutlandii w 1916 r., a także ogromna epidemia grypy z lat 1918 – 1919, która liczbą ofiar (dwadzieścia milionów osób) przewyższyła nawet pierwszą wojnę światową. Johanson oczyma duszy widział także powojenny chaos, jaki miał zapanować w Niemczech.

Do omawianej kategorii ludzi należy także chłop z Anglii, Robert Nixon (1467 – 1485). W ciągu swego krótkiego życia wygłosił wiele zdumiewających przepowiedni. Został potem jednak zapomniany, tak samo jak setki lat później Johanson. Pewnego razu Nixon przeprowadził coś w rodzaju lekcji historii, podając przyszłe zdarzenia: wojnę domową w Anglii, klęskę i ścięcie Karola I, restaurację, panowanie Wilhelma Orańskiego, Wielką Rewolucję Francuską, zwycięską wojnę Anglii z Francją, a potem narodziny imperium brytyjskiego.

Takie wyliczenie można by jeszcze długo kontynuować, zapełniając setki stron. My jednak na tym już poprzestaniemy, jeśli nawet znawcy stwierdzą brak takiego czy innego słynnego nazwiska (honorowe miejsce wśród pominiętych należałoby się „śpiącemu prorokowi" Edgarowi Cayce'owi, którego zdumiewające życie bardziej jednak pasuje do innego rozdziału tej książki).

Wprawdzie doniesienia, opisy, przekazy, zeznania świadków itp. mają pewną moc dowodową, jednak nie są wolne od wątpliwości. Idealnym przypadkiem byłyby przepowiednie na piśmie dotyczące suchych faktów i opublikowane przed danym wydarzeniem. Nie musiałyby być z góry określone jako proroctwa.

Potrzebne byłoby coś takiego, jak ów dziwny opis zagłady wyspy Krakatau/Pralape, zamieszczony w „Boston Globe". Niestety, to był tylko przykład wiedzy telepatycznej.

Czy istnieją podobne dowody na prekognicję?

Tak, i jest ich niemało.

W 1896 r. angielski pisarz Matthew Phipps Shiel (1865 – 1947), autor wczesnych utworów z gatunku *science fiction*, opisujących fantastyczne przygody w przyszłości, i opowiadań kryminalnych, w późniejszych latach wyznawca nietzscheańskiej koncepcji nadczłowieka, opublikował dziwne opowiadanie. Przedstawił w nim bezlitosną kampanię wszczętą przez organizację fanatyków w czarnych strojach, mającą na celu unicestwienie wszystkich ludzi, którzy są szkodliwi dla sprawy postępu. Tak więc wyruszyli, by pustoszyć całą Europę, a ciała pomordowanych wrzucali do ognia. Szczegółem, który w tym pełnym brutalności opowiadaniu wprost niesamowicie uderza czytelnika, jest jego tytuł.

Tytuł ten brzmi *The S.S.*

To makabryczny przykład.

Gdy wrażliwi nie mogą tu oprzeć się dreszczowi przebiegającemu po plecach, to ludzie o mocniejszych nerwach powołają się na cierpliwy przypadek, który w takich razach zwykle musi służyć pomocą. Ci odporniejsi niech stawią czoło innemu przypadkowi, może nawet jeszcze dziwniejszemu, który w każdym razie jest udokumentowany w równie niepodważalny sposób.

Niedługo po opublikowaniu bestsellera *Spójrz ku domowi, aniele* słynny pisarz amerykański Thomas Wolfe przesłał swemu wydawcy opowiadanie zatytułowane *K 19*. Tytuł ten pochodził od numeru wagonu sypialnego, odgrywającego tam centralną rolę. Utwór wprawdzie nie został opublikowany, jednak dla autora wagon sypialny K 19 miał widocznie tak duże znaczenie, że treść opowiadania włączył później do swego dzieła *Of Time and the River*.

Nie koniec na tym, wagon sypialny K 19 zajmował pisarza do tego stopnia, że również w jego ostatniej książce *Nie ma powrotu* występuje wagon o takim oznaczeniu.

Thomas Wolfe zmarł 15 września 1938 r. Jego przyjaciel i redaktor Edward C. Aswell był obecny w chwili, gdy trumna ze zwłokami Wolfe'a została umieszczona w pociągu, który miał zawieźć doczesne szczątki artysty do jego ojczystego miasta Asheville (Karolina Północna). W ostatniej podróży pisarzowi towarzyszyła rodzina.

Aswell opisuje te zdarzenia w książce *The Hills Beyond*, podając numer wagonu sypialnego, do którego wsiadła rodzina Wolfe'a. Jak należało się spodziewać, wagon ten nosił numer K 19.

Jak się zdaje, pisarzom tak się w ogóle częściej przytrafia niż innym ludziom.

Willy Schrödter, bliski przyjaciel zmarłego w 1946 r. austriackiego pisarza Karla Heinza Strobla, dokonał po jego śmierci dziwnego odkrycia w bibliotece zmarłego. Pisze o tym w następujących słowach: „Przeglądałem jego książki, stojące na półce. Między ich kartkami znalazłem wiele wycinków z prasy. Z początku sądziłem, że są to recenzje, jakież więc było moje zdziwienie połączone z przestrachem, kiedy stwier-

dziłem, że wycinki z gazet dotyczyły wydarzeń, które Strobl opisywał na długo przedtem, zanim zaistniały".

Można powiedzieć, że J.W. Dunne, urodzony w 1875 r. inżynier lotnictwa i późniejszy autor, podjął regularną walkę z czasem. Miał wiele proroczych snów, jak np. w 1902 r., gdy służył w piechocie brytyjskiej w Wolnym Państwie Orania w Afryce Południowej. Ujrzał wtedy we śnie dokładną wizję wybuchu wulkanu Mt. Pelée na Martynice i mógł nawet przeczytać nagłówki światowej prasy. Odpowiednik wizji Krakatau, tylko tym razem rzeczywiście przed wydarzeniem!

Rok wcześniej Dunne miał sen na temat bombardowania miasta Lowestoft nad kanałem La Manche przez zagraniczną flotę. Atak ten nastąpił w 1914 r. i odbył się z wszystkimi szczegółami przedstawionymi przez Dunne'a już w 1901 r. Czując się w głębi duszy rzeczowym badaczem, katalogował on swoje sny, aby móc później zweryfikować ich proroczą wartość. Odkrył przy tej okazji pewną prawidłowość, która polegała na tym, że wielu przyszłych zdarzeń nie widział i nie przeżywał we śnie bezpośrednio, ale czytając prasowe tytuły, komunikaty, drukowane opisy itd.

Jeśli nawet podjętą przez Dunne'a próbę naukowej interpretacji zjawiska jasnowidzenia (opracował zarys koncepcji czasu seryjnego, o różnych czasowych wymiarach) odrzucono jako metafizyczną i nieprzydatną, to jednak nie do podważenia jest jego pionierski wkład w poważne badania wiedzy o przyszłości. Podstawowe dzieło z tej dziedziny, *An Experiment with Time* jego autorstwa, wydane w 1927 r., do dziś uchodzi za klasyczne.

Najbardziej znana wizja przyszłości pochodzi spod pióra amerykańskiego pisarza Morgana Robertsona. Urodzony w 1861 r., za młodu pływał po morzach, by w późniejszych latach zostać jubilerem w Nowym Jorku. Kiedy to zajęcie zaczęło uszkadzać mu wzrok, postanowił spróbować swych sił w dziedzinie literatury.

Opublikował 200 opowiadań i 9 książek, jednak w jego dorobku jedna nowela miała zapewnić mu nieśmiertelność. Nie tyle z racji wartości literackiej czy popularności, ile z tego względu, że zawarł w niej czarno na białym najbardziej sensacyjną i szczegółową przepowiednię wszechczasów.

Pierwotnie miała tytuł *Futility*, a wydano ją w 1898 r.

W dramatycznych słowach Robertson przedstawia olśniewający dziewiczy rejs największego, najbardziej luksusowego (a przede wszystkim najbezpieczniejszego) statku pasażerskiego świata i jego okropne zakończenie. Statek ten płynął przez Atlantyk z Southampton w Anglii do Nowego Jorku, rozwijając niekiedy nadmierną prędkość; pewnej mroźnej nocy w kwietniu zderzył się z górą lodową i zatonął na północnym Atlantyku. Obraz chaosu na pokładzie w obliczu katastrofy to porywająca scena. Obok bohaterstwa dochodzi do głosu czysty egoizm, kiedy przychodzi walczyć o miejsca w łodziach ratunkowych. Spośród 3 000 pasażerów jedynie nielicznym udało się uratować, ponieważ statek o wyporności 75 000 ton miał na pokładzie zaledwie dwadzieścia cztery łodzie ratunkowe, gdzie nie pomieściłaby się nawet połowa pasażerów.

Robertson mówił potem, że w pisaniu tego opowiadania pomagał mu „astralny współautor". Wszystko to nie byłoby jeszcze niczym nadzwyczajnym, gdyby ów fikcyjny luksusowy statek nie nosił nazwy „Tytan" (opowiadanie ukazało się pod tytułem *The Wreck of the Titan*).

Po ukazaniu się w 1898 r. nowela nie zyskała zbytniego rozgłosu; sensacją stała się dopiero 14 lat później, po katastrofie „Titanica" w 1912 r. Byli bowiem jeszcze wtedy czytelnicy, którzy całkiem o niej nie zapomnieli.

Musiał im się wydać dziwnie znajomy los statku pasażerskiego „Titanic", który późną nocą 14 kwietnia w czasie swego dziewiczego rejsu, rozwijając o wiele za dużą prędkość, na południe od Nowej Fundlandii zderzył się z górą lodową i zatonął. Razem z nim poszło na dno co najmniej 1 531 osób, ponieważ oprócz innych zaniedbań, na statku nie zapewniono dostatecznej liczby łodzi ratunkowych (było ich dwadzieścia dwie).

Zarówno w opowiadaniu, jak i rzeczywistym zdarzeniu chodziło o największy luksusowy statek pasażerski na świecie, uważany za najbezpieczniejszy (utrzymywano, że „Titanic" jest niezatapialny), odbywający swój dziewiczy rejs. Zgadzał się również fakt nieostrożnej nawigacji na trudnym akwenie przy maksymalnej prędkości. Inne zbieżności to zderzenie

z górą lodową w kwietniową noc na Atlantyku oraz identyczne, apokaliptyczne zakończenie rejsu połączone z wielkimi ofiarami.

Przeprowadzone później dokładne porównanie faktów i fikcji wykazało istnienie niezwykłej zgodności (ostrożnie ujmując).

	„Tytan"	„Titanic"
wyporność	75 000 BRT	66 000 BRT
długość	800 stóp	882,5 stopy
grodzie wodoszczelne	19	16
śruby napędowe	3	3
łodzie ratunkowe	24	22
liczba pasażerów	3 000	2 224
prędkość przy zderzeniu	25 węzłów	23 węzły

Ktokolwiek chciałby tu jeszcze mówić o przypadkowej zbieżności, ten dawałby dowód całkowitego ulegania wygodnej zasadzie, że nie może istnieć to, co istnieć nie powinno.

A tymczasem nie miałby racji, nawet z czysto teoretycznego punktu widzenia. Nowoczesna nauka wykazuje większą tolerancję w stosunku do paradoksów, odwróconych wektorów czasu, wstecznej przyczynowości i temu podobnych spraw sprzecznych ze zdrowym rozsądkiem, niż można by sądzić. Już Einstein uważał, że „podział na przeszłość, teraźniejszość i przyszłość musi być traktowany jako złudzenie..."; tzw. nowa fizyka idzie jeszcze dalej.

Ma ona wiele wspólnego z teorią synchronizmu (należącą raczej do dziedziny filozofii) słynnego szwajcarskiego psychologa, konkurenta Freuda, C.G. Junga. Jego zainteresowania obejmowały mity, religie, naukę (nie wyłączając parapsychologii), jak też alchemię i astrologię. Jung, który chciał stworzyć rozległą wizję świata, definiował synchronizm jako „zasadę pozaprzyczynowych związków, która redukuje czas i przestrzeń do zera".

W swoich rozważaniach na temat wiedzy o przyszłości, co do której przypuszczał, że istnieje, Jung zwraca uwagę, że żaden mechanizm przyczynowo-skutkowy nie jest w stanie wyjaśnić postrzegania zjawisk, które dopiero będą. Według

niego procesu tego nie należy pojmować ani jako przesyłania energii z przyszłości w przeszłość, ani jako zjawiska okultystycznego, lecz jako „aprzyczynowość poza czasoprzestrzenią".

Ani Arystoteles, ani Newton nie czuliby się uszczęśliwieni takim stawianiem sprawy. Także logiczny, nowoczesny człowiek widzi w takich twierdzeniach raczej zabawę słowami. Cała tradycja zachodniego sposobu myślenia każe się przed tym zaciekle bronić, więc nieuniknione staje się przywołanie tak egzotycznej dziedziny wiedzy, jak mechanika kwantowa. Nie ułatwia to wprawdzie zrozumienia myśli Junga, ale je potwierdza. Postulowane przez C.G. Junga nie zlokalizowane powiązanie oddzielnych zdarzeń w przestrzeni i czasie zyskało prawo wstępu do nauk przyrodniczych XX w., najpierw opracowane matematycznie przez Einsteina, Rosena, Podolskiego, Bohma i Johna S. Bella, a kilkadziesiąt lat później udowodnione w praktycznym doświadczeniu przez Alaina Aspecta, w którym czas i przestrzeń częściowo uległy redukcji do zera. Ten tzw. aspekt Aspecta wywołał niepokój w naukowym świecie i sprawił, że wzrosła gotowość do kwestionowania albo rewidowania utartych koncepcji. My również nie mamy nic innego na względzie...

Tę niezwykłą, a jednak ważną koncepcję można znaleźć w podręcznikach i rozprawach naukowych, gdzie jest określana jako „eksperyment Einsteina, Podolskiego i Rosena", „twierdzenie Bella" oraz „kit kosmiczny".

Co się tyczy wiedzy o przyszłych zdarzeniach, to aprzyczynowe równania Bohma i Bella stanowią dla Junga teoretyczną podbudowę wizji wszechświata funkcjonującego na różnych płaszczyznach porządku. Tylko niektóre z nich mogą być zintegrowane w model przestrzeni, czasu i związków przyczynowo-skutkowych, niesłusznie uważany za jedyny właściwy opis realnego wszechświata. Jak się zdaje, choć w niektórych aspektach, na które najpierw skierowaliśmy naszą uwagę, wszechświat zawiera przestrzeń, czas oraz przyczynę i skutek, to jednak w swym całokształcie jest o wiele bardziej złożony i nie podlega ograniczeniom przestrzeni, czasu i przyczynowości. Określenie tego nowego obrazu wszechświata pozostaje wciąż jeszcze nie rozwiązanym zadaniem nauki.

Nie będziemy dalej zgłębiać tego tematu. Choć interesujące byłoby szczegółowe przeanalizowanie specyficznych teorii zakładających możliwość jeśli już nie podróży w czasie, to przynajmniej wiedzy o przyszłości, byłoby to jednak niecelowe. W gruncie rzeczy niewielkie znaczenie ma dla nas kwestia, czy prorocy odbierają fale tachionów z przyszłości czy z ewentualnych wszechświatów równoległych, odrywających się od naszego kosmosu przy każdym przejściu kwantowym (a to tylko najbardziej „oswojone" koncepcje). Poprzestańmy na następującym stwierdzeniu: Można patrzeć w przyszłość, istnieją na to dowody; nauka zaś tego nie neguje. Wręcz przeciwnie.

W 1974 r. znany fizyk amerykański Gerald Feinberg na Międzynarodowym Kongresie Fizyki Kwantowej i Parapsychologii (!) przedstawił pracę pod tytułem *Die Erinnerung an Zukünftiges* (Wspomnienia z przyszłości — dlatego my także stale mówimy o wspomnieniach z przyszłości). Nie będziemy tu prezentować tej pracy, której treścią była czysta abstrakcyjna matematyka, wspomnimy jedynie, że dla Feinberga punktem wyjścia jest symetria elektromagnetycznych równań Maxwella, która może oznaczać przesyłanie informacji z przyszłości.

Kto by się tego spodziewał po poważnej fizyce? Jeśli nawet wydaje się to absurdalne, przyszłość najwyraźniej w jakiś sposób istnieje już teraz i może rzucać cień na przeszłość. Można ponadto przypuszczać, że istnieją ludzie zdolni patrzeć w przyszłość albo odbierać z niej komunikaty.

Jak to się odbywa w konkretnym przypadku, to dla nas jest sprawą o drugorzędnym znaczeniu; zresztą tego i tak prawie nie można się dowiedzieć. Może istotnie niektóre osoby wrażliwe na takie sygnały potrzebują szklanej kuli dla aktywizacji swoich zdolności (jak np. Jeane Dixon); jest to chyba jednak głównie zjawisko psychologiczne. Inni miewają prorocze sny, pozwalają się wprowadzić w trans, mają objawienia w biały dzień albo też patrzą w przyszłość tak, jakby oglądali telewizję.

Możliwości jest bardzo wiele. Niektórzy szarlatani wydają się bardziej autentyczni od prawdziwych proroków. Są i tacy

ludzie, którzy całkowicie tłumią swoje wizje, ponieważ są nimi przerażeni itd., itp.

I choćby nie wiedzieć, ilu fałszywych jasnowidzów udało się wyciągnąć zza zasłony mistycznych oparów i udowodnić oszustwo, to jednak nie da się w ten sposób zaprzeczyć samemu istnieniu prekognicji. Gorzka wydaje się pełna rezygnacji świadomość, że takie zdolności chyba zawsze są udziałem nielicznych. Tak jednak nie jest.

Amerykański matematyk William Cox na podstawie badań statystycznych doszedł do zaskakującego wniosku, że bardzo znaczny odsetek ludzi umie podświadomie przeczuć nieszczęście.

Statystyki obejmujące wieloletnie okresy jednoznacznie wykazały, że przeciętna liczba pasażerów w pociągach, które uległy katastrofom, wykolejeniu itp. była znacznie niższa od normalnej. To jeszcze nie wszystko; w tych pociągach z kolei liczba pasażerów w wagonach zniszczonych albo uszkodzonych była wyraźnie niższa niż w pozostałych. Statystyczna różnica w porównaniu z bezwypadkowym ruchem pasażerskim była doprawdy olbrzymia i wyrażała się współczynnikiem prawdopodobieństwa jak 1:100.

Siła ducha nie stanowi zatem monopolu garstki wybrańców. Wydaje się, że różnice sprowadzają się tylko do natężenia zjawiska oraz do kwestii, czy dana osoba jest świadoma własnych zdolności, czy nie.

Nadszedł więc czas, by uczynić kolejny krok w głąb nieznanego terytorium zagadkowych sił ducha.

Parapsychologia, ESP i cały ten róg obfitości...

Niełatwo jest podjąć wątek zaczynając omówienie tego tematu. Kto chciałby choćby tylko usystematyzować zjawiska paranormalne i połączyć je jednym nadrzędnym pojęciem, ten od razu beznadziejnie ugrzęźnie.

Do rozważań w tym rozdziale należałoby właściwie włączyć także omawiane już zjawiska: wiedzę na odległość (jasnowidztwo) i wiedzę uprzednią (prekognicję); skoro jednak zawsze je rozpatrywano odrębnie, więc i my tak zrobiliśmy. Teraz jednak jeszcze trudniej zakwalifikować zjawiska.

Z jakich sił korzysta na przykład radiesteta posługujący się różdżką albo wahadełkiem i do jakiej kategorii należy go zaliczyć? (Zwłaszcza jeśli potrafi odnajdywać za pomocą wahadełka żyły wodne albo złoża kruszców na mapie). Jak zakwalifikować kogoś, kto widzi ogniska chorób, i to nie tylko w ludzkim organizmie, ale także na fotografiach osób?

Czy można to nazwać telepatią, kiedy ktoś nagle zaczyna płynnie mówić obcym językiem? Jak określić podróże astralne, o ile w ogóle istnieje coś takiego?

Do jakiej kategorii zaliczyć magów, mistyków i cudotwórców i ich działania? Jak można drogą zwykłych ćwiczeń zmobilizować nadludzkie siły?

Co na to prawa natury, gdy ktoś naprawdę lewituje?

Czy duch człowieka wytwarza własną energię, by poruszać przedmioty na odległość, czy też posługuje się w tym celu energią już istniejącą? A jeśli tak, to jaką?

Gdzie jest miejsce guru, jogów i szamanów?

Stop, stop, pomyśli zapewne czytelnik. To istny galimatias. Nic dziwnego, że nauka woli się zajmować przejściami

kwantowymi albo antymaterią, bo jeśli nawet nie są to sprawy łatwo zrozumiałe, to na przykład elektrony zachowują się jak cząstki albo fale dokładnie wtedy, kiedy się od nich tego oczekuje.

Zjawiska paranormalne natomiast nie mają najmniejszej nawet ochoty stosować się do czyichkolwiek oczekiwań. Nie jest z tym jednak aż tak źle, jakby się zdawało.

Po drugiej wojnie światowej coraz więcej naukowców zaczęło się interesować badaniem takich zjawisk, jak telepatia, telekineza itp., powołano w tym celu katedry, a nawet instytuty naukowe.

Dziś parapsychologia zdołała już się wyzwolić z getta okultyzmu i jarmarcznych sztuczek czarnoksięskich. Powstają naukowe teorie, odbywają się kongresy, jak na przykład wspomniany kongres fizyki kwantowej i parapsychologii w Genewie.

Nie będziemy tu roztrząsać tych wszystkich malowniczych hipotez, jakie się teraz wysuwa dla wyjaśnienia zjawisk paranormalnych; jest to, można powiedzieć, skrajność, w którą popadnięto po trwającej wiele dziesięcioleci negacji samego ich istnienia. Zaznajomimy się tylko z jedną z takich teorii, która pozwoli nam wyrobić sobie pojęcie o wielu innych.

Chodzi o telekinezę.

Astrofizyk John Gribbin (absolwent uniwersytetu Sussex i wykładowca na uniwersytecie Cambridge) sugeruje w swojej książce *White Holes*, że wyjaśnieniem zjawiska telekinezy albo psychokinezy może być tzw. powiązanie tachioniczne (*tachyonic link*). Autor nawiązuje do sprawy zginania łyżek przez Uri Gellera, którego nie powinno się lekceważyć mimo widowiskowej oprawy jego pokazów.

Gribbin podejmuje myśl swojego uczonego kolegi Jacka Sarfattiego z Międzynarodowego Centrum Fizyki Teoretycznej w Trieście, który rozważał problem wpływu obserwatora na przebieg eksperymentu. Zadał pytanie, czy przez samo przyglądanie się można zmienić kwantowe prawdopodobieństwo procesów.

Choć tak sformułowana kwestia dziwnie brzmi, to jednak nie jest bardziej egzotyczna niż normalna hipoteza obser-

watora w fizyce kwantowej, o której już słyszeliśmy; może tylko bardziej śmiała.

Jak więc dochodzi do zginania łyżek, widelców i innych przedmiotów w czasie tych pokazów? Otóż duża liczba widzów wytwarza nieukierunkowaną falę tachionów, niosących oczekiwanie zwykłego zachowania się widelców i podobnych obiektów (proszę nie pytać, dlaczego mózg człowieka może wytwarzać tachiony; istnieją teorie, które i to wyjaśniają).

Zogniskowanie tych tachionów w związku z silnym oczekiwaniem, że dany przedmiot się zegnie, nadałoby, zgodnie z rozumowaniem Sarfattiego, taki kierunek zjawisku kwantowemu, jaki jest konieczny, aby np. widelec zgiął się faktycznie.

Większość ludzi jednak słusznie sądzi, że przedmioty nie zginają się bez działania z zewnątrz, nie oczekuje więc niczego takiego. Dlaczego zatem do tego dochodzi?

Ponieważ tachiony, o ile naprawdę istnieją, mają zadziwiającą właściwość cofania się w czasie.

Dokonuje się więc odwrócenie przyczyny i skutku: w chwili gdy przedmiot zgina się w sposób widoczny ku osłupieniu obecnych, wtedy z ich mózgów wypływa, tym razem zogniskowany, strumień tachionów, który cofając się w czasie zmienia równowagę kwantową łyżki w przeszłości tak, że ujawnia ona to zachowanie (zginanie), które następnie wytwarza swoją własną przyczynę (zdumienie).

Gdyby udało się świadomie pokierować takimi procesami, jak ten teoretycznie opisany, to wiele zjawisk paranormalnych nie tylko dałoby się łatwo wyjaśnić, ale także dowolnie powtarzać.

Wybrałem ten przykład nie po to, by dziwnym zjawiskom dodawać wiarygodności równie dziwnymi teoriami, ani też by ukazywać naukowe koncepcje w krzywym zwierciadle (rzeczywistość jest znacznie bardziej groteskowa). Chcę pokazać, że istnienie tych zjawisk jest oficjalnie uznawane, choć niełatwo poddają się wyjaśnieniu. Jeśli uda nam się zaakceptować tak pogmatwaną teorię jako poważną próbę wyjaśnienia, to łatwiej przyjdzie przełknąć opisy często zadziwiających zjawisk, które chcemy rozpatrywać. Ostatecznie nauka także

zdobyła się na ich akceptację, choć niemało tu zgoła fantastycznych informacji...

Jak się zdaje, dla telekinezy i telepatii nie istnieje ani przestrzeń, ani czas. Siły, które tu występują, pokonują wszelkie przeszkody; eksperymentalnie dowiedziono, że przenikają ołowiane płyty albo klatkę Faradaya i działają na odległość tysięcy kilometrów.

Telepatia pozwalała na odbiór wiadomości także w zanurzonych okrętach podwodnych, wewnątrz pomieszczeń wyłożonych ołowiem, a nawet w statkach kosmicznych.

Zgodnie z generalną koncepcją tej książki pominiemy na razie kwestie szczegółowe i zapytamy wprost: Czy człowiek nie może mieć więcej niż pięć zmysłów?

Na uniwersytecie w Manchester przeprowadzono masowy eksperyment. Uczestniczące w nim osoby, oprowadzane z zawiązanymi oczyma, miały zadanie określić swój pierwotny kierunek. Odsetek prawidłowych odpowiedzi był znacznie wyższy, niż wynikałoby z przypadkowego prawdopodobieństwa. Tego wymownego rezultatu nie można było wyjaśnić żadnym ze znanych nam pięciu zmysłów.

W tym fakcie nie musi się kryć nic tajemniczego. Być może część ludzi orientuje się według ziemskiego pola magnetycznego, podobnie jak niektóre gatunki ptaków i ryb. Za takim przypuszczeniem przemawia, również eksperymentalnie potwierdzone, osłabienie naturalnego zmysłu orientacji u osób noszących na głowie kaski magnetyczne.

Zapewne podobnie jest z postrzeganiem pozazmysłowym, które od dawna starają się zbadać uczeni Wschodu i Zachodu, by je zintegrować z przyrodniczą wizją świata. Choć na Wschodzie (gdzie badania takie mają poparcie czynników oficjalnych) akceptacja tego zjawiska nastąpiła znacznie dawniej niż na „oświeconym" Zachodzie, to jednak uzyskiwane rezultaty przeważnie nie wydostają się poza nieprzenikniony mur słowiańskiej skrytości. Jednak nawet te informacje, które do nas docierają, muszą zdumiewać.

Zanim do tego przejdziemy, rozejrzyjmy się najpierw na półkuli zachodniej. Bezsprzecznie absolutnym pionierem badań postrzegania pozazmysłowego był Joseph Banks Rhine, który już w latach trzydziestych prowadził na Duke University

w Durham (Karolina Północna) seryjne badania statystyczne z użyciem kart Zenera oznaczanych pięcioma prostymi symbolami (Zener był współpracownikiem Rhine'a, pomysłodawcą tych kart).

Z pomocą tych kart w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat przeprowadzono dziesiątki tysięcy testów postrzegania pozazmysłowego, ujawniając często jaskrawe odstępstwa od tego, co przewidują prawa przypadku. Pewnego razu niejaki Hubert E. Pearce odgadł prawidłowo wszystkie 25 kart; prawdopodobieństwo przypadkowego uzyskania takiego wyniku wynosi 1:300 biliardów. Co prawda, to wynik wyjątkowy; cynik mógłby powiedzieć, że nawet tak rzadki przypadek to też tylko przypadek.

Co ciekawe, niektóre osoby odgadują wyraźnie mniej symboli, niż wynosi przeciętna. W takich przypadkach mówi się o braku zdolności do postrzegania pozazmysłowego (*psi-missing*).

Dr Rhine, nazywany ojcem parapsychologii eksperymentalnej, którego książka *Extra Sensory Perception* (Postrzeganie pozazmysłowe — ESP) już w 1933 r. wzbudziła sensację, wspólnie z żoną Luizą i sztabem współpracowników stale doskonalił i rozwijał swoje metody eksperymentalne (interesował się głównie telepatią). Jego doświadczenia przeprowadzane i rejestrowane z naukową skrupulatnością nie dały wprawdzie odpowiedzi na pytanie, czym są zjawiska paranormalne i jak do nich dochodzi, ale dowiodły ich istnienia.

Rhine poświęcił dziewięć lat badaniom zjawiska psychokinezy, do czego skłoniło go spotkanie z entuzjastą gry w kości. Człowiek ten opowiadał, że są gracze umiejący narzucić swoją wolę kostce do gry. W dziedzinie psychokinezy również udało się uzyskać statystycznie znaczące rezultaty.

Nie będziemy tu szczegółowo relacjonować całości zachodnich badań zjawisk parapsychologicznych, których dorobek jest niemały. Oto kilka przykładów: H.E. Puthoff i Russell Targ badają w Stanford Research Institute (SRI) w Kalifornii m.in. jasnowidztwo (wiedzę na odległość). Ich zdaniem zjawiska te istnieją naprawdę. Dr Montagu Ullmann, do którego potem dołączył dr Stanley Krippner, zajął się

badaniami postrzegania pozazmysłowego w snach, uzyskując wyniki przekraczające statystyczną przeciętną.

Dr Helmut Schmidt, amerykański fizyk niemieckiego pochodzenia, był pierwszym uczonym, który zastosował programy komputerowe do systematycznego badania zjawisk paranormalnych.

W koncepcji tzw. maszyn Schmidta wykorzystano procesy przypadkowe, absolutnie niemożliwe do zafałszowania (związane z rozpadem promieniotwórczego izotopu strontu 90). Rejestracja wyników badań następuje automatycznie. Pomyłki są wykluczone, a rezultaty zgodne z wyżej przedstawionymi.

Na tym zakończymy omawianie tego tematu. Nowoczesne badania zjawisk parapsychologicznych zaczęły się dawniej, niż można by się spodziewać, prawdopodobnie w roku 1848, kiedy usiłowano metodami naukowymi zbadać zagadkowe stuki w domu amerykańskiego farmera Foxa w Hydesville. Dziś wiedza na ten temat jest bogatsza, niż się powszechnie sądzi.

Jeśli dobrze poszukać, to nawet w przekazach starożytnych znajdziemy wzmianki o podobnych badaniach. Herodot (ok. 500 – 434 p.n.e.) opisuje ściśle kontrolowany eksperyment dotyczący jasnowidztwa, przeprowadzony na zlecenie króla Lidii, Krezusa.

Monarcha ten chciał się dowiedzieć, co naprawdę umieją niezliczeni wróżbici, naśladujący słynną wyrocznię delficką, którzy nagle zaczęli wyrastać jak grzyby po deszczu w Grecji i poza jej granicami. Oczywiście nie możemy dziś ocenić naukowej poprawności tego eksperymentu; fascynująca jest jednak świadomość przebytej drogi, od tych wczesnych prób aż po doświadczenia telepatyczne w zanurzonych okrętach podwodnych albo statku kosmicznym Apollo.

O ile Zachód nie kryje się specjalnie ze swoimi badaniami parapsychologicznymi, to kraje bloku wschodniego robią z nich tajemnicę. To jednak, co udało się tam podpatrzeć, jest fascynujące.

Rzut oka za żelazną kurtynę[1]

Rosjan i mieszkańców wschodniej Europy cechowało zawsze szczególne zrozumienie (rzec by niemal można: bezpośredni stosunek) wobec tzw. zdolności medialnych. Dziś są wprawdzie inaczej nazywane, ale istota sprawy nie uległa zmianie.

Czym dla świata zachodniego jest dr Rhine, tym dla wschodniego neuropsycholog dr L.L. Wasiliew, który już w latach dwudziestych poświęcił się badaniom zjawisk paranormalnych.

Leonid Wasiliew (1891 – 1966), uczeń sławnego W.M. Biechtieriewa, wstąpił wówczas do Instytutu Badań nad Mózgiem w Leningradzie (obecnie Instytut Biechtieriewa). W dzieciństwie Wasiliew doznał silnego przeżycia telepatycznego, kiedy wpadł do rzeki nie umiejąc pływać. Doświadczenie to do pewnego stopnia określiło całe jego dalsze życie, gdyż bez niego prawdopodobnie nie zaangażowałby się z takim poświęceniem w badania telepatii i pokrewnych zjawisk. Wasiliewowi zawdzięczamy zwłaszcza odkrycie, że w przesyłaniu myśli nie przeszkadzają także osłony z ołowiu, które obaliło teorię włoskiego neurologa F. Cazzamaliego, jakoby myśli były czymś w rodzaju fal radiowych. Teoria wyjaśniająca telepatię zjawiskiem falowym także i dziś nie cieszy się zbytnią popularnością, jednak głównym argumentem przeciwko niej nie jest już fakt, że myśli mogą przenikać klatkę Faradaya. Ostatnie odkrycia udowodniły, że taką samą zdolność mają pewne fale elektromagnetyczne.

[1] Autor pisał te słowa w 1988 r. (przyp. tłum.)

Choć widzimy tylko wierzchołek góry lodowej parapsychologii radzieckiej, to znaczenie przypisywane sile ducha w bloku wschodnim odzwierciedla już życiorys Wasiliewa, sztandarowego przedstawiciela tej dyscypliny.

W 1926 r. powołano do życia Eksperymentalną Komisję Hipnozy i Psychofizyki do badania postrzegania pozazmysłowego i pokrewnych zjawisk, przy aprobacie rosyjskich autorytetów naukowych. W 1928 r. Leonid Wasiliew odwiedził ośrodki parapsychologii w Niemczech i Francji. W 1932 r. radziecki Instytut Badań nad Mózgiem otrzymał zadanie doświadczalnego zbadania telepatii. Kierownikiem tych prac został Wasiliew.

Najbardziej interesujące są jego badania nad hipnozą na odległość. Wykazały one, że osoby wprowadzone w trans hipnotyczny można obudzić z odległości przeszło 1 500 kilometrów.

W książce *Ekspierimentalnyje issledowanija myslennogo wnuszenija* wydanej w 1962 r., na cztery lata przed śmiercią, Wasiliew informuje, że poważne badania telepatii sięgają w ZSRR roku 1930. Miał je zapoczątkować rozkaz politycznie wysoko postawionej osobistości. Istnieją dane świadczące o tym, że Stalin przypisywał sprawom postrzegania pozazmysłowego wielkie znaczenie strategiczne (jeszcze do tego wrócimy).

Do publikacji książek Wasiliewa w ZSRR doszło dopiero, gdy rozeszły się pogłoski, że marynarka USA planuje wykorzystanie telepatii do komunikacji z okrętami podwodnymi; było to w latach sześćdziesiątych. Do tego momentu trwające od trzydziestu lat prace badawcze utrzymywano w ścisłej tajemnicy, co w bloku wschodnim w dalszym ciągu praktykuje się skutecznie z wielkim powodzeniem.

W 1960 r. na kongresie naukowym Wasiliew powiedział: „Odkrycie energii umożliwiającej postrzeganie pozazmysłowe miałoby rangę porównywalną z wynalezieniem bomby atomowej". Rok później został dyrektorem wydzielonego Instytutu Parapsychologii na uniwersytecie w Leningradzie.

Choć nie możemy tu dokładnie prześledzić wielowątkowych, zakamuflowanych badań zjawisk parapsychologicz-

nych prowadzonych w bloku wschodnim na przestrzeni dziesiątek lat, a skrywanych za mieszczańską solidnością nazw instytutów naukowych, to i bez tego można uznać za pewne, że nie lekceważy się tam takich spraw, jak postrzeganie pozazmysłowe, psychokineza, jasnowidztwo, telepatia, sugestia itd.

Kiedy później przejdziemy do zaprezentowania ludzi, u których zdolności paranormalne przybierają często wprost niewiarygodne formy, ciągle będziemy napotykać przejawy wschodniej działalności w tej dziedzinie.

Jak podaje raport akademika Jurija Kobzariewa, przedłożony prezydium Naukowo-Technicznego Towarzystwa do spraw Komunikacji Radioelektronicznej im. A. C. Popowa w Moskwie, działalność tę prowadzą oficjalnie następujące placówki:

- Wyższa Szkoła Techniczna im. Baumanna w Moskwie (pracownia dr. Wagnera),
- Moskiewski Instytut Energetyki (pracownia dr. Sokołowa),
- Instytut Badań Psychologii Ogólnej i Pedagogicznej Radzieckiej Akademii Pedagogiki w Moskwie,
- Radziecka Akademia Nauk w Puszczino (Wydział Cybernetyki Instytutu Biofizyki),
- Państwowy Uniwersytet w Leningradzie (pracownia aurametrii prof. Pawła Gulajewa),
- Politechnika w Leningradzie (Wydział Cybernetyki),
- Jednostka naukowo-przemysłowa „Kwantum" w Krasnodarze,
- Państwowy Uniwersytet w Tbilisi,
- Państwowy Uniwersytet w Ałma Acie (pracownia dr. Wiktora Injuszyna),
- Ukraiński Instytut Cybernetyki w Kijowie.

Do tej listy można jeszcze dodać Instytut Problemów Radiokomunikacji, Instytut Problemów Kontroli, Instytut Genetyki Molekularnej oraz Instytut Radiotechniki i Radiokomunikacji w Moskwie (wszystkie należą do Radzieckiej Akademii Nauk), Wydział Cybernetyki Moskiewskiego Instytutu Fizyki dla Inżynierów, Instytut Badawczy Neurologii

i Psychiatrii w Charkowie, jak również przeszło tuzin wydziałów bioelektroniki w najróżniejszych miastach rosyjskich. Informację tę podała pewna przedstawicielka radzieckiego świata nauki, komentując stan badań nad zjawiskami paranormalnymi w ZSRR.

Jeśli wziąć pod uwagę, jak powściągliwie ogłaszano w bloku wschodnim takie informacje, to widać, jak szeroki zakres ma ta działalność. Powyższe imponujące wyliczenie jest jednym z dowodów, że milczenie, jakie po śmierci Wasiliewa w 1966 r. okryło radzieckie badania zjawisk parapsychologicznych, w żadnym razie nie oznacza zastoju. Czasami nieoczekiwanie dochodzi do przerwania milczenia. Rozmowy przeprowadzone przez parapsychologa(!) dr. Carla Sargenta z uniwersytetu Cambridge i angielskiego mistrza szachowego Billa Harstona z takimi rosyjskimi mistrzami, jak Wiktor Korcznoj, Borys Spasski i inni pozwalają wyciągnąć wniosek, że rosyjskich graczy szkoli się rutynowo z wykorzystaniem hipnozy i postrzegania pozazmysłowego.

W świetle wszystkich przytoczonych faktów możemy przyjąć za pewnik, że zjawisk paranormalnych lekceważyć nie wolno.

Człowiek ma niewątpliwie siły pozwalające mu panować nad czasem i przestrzenią lub też może z takich sił korzystać, co na jedno wychodzi. Nauka usiłuje zgłębić istotę tych sił, a wojskowi marzą o ich strategicznym zastosowaniu. Jest tak zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie (na Wschodzie nadaje się tym sprawom mniejszy rozgłos, ale za to pracuje się nad nimi intensywniej).

Czy mówienie w tym kontekście o sile nie jest czasem pobożnym życzeniem? Na pewno nie byłoby źle, gdyby móc na przykład siłą woli zatrzymać kulkę ruletki tam, gdzie chcemy, a i telepatyczna „łączność radiowa" między okrętami podwodnymi byłaby nie do pogardzenia. Jednak czy w takich i podobnych zjawiskach istotnie przejawia się siła?

W pierwszej chwili nasuwa się odpowiedź przecząca. Z pewnością jeden wybuch bomby wodorowej powoduje potężniejsze skutki niż nawet tysiąc Uri Gellerów razem wziętych. Technologia jest w ogóle czymś bardziej uchwytnym niż parapsychologia, jej zdobycze można stosować w sposób

celowy i pewny, a od czasu wynalezienia koła to ona właśnie kierowała biegiem historii.

Wszystko to prawda. Siłami paranormalnymi niełatwo jest kierować, a rezultaty ich działania można uzyskać także innymi metodami (np. łatwiej zginać łyżki po prostu siłą fizyczną). Siły paranormalne niewiele dają praktycznych korzyści mimo całego wysiłku wkładanego w ich zbadanie.

Jest to jednak krótkowzroczny sposób patrzenia. Po pierwsze, korzyści płynące z jakiegoś zjawiska można ocenić tylko wtedy, gdy znane są tkwiące w nim możliwości, a nauka jest jeszcze bardzo daleka od tej wiedzy. Po drugie, wprawdzie rakiety międzykontynentalne są o wiele potężniejsze od osób telekinetycznie powodujących pękanie szyb albo hipnotyzerów umiejących wprawić innych w trans na odległość tysięcy kilometrów; inaczej jednak będzie wyglądało porównanie, jeśli wyobrazimy sobie telekinetyczne machinacje we własnych albo obcych systemach obronnych lub zdalne wywieranie wpływu na czołowych polityków.

Stop, trochę nas poniosła fantazja. Niech nam na razie wystarczy nadzieja, że wojna parapsychologiczna będzie nam oszczędzona, tak samo jak i konwencjonalna.

W gruncie rzeczy wcale nam nie chodzi o ten problem.

Chcieliśmy jedynie ponad wszelką wątpliwość stwierdzić, że istnieją ludzie zdolni do rzeczy niewiarygodnych. Dlaczego są do nich zdolni, tego dokładnie nie wiemy, ale to są fakty. Badano ich, mierzono, ważono, podłączano do urządzeń, szpikowano elektrodami i poddawano najbardziej wyrafinowanym eksperymentom. Ich zdolności potwierdzają wiarygodni świadkowie, a potężne państwa i organizacje starają się wykorzystać te zdolności do własnych celów. Warto więc przejść teraz do przeglądu najbardziej zdumiewających przypadków.

Usłyszymy przy tej okazji o wydarzeniach bardziej fantastycznych od wielu teorii i eksperymentów. Pozwalają one przeczuwać, że istnieją siły spoza sfery potęg technologii. Gdyż nikt nie może określić granic siły ducha...

Ludzie tacy jak my?

Amerykański parapsycholog Rex Stanford sądzi, że każdy z nas ma siły paranormalne. Na korzyść takiej tezy wydają się przemawiać wspomniane już statystyczne różnice w liczbie pasażerów w pociągach ulegających katastrofom. Stanford nie poprzestaje na tym stwierdzeniu. Stworzył nawet pojęcie nieświadomych działań paranormalnych — PMIR (*psimediated instrumental response*).

Zdaniem Stanforda bardzo wielu ludzi mimo woli posługuje się na co dzień zdolnościami paranormalnymi dla zaspokojenia powszednich potrzeb, nie zdając sobie z tego sprawy.

Na przykład serie doświadczeń przeprowadzonych na Duke University wykazały istotne wahania liczby trafnych odpowiedzi, kiedy między kartami Zenera umieszczono zdjęcia pornograficzne(!) Trudno sobie wyobrazić większy pragmatyzm.

Inne badania dowiodły, że egzaminowani uzyskują lepsze wyniki, kiedy odpowiadają na takie pytania, na które już przygotowano odpowiedzi (trzymane w ukryciu).

Przytoczymy opis eksperymentu, który jeszcze wyraźniej pokazał, że wszyscy mamy zdolności paranormalne, ale tylko wtedy, kiedy o tym nie myślimy.

Czterdziestu mężczyzn poddało się badaniu przy pomocy maszyny Schmidta, aby ustalić współczynnik ich zdolności paranormalnych. Zadanie do wykonania celowo opracowano tak, by było nudne, a do tego miało trwać aż 45 minut (kolejna tortura). Jedyną możliwością uniknięcia udręki było wywarcie

psychokinetycznego wpływu na maszynę testującą; wtedy w nagrodę można było się uwolnić od nadzoru usypiających urządzeń, by w sąsiednim pokoju oglądać zdjęcia pornograficzne(!)

Dopóki badani starali się działać w sposób świadomy, nie udawało się uzyskać bardziej znaczących rezultatów, a obrazki erotyczne pozostawały nie wykorzystane. Dopiero kiedy prowadzący eksperyment potajemnie uruchomił następne urządzenie, sytuacja uległa zmianie. Podświadomość badanych uczepiła się tej nowej szansy, niezauważalnej dla świadomości, powodując powstanie pożądanych efektów, możliwych do uchwycenia statystycznego przez ukradkiem włączone urządzenie.

Skoro nieświadomie, jak się okazuje, dysponujemy tajemniczymi siłami paranormalnymi, to w takim razie dlaczego nie zawsze dostajemy to, czego chcemy? Najczęściej nawet bywa akurat odwrotnie.

Psychologowie mogą udzielić odpowiedzi na to pytanie; nie ma ona jednak nic wspólnego z parapsychologią, ale z powikłanymi ścieżkami ludzkiego ducha, który, częściej niż można sądzić, wybiera drogę samozniszczenia.

Ze zdolnościami parapsychologicznymi jest podobnie jak z innymi uzdolnieniami. Wielu je ma, nieraz wysoko rozwinięte. Jednak tylko nieliczni ludzie umieją z nich świadomie korzystać, gdy inni pozwalają im zaniknąć. W rzadkich przypadkach zdarzają się szczególne wzloty.

Tajna broń Stalina

Jako komunista żydowskiego pochodzenia Polak Wolf Messing miał wszelkie powody, by starać się znaleźć poza coraz to szerszym zasięgiem władzy hitlerowskich Niemiec. Gdyby był potrzebny jeszcze inny motyw ucieczki, to mógłby nim być fakt, że przepowiednie klęski Niemiec w starciu z ZSRR ściągnęły na Messinga uwagę (negatywnie rozumianą) zdobywców Polski. Wolf Grigoriewicz Messing cieszył się sławą jasnowidza o zdolnościach telepatycznych i w swojej ojczyźnie był bardzo popularny. Jego przepowiednie klęski Niemiec na wschodzie obiegły polskie gazety.

Za ujęcie Messinga wyznaczono nagrodę 200 000 marek. Mimo że mógł liczyć na wsparcie ziomków, gestapo zdołało wytropić jego kryjówkę i dokonać aresztowania. Miał to być dla Messinga przystanek końcowy.

Jemu jednak udało się zbiec, co już samo w sobie było niewiarygodne. Zdołał narzucić swoją wolę pilnującym go strażnikom, a następnie przedostać się do Rosji.

Tam również został aresztowany. Pułkownik KGB poinformował go, że jasnowidze są niepożądani, ponieważ nie istnieją. Messing wyraził gotowość udowodnienia czegoś przeciwnego. Jego sława była tak wielka, że w jego sprawie interweniował sam Józef Stalin, choć radziecki dyktator w tych dniach miał inne kłopoty.

Rozkazał więc, by sprawdzono medialne zdolności Wolfa Grigoriewicza Messinga.

Wtedy Polak dokonał „napadu na bank". On sam tak to opisuje: „Podszedłem do kasjera i podałem mu czystą kartkę papieru wyrwaną ze szkolnego zeszytu".

Wtedy urzędnik wypłacił Messingowi 100 000 rubli.

Po uzyskaniu od dwóch świadków potwierdzenia tego, co zaszło, Messing wrócił do kasjera i oddał mu 100 000 rubli, po czym nieszczęsny urzędnik dostał ataku serca.

W czasie innej próby Messing zdołał zbiec z pomieszczenia strzeżonego przez trzy różne grupy agentów bezpieczeństwa, podobnie jak wcześniej z rąk gestapo.

Stalin został ostatecznie przekonany, kiedy Messing bez przeszkód przedostał się do pilnie strzeżonej daczy radzieckiego despoty, zasugerowawszy strażom, że jest Ławrentijem Berią, szefem organów bezpieczeństwa państwa, mimo że zewnętrznie wcale do Berii nie był podobny.

Udowodniwszy w ten sposób swoje możliwości, polski jasnowidz mógł wykonywać swoją „pracę umysłową" także w ZSRR. Pracował dla Stalina (według poufnych raportów) jako jego „tajna broń".

Kiedy Messing umarł w 1966 r. w wieku 75 lat, pochowano go z honorami.

Następcą Messinga, którego paranormalne zdolności zrobiły duże wrażenie na Einsteinie i Gandhim, w dzisiejszej Rosji jest Teofik Dadaszew. Dla nauki zagadką jest zwłaszcza zdolność Dadaszewa odczytywania myśli osób nie mówiących po rosyjsku. Nie wiemy, czy on także, jak jego wielki poprzednik, spełnia dyskretne zadania.

No cóż, pomyśli może nieco zawiedziony czytelnik, telepatia i sugestia nie są aż tak bardzo fantastycznymi zjawiskami, jeśli nawet rzadko mogą występować w takim natężeniu w czystej postaci, jak w powyższych przykładach. Właściwie można było oczekiwać relacji o takich talentach, w które naprawdę trudno uwierzyć. O ile takie talenty rzeczywiście istnieją.

Otóż istnieją.

Panowanie nad prawami natury?

Gdyby w czasach starożytnych ktoś umiał latać, był odporny na ogień, poruszał przedmioty siłą woli albo umiał je z niczego wyczarować czy też był w stanie wydłużyć własne ciało, czczono by go jako czarownika lub boga.

W późniejszych wiekach zainteresowałaby się nim Inkwizycja i gdyby istotnie był ognioodporny, znalazłby się inny sposób, by go wyprawić na tamten świat.

U schyłku XX wieku ktoś taki byłby wymarzonym obiektem dla nauki, która umie obserwować atomy, zapisywać echo prawybuchu, zaglądać w czarne dziury czy odczytywać kod genetyczny człowieka. Nauka skierowałaby na niego cały swój arsenał.

Niestety, w naszych czasach nie ma takiego człowieka. Ale był w ubiegłym wieku.

Nazywał się Daniel Dunglas Home i żył w latach 1833 – 1886. Świat naukowy epoki wiktoriańskiej nie pomijał żadnej sposobności przyłapania go na oszustwie, co jednak ani razu się nie udało.

Nie możemy wprawdzie zaręczyć, że fantastyczne możliwości Home'a potwierdziłyby swą autentyczność również w skomputeryzowanym, wypełnionym urządzeniami pomiarowymi laboratorium z roku 1988. Nie można tego jednak również z góry wykluczyć.

Pochodzące z XIX wieku informacje na temat Home'a, różne doniesienia, opowiadania naocznych świadków i wyniki badań są doprawdy niewiarygodne.

Z pozoru Home wyróżniał się na tle piętnastu tysięcy innych mediów, czynnych w USA u szczytu fali okultyzmu

i spirytyzmu w połowie ubiegłego wieku, jedynie ogromną różnorodnością wywoływanych przez siebie zjawisk.

Inaczej niż jego koledzy i koleżanki Home występował głównie w jasno oświetlonych pomieszczeniach i chętnie się poddawał naukowej kontroli, a nawet jej żądał. Jak wspomnieliśmy, nie zdołano mu dowieść oszustwa.

Jałowe byłyby rozważania, czy Home czasami uciekał się do sztuczek, zmyliwszy nawet obecnych ekspertów (co nieraz się udaje sztukmistrzom z *variétés*). Jednak w wielu przypadkach oszustwo wykluczono z całą pewnością (np. w czasie niektórych pokazów Home'a krępowano go albo przywiązywano do krzesła).

W trakcie długoletniej kariery Home podróżował po Ameryce i Europie i bywał na wielu królewskich dworach. Wszędzie prezentował swe wielkie zdolności paranormalne, zawsze w obecności wielu świadków, nieraz sceptycznie do niego nastawionych. Wielokrotnie działo się to przy najściślejszej naukowej obserwacji. Odnotowano następujące zjawiska:

Psychokineza. W czasie swoich seansów Home wprawiał w ruch wszelkiego rodzaju przedmioty, produkował stuki i inne odgłosy (które nieraz wydobywały się z solidnych przedmiotów, jak np. stołu, w którym austriacki książę Metternich daremnie usiłował odkryć jakąś aparaturę). Home, który był miłośnikiem muzyki, a ponadto miał niespotykane w jego fachu poczucie humoru, lubił poruszać wiszącym w powietrzu akordeonem w takt walca, grając melodię *Home, Sweet Home*.

Fenomen Home'a wzbudził tak wielkie zainteresowanie wybitnego fizyka, Williama Crookesa, że ten wymyślił wiele testów, którym Home chętnie się poddał. Crookes kupił akordeon i zamknął go w klatce z drutu. Mimo to Home zdołał go unieść i grać na nim na odległość.

Crookes stwierdził, że Home potrafi wywierać wpływ na ciężar różnych przedmiotów. Te eksperymenty także odbywały się w ściśle kontrolowanych warunkach, a ich wyniki rejestrowały urządzenia pomiarowe.

Ze słów Crookesa wynika, że Home unosił nieraz siłą woli takie przedmioty, których jedna osoba nie mogła nawet ruszyć z miejsca. Pokazy odbywały się przy wielu świadkach; raz było

obecnych przeszło sto osób. Słynny fizyk informuje między innymi o lewitacji żony Home'a razem z fotelem.

Lewitacja to inna strona tajemniczych zdolności D.D. Home'a. Umiał on nie tylko unosić w powietrze przedmioty i osoby, ale i sam mógł odrywać się od ziemi. Zdarzało się nawet, że widzowie obecni na pokazie wieszali się u nóg lewitującego. 13 grudnia 1868 r. Home w obecności trzech świadków wyfrunął przez jedno z okien na trzecim piętrze Ashley House w Belgravia w Londynie, aby wrócić innym oknem.

Nie mniej zagadkowa była ognioodporność Home'a. 30 listopada 1868 r. zademonstrował on tę właściwość, rzadką nawet u mediów, w czasie najbardziej zdumiewającego pokazu. Jeden ze świadków, lord Adare, opisuje, jak Home gołymi rękoma najpierw rozpalił ogień w kominku, aby następnie przyłożyć twarz do rozżarzonych węgli. Po takim „orzeźwieniu" na pewien czas włożył palec w płomień świecy. Następnie wziął w rękę żarzący się kawałek węgla, dmuchając rozgrzał go do białości, po czym podał obecnym. Niejaki pan Jencken oparzył się w palec, a dwóch innych świadków już w odległości około dziesięciu centymetrów nie mogło znieść żaru.

Kiedy jednak Home kazał trzymać rozżarzony do białości węgiel lordowi Adare, ten był w stanie go utrzymać przez prawie pół minuty.

Ognioodporność Home'a stanowiła szczególne wyzwanie dla ówczesnej nauki. Jej tajemnicę starał się zgłębić zwłaszcza William Crookes, jednak bez szczególnych sukcesów. Ręce i twarz Home'a, który często toczył po twarzy tam i z powrotem żarzące się przedmioty, pozostawały po takich torturach nietknięte. Czasami Home trzymał rozżarzone węgle przez chusteczki, podawane mu przez widzów. Chusteczki te nigdy nie zostały nawet osmalone, a chemiczna analiza niczego niezwykłego w nich nie wykryła. Obaliło to przypuszczenia, że Home stosował do zabezpieczenia się przed ogniem specjalne mikstury chemiczne. Zresztą nawet gdyby była to prawda, to nadal brak byłoby wyjaśnienia, dlaczego lord Adare nie odniósł oparzeń w czasie tamtego pokazu.

W naszych czasach z podobnym problemem mają do czynienia przeciwnicy Uri Gellera, zarzucający mu potajemne

stosowanie kwasów zmiękczających widelce, miski i inne przedmioty, aby się wygięły. Nawet gdyby obrotny Izraelczyk był w stanie dokonać takiej sztuczki mimo śledzących go kamer i oczu ekspertów, to bez odpowiedzi pozostałoby kłopotliwe pytanie, w jaki sposób Geller doprowadza kwas do tych wszystkich gospodarstw domowych, gdzie po jego występach również zgina się wiele przedmiotów.

Niestety, w ubiegłym wieku pomiary naukowe były możliwe tylko w bardzo skromnym zakresie. Nie istniała również technika zapisu ruchomego obrazu, więc tylko z przekazów z drugiej ręki znamy szczególnie niezwykłą zdolność Home'a do wydłużania ciała. Mógł on wydłużyć swoje ciało nie mniej niż 15 centymetrów. Prosił przy tym widzów, by go uważnie obserwowali; niektórzy nawet trzymali go za ramiona, stopy, nogi i tułów. Wcale mu to jednak nie przeszkadzało się wydłużać. Jeden ze świadków opowiadał, że wyraźnie mógł wyczuć, jak żebra Home'a wyślizgują się spod jego rąk.

Pozwólmy teraz, by Daniel Dunglas Home spoczywał w pokoju. Dokładny opis jego niezliczonych występów mógłby wypełnić resztę tej książki.

Należy żałować, że temu niezwykłemu człowiekowi nie wypadło żyć w naszym wieku, w którym mógłby przejść do historii nie jako najwybitniejsze medium, ale jako parapsychologiczny fenomen tysiąclecia. Jeśli nawet nie możemy już zbadać jego zdolności metodami spektroskopowymi, przedstawić ich na wykresach i zarejestrować wszelkimi możliwymi sposobami, jeśli nie możemy zmierzyć jego fal mózgowych, oporności elektrycznej jego skóry ani przeprowadzić symulacji osoby samego Home'a z użyciem modeli komputerowych, to jednak jego niewiarygodnych zdolności nie da się racjonalnie wytłumaczyć także z dzisiejszego punktu widzenia.

Nie spodziewając się żadnej zapłaty, z niezawodnością urządzenia technicznego Home prezentował w jasnym świetle swoje imponująco wielostronne zdolności paranormalne (on sam powiedział: „Gdzie są ciemności, tam nietrudno o oszustwo").

Zapewne niewiele mniejszą sławą cieszyła się współczesna Home'owi Eusapia Palladino, poddawana wielu próbom

przez brytyjskiego fizyka Olivera Lodge'a i francuskiego profesora fizjologii Richeta. Jednoznacznie stwierdzono jej zdolność powodowania stuków, unoszenia stołów w powietrze (przy czym waga Eusapii wzrastała o wagę stołu), wprawiania przedmiotów w ruch, materializowania świateł, rąk itp.

Nie zawsze jednak panowała nad swoimi zdolnościami, inaczej niż Home. W takich razach Eusapia, prosta kobieta z Neapolu, miała zwyczaj uciekać się do sztuczek, aby nie rozczarować dobroczyńców. Te wprost wzruszające oszukańcze manewry nie przekreślają jednak jej autentycznych zdolności.

Oczywiście, także w XX wieku znane są zdolności paranormalne. Mimo żelaznej kurtyny do zachodnich środków masowego przekazu dotarły wieści o możliwościach Rosjanki Niny Kułaginy. Istnieją zdjęcia filmowe pokazujące, jak bez dotykania wprawia w ruch kule, papierosy i mnóstwo innych przedmiotów, powoduje wychylenie igły kompasu, oddziela zdalnie białko od żółtka, naciska belkę wagi itp.

W czasie tych pokazów poddawano ją pomiarom i wielu testom, była także ważona. Naukowiec radziecki dr G. Siergiejew stwierdził, że pole elektromagnetyczne Kułaginy w spoczynku jest dziesięć razy silniejsze niż pole przeciętnego człowieka. Kiedy uaktywniała swoje zdolności, jego natężenie wzrastało jeszcze bardziej. Potencjał elektryczny wizualnej aury tylnej części mózgu Kułaginy był pięćdziesiąt razy większy niż w części przedniej. U zwykłych ludzi występuje jedynie trzy- lub czterokrotna różnica. W czasie psychokinetycznych sesji tętno Kułaginy wzrastało do 240 uderzeń na minutę (norma wynosi jedną czwartą tej wartości), a pole magnetyczne jej ciała powiększało się w kierunku poruszanych przedmiotów (niezmiernie rzadkie zjawisko).

Znamienne, w jaki sposób u tej moskiewskiej gospodyni domowej odkryto zdolności paranormalne. Ona sama od lat stosowała je w praktyce, nie zdając sobie z tego sprawy. W 1964 r. po przebytym załamaniu nerwowym Kułagina znalazła się na kilka dni w szpitalu. W czasie rekonwalescencji dużo szyła. Lekarze zauważyli przy tej okazji, że pacjentka nie patrząc, z nieomylną pewnością zawsze umiała wyjąć z wielkiego kosza nici do szycia dokładnie w takim kolorze, jaki był

jej potrzebny. Wkrótce się okazało, że ta prosta kobieta już od dawna mogła widzieć przedmioty w cudzych kieszeniach albo w zamkniętych miejscach. Umiała także od razu rozpoznawać choroby, gdy tylko stanęła przed chorą osobą.

Kiedy zajęli się nią naukowcy, wyszły na jaw dalsze zdolności: Nina Kułagina umiała rozpoznawać kolory przez dotknięcie opuszkami palców i leczyć nałożeniem rąk (rany goiły się łatwiej, kiedy ich dotykała albo tylko przesuwała po nich rękoma; pewien częściowo sparaliżowany młody człowiek odzyskał władzę w nogach po kilku zabiegach Kułaginy).

Miała również pewne zdolności telepatyczne.

Podobnie jak Amerykanin Ted Serios powodowała powstawanie obrazów w materiale światłoczułym, widocznych po wywołaniu. Nie przeszkadzały w tym wcale osłony z ołowiu, twardej gumy i innych materiałów. Szczególną specjalnością Kułaginy pozostała jednak telekineza (czy też psychokineza). Niewiele osób uzdolnionych w tym kierunku mogłoby się z nią mierzyć.

Mogła na przykład na odległość zatrzymać pracę serca żaby, zanurzonego w roztworze soli fizjologicznej i podłączonego do elektrod; normalnie w tych warunkach serce żaby powinno jeszcze pracować około godziny. Nie można było przywrócić jego funkcji także elektrostymulacją, choć normalnie się to udaje.

Dokładne badania wykazały, że serce żaby było jakby rozszarpane mikroskopijnymi, ale bogatymi w energię promieniami światła.

Dr Siergiejew, naukowiec towarzyszący Kułaginie, informuje, że Rosjanka umiała wywoływać lekkie oparzenia na skórze innych ludzi. On sam także poddał się takiemu zabiegowi.

Inną tajemniczą zdolnością Kułaginy było wprawianie białych myszek w rodzaj letargu przez głaskanie ich ręką.

Przypadek Niny Kułaginy ukazuje wyraźniej niż inne, że siła ducha jest równie złożona jak zjawiska, w których się przejawia. Oddziaływanie siłą woli na materię najwyraźniej nie ogranicza się do zginania widelców czy kluczy, przesuwania stolików itp.

Nikt nie potrafi bliżej określić tych zjawisk. Mają one swoje miejsce jedynie w obrazie świata wyznawanym przez okultystów; nie będziemy go tu jednak rozpatrywać.

Różne zdolności mają punkty styczne, obserwowane zjawiska wydają się należeć raz do jednej kategorii, to znowu do innej. Jasnowidztwo mogłoby czasem być również telepatią, a psychokineza w rzeczywistości hipnozą albo *vice versa*. Wydaje się, że — podobnie jak w mikrokosmosie — obowiązuje tu swego rodzaju zasada nieostrości.

Jeśli np. Nina Kułagina powoduje u kogoś oparzenia, to jak określić takie działanie? Czy jest to sugestia, zmuszająca osobę jej poddaną do psychosomatycznego samookaleczenia? (Przychodzi tu na myśl przypadek człowieka, który zamarzł w nieczynnym wagonie-chłodni tylko z tego powodu, że najwidoczniej był przekonany, że musi tam zamarznąć). A może to jej telekinetyczne zdolności powodują przyspieszenie ruchu cząsteczek i w rezultacie miejscowe podwyższenie temperatury? Nie wiadomo.

Dobry przykład na to, jak trudne do określenia są zjawiska z tego zakresu, stanowi legendarny Edgar Cayce, któremu nie będziemy dłużej odmawiać należnego mu miejsca wśród najbardziej zdumiewających talentów parapsychologii.

Cayce, który przyszedł na świat w 1877 r. na farmie w Kentucky w USA, jest sam w sobie odrębną kategorią. W głębokim transie wypowiedział wiele proroctw, przepowiadając między innymi odkrycie zwojów w Qumran nad Morzem Martwym, Czarny Piątek 1929 r., huragany, trzęsienia ziemi i powodzie, które istotnie nawiedziły w 1926 r. Japonię, Kalifornię i Filipiny. W transie umiał także udzielać porad lekarskich, których trafność, mimo jego braku wiedzy medycznej, mogła zawstydzić lekarzy. Choć Cayce, syn farmera, tylko do szesnastego roku życia uczęszczał do szkoły, to w transie diagnozował choroby i ułomności z taką precyzją, o jakiej nawet dzisiejsi lekarze mogą jedynie marzyć.

Nie koniec na tym; Cayce zalecał stosowanie takich terapii i lekarstw, które ówczesnej medycynie wydawały się dziwne albo w ogóle nie były jej znane. Przeciwnie jednak niż normalna terapia zawsze dawały pożądany skutek, jeśli tylko przestrzegano zaleceń Cayce'a. Tysiące pacjentów mogło

przysyłać jedynie listy z prośbą o pomoc, co jednak wcale nie uniemożliwiało skutecznego leczenia.

Cayce, który zmarł w 1945 r., leczył przeszło trzydzieści tysięcy pacjentów, często na odległość setek kilometrów.

Prorok ten był dla nauki, zwłaszcza medycyny, tak wielkim wyzwaniem, że do zbadania jego przypadku powołano wiele komisji, które bezlitośnie analizowały wszelkie dane. Nigdy jednak nie udało mu się dowieść żadnego błędu.

Edgar Cayce był zagadką za życia i pozostał nią do tej pory. Można niemal odnieść wrażenie, że ten skromny i niewykształcony człowiek uzyskiwał w transie jakimś niepojętym sposobem dostęp do wiedzy kosmicznej.

W innym rozdziale tej książki przekonamy się, że koncepcja wiedzy kosmicznej, czy jakkolwiek ją nazwać, nie musi koniecznie należeć wyłącznie do sfery religii lub filozofii.

Tak wszechstronne talenty, jak Nina Kulagina, D.D. Home czy Edgar Cayce wydają się świadczyć, że istnieje cała gama zdolności paranormalnych. Niektórzy ludzie po prostu czerpią z niej więcej niż inni. Nie znajdzie się jednak dwóch osób, których talenty tworzyłyby dokładnie takie samo połączenie.

W chemii znanym pojęciem jest synergizm, czyli zmiana działania różnych substancji w połączeniu z innymi, wskutek czego mieszanina zawierająca te same składniki może wykazywać różne działanie w zależności od proporcji składników.

Można przypuszczać, że podobny synergizm dotyczy także współwystępowania różnych zdolności paranormalnych.

Nie oznacza to wcale, że ludzie, u których w pełni jest ukształtowana tylko jedna jedyna zdolność paranormalna, są kalekami parapsychologicznymi. Niewątpliwie również i oni byliby dawniej czczeni jako czarownicy lub magowie (zapewne bywało tak częściej, niż jest gotowa przyznać historiografia).

Wielu takich ludzi jest dziś (z ich zdolnościami!) zintegrowanych ze społeczeństwem XX wieku. Dobrym przykładem są Holendrzy: Piet van der Hurk, który sam siebie nazywa Peter Hurkos, i Gerard Croiset, wspomniany wyżej jako ten, który umiał opowiadać wspomnienia prehistorycznego odłamka kości.

Obaj oddali swe talenty w służbę instytucji publicznych, które chętnie z nich korzystają (zwłaszcza policja).

W 1958 r. władze miasta Miami na Florydzie prosiły Petera Hurkosa o pomoc w wyjaśnieniu sprawy morderstwa na taksówkarzu. Hurkos wsiadł do samochodu ofiary, po czym szczegółowo opisał sprawcę czynu, nie pomijając jego nazwiska, które według niego miało brzmieć Smitty. Dodał ponadto, że ten sam morderca zabił w Miami jeszcze innego człowieka i opisał okoliczności tego czynu. Dla policji stanowiło to zaskoczenie. Istotnie, jakiś czas temu odnotowano taką zbrodnię, której jednak nie kojarzono ze sprawą taksówkarza.

Po pewnym czasie aresztowano marynarza nazwiskiem Charles Smith, który się przyznał zarówno do morderstwa na taksówkarzu, jak i jeszcze jednego, popełnionego dokładnie w takich okolicznościach, jakie przedstawił Peter Hurkos.

To tylko przykład ilustrujący zdumiewającą karierę tego Holendra, który uczestniczy w poszukiwaniach nie tylko sprawców zbrodni, ale także zaginionych osób. Jeśli nawet zdolności Hurkosa nie można ściśle zdefiniować, to jednak nikomu by nie przyszło do głowy określać go mianem szarlatana.

Szczególnie interesujący jest fakt, że, jak się zdaje, talenty Hurkosa wydobyły dopiero czynniki zewnętrzne. To go różni od wszystkich osób od urodzenia uważanych za dziwne lub niesamowite albo (jak rosyjska gospodyni domowa Kułagina) stosujących nieświadomie zdolności parapsychologiczne na co dzień. Kiedy Peter Hurkos trafił do szpitala po upadku z drabiny, wkrótce odkrył ku swemu wielkiemu zdumieniu, że potrafi czytać w myślach innych ludzi, a niedługo potem, że ma zdolność przepowiadania przyszłości.

Co równie ciekawe, odtąd Hurkos nie był zdolny do żadnej zwykłej pracy. Jego parapsychologiczne natchnienia były tak intensywne, że nie mógł się skoncentrować.

Naturalnie, niemało ludzi straciło już zdolność do działania wskutek pęknięcia czaszki, jakiego doznał wtedy Hurkos. Jednak uzasadnione jest przypuszczenie, że może my wszyscy stale tłumimy w sobie zdolności paranormalne. Być może u Hurkosa ten codzienny mechanizm przestał działać, skoro siła jego zdolności tak bardzo wzrosła.

Ziomek Hurkosa, Gerard Croiset z Utrechtu, nie musiał przeżywać takiego konfliktu. Urodzony w 1909 r. Croiset od najmłodszych lat wiedział o sprawach, które się działy daleko. Mamy na ten temat mnóstwo pewnych informacji.

Podobnie jak Hurkos, Croiset zyskał światową sławę dzięki swej pracy detektywistycznej, stosując w niej zdolności paranormalne. Często mógł podać szczegóły z większą precyzją niż później sprawca na przesłuchaniu. Spośród wszystkich osób mających podobny talent Gerard Croiset ma zapewne najczulsze anteny do wykrywania śladów, jakie najwidoczniej pozostawiają w przestrzeni i czasie ludzie, rzeczy i wydarzenia.

Zadowolimy się tym stwierdzeniem, znamiennym dla całej tej problematyki. Nie mamy zamiaru przeprowadzać tu naukowej analizy zjawisk parapsychologicznych (na czym wielu innych połamało już zęby) ani przedstawiać ich kompletnej dokumentacji. Chcemy poznać odpowiedź na pytanie: Czy istnieje siła ducha? Można teraz z całym przekonaniem odpowiedzieć: tak.

Nie musimy więc już rozważać kwestii, czy Anglik Colin Evans w 1938 r. w Convey Hall w Londynie rzeczywiście uniósł się w powietrze, czy tak popularne ostatnimi czasy chodzenie po ogniu to tylko widowisko, czy Uri Geller zgina łyżki, czy nie, czy korzystanie przez firmy przemysłowe z usług radiestetów z różdżką i wahadełkiem świadczy o duchu przedsiębiorczości czy zabobonie itd., itp.

Nasze wystąpienie w obronie rzeczywistości fantastycznej dobiegło końca, przynajmniej co się tyczy omawianej tu dziedziny. Wiele spraw naturalnie musieliśmy pozostawić otwartych.

Dlaczego na przykład w eksperymentach prowadzonych w ściśle określonych warunkach niektórzy badacze nieprzerwanie rejestrują zjawiska paranormalne (na pierwszym miejscu należy tu wymienić Charlesa Honortona i Williama Brauda), podczas gdy inni mają odsetek udanych prób bliski zeru?

Prawdopodobnie na jakiejś płaszczyźnie zjawisk paranormalnych występują wzajemne oddziaływania między eksperymentatorem i osobą poddaną doświadczeniu; niektórzy „łatwiej mogą się dogadać". Być może badacze tych zjawisk

sami miewają zdolności paranormalne i wzbudzają je u swoich podopiecznych.

A może sprawy mają się całkiem odmiennie. Nie wiadomo.

Wszechświat jest dziwnym miejscem, a widać to tym wyraźniej, im więcej uwagi mu poświęcamy. Człowiek, końcowy produkt w jakiś sposób jednak ukierunkowanego rozwoju, który musiał się zacząć już w momencie zerowym prawybuchu, jest mikroskopijnym odbiciem kosmosu i wielu jego cudów.

Niezależnie od tego, czy w ciągłym stresie gonimy za chlebem powszednim, szalejemy za kierownicą jeszcze nie spłaconego krążownika szos, tępo gapimy się w telewizor, tracimy rozum w chwili namiętności, czy na wiele innych jeszcze sposobów zapominamy, że jesteśmy, wprawdzie nie uwieńczeniem, ale na pewno końcowym produktem dzieła stworzenia (cokolwiek rozumieć przez stworzenie), to jednak fakt, że nim jesteśmy, pozostaje nie do obalenia. W naszych mózgach dokonują się tajemnicze sprawy. Nie tylko filozofowie spierają się o to, czy ciało wydało ducha, czy było odwrotnie. W każdym razie obie sfery wywierają na siebie wzajemny wpływ i nikt nie potrafi naprawdę objaśnić nawet najprostszych procesów psychicznych, somatycznych czy psychosomatycznych.

Przekonanie, że istnieją w nas i wokół nas nie zbadane siły, jest ze wszech miar uzasadnione. W naszym powierzchownym opracowaniu na początek wydobyliśmy siłę ducha z zaścianka seansów spirytystycznych i jarmarcznych atrakcji. Ona istnieje i jest przedmiotem badań naukowych. Wprawdzie nikt jej nie pojmuje, jednak nie inaczej jest choćby z fizyką kwantową.

Ta wyrywkowa inwentaryzacja, bez roszczeń do kompletności, pozwala nam wyrobić sobie mgliste wyobrażenie o tym, co faktycznie jest możliwe, i co ewentualnie jeszcze mogłoby być możliwe...

Tak więc przygotowaliśmy się do wkroczenia w te regiony, gdzie działają jeszcze dziwniejsze moce, które w osobliwy sposób igrają z nami, ludźmi, mimo całej naszej siły ducha.

Białe plamy na mapie nauki

Więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie...

Zdanie: „Tam jest coś nieznanego", ma uniwersalny charakter.

W filmach grozy zazwyczaj pada ono z ust aktorów, których oczy są szeroko otwarte z przerażenia, na chwilę przed rozpętaniem się jakiejś okropności. Dla astrofizyków (i autorów powieści *science fiction*) zdanie to oznacza, że w bezmiarze kosmosu czeka nas jeszcze niejedna niespodzianka. Natomiast ezoterykom nasuwa ono na myśl moce z zaświatów.

Istnieją także inne wykładnie. W swej istocie jednak zdanie to ma charakter elementarny, wprost archaiczny. Niczym przesłanie z pradziejów tkwi w nas głęboko zakodowana myśl, że „tam" coś jest. Dawniej to coś było bliżej nas, czyhało tuż za smugą światła, rzucanego w groźną ciemność przez migoczące ognisko. Nauka i światło elektryczne rozszerzyły sferę naszego bezpieczeństwa, nie zmieniając jednak naszej wewnętrznej postawy.

Jak dawniej, coś nieznanego czai się za naszymi plecami. Dotyka nas lodowatym palcem, kiedy siedzimy w ciemnym pomieszczeniu i słyszymy jakieś odgłosy (być może zupełnie normalne). W burzliwą noc to coś puka do naszych okien; ze zgrozą spostrzegamy jego obecność, kiedy nagle pies bez powodu zaczyna warczeć i ze zjeżoną sierścią wpatruje się w pusty kąt izby. Pewnie dlatego lubimy oglądać filmy grozy, które nam pozwalają do woli nurzać się w pierwotnym lęku, nie ruszając się z bezpiecznego fotela.

Gdyby takie nawyki były tylko spuścizną zamierzchłych czasów, to moglibyśmy jeszcze jakoś się z nimi uporać. Niestety to niemożliwe, bowiem to co nieznane wciąż napoty-

kamy na każdym kroku. Nie pomagają go oswoić naukowe wyjaśnienia, a raczej próby wyjaśniania. Wprost przeciwnie!

Zagadkowe zdarzenia mogą na każdego z nas spaść jak grom z jasnego nieba, i tak też się dzieje.

„Śmierć szybko człowieka dogoni", powiada aż nazbyt prawdziwe przysłowie. Czasami śmierć przybiera w dodatku niewytłumaczalną postać, dopadając swej ofiary.

Ogień piekielny

Myśl, że moglibyśmy zginąć w jednej chwili (może zanim jeszcze zdążymy donieść łyżkę do ust) na skutek wojny atomowej rozpętanej przez pomyłkę albo z błahego powodu, nie należy do przyjemnych; zdołaliśmy jednak jakoś do tej myśli przywyknąć.

Trudniej byłoby przywyknąć do możliwości nagłej i niespodziewanej śmierci konkretnej osoby w błyskawicznym wybuchu ognia.

A jednak właśnie takie przypadki wciąż się zdarzają. Ten niesamowity proces zyskał nazwę spontanicznego samospalenia (*spontaneous human combustion*). Znany od stuleci, drwi z wszelkich teorii tworzonych na jego temat.

Już sama myśl, że żywa istota mogłaby bez jakiejkolwiek zewnętrznej przyczyny stanąć w płomieniach, wydaje się dziwna. Okoliczności towarzyszące takiemu zdarzeniu zasługują na to określenie w jeszcze większym stopniu.

W 1789 r. włoski chirurg Battaglio donosił o niesamowitej śmierci w płomieniach, jaką poniósł ksiądz Bertholi ze wsi Filetto.

Okropny krzyk dochodzący z pokoju, w którym Bertholi czytał Biblię, zaalarmował domowników. Kiedy przybiegli, ich oczom ukazała się iście dantejska scena: leżącego na ziemi księdza trawiły białawe płomienie. Kiedy domownicy się zbliżyli, osobliwy ogień się cofnął; ksiądz jednak nie dawał już znaku życia. Okoliczności jego śmierci i w naszych czasach trudno byłoby określić inaczej niż jako tajemnicze. Ten przypadek dobrze ilustruje omawiane zjawisko.

Bertholi ubierał się skromnie. W niezrozumiały sposób dziwny ogień strawił jego wierzchnie odzienie, pozostawiając całkowicie nietknięte to, co miał pod spodem. Skóra nie została nawet osmalona, oddzieliła się jednak od ciała i dosłownie zwisała w strzępach.

Podobnie wybiórcze działanie przejawiły nieziemskie płomienie w przypadku innej osoby, współczesnej Bertholiemu.

Rankiem 10 kwietnia 1744 r. sprzedawczynię ryb Grace Pett z Ipswich znaleziono w jej domu leżącą w ogniu na podłodze. Świadkowie zeznali, że paliła się „jak drzazga smolna..." Kiedy ogień zgasł, na podłodze została, według słów innego świadka, „bryła brunatnego węgla pokryta popiołem..." Ponieważ Grace Pett była nałogową palaczką i nie stroniła od alkoholu, a poprzedniego dnia, świętując powrót córki z Gibraltaru, nieźle popiła, więc dla władz było to wystarczające wyjaśnienie.

Niemal sto lat później Anglik David Brewster jeszcze raz zajął się analizą tego przypadku i opublikował odkryte w aktach sprawy szczegóły, które swego czasu zatuszowano.

W palenisku kuchni, obok którego znaleziono płonącą Grace, nie było ognia. W otoczeniu nie było żadnych innych zniszczeń, nawet świeca znajdująca się w tym samym pomieszczeniu dopaliła się spokojnie tej samej nocy aż do końca. Na ubraniu dziecka, które było tuż obok Grace, nie stwierdzono żadnych śladów ognia. Nie spłonął również abażur z papieru, choć był bardzo blisko.

Nietknięta pozostała podłoga pod zwłokami ofiary, deski nie uległy zwęgleniu ani nawet osmaleniu.

Samospalenie człowieka należy do najbardziej niezrozumiałych i najgroźniejszych zjawisk, jakie znamy. Towarzyszące mu okoliczności są jaskrawo sprzeczne z całą naszą wiedzą.

Dr Wilton M. Krogman, antropolog i biegły sądowy, który badał wiele przypadków samospalenia, aby wykluczyć zbrodnię, stał się dzięki temu znawcą przedmiotu. Otwarcie wyznaje on, że nowoczesna nauka jest w tej sprawie bezradna.

Po zapoznaniu się z przypadkami analizowanymi przez niego, jak i wielu innymi, wypada się zgodzić z tym stwierdzeniem.

Nieprzerwana seria takich szokujących śmiertelnych wypadków trwa do dziś. Ojciec Bertholi ani Grace Pett nie byli pierwszymi ofiarami tej serii.

Początkiem poważnych naukowych badań zjawiska stała się prawdopodobnie sprawa słynnej zbrodni popełnionej w osiemnastym wieku we Francji. W 1725 r. oberżysta z Reims, Jean Millet, został oskarżony o zamordowanie żony, co miało mu umożliwić nieskrępowane oddawanie się miłostkom z młodą szynkareczką. Okoliczności śmierci gospodyni odpowiadały obrazowi, z jakim jeszcze nieraz się tu zetkniemy: całkowite spalenie ciała z wyjątkiem niewielkiej jego części, nieuszkodzenie przedmiotów znajdujących się w bezpośrednim sąsiedztwie ognia, zwęglenie podłogi pod samą ofiarą itp.

Miał szczęście ten oberżysta, z pewnością niesłusznie podejrzewany, że młody lekarz Le Cat zdołał przekonać sąd, iż zachodzi tu niezwykły przypadek śmierci w płomieniach, nie zaś morderstwo. Dowodził, odwołując się do powszechnie znanego w mieście nałogu pijaństwa nieboszczki, że samospalenie może nastąpić, kiedy wnętrzności człowieka są przesycone alkoholem.

Milleta uniewinniono, a Le Cat zyskał sobie opinię eksperta w dziedzinie spontanicznego samospalenia.

Tak oto już wówczas zaczęto kojarzyć samospalenie z nadużywaniem alkoholu, choć ta hipoteza od samego początku budziła wątpliwości.

W 1763 r. we Francji ukazała się książka poświęcona samospaleniu człowieka.

Istotnie niemało było do opisywania.

Na przykład 4 kwietnia 1731 r. w Cesenie koło Werony zginęła w ten sposób sześćdziesięciodwuletnia hrabina Cornelia Bandi, która dosłownie rozsypała się w popiół obok swego łóżka. Znaleziono tylko jej nogi, na pół spaloną głowę i niewielką ilość niezwykle mazistego popiołu. Poza tym ogień nie wyrządził szkód, choć ściany pomieszczenia były pokryte jakimiś odrażającymi substancjami.

Władze ułatwiły sobie zadanie, podając jako oficjalną przyczynę śmierci „spalenie wewnętrzne". Bardzo im pomógł fakt, że hrabina często nacierała się spirytusem kamforowym,

kiedy źle się czuła. Ponieważ nie do pomyślenia było wówczas, aby pisać o pijanej hrabinie, więc to kiepskie wyjaśnienie w oficjalnych dokumentach mogło stanowić dyskretną wskazówkę, że ofiara wypadku nie była wrogiem alkoholu. Lekarze zaczęli więc ostrzegać swoich pijących pacjentów przed przebywaniem w pobliżu otwartego ognia. Te śmiertelne wypadki dobrze przysłużyły się umacniającemu się wówczas ruchowi wstrzemięźliwości. W literaturze dziewiętnastego wieku samospalenie znalazło stałe miejsce jako kara za nadużywanie alkoholu. Nie przeszkadzały temu tajemnicze okoliczności towarzyszące zjawisku, przeciwnie, widziano w nich dodatkowe potwierdzenie tej tezy, skoro płomienie jakby pochodzące z wnętrza niszczyły tylko samego pijaka, poza tym nie czyniąc prawie szkody. W powieści Karola Dickensa *Samotnia* można znaleźć literacki obraz takiego okrutnego, choć zasłużonego końca. W dramatycznych słowach słynny pisarz opisał moment odnalezienia doczesnych szczątków znienawidzonego skąpca Crooka, człowieka, który składał się niemal tylko z alkoholu, a teraz stał się żużlem.

Karol Dickens otrzymał wiele listów od czytelników z zarzutami nieprawdopodobieństwa tych scen oraz propagowania zabobonu. Było to niesprawiedliwe w stosunku do pisarza, który już dwadzieścia lat wcześniej jako młody reporter badał taki przypadek, a i później interesował się tym tematem.

Porównanie okoliczności śmierci Crooka opisanych w powieści z okolicznościami śmierci hrabiny Bandi wskazuje, że Dickens prawdopodobnie wykorzystał ten właśnie przypadek jako pierwowzór w swoim utworze.

„Gentlemen's Magazine" donosił po śmierci hrabiny, że podłogę w jej sypialni pokrywała obrzydliwa maź, prawie nie dająca się usunąć. Było to coś w rodzaju sadzy, przypominającej czarny tłuszcz. Z parapetu kapała na podłogę gęsta, żółtawa i cuchnąca ciecz. Ciemny, tłusty osad przywarł do ścian i sufitu.

Popiół, w który zmieniła się większość ciała hrabiny Bandi, wykazywał nietypową papkowatą konsystencję i wydzielał odrażający odór.

Bardzo przypomina te okoliczności opis śmierci starego skąpca Crooka zamieszczony w trzydziestym drugim rozdziale powieści *Samotnia* Dickensa. W każdym razie ta powieść, w której popularny pisarz przedstawił spontaniczne samospalenie jako śmierć będącą wynikiem nikczemnego życia (które prowadził nędznik Crook), przyczyniła się w pewnej mierze do powstania ludowego przesądu, jakoby alkoholikom zagrażała nagła śmierć w płomieniach. Takie wierzenia były na rękę władzom, ponieważ w Wielkiej Brytanii w ubiegłym stuleciu konsumpcja mocnych napojów alkoholowych osiągała ogromne rozmiary, zwłaszcza wśród uboższej ludności.

Można przypuszczać, że fenomen spontanicznego samospalenia jest równie stary, jak sama ludzkość. W XVIII w. stał on się przedmiotem zainteresowania opinii publicznej i kół naukowych, a w XIX w. zaczęto gromadzić szczegółową dokumentację. Jak na tę sprawę zapatruje się nauka dwudziestego wieku, o tym dowiemy się później.

Najpierw przedstawimy opisy zdarzeń i badania z ubiegłego stulecia.

19 lutego 1888 r. dr J. Mackenzie Booth, docent na uniwersytecie Aberdeen, został wezwany do zmarłego w stajni przy Constitution Street. Chodziło o sześćdziesięciopięcioletniego emerytowanego żołnierza, który uległ spaleniu. Ponieważ widziano go, jak wchodził na strych stajni z lampą i butelką wódki, początkowo sądzono, że wydarzył się typowy wypadek: pijany przewrócił lampę i padł ofiarą pożaru, co już nieraz notowano. Po bliższym zbadaniu okoliczności obraz sytuacji uległ jednak zmianie.

Większość ciała zmarłego wprost się stopiła, odsłaniając kości. Podłoga tuż obok ofiary uległa zwęgleniu aż do belek. Temperatura była tak wysoka, że łupkowe poszycie dachu częściowo popękało, a jego odłamki pospadały na nieboszczyka. Mimo tak wielkiego żaru działanie ognia musiało trwać krótko, gdyż siano przechowywane tuż obok nie zajęło się.

Na całkowicie zwęglonej twarzy zmarłego dało się jeszcze rozpoznać jej wyraz. Można było z niego wnosić, podobnie jak ze spokojnej pozycji szczątków, że człowiek ten nie toczył gwałtownej walki ze śmiercią. Cokolwiek spotkało starego żołnierza, spadło to na niego dosłownie jak grom z jasnego

nieba. Przypadek ten szczegółowo opisano w „British Medical Journal" z 21 kwietnia 1888 r., zamieszczając dla ilustracji zdjęcie, którego trudno nie nazwać makabrycznym. Próżno jednak szukać w artykule zadowalającego naukowego wyjaśnienia zjawiska.

Na uwagę zasługuje przypadek zapewne jedynego człowieka, któremu udało się przeżyć domniemany atak spontanicznego samospalenia dzięki stłumieniu ognia w zarodku.

5 lipca 1835 r. profesor matematyki uniwersytetu Nashvill (Tennessee), James Hamilton, stał przed domem, kiedy nagle odczuł piekący ból w lewej nodze. „Było to jak ukąszenie szerszenia, czemu towarzyszyło wrażenie gorąca" — takimi słowami opisywał zdarzenie. Kiedy spojrzał na swoją nogę, ujrzał płomień o długości kilku centymetrów i średnicy monety dziesięciocentowej, który najwyraźniej wydobywał się z jego ciała. Natychmiast uderzając rękoma zaczął gasić ten dziwny ogień, który jednak płonął nadal z nie słabnącą intensywnością. Na szczęście Hamilton nie uległ panice, a przy tym dysponował naukową wiedzą; pamiętając zatem, że spalanie nie jest możliwe przy braku tlenu, przykrył rękoma ogień na lewej nodze, który dzięki temu zgasł. W ten sposób zdołał uniknąć losu, jaki przypadł w udziale wielu innym wcześniej i później.

Lekarz B.H. Hartwell z Massachusetts Medico-Legal Society informuje o przypadku samospalenia, w którym mimo najlepszych chęci nie zdołał udzielić pomocy ofierze. Lekarza tego zatrzymano 12 maja 1890 r., gdy przejeżdżał przez Ayer i wezwano do pobliskiego lasu. Tam jego oczom ukazał się przerażający widok. Na leśnej polanie jakaś kobieta wiła się w płomieniach, wydobywających się z jej barków, brzucha i nóg. Ani dr Hartwell, ani inni świadkowie nie widzieli żadnej przyczyny tego ognia.

Wiek XX może się poszczycić tym, że stworzył nowy obraz wszechświata, odkrył nowe, fundamentalne prawa natury i zdobył wiedzę o takim zakresie, jakiego dawniej nawet nie przeczuwano. Odległe jest jednak wyjaśnienie zarówno wielu nowo odkrytych zjawisk, jak i tych od dawna znanych, czy raczej nie znanych.

Spontaniczne samospalenie jest właśnie jednym z nich.

Można odnieść wrażenie, że od przełomu wieków liczba takich przypadków wzrasta. Bardziej jednak prawdopodobne, że są po prostu lepiej udokumentowane i zbadane niż dawniej. Nie jest tajemnicą, że jeszcze w XIX w. w urzędowej sprawozdawczości starano się w miarę możliwości pomijać wszystko, co byłoby sprzeczne z wiedzą uniwersytecką. Wprawdzie nie można powiedzieć, by taką postawę w naszym stuleciu całkowicie zarzucono, jest jednak rzadziej spotykana.

Mamy dokumentację przypadku pani Thomas Cochrane z Falkirk z 1904 r., której zwęglone zwłoki znaleziono w pozycji siedzącej pośród nie zniszczonych poduszek na ocalałym fotelu. Pisze o tym „Daily News" w numerze z 17 grudnia 1904 r.

Protokół sekcji zwłok pewnej kobiety, zmarłej w 1905 r., podaje, że osoba ta, która poniosła śmierć w płomieniach zasnąwszy przed kominkiem, miała na plecach głębokie oparzenia, mimo że była zwrócona twarzą w kierunku ognia (z przodu jej ubranie było całe). Okoliczność tę określono jako nie wyjaśnioną.

W tym samym roku „Hull Daily Mail" donosi o dziwnych okolicznościach śmierci starszej kobiety nazwiskiem Elizabeth Clark. Nam się wydają znajome: śmierć w płomieniach we własnym łóżku, gwałtowny wybuch ognia (ofiara nie zdołała nawet wydać krzyku, by zaalarmować domowników znajdujących się tuż obok za cienką ścianą), nie spalona pościel.

Dwa lata później można było przeczytać w „Madras Mail" z 13 maja 1907 r. o kobiecie strawionej przez ogień w pobliżu indyjskiego miasta Dinapore. Jej ubranie nie zostało przy tym zniszczone, o czym zaświadczyło dwóch konstabli, którzy znaleźli dymiące zwłoki i zanieśli je na komisariat.

W następnym roku zdarzył się przypadek, który jest jeszcze jednym przykładem na to, jakie triumfy może święcić sztuka preparowania niewygodnych faktów, aby przybrały postać możliwą do zaakceptowania. Na krótko przed północą 22 marca 1908 r. znaleziono zwęglone zwłoki starej panny Wilhelminy Dewar w jej domu w Northumberland. Siostra Wilhelminy, Margaret, która odkryła szczątki, zaalarmowała sąsiadów.

Wspólnie poddano oględzinom miejsce zdarzenia, sypialnię na piętrze. Ofiara leżała w łóżku; ani pościel, ani nic innego w tym pomieszczeniu nie nosiło nawet najmniejszych śladów ognia.

Policjanci, którzy badali tę sprawę, nie chcieli przyjąć do wiadomości takiej wersji zdarzeń. Nakazali więc Margaret przemyśleć jeszcze raz swoje zeznania.

Kiedy ta niewzruszenie trwała przy swoim opisie zagadkowych okoliczności śmierci siostry, posądzono ją o pijaństwo; zostawiono jej jeszcze czas do namysłu, licząc, że zmieni zdanie.

Trzeba zaznaczyć, że obie kobiety były emerytowanymi nauczycielkami, wiodącymi życie wolne od jakichkolwiek nałogów.

Prokurator nazwał nieszczęsną Margaret kłamczynią, w gazetach nie pisano o niej inaczej niż jako o alkoholiczce, a przyjaciele i sąsiedzi odwrócili się od niej. Pod taką presją osoba ta po kilku dniach „namysłu" postanowiła zrewidować swoją pierwotną wersję wydarzeń.

Teraz zeznała, że znalazła swoją siostrę Wilhelminę poparzoną, ale jeszcze żywą, na parterze domu i zaprowadziła ją do łóżka, w którym Wilhelmina zmarła. Z pozoru brzmiało to wiarygodnie i potwierdzało domysły opinii publicznej i władz śledczych. Nikogo nie interesowało, w jaki sposób osoba wprawdzie poparzona, ale którą jeszcze można było wprowadzić na górę po schodach, zmieniła się w zwęglone szczątki w łóżku, nie powodując osmalenia niczego wokół. Nie mówiąc już o tym, że w całym domu nie było widać żadnych śladów ognia.

Po drugiej wojnie światowej zmniejszył się sceptycyzm wobec nieznanych zjawisk, za to metody śledcze stały się bardziej precyzyjne, a w raportach nie owijano niczego w bawełnę.

Zanim więc przystąpimy do rozważania kwestii, czy zjawiska spontanicznego samospalenia nie dałoby się przynajmniej jakoś zakwalifikować, jeśli już nie wyjaśnić, przedstawimy najpierw dwa charakterystyczne przypadki z lat powojennych.

Za klasyczny uważa się przypadek powszechnie lubianej sześćdziesięciosiedmioletniej wdowy Mary Hardy Reeser z St.

Petersburga (Floryda), która spłonęła w swoim pokoju w nocy 1 lipca 1951 r.

Kiedy odnaleziono jej szczątki, stwierdzono, że po ważącej około 85 kilogramów kobiecie prawie nic nie zostało, z wyjątkiem jej czaszki, stopy z nie uszkodzonym satynowym pantoflem i wątroby wraz z jedną z kości grzbietowych. Wszystko inne zamieniło się w popiół. Te przerażające pozostałości znajdowały się w centrum osmalonego kręgu o średnicy około 120 centymetrów. Poza tym kręgiem nic nie było zwęglone ani nawet choćby nadpalone. W nocy nie było ani pożaru, ani żadnego innego alarmującego zdarzenia, toteż gospodyni wdowy była zaskoczona, kiedy rano zaniosła jej telegram i nie mogła obrócić gałki w drzwiach wejściowych wskutek jej nagrzania.

Mimo długiego i intensywnego śledztwa nie udało się wyjaśnić, co tu właściwie zaszło. Ani policja, ani straż pożarna, ani biegli patologowie specjalizujący się w analizie zwęglonych zwłok nie umieli dać odpowiedzi. Rok później zrezygnowano z prób wyjaśnienia sprawy.

„Nigdy nie widziałem ani nie słyszałem o niczym podobnym. Brak tu jakiegokolwiek punktu zaczepienia" — stwierdził jeden z ekspertów. Szef policji, na którego terenie się to wydarzyło, wyznał: „Według praw logiki właściwie to się nie mogło zdarzyć, a jednak się zdarzyło..."

Wspomnianego wcześniej biegłego sądowego, antropologa i specjalistę od spraw spontanicznego samospalenia, dr. Wiltona M. Krogmana, zdziwił szczególnie stan czaszki ofiary wypadku. „Nigdy nie widziałem — powiedział — by czaszka się skurczyła od wysokiej temperatury. Przeciwnie, w takich warunkach czaszka się rozszerza albo rozpada na drobne kawałki. Nie ma wyjątków od tej reguły". Jeszcze mniej naturalny wydał się dr. Krogmanowi całkowity brak zapachu spalenizny. „To dla mnie stanowi okoliczność najbardziej zdumiewającą — napisał w podsumowaniu. — Dziś jeszcze włos mi się jeży na samą myśl o tym, co widziałem. Gdybyśmy żyli w średniowieczu, powiedziałbym, że to czarna magia..." Pełen zrozumiałej frustracji antropolog wysunął tezę, iż być może panią Reeser spalono gdzie indziej i pod osłoną nocy przeniesiono do domu. Teza ta jest wyrazem chęci powrotu do czasów, kiedy wszystko było możliwe do wyjaśnienia.

Jest faktem, że przypadek Mary Hardy Reeser prokurator odłożył *ad acta* z adnotacją „Zgon w płomieniach niewiadomego pochodzenia" i sprawa nie doczekała się zadowalającego zakończenia.

Nie mniej tajemniczą śmiercią zginął dziewięćdziesięciodwuletni dr J. Irving Bentley z Coudersport (Północna Pensylwania), którego ciało w przeszło 90 procentach obróciło się w popiół.

Rankiem 5 grudnia 1966 r. urzędnik North Pen Gas Company, Don Gosnell, wszedł do apartamentu zajmowanego przez dr. Bentleya, aby odczytać aktualny stan gazomierza. Uderzył go osobliwy niebieski dym i niezwykły zapach. Ponieważ dr Bentley nie wyszedł mu na spotkanie, zaczął go szukać w mieszkaniu. W sypialni dym był gęstszy, ale dr. Bentleya ani śladu. Za to w łazience Gosnell ujrzał widok, jakiego nigdy nie miał zapomnieć.

Pod ścianą w podłodze była wypalona głęboka dziura, w której widać było różne przewody. Na krawędzi otworu leżała noga ludzka, mniej więcej do kolana, obuta w lśniący skórzany pantofel.

Nic dziwnego, że Gosnell wypadł z mieszkania jak oszalały.

Podobnie jak w przypadku pani Reeser i innych ofiar, ogień jak gdyby skupił się w jednym punkcie, zostawiając nie naruszone całe otoczenie. Dochodzenie w sprawie śmierci dr. Bentleya prowadzono równie gruntownie i zaciekle jak w przypadku Mary Reeser, nie osiągając jednak niczego. W końcu zdecydowano się podać w raporcie zamykającym sprawę jako przyczynę śmierci „uduszenie", co w przypadku ognia jest całkowicie normalne. Pominięto milczeniem ten szczegół, że lekarz musiałby się udusić (jeśli tak w ogóle było) dymem pochodzącym ze spalenia własnego ciała.

Na tym zakończymy wyliczanie okropnych szczegółów. Listę potworności związanych z ogniem można by ciągnąć jeszcze długo, ale naszym celem nie jest kompletność dokumentacji, ale zrozumienie istoty zjawiska.

Na czym więc mogłoby polegać to zjawisko?

Ludzie eksplodują wprost żarem, przy którym normalny ogień musiałby się wydać letni. Wybuch taki jest krótkotrwały, intensywny i zlokalizowany, gdyż nawet w bezpośred-

nim otoczeniu nic nie zajmuje się ogniem. Czasami można odkryć ślady ognia na suficie nad ofiarą, co wskazuje, że nieszczęśnik zmieniał się po prostu w słup ognia.

Nie zawsze ofiarami samospalenia padają pojedyncze osoby. 26 lutego 1905 r. sąsiedzi odkryli spalone ciała niemłodych małżonków Kiley. Zwęglone zwłoki były kompletnie ubrane, a ubrania w nienaruszonym stanie. W 1960 r. w pobliżu małego miasteczka Pikeville (Kentucky) znaleziono pięć zwęglonych ciał w wypalonym samochodzie, który ani nie uległ wypadkowi, ani nie zapalił się z innego powodu. Jest znamienne, że ofiary siedziały we wraku auta w zupełnie normalnej pozycji, co wyklucza tak niestety częstą śmierć w płomieniach na szosie. Ta możliwość zbiorowego samospalenia, o której świadomie wcześniej nie wspominaliśmy, obala niektóre teorie zakładające możliwość zapalenia się gazów wydzielanych przez organizm.

O ile pochodzące z przeszłości prasowe artykuły, akta i inne notatki mogą budzić wątpliwości, to inaczej wygląda sprawa, gdy mamy przed sobą materiał zdjęciowy, dokumentujący przypadki spontanicznego samospalenia w naszym stuleciu.

Istnieją niezliczone zdjęcia, przedstawiające ludzkie ciała, które od określonego miejsca nagle rozpadły się w popiół. Widać na nich kończyny, jakby odcięte laserem, sterczące z kupki popiołu albo leżące obok pogorzeliska, jakie mogłoby być rezultatem działania jakiegoś ogromnego palnika spawalniczego. Grozę tego przerażającego panoptikum wzmaga jego niewytłumaczalność.

Wcale nie jest łatwo zmienić w popiół ciało człowieka. Na przykład w krematoriach w celu całkowitego spalenia zwłok trzeba utrzymywać temperaturę około 1400°C przez długi czas (często przez wiele godzin). Niekiedy do zupełnego spopielenia niezbędne jest jeszcze dodatkowe sproszkowanie przez roztarcie.

Pracownicy krematoriów i biegli sądowi podają, że kości ludzkie w temperaturze znacznie powyżej 1000°C pozostają nie naruszone przez osiem i więcej godzin. Tak więc w przypadku spontanicznego samospalenia musi występować przynajmniej taka temperatura, z jaką mamy do czynienia w wielkim piecu. Nie wiadomo jednak, jakie miałoby być jej pochodzenie.

Ogromną temperaturę towarzyszącą samospaleniu ilustruje przypadek śmierci czterdziestoletniego Leona Eveille'a z Arcissur-Aube we Francji, którego 17 czerwca 1971 r. znaleziono spalonego na żużel w jego samochodzie osobowym. Szyby samochodu uległy przy tej okazji stopieniu, czego nie mogłaby spowodować temperatura zwykle występująca w czasie takiego pożaru, rzędu 700 — 800°C. Do stopienia szkła temperatura musi być przeszło dwukrotnie wyższa. Wyłania się więc kolejny problem, jak można zapobiec rozprzestrzenieniu się tak wysokiej temperatury?

Przypomnijmy, że w wielu przypadkach „piekielny ogień" był ściśle ograniczony w przestrzeni, tak że w ogóle nie naruszył pewnych części ciała, na przykład tułowia czy nóg, że nie wspomnimy już o ocalałych elementach odzieży oraz przedmiotach łatwopalnych znajdujących się w bezpośrednim sąsiedztwie, jak zasłony itp.

Nawet najmniejsze źródło ciepła wytwarzające temperaturę powyżej 1000°C, a znajdujące się w zamkniętym pomieszczeniu, musiałoby tam wszystko i wszystkich unicestwić; tak się jednak nie działo.

Mógłby ktoś pomyśleć, że samospalenie wcale nie musi być aż tak bardzo tajemnicze, jak tu sugerujemy. W końcu nierzadko dochodzi do samozapalenia się silosów ze zbożem i stogów siana pod wpływem wysokiej temperatury procesów fermentacyjnych, które mogą zachodzić, jeśli zboże albo siano jest wilgotne. Zdarzały się samozapalenia w papierniach, stodołach czy nawet składach materiałów wybuchowych. Przyczyną powstania ognia może być również sproszkowany węgiel czy ptasie łajno.

Być może niektóre pożary kościołów są wynikiem samozapalenia się ptasiego łajna, nagromadzonego pod ich dachami na przestrzeni wieków. Znanym zjawiskiem były również tzw. płonące rafy Weymouth, które w ubiegłym wieku stały się prawdziwą atrakcją dla turystów. Przyczyną regularnych samozapaleń płonącej rafy było grube złoże węgla, zalegające na głębokości 2,5 metra pod powierzchnią ziemi. Pożary powtarzały się regularnie przez około 60 lat, trwając często całymi latami.

Właśnie posiadana przez nas dokładna wiedza na temat

samozapalenia w królestwie roślin czy minerałów pozwala nam jasno dostrzec absolutną odmienność samozapalenia się człowieka. W tej sprawie znane przyczyny niczego nie wyjaśniają. Nie istnieje w przyrodzie żaden odpowiednik tych zjawisk, a towarzyszące im okoliczności drwią z praw fizyki i odkryć medycyny.

Nauka, co prawda, nie daje tak łatwo za wygraną.

Zagadka jako wyjaśnienie misterium

Ogniste kule i podobne do nich obiekty zjawiały się od zarania dziejów ludzkości, nie tylko jako UFO.

Te zjawiskowe obiekty tańczą na wierzchołkach drzew, przelatują przez pomieszczenia, toczą się po ziemi u stóp przerażonych widzów i zachowują się w sposób sprzeczny z naszymi wyobrażeniami o energii.

Nauka negatywnie odniosła się do tych zjawisk, usuwając je bez zbytnich ceregieli w sferę ezoteryki i okultyzmu.

Oczywiście, byli i tacy uczeni, którzy nie podzielali tego stanowiska. Słynny astronom francuski, Camille Flammarion, zgromadził i poddał weryfikacji wiele doniesień o piorunach kulistych (tak w końcu nazwano te zjawiska).

W jego zbiorze znajdują się liczne opisy przypadków; oto na przykład piorun kulisty wyłamał drzwi domu, aby wtargnąć do środka, czy eksplodując zabił zwierzęta w oborze. O ile zwierzęta nieraz ginęły od piorunów kulistych, to ludzie nigdy.

Nasunęło to nawet przypuszczenie, jakoby pioruny kuliste miały wolę i były przychylne ludziom. Tak np. Vincent H. Gaddis w swojej książce *Mysterious Fires and Lights* z 1967 r. podawał kilka przykładów społecznego zachowania piorunów kulistych, które zaczerpnął ze zbiorów Flammariona.

Starając się wyświetlić tajemnicę spontanicznego samospalenia człowieka, fizycy naszych czasów odwołali się do nie mniej egzotycznego zjawiska piorunów kulistych, które znajdowało się na marginesie zainteresowań badaczy, obok ludzi śniegu, bogów-astronautów i tym podobnych osobliwości.

W myśl tych koncepcji kuliste skupiska energii (dlaczego ich forma jest trwała, to też zagadka) miałyby w pewnych,

niejasno określonych, warunkach wysyłać krótkie fale radiowe. Mówiąc po prostu, byłyby one naturalnymi kuchenkami mikrofalowymi.

Jeśli zaakceptować takie rozumowanie, to mogłoby ono teoretycznie wyjaśniać, dlaczego dane osoby ulegają spaleniu nie tylko (niejako) wewnątrz własnej odzieży, ale nawet wewnątrz własnej skóry. Zależałoby to tylko od bliskości ognistej kuli czy też rodzaju wzajemnych oddziaływań między potężnym polem radiowej częstotliwości a ciałem człowieka. Ta teoria wydaje się atrakcyjna. Kuchenki mikrofalowe to dobrze znane urządzenia; wiadomo też, że można w nich doprowadzić różne substancje do wrzenia dużo szybciej (i to od wewnątrz!) niż na przykład na kuchence gazowej czy elektrycznej. Jeśli jeszcze wziąć pod uwagę, że pod wpływem mikrofal różne materiały nagrzewają się w rozmaitym stopniu, to wytłumaczenie wydaje się doskonałe. To jednak tylko pozory.

Niestety, ta teoria opiera się na przypadkowych skutkach piorunów kulistych, które, jak wiadomo, są nieobliczalne, a ponadto zakłada takie ich właściwości fizyczne, których istnienie należałoby dopiero potwierdzić. Ponadto ta teoria nie uwzględnia wzajemnie sprzecznych czynników, o których zaraz będzie mowa.

Nie wiadomo dokładnie, czym są pioruny kuliste, ale na pewno nie są latającymi kuchenkami mikrofalowymi. A nawet gdyby nimi były, to niesłychanie trudno by im było spowodować wszystkie zjawiska towarzyszące spontanicznemu samospaleniu człowieka.

Nie dałoby się na przykład (to oczywiście tylko eksperyment myślowy) usmażyć nogi człowieka w kuchence mikrofalowej w taki sposób, aby pończocha na tej nodze pozostała całkowicie nie naruszona, a jednocześnie udo uległo zwęgleniu i stawy kolanowe się rozwarły (tak właśnie było w przypadku samospalenia, o którym donosił „British Medical Journal" w 1841 r.). Niech mi czytelnik wybaczy drastyczność tego przykładu, ale takie były fakty.

Choć dobrze by było jednocześnie wyjaśnić wspólną teorią dwa różne zjawiska niewytłumaczalne, jednak to niemożliwe. Pioruny kuliste i spontaniczne samospalenie dają się sprowa-

dzić do wspólnego mianownika tylko pod jednym względem: oba te zjawiska mają coś wspólnego z ogniem. Ale nic poza tym.

Ściśle biorąc, pioruny kuliste w ogóle nie są piorunami, ponieważ niewiele je łączy z wyładowaniami o sile milionów woltów między niebem i ziemią. Pioruny kuliste mogą mieć zabarwienie od bladej bieli do głębokiej czerwieni. Ich średnica wynosi od kilku centymetrów do kilku metrów. Poruszają się niespiesznie, a ich stabilność wydaje się zaprzeczać prawu rozchodzenia się energii. Odgromniki ich nie interesują; są także, jak już wspomnieliśmy, przyjazne ludziom, co raczej trudno byłoby skojarzyć ze zjawiskiem spontanicznego samospalenia.

Pastor John Henry Lehn, którego słowa zasługują na wiarę, informuje o spotkaniach z piorunami kulistymi, jakie miał latem 1921 r. W czasie burzy żółty piorun kulisty o wielkości pomarańczy wpadłszy przez otwarte okno nie uszkodził wiszących w nim zasłon i przedostał się do łazienki Lehna. Tam zakręcił się wokół nóg zdumionego duchownego, wpadł do umywalki, gdzie stopił stalowy łańcuszek mocujący korek gumowy, dzieląc go na dwie części, a potem znikł w odpływie.

Kilka tygodni później wszystko powtórzyło się jeszcze raz w tej samej łazience; znowu uległ przy tej okazji stopieniu wymieniony tymczasem łańcuszek korka umywalki.

W zapiskach Flammariona znajdujemy wiele przykładów indywidualnego zachowania się piorunów kulistych. Raz ognista kula dostała się kominem do wnętrza chłopskiego domu, przeleciała przez izbę, gdzie przebywała gospodyni z trójką dzieci, i potoczyła się dalej do kuchni. Ominąwszy o centymetr nogi gospodarza, któremu nic się nie stało, potoczyła się do obory, gdzie, jakby umyślnie, dotknęła jednej ze świń, która padła martwa. Następnie ognista kula znikła.

Innym razem piorun kulisty wyłamał drzwi i eksplodował w pokoju, zabijając kota na kolanach dziewczynki, której mimo to nic się nie stało. Flammarion informuje także o pojawieniu się ognistej kuli na wierzchołku drzewa, która następnie powoli zsuwała się z gałęzi na gałąź, niczym osoba ostrożnie schodząca po niepewnych schodach, i potoczyła się

po obejściu, omijając kałuże. Przy wrotach obory stało dwoje dzieci; jedno z nich wymierzyło piorunowi kopniaka, po czym ten nagle eksplodował. Dziwnym zrządzeniem obojgu dzieciom nic się nie stało, natomiast niektóre zwierzęta w oborze padły martwe.

Można tak wyliczać bez końca. Istnieje mnóstwo opowieści, obrazów i rycin przedstawiających pioruny kuliste, które się dostawały (przeważnie kominem) do wnętrza domów. „Rozejrzawszy się" wpierw, następnie pękają albo odchodzą. Czasami działo się to w stodołach lub oborach, gdzie ponosiły śmierć zwierzęta domowe; nigdy natomiast nie zginęli ludzie. Materiały łatwopalne, jak słoma, nie zajmowały się ogniem. Niemal można by sądzić, że to istotnie coś w rodzaju ożywionej formy energii. Taki pomysł znajdujemy np. w klasycznej powieści *science fiction* angielskiego autora Erica Franka Russella *Sinister Barrier*, dedykowanej legendarnemu kronikarzowi zjawisk niewytłumaczalnych Charlesowi Fortowi. My nie będziemy się posuwać tak daleko. Wystarczająco fantastyczne jest już to, co potwierdzają dokumenty.

Ponieważ pioruny kuliste nie mają wielkiej ochoty pojawiać się w laboratoriach, a ich naturalnego pojawienia się również nie sposób ściśle przewidzieć, to mamy na ich temat jedynie skąpą wiedzę. Udało się jednak, częściowo drogą dedukcji, sporządzić katalog ich właściwości, który mimo całej swej osobliwości nie dostarcza jednak wielu argumentów przemawiających na korzyść tezy o powiązaniu tego zjawiska ze spontanicznym samospaleniem.

Pioruny kuliste najwyraźniej nie mają wysokiej temperatury, brak im też własności magnetycznych, ponieważ nie wywierają wpływu na znajdujące się w pobliżu metalowe przedmioty. Czasami jednak metal je przyciąga, bo często się toczą wzdłuż drutów i ogrodzeń. Pioruny kuliste przedostają się przez firanki, a nawet drzwi, nie powodując ich osmalenia a poza tym nie szkodzą ludziom, nawet gdy się je odsunie na bok ręką.

Fizyka niewiele może o nich powiedzieć; nie wiadomo, czy ich energia jest pochodzenia elektromagnetycznego, elektrycznego czy nuklearnego. Niewykluczone, że natura tej energii może być jeszcze zupełnie inna, co pasowałoby do

faktu, że żadne ze zjawisk znanych fizyce nie jest do tego podobne.

6 marca 1952 r. hrabstwo Santa Clara (Kalifornia) nawiedził huragan, który przyniósł istny grad kulistych piorunów. Wiele ognistych kul toczyło się po liniach wysokiego napięcia i wpadało do domów w miejscowościach San José i Gilroy, czyniąc wielkie zamieszanie. Nie wyrządziły jednak poważniejszych szkód.

Na przykład jeden z tych piorunów kulistych przeskoczył z flagowego masztu na oparty o niego rower, który został odrzucony. Potem skoczył na czubek parasola, niesionego przez posłańca pocztowego Waltera Bagera. Parasol został wyrwany z ręki Bagera, któremu jednak poza tym nic się nie stało.

Podobna burza piorunów kulistych 11 marca 1946 r. spowodowała wybuch paniki w Illinois. O zdarzeniu tym pisały niektóre gazety w Chicago. Niemożność naukowego wyjaśnienia skłoniła do snucia najdziwaczniejszych teorii. W końcu nawet firmy ubezpieczeniowe zgodziły się na propozycję, by całą tę sprawę uznać za skutek działania siły wyższej.

Inny przypadek szczególnie wyraziście ilustruje fakt, że pioruny kuliste zachowują się w sposób sprzeczny z elementarnymi prawami natury (co jednak nie oznacza, że twory te należą do sfery magii i ezoteryki, ale że podlegają jeszcze nie odkrytym prawidłowościom).

Mimo że wieżę Eiffla zbudowano na Wystawę Światową w 1889 r., a więc przeszło sto lat temu, to oczywiście wyposażono ją w instalację odgromową zgodną z wszelkimi wymogami bezpieczeństwa.

3 września 1903 r. dyrektor obserwatorium Blue Hill, który odbywał właśnie podróż po Europie, miał okazję obserwować, jak w czubek wieży Eiffla uderzył piorun; równocześnie ognista kula spokojnie potoczyła się po słynnej budowli w dół, ku jej drugiej platformie, aby zniknąć, zanim do niej dotarła.

Badania wykazały, że wszystkie inne pioruny zgodnie z oczekiwaniami zostały odprowadzone do ziemi, a tylko piorun kulisty nie uległ temu naturalnemu ciążeniu. To prawdziwa zagadka.

Byłoby dziwne, gdyby w krajach bloku wschodniego ignorowano to zjawisko. Tak nie jest, tylko jak zwykle blok wschodni nie jest skory do zwierzeń. W fachowej publikacji *Missiles and Rockets* z kwietnia — czerwca 1958 r. angielski naukowiec dr Albert Parry informował, że Sowieci od 1940 r. prowadzą poważne badania w tym kierunku. Podobno naukowiec rosyjski Georgij Babat zdołał sztucznie wytworzyć piorun kulisty w elektrowni Swiettana w Leningradzie. Po śmierci Babata badania w tej dziedzinie kontynuował profesor Piotr Kapica, wybitny fizyk atomowy ZSRR. Kapica podobno opracował teorię wyjaśniającą niezwykłe właściwości energetyczne piorunów kulistych, a także ich ruchliwość.

Nie ma jednak zbyt wielu innych przecieków dotyczących rosyjskich badań nad tymi zjawiskami.

Wróciliśmy więc do punktu wyjścia naszych rozważań. Zagadki spontanicznego samospalenia człowieka najwyraźniej nie da się wyjaśnić tajemniczymi piorunami kulistymi. Odkryliśmy jedynie kolejną białą plamę na mapie nauki, zapuszczając się na krótko w te fascynujące regiony.

Przekonaliśmy się przy tej okazji, jak łatwo poważne badania jednego zjawiska niewytłumaczalnego mogą prowadzić do innego.

Niestety, wciąż jeszcze nie mamy bliższego wyobrażenia na temat sił, które muszą działać, aby człowiek w ciągu jednej sekundy stanął w płomieniach i rozpadł się w popiół.

Skoro, jak się zdaje, pioruny kuliste i spontaniczne samospalenie zamieszkują odrębne nisze w świecie zjawisk niewytłumaczalnych, to pokusimy się o próbę (przyznajemy, bardzo śmiałą) rozważenia kwestii, czy samospalenia nie można byłoby powiązać z innymi zjawiskami niewytłumaczalnymi.

A mianowicie ze zjawiskami parapsychologicznymi.

Odejść w płomieniach

Jest znanym faktem, że pozornie pozbawione związku wydarzenia daje się czasem skojarzyć, kiedy spojrzeć na nie z innej perspektywy. Spróbujemy tak zrobić w odniesieniu do spontanicznego samospalenia, by się przekonać, czy nie stwierdzimy istotnych prawidłowości i wspólnych cech z innymi zjawiskami.

Otóż jest to możliwe.

Statystyka pokazuje, że ludzie, którzy mieli dość życia, którym się nie wiodło albo z tego czy innego względu byli outsiderami, stanowią w grupie ofiar spontanicznego samospalenia dużo większy odsetek niż w całym społeczeństwie.

Wielu było wśród nich alkoholików (co jednak nie ma nic wspólnego z teoriami głoszonymi w ubiegłym wieku), ludzi starych i zgorzkniałych, których niewiele już trzymało na tym świecie, ubogich, niepełnosprawnych i żyjących w niegodnych warunkach. Zdarzało się oczywiście także, że ofiarą zagadkowych płomieni padali ludzie zamożni. Wśród nich jednak bardzo dużą grupę stanowiły osoby zagubione, nie mające celu w życiu. Zanim rozwiniemy tę na razie niezbyt jasną myśl, przedstawimy dwa przypadki spontanicznego samospalenia samobójców.

18 września 1952 r. czterdziestosześcioletni odlewnik Glen Denney z Luizjany postanowił rozstać się z życiem. Przeciął sobie tętnice na lewym ramieniu, na przegubach rąk i kostek nóg i umarł w morzu własnej krwi. Dziwnym trafem jednak przyczyną jego śmierci było zaczadzenie.

Kiedy znaleziono jego zwłoki, pożerał je gwałtowny ogień. Poza tym w pomieszczeniu nie paliło się nic innego. Policjanci

prowadzący śledztwo sądzili początkowo, że Glen Denney oblał się benzyną, nie jednak tego nie potwierdzało.

Nie zdołano w pobliżu znaleźć żadnego pojemnika po benzynie, poza tym trzeba by było nadludzkich wręcz umiejętności, aby choć tylko utrzymać w ręku zapałkę, nie mówiąc już o jej zapaleniu, w sytuacji, gdy krew tętnicza wprost lała się potokami. Zresztą późniejsze czynności dochodzeniowe nie wykryły żadnych śladów benzyny ani innej palnej cieczy.

Prowadzący śledztwo Otto Burma napisał w raporcie: „Nie ulega wątpliwości, że Denney pragnął popełnić samobójstwo. Gdy starał się wykonać swój zamiar, jego ciało z niewiadomych przyczyn stanęło w ogniu".

Zapewne podobne zdarzenie zaszło 13 grudnia 1959 r. w Pontiac (Michigan). Dwudziestosiedmioletni Billy Peterson pożegnał się z matką i pojechał do garażu, gdzie za pomocą elastycznego przewodu skierował spaliny samochodowego silnika do wnętrza kabiny. Około czterdziestu minut po rozstaniu Billy'ego z matką przejeżdżający tamtędy kierowca zauważył dym wydobywający się z garażu. Billy Peterson był już martwy wskutek zatrucia tlenkiem węgla. Można by to od biedy nazwać naturalną przyczyną śmierci, o ile dobrowolne wdychanie spalin samochodowych w ogóle zasługuje na tę nazwę.

Mniej naturalny natomiast był stan jego zwłok. Na ramionach i nogach widniały bardzo głębokie oparzenia, a części jego ciała zmieniły się w żużel. Mimo to odzież wierzchnia i bielizna ofiary pozostały całkowicie nie naruszone.

Wydaje się, że zarówno odlewnik Glen Denney, jak i Billy Peterson w trakcie popełniania samobójstwa ulegli spontanicznemu samospaleniu, które być może skróciło ich cierpienia.

Jeśli tak było, a wszystko przemawia za takim przypuszczeniem, to należałoby uznać spontaniczne samospalenie za przejaw dążenia do autodestrukcji. Niektórzy ludzie mogą mieć taką skłonność, może nawet mają ją wszyscy w jakichś określonych warunkach. To śmiała hipoteza i potrzebne byłyby dodatkowe argumenty, aby ją udowodnić.

Jeśli pójdziemy za tropem tego rozumowania, dojdziemy do wniosku, że albo wszyscy, albo szczególnie uzdolnieni

ludzie noszą w sobie potencjał samounicestwienia w płomieniach, który, być może, w sytuacjach rozpaczliwych, w stanie skrajnego opuszczenia itp. narasta aż do wybuchu lub jest wyzwalany przez czynniki zewnętrzne. Jakie to mogłyby być czynniki? A może ziemskie pole magnetyczne? —

Pole to nie jest jednakowo intensywne na całej powierzchni naszej planety, a jego natężenie wykazuje znaczne wahania. Jak dowiedziono, pole magnetyczne wywiera bardzo silny wpływ na żywe istoty. Badania wykazały m.in., że może ono wyraźnie zakłócać immunobiologię szczurów i myszy. Po kilkakrotnym poddaniu nieszczęsnych gryzoni działaniu pola magnetycznego znacznie zmalała ich odporność na wstrzykiwane im mikroby (listeria), które przedtem nie stanowiły problemu dla ich organizmów. Ponadto u zwierząt doświadczalnych dramatycznie spadła aktywność fagocytów i ogólna liczba leukocytów.

Wzrost podatności na choroby pod wpływem pola magnetycznego jest od dawna znanym zjawiskiem u ludzi.

Dla wysuniętej przez nas hipotezy mogłoby to oznaczać, że jeśli osoba przejawiająca skłonność do samozniszczenia i podlegająca siłom autodestrukcji znajdzie się w szczególnie krytycznej fazie życia, a jednocześnie w danym miejscu nastąpi skokowy wzrost natężenia pola magnetycznego (co nierzadko towarzyszy np. wzmożonej aktywności plam na Słońcu), to wynikiem może być spontaniczne samospalenie.

A zatem czy te śmiertelne wypadki wykazują korelację ze wzrostem natężenia pola magnetycznego? Można tak twierdzić.

Samospalenie Elisabeth Clark w styczniu 1905 r. — skokowy wzrost natężenia ziemskiego pola magnetycznego do poziomu przeszło czterokrotnie przewyższającego normalny.

Samospalenie Madge Knight w listopadzie 1943 r. — skokowy wzrost natężenia ziemskiego pola magnetycznego do poziomu przeszło czterokrotnie przewyższającego normalny.

Samospalenie Billy'ego Petersona w grudniu 1959 r. — skokowy wzrost natężenia ziemskiego pola magnetycznego do poziomu przeszło czterokrotnie przewyższającego normalny.

Samospalenie Olgi Worth w październiku 1963 r. — skokowy wzrost natężenia ziemskiego pola magnetycznego do poziomu przeszło czterokrotnie przewyższającego normalny.

Samospalenie dr. Johna Irvinga Bentleya w grudniu 1966 — skokowy wzrost natężenia ziemskiego pola magnetycznego do poziomu przeszło dwukrotnie przewyższającego normalny.

Samospalenie Grace Walkera w kwietniu 1969 r. — skokowy wzrost natężenia ziemskiego pola magnetycznego do poziomu dwukrotnie przewyższającego normalny.

Jakkolwiek te zgodności są frapujące, to jednak nie stanowią wystarczającego dowodu na słuszność teorii tej wagi.

Sytuacja uległaby zmianie, gdyby się udało w sposób jednoznaczny stwierdzić istnienie związku między zjawiskami „pirotechnicznymi" i parapsychologicznymi.

Innymi słowy, gdyby udało się dowieść, że są ludzie podatni na ogień, albo gdyby samospalenie szło w parze z innymi zjawiskami paranormalnymi, jak nawiedzenie itp.

Istotnie można stwierdzić taki związek, i to bez potrzeby naginania rzeczywistości czy żonglowania statystyką.

Oficjalne informacje i akta urzędowe potwierdzają fakt istnienia ludzi, którzy mogliby się mierzyć z młodą bohaterką powieści Stephena Kinga *Firestarter*. Jedyna różnica polega na tym, że tacy ludzie nie wydają się świadomie kontrolować swego talentu podpalania.

Annie Bryan z Midland (Arkansas) odkryła w niedzielę 9 września 1945 r. powstały bez żadnej przyczyny ogień w szufladzie swego biurka. W następny piątek dom pani Bryan i jego otoczenie nawiedziło przeszło 30 niewytłumaczalnych pożarów. Pastwą ognia padły zasłony, ubrania, tapety i meble. W środę w następnym tygodniu stanęła w ogniu stodoła, a w czwartek kolejne przedmioty.

Annie Bryan nie była ubezpieczona od pożaru.

Jeszcze dziwniejsza była seria pożarów szalejących w kwietniu 1941 r. na farmie Williama Hacklera w pobliżu Odon (Indiana). Historia ta została opisana w aktach towarzystwa ubezpieczeniowego Travelers, pisano o niej także w magazynie „Colliers". Pierwszy pożar wybuchł o godzinie ósmej rano w zachodniej części domu koło okna. Miejscowa straż pożar-

na uporała się z nim błyskawicznie; ledwie jednak strażacy wrócili do remizy, a już przyszło kolejne wezwanie z farmy Hacklera. Tym razem zapaliła się warstwa papieru między piernatem a materacem łóżka na pierwszym piętrze. Ten pożar był już niezwykły, ale stanowił zaledwie wstęp do przyszłych zdarzeń.

Między godziną ósmą a jedenastą tego dnia w poszczególnych częściach domu wybuchło jeszcze dziewięć pożarów. Strażacy z Odon, nie mogąc już opanować sytuacji, musieli w końcu wezwać na pomoc straż pożarną z pobliskiej Elnory. O dwudziestej trzeciej wreszcie wszystko dobiegło końca. Ugaszono w sumie 28 pożarów, które wybuchały w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach.

Nie ustalono przyczyny żadnego z nich. Okoliczności tego zdarzenia były tak osobliwe, że odnotowano je nawet w oficjalnym raporcie straży pożarnej, gdzie czytamy: „Niektóre z tych pożarów były tak dziwne, że nawet osoby łatwowierne musiałyby je uznać za rzecz niemożliwą. Wiszący na ścianie kalendarz w mgnieniu oka zmienił się w chmurę dymu. Spodnie kombinezonu wiszącego przy drzwiach nagle zajęły się ogniem. Kołdra zamieniła się w popiół na oczach zdumionych sąsiadów, którzy przyszli pomóc w gaszeniu. Wyjęta ze skrzyni książka paliła się wewnątrz okładek, czego od razu nie zauważono, bo jej okładki były całe". Raport ten kończy się tak: „Żadnego z rozważanych wyjaśnień nie można uznać za wystarczające. Cała ta sprawa jest niepokojącą zagadką dla ekspertów z dziedziny pożarnictwa".

Mimo zagadkowości tego zdarzenia nie można tu jeszcze stwierdzić wyraźnego związku między plagą pożarów a jakąś określoną osobą. Rodzina Hacklera postanowiła w końcu zburzyć dom. Brak dalszych informacji, czy także później nękały ją dziwne pożary.

Natomiast w przypadku rodziny MacDonald z Glace Bay w Nowej Szkocji ustalenie hipotetycznego związku wydaje się możliwe. Po południu 16 kwietnia 1963 r. na piętrze domu MacDonaldów z nie wyjaśnionych przyczyn wybuchł pożar. Ponieważ zakres powstałych szkód był znaczny, MacDonaldowie wraz z ich trzema przybranymi córkami przenieśli się do lokalu zastępczego.

Dwa dni później pogorzelisko oglądał przedstawiciel firmy ubezpieczeniowej. Pani MacDonald zabierała się właśnie do uprzątania gruzów. Kiedy wdała się w rozmowę z agentem ubezpieczeniowym, nagle rozszedł się silny swąd. Na górnym piętrze znowu doszło do pożaru.

Wspólnymi siłami udało się stłumić płomienie. Agent ubezpieczeniowy odjechał, a zjawili się inni członkowie rodziny, by zabrać się do usuwania dawnych i nowych zniszczeń.

Po kilku godzinach nagle górne piętro znowu stanęło w ogniu. Tym razem pożar szerzył się jak burza i straż pożarna mogła z nim walczyć tylko z zewnątrz, przez okna. Choć jego przyczyną nie mogły być uszkodzone przewody elektryczne, ponieważ prąd wyłączono zaraz po pierwszym pożarze, MacDonaldowie postanowili jednak założyć nową instalację elektryczną od piwnicy aż po sam strych. Jak postanowili, tak też zrobili.

16 maja 1963 r., dokładnie miesiąc po tym, jak zaczęły się harce ognia, pani MacDonald udała się z córką do remontowanego domu, by skontrolować postępy prac.

Ledwo znalazły się w środku, a już poczuły swąd spalenizny. Zarzewiem ognia okazało się tym razem stojące we wnęce łazienki pudło z tekturową pokrywką, w którym zapalił się papier. Wezwana straż pożarna ugasiła ogień i odjechała.

Przedwcześnie jednak uznano sprawę za załatwioną, bo nie minęło pół godziny, a straż pożarna znowu była potrzebna. Tym razem gwałtowny ogień wybuchł w skrzyni stojącej w sypialni. Kiedy i ten ogień został ugaszony, zdezorientowani strażacy starali się ustalić, co się właściwie tu dzieje. Na próżno jednak; oba ogniska pożaru oddzielał mur, który tylko trochę się rozgrzał od ognia. Na żadnym z pogorzelisk nie udało się znaleźć niczego, co mogłoby wskazywać na przyczynę pożaru. Strażacy opuścili dom MacDonaldów w poczuciu, że są, jak się wyrazili, kompletnymi idiotami. Niedługo jednak trwała ich nieobecność, bo już po dwóch godzinach byli tam znowu. Nowy pożar był szczególnie dziwny.

Tym razem zajęła się ogniem wewnętrzna strona drzwi szafki kuchennej, choć nie było w niej niczego palnego, a tylko noże, widelce i inne kuchenne przybory. Nie było tam ani ścierek nasyconych olejem, ani żadnych chemikaliów.

Nieszczęśni strażacy wrócili kolejny raz do remizy, wściekli i niezdolni do zrozumienia czegokolwiek. Ten dzień był dla nich bardzo męczący, bowiem po każdej akcji musieli tankować paliwo, rozkładać węże do suszenia i czyścić oporządzenie i mundury.

Właściwie mogliby się ograniczyć tylko do zatankowania, bo nie minęło pół godziny, a już znowu nadeszło wezwanie z domu MacDonaldów. Ogień, który tym razem powstał, był niewielki, ale dowódca ekipy miał dość ciągłych wyjazdów, więc powiadomił szefa policji, który nakazał strzec tego domu.

Do MacDonaldów przyszli sąsiedzi wyrazić im swoje współczucie i omówić sytuację. Obecność policjanta podziałała na wszystkich uspokajająco i można było sądzić, że nawiedzenie się skończyło.

W pewnej chwili jeden z gości zawołał: „Pali się!"

Spod półki na ścianie zaczął wydobywać się dym. Zerwano ją więc i stłumiono zarzewie ognia. Policjant obejrzał ścianę, ale pod półką wszystko było w porządku, nie było tam niczego, co mogłoby spowodować samozapłon.

Na tym urwała się ta niewytłumaczalna seria. Ponieważ nikt nie mógł wskazać żadnej przyczyny, firma ubezpieczeniowa odmówiła wypłaty odszkodowania.

Podobnie jak wcześniej w przypadku rodziny Hacklerów i tu „trop pożarowy" później znika. W tej sprawie dałoby się jednak, oczywiście czysto hipotetycznie, stwierdzić jakieś powiązanie między niezwykłymi zjawiskami i jedną z osób, a mianowicie panią MacDonald.

W roku, w którym rozegrały się te dziwne przypadki, pan MacDonald w wieku sześćdziesięciu dziewięciu lat przeszedł na emeryturę. Cała rodzina musiała odtąd żyć ze skromnych środków. Pani MacDonald, o cztery lata młodsza od męża, nie miała własnych dzieci; oboje małżonkowie jednak kochali dzieci i poświęcili swe życie służbie na rzecz dobrej sprawy (choć określenie to brzmi pompatycznie, w tym przypadku jest w pełni uzasadnione).

Adoptowali oni liczne dzieci, by je przez wiele lat otaczać czułą opieką i dbać o ich wychowanie. W czasie serii pożarów w domu mieszkało troje z nich, dziewczęta w wieku blisko dwudziestu lat.

Jakie to wszystko ma znaczenie dla naszych rozważań?

Rok 1963 był kryzysowy dla MacDonaldów. Zmniejszenie się dochodów (przy niezmniejszonych potrzebach), szok emerytalny pana MacDonalda, większe obciążenie psychiczne pani MacDonald.

A w kryzysowym okresie mogłoby się zdarzyć, że jedni ludzie staną w płomieniach, inni zaś skierują na zewnątrz nagromadzone w nich emocje (także w psychologii rozróżnia się agresję egzogenną i endogenną).

Przyznajemy, że to nieco chwiejne rozumowanie, ale może da się je czymś podeprzeć.

W wielu przypadkach źródłem niekontrolowanych zjawisk parapsychologicznych są młodociani albo dzieci; wydaje się, jakby jeszcze nieukształtowany (często chciałoby się powiedzieć: nie zniekształcony) umysł człowieka miał lepszy kontakt z pokładami własnej nieświadomości. Tymczasem u dorosłych do wyzwolenia zjawisk parapsychologicznych (albo ogniowej magii) potrzebna jest specyficzna kombinacja różnych czynników, których nie znamy. Przyjmijmy na chwilę takie założenie.

Najsławniejsza zapewne, a zarazem najczęściej opisywana i najwnikliwiej analizowana seria zagadkowych pożarów zaczęła się 7 sierpnia 1948 r. na farmie Charlesa Willeya położonej o 20 kilometrów na południe od Macomb (Illinois).

Zamieszkiwali tam małżonkowie Willey, oboje już po sześćdziesiątce, szwagier Willeya Arthur McNeil, jak również dzieci tego ostatniego, ośmioletni Arthur i trzynastoletnia Wanet. McNeil był rozwiedziony, sąd przyznał mu prawo opieki nad dwójką dzieci. Była żona McNeila mieszkała w Bloomington (Illinois).

Wymieniamy tu osoby zamieszkujące farmę Willeya i określamy ich sytuację rodzinną, ponieważ szczegóły te mają znaczenie.

Wymienionego dnia zupełnie nieoczekiwanie na papierowych tapetach pokrywających ściany pięciu izb w domu Willeya pojawiły się małe brązowe ślady przypalenia. Miały średnicę od pięciu do ośmiu centymetrów i wyglądały tak, jakby jakaś niewidzialna ręka w różnych miejscach przysuwała do ścian równie niewidzialny płomień. Temperatura w tych

miejscach stale wzrastała, aż przekroczyła 300 C, temperaturę zapłonu papieru.

Wtedy tapety na ścianach stanęły w ogniu.

Taki stan trwał całymi dniami. Sąsiedzi przychodzili, aby polewać wodą (z rozstawionych po całym domu naczyń) nieustannie pojawiające się nowe punkty żaru.

Wezwano na pomoc Freda Wilsona, dowódcę straży pożarnej w Macomb, który polecił bezwzględne usunięcie papierowych tapet ze wszystkich ścian. Nic to jednak nie pomogło.

Brązowe przypalone plamy ukazywały się nadal, tym razem na gołych deskach, krokwiach i poszyciu dachu, nawet na suficie. Były w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach. Ich temperatura była coraz wyższa. W następnym tygodniu plaga przypalonych plam nie ograniczała się już tylko do wnętrza domu, ale objęła swoim zasięgiem także werandę.

W ciągu tego tygodnia ogień wybuchł w około 200 miejscach, a każdego dnia pojawiało się przeciętnie 29 nowych ognisk. Mimo nieustannej obserwacji i natychmiastowego przeciwdziałania dom Wileyów w końcu padł pastwą płomieni.

Rodzina przeniosła się wtedy do garażu; było to w sobotę. W niedzielę, kiedy Willeyowie doili krowy na podwórzu, nagle stanęła w ogniu stodoła. Nie dało się jej już uratować.

Dwa dni później seria podobnych pożarów wybuchła w mleczarni na farmie Willeyów; wieczorem tego samego dnia ogień strawił drugą stodołę. Świadkiem pożaru drugiej stodoły był agent firmy produkującej sprzęt przeciwpożarowy, który w tym właśnie czasie zjawił się u Wileyów ze swoimi urządzeniami. Opowiadał potem, że od ognia bił tak wielki żar, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczył. Jego sprzęt okazał się tu całkowicie nieprzydatny. (Niezwykły żar to dla nas również znana już okoliczność). W środę Willeyowie i McNeil dali za wygraną.

Dosłownie uciekli do sąsiedniego domu, który stał akurat pusty. Od tej chwili niesamowitymi wydarzeniami zajęło się wojsko.

Lewis C. Gust, naczelny technik lotniska Wright z Dayton (Ohio), wysłał na farmę Willeya eksperta. Przypuszczano, że

przyczyną tego zdarzenia mogły być fale elektromagnetyczne o specyficznej częstotliwości i amplitudzie. Coś w rodzaju promieni śmierci, o jakich wówczas wiele się mówiło.

W wywiadzie dla „Chicago Sun-Times" Gust powiedział: „Gdyby ktoś miał materiał dający się zapalić falami radiowymi, to takie miejsce, jak farma Willeyów, gdzie diabeł mówi dobranoc, byłoby wprost wymarzonym poligonem doświadczalnym".

Technik ten zaznaczył, że są to może trochę daleko idące przypuszczenia, jednak nie wolno podejmować ryzyka.

Przypuszczenia te nie tylko szły za daleko (przynajmniej jeśli chodzi o możliwość zachowania w tajemnicy takich tajnych prób), ale też były błędne, czego dowiodło dochodzenie prowadzone przez ekspertów z ramienia wojsk lotniczych.

Tymczasem na farmie, która zdaniem Gusta leżała na odludziu, było rojno jak na jarmarku. Eksperci urzędowi i samozwańczy, reporterzy i niezliczeni ciekawscy deptali sobie nawzajem po piętach. Były dni, kiedy na terenie farmy przebywało przeszło tysiąc osób naraz. Chaosowi nie było widać końca.

Dalej tak być nie mogło, musiało się znaleźć wyjaśnienie, i to bardziej prawdopodobne niż dotychczas wysuwane (od aerozolu na muchy przez fale radiowe aż do gazu ziemnego). Ponieważ także badania laboratoryjne niczego nie wykazały (tapety mimo swoistej skłonności do samozapłonu okazały się całkiem zwyczajne), zwyciężył wariant celowego podpalenia.

Taki był sens oficjalnego komunikatu z 30 sierpnia 1948 r. Również podpalacza nie trzeba było szukać daleko; chodziło o trzynastoletnią córkę McNeila, Wanet, siostrzenicę Willeya.

Drobna rudowłosa dziewczynka miała być przyczyną wszystkich ognisk pożaru, małych i wielkich, do czego byłby jej potrzebny wagon zapałek i niezłomna wytrwałość.

Ten komunikat, będący drwiną ze zdrowego rozsądku, lekceważył wszystkie zeznania świadków, którzy twierdzili, że tlące się miejsca pojawiały się wszędzie bez powodu; ponadto wystawiał wszystkim domownikom, sąsiadom i urzędowym obserwatorom świadectwo ślepoty albo głupoty, poza tym ignorował fizyczną niemożność podpalenia sufitu przez podrzucanie zapałek do góry.

Wyjaśnienie to było naciągane, podobnie jak sposób zdemaskowania Wanet i uzyskania od niej przyznania się do winy, na którym opierały się dalsze absurdy. Było tak:

W domu na farmie, do którego przenieśli się Willeyowie i McNeilowie, również pojawił się niewielki ogień. To utwierdziło zastępcę szeryfa Burgarda w podejrzeniu celowego podpalenia. Zastawił więc niezwykle wyrafinowaną pułapkę, umieszczając na widocznym miejscu pudełko zapałek. Kiedy pudełko zniknęło, nieszczęsna Wanet istotnie była w pobliżu. I to wystarczyło.

Burgard i prokurator Keith Scott wzięli dziecko na stronę i po godzinie intensywnego przepytywania trzynastolatka przyznała się, że to ona była tym ognistym diabłem. Niewątpliwie przyznałaby się także do zabójstwa Abrahama Lincolna, gdyby ją o to pytano.

Niewiele osób uwierzyło w winę Wanet. Gomer Bath, znany redaktor czasopisma „Star", który szczególnie wnikliwie badał tę sprawę, dał wyraz swemu sceptycyzmowi; nic to jednak nie pomogło. Nareszcie wszyscy byli zadowoleni, skoro sprawca został wykryty i sprawę można było odłożyć *ad acta*.

Dodatkowym potwierdzeniem słuszności tych podejrzeń był fakt, że seria dziwnych pożarów się skończyła.

Dlaczego właściwie się skończyła?

Oczywiście, Wanet nie wędrowała po okolicy z plecakiem zapałek, aby niezauważenie podkładać ogień w coraz to nowych miejscach, nie gardząc przy tym użyciem czapki niewidki i drabiny. A jednak być może Burgardowi udało się wpaść na właściwy trop, jeśli nawet nie zawdzięczał tego swej inteligencji.

Mała Wanet McNeil mogła istotnie być sprawczynią serii pożarów. Zostawmy niedorzeczne pomysły dziecięcej zabawy zapałkami i powróćmy do naszej hipotezy, że w pewnych sytuacjach stresowych niektórzy ludzie mogą aktywizować ukryte zdolności, rozładowując własny stres przez autoagresję (np. samospalenie) albo agresję skierowaną na zewnątrz (np. wzniecanie pożarów). Przyjmijmy także, iż u dzieci występuje zjawisko szczególnej więzi ze sferą podświadomości, która jest siedliskiem tych wszystkich zjawisk.

Mała Wanet była bardzo nieszczęśliwa, cierpiała wskutek rozłąki z matką. Ojciec, nie mający pojęcia o troskach, pragnieniach i potrzebach małej dziewczynki, nie zapewniał jej poczucia bezpieczeństwa, a życie na farmie było dla niej koszmarem. I z każdym dniem było gorzej.

Dr Sophie Schroeder, psycholog z dziecięcego szpitala w Illinois, charakteryzowała małą Wanet jako całkowicie normalne dziecko, które jest w stanie rozpaczy z powodu uwikłania w trudne do zniesienia okoliczności rodzinne.

Po widowisku urządzonym przez prasę w sierpniu 1948 r., ukoronowanym przez przyznanie się Wanet, dziecko oddano pod opiekę babki, gdzie mniej cierpiała. Wtedy seria pożarów się skończyła. Czy to przypadek?

Jeśli tak, to przypadkiem trzeba byłoby też tłumaczyć sprawę czternastoletniej Jennie. Dziecko to zostało wzięte na wychowanie w 1891 r. z sierocińca Belleville przez małżeństwo Dawson, które je adoptowało.

Dziewczynka przebyła zapalenie opon mózgowych. W czasie rekonwalescencji miewała zawroty głowy i nachodziła ją senność graniczące z transem. Kiedy była w takim właśnie stanie, nagle wskazała sufit nad łóżkiem, wołając: „Patrzcie!" Okazało się, że sufit się palił. Ogień ugaszono.

Następnego dnia dziewczynka wskazała szczyt sąsiedniego domu, który właśnie płonął. Ledwie zdołano opanować ten pożar, a już w jednym z pomieszczeń tego domu powstała jednocześnie cała seria ognisk pożaru. Zaraz potem to samo zjawisko wystąpiło również w innej części domu Dawsonów. Zbiegli się na pomoc sąsiedzi, ale to, co zobaczyli, niezbyt przypominało normalny pożar. Na przykład w jednym z pomieszczeń, do którego pożar dopiero dotarł, niespodziewanie zapalił się i zmienił w obłok dymu obraz zawieszony na ścianie dość odległej od ognia.

W ciągu następnego tygodnia powstało kilkaset pożarów. Jak już wiemy, ogień pojawiał się w dziwnych miejscach: paliły się tapety, ręczniki, krokwie, meble itd. Także sam ogień nie przypominał normalnego. Jego ogromna temperatura, podobnie jak inne okoliczności, wyraźnie kojarzyła się ze spontanicznym samospaleniem. Pojedyncze płomienie wyodrębniały się niezwykle wyraźnie i w czasie krótszym od jednej

sekundy wżerały się w ściany na głębokość wielu centymetrów. Mur był przy tym tak bardzo rozgrzany, że nawet po drugiej stronie nie można go było dotknąć. Płonące przedmioty po wyniesieniu z domu na dwór przestawały się palić, zamiast zapłonąć ze wzmożoną siłą przy większym dostępie tlenu. Shier, brat pani Dawson, opowiadał, że kiedy siedział na krześle, nagle leżący przed nim na podłodze kot stanął w ogniu. Zwierzę wypadło na dwór, gdzie ogień znikł.

Epidemia pożarów ustała, kiedy Jennie odstawiono z powrotem do sierocińca.

Jeszcze bardziej jednoznacznie wygląda sprawa dwunastoletniego Willie Brougha z Turlock (Kalifornia). Rodzice porzucili go, sądząc, że jest opętany przez diabła. Ci purytanie o ciasnych horyzontach przypisywali szatanowi fakt, że Willie umiał zapalać przedmioty samym spojrzeniem. Oczywiste jest, że chłopiec ten jeszcze przed porzuceniem przeżył piekło na ziemi, co zgadza się z naszą hipotezą. Także i potem nie było lepiej. Zajął się nim pewien farmer i posłał go do szkoły, gdzie chłopiec miał już odpowiednią opinię. Pierwszego dnia, kiedy Willie poszedł do szkoły, wybuchło tam pięć pożarów. Nazwanie chłopca jednak zwykłym podpalaczem byłoby równie mało uzasadnione, co później w przypadku nieszczęsnej Wanet.

Płomienie pojawiły się na suficie, w biurku nauczyciela, w skrzyni i na ścianach. Wszystkie te ogniska odkrył Willie; jednak możliwość podłożenia ognia przez niego była wykluczona. Zebrała się dyrekcja i rada pedagogiczna, by podjąć decyzję o wyrzuceniu ze szkoły chłopca o „diabelskim" spojrzeniu. Wtedy pożary się skończyły.

Na podstawie tych przypadków można się pokusić o próbę podsumowania. Czy zatem hipoteza, że zjawisko spontanicznego samospalenia w pewnych warunkach wydobywa się z ludzi na zewnątrz zamiast dotknąć ich samych, ma jakieś uzasadnienie? Innymi słowy, czy istnieje związek między samospaleniem a zdolnościami paranormalnymi, w najszerszym ich rozumieniu?

Odpowiedź musi zapewne brzmieć: tak.

Idźmy krok dalej. Czy przykłady dowodzą słuszności tej hipotezy?

Oczywiście, że nie. Udowodnić można co najwyżej, przy największym wysiłku, twierdzenie, że Ziemia nie jest płaska. Dowód wielu innych pewnych odkryć polega głównie na braku dowodu przeciwnego, podczas gdy teorie nowej fizyki udowadnia się często powołując się na prawdopodobieństwo(!)

Albert Einstein powiedział, że niczego nie można dowieść w sposób ostateczny. Według jego własnych słów „Teoria względności może obowiązywać przez tysiąc lat, a dzień później zostać obalona".

Byłoby przejawem efekciarstwa, gdybyśmy chcieli uznać za dowód prezentowane tu teorie, które szukają powiązań między zjawiskami niewytłumaczalnymi. Tego robić nie możemy, nie potrzebujemy i nie chcemy.

Gdyż wcale nam o to nie chodzi.

Teorie są ulotnymi, obowiązującymi przez pewien czas interpretacjami zjawisk, które niewiele sobie robią z tego, jak my je rozumiemy.

Niektóre teorie okazują się po prostu fałszywe (np. teoria geocentryczna). Inne można uważać za część prawidłowości wyższego rzędu (np. mechanika Newtona), a jeszcze inne mogą być wstępem do szerszych teorii (np. hipoteza obserwatora mechaniki kwantowej).

Niezmienna pozostaje istota zjawisk, także tych niewytłumaczalnych.

Próby interpretacji i teorie szkicowane w tej książce nie mają na celu faktycznego wyjaśniania spraw niewyjaśnionych, ale stanowią część wystąpienia w obronie rozumu fantastycznego.

Poznaliśmy skromny wycinek z bogatej gamy zjawisk zagadkowych i snuliśmy na tej podstawie rozważania, czy można tu odkryć powiązania, a może nawet pewien porządek. Poprawna odpowiedź na to pytanie brzmi: Może tak — a może i nie.

Zręczni adwokaci (szczególnie w telewizyjnych serialach) uciekają się nieraz do wybiegu, polegającego na prezentacji hipotezy zawierającej wszystkie dowody oskarżenia, a jedynie dotyczącej innej osoby niż oskarżony. Wybór bardziej prawdopodobnej ewentualności należy do przysięgłych. Podobnie

wygląda i nasza sytuacja, mamy bowiem przed sobą równie wiarygodne interpretacje.

Decyzja nie należy do łatwych, zbyt często bowiem zdarza się, że jeśli nawet jakiś problem ma kilka rozwiązań, to żadne z nich nie trafia w sedno sprawy.

A zresztą nie jest istotne, czy parapsychologię i spontaniczne samospalenie coś wiąże, czy też nie albo czy każde zjawisko (wytłumaczalne lub nie) istnieje samo dla siebie, czy jest powiązane z wszystkimi innymi, jak wydaje się sugerować wspomniany eksperyment Einsteina, Podolskiego i Rosena.

Istotne jest, by zmienić nasz sposób myślenia i zaakceptować fakt, że żyjemy we wszechświecie nie tylko większym, ale także bardziej dziwnym, niż możemy to sobie wyobrazić. Nie zostaliśmy umieszczeni we wszechświecie jak postronni obserwatorzy, ale on nas stworzył.

Zadanie zrozumienia wszechświata, którego jesteśmy odzwierciedleniem, nabiera wagi z każdym dniem, ponieważ coraz szybciej staczamy się do przepaści, którą sami wykopaliśmy.

Laureat Nagrody Nobla, Steven Weinberg, ujął tę konieczność w pełne wyrazu słowa, pisząc w swej książce *Pierwsze trzy minuty: współczesny obraz początku wszechświata*: „Bardzo trudno wyobrazić sobie, że wszystko to stanowi jedynie maleńki fragment przygniatająco wrogiego Wszechświata. Jeszcze trudniej uwierzyć, że Wszechświat ten powstał w tak niezwykłych warunkach i że czeka go zagłada w bezgranicznym zimnie lub potwornym żarze. Im bardziej jednak rozumiemy wszechświat, tym mniej widzimy dla siebie nadziei.

Jeżeli nawet nie znajdujemy pociechy w owocach naszych badań, to wciąż jednak odczuwamy potrzebę poznawania. Ludzie nie tylko wymyślają historie o bogach i tytanach i nie tylko poświęcają swoje myśli sprawom codzienności, lecz również budują teleskopy, satelity i akceleratory, pracując nieustannie nad dotarciem do istoty Wszechświata. Wysiłek ten jest jedną z niewielu rzeczy, które naszemu życiu nadają prawdziwie wzniosły wymiar".[1]

[1] Steven Weinberg, *Pierwsze trzy minuty: współczesny obraz początku wszechświata*, przeł. Aleksander Blum, Warszawa 1980.

Nie trzeba tej sprawy rozpatrywać w aż tak ostatecznych kategoriach. Może jednak wszechświat nie jest nam tylko wrogi. W końcu nie wszystkie znane czy nieznane zjawiska znajdują się w bilansie po stronie pasywów (gdyby tak miało być, to nas i tak by nie było).

Jeśli nawet nie dajemy żadnej szansy naszemu środowisku i wszystkim innym gatunkom (a w rezultacie także samym sobie), to nie musi to jeszcze znaczyć, że przyjdzie nam wypić piwo, którego sami nawarzyliśmy. W tzw. prawdziwym życiu wina niezwykle rzadko pociąga za sobą karę.

Może dysponujemy jakimiś utajonymi zasobami, które się zaktywizują dopiero pięć po dwunastej (za pięć dwunasta jest w tej chwili). Pomyślmy choćby o sile ducha, której zdołaliśmy zaledwie powierzchownie dotknąć we wcześniejszych rozdziałach.

Każde zjawisko ma co najmniej dwie różne strony. Gdyby nawet spontaniczne samospalenie istotnie miało być szczególną formą ludzkiej skłonności do samounicestwienia (powiększając nasz bogaty arsenał środków służących do tego celu o jeszcze jeden, wydawałoby się bezsensowny element), to można sobie przynajmniej wyobrazić siłę o przeciwnym charakterze. Jakiekolwiek przypadłości nas nawiedzają, zawsze znajdują się ludzie na nie odporni (istnieje nawet rodzaj odporności na AIDS, czego uczą przypadki samoistnych wyleczeń u nosicieli wirusa HIV). Można by więc przyjąć w charakterze czystej hipotezy, że ognioodporność, jaką prezentował na przykład D.D. Home, mogłaby być czymś w rodzaju naturalnej odporności na spontaniczne samospalenie.

Przyznajemy, że to daleko idąca myśl, ale niewykluczone, że możliwa do przyjęcia. Nie ma potrzeby domagać się niczego więcej. I tak udało się nam posunąć o krok do przodu.

Jeśli bowiem ktoś nigdy nie słyszał, że ludzie mogą wybuchać ogniem, przedmioty mają wspomnienia, przyszłość istnieje już teraz itd., to pierwsza reakcja na te sprawy jest negatywna. Tak zwany zdrowy rozsądek buntuje się. Jeśli jednak, tak jak my w tej książce, krok po kroku poznawać bliżej (zachowując niezbędny sceptycyzm) to co nieznane, niewyjaśnione, fantastyczne, wtedy obraz często przywoływa-

nej rzeczywistości ulegnie zmianie. Stanie się szerszy, bardziej złożony, bardziej cudowny; nagle także w sferze codzienności odkryjemy podobieństwa do tych dziwacznych wyobrażeń, które tworzy nauka dzisiejsza na temat makro- i mikrokosmosu. Coraz silniejsze stanie się odczucie, że pojęcie cudu nie poddaje się już ścisłemu zdefiniowaniu. Nie daje się zakreślić granic. W ostatecznej konsekwencji zaczyna nas nurtować pytanie, czy w ogóle istnieje jakiś koniec, skoro z jednego wynika coś innego, i tak w nieskończoność.

Jeśli na przykład zgodzić się na możliwość istnienia naturalnej odporności na ogień, to od razu nasuwa się pytanie, czy istnieje także naturalna odporność na wodę.

Stop, czy tu jednak nie dotarliśmy już przynajmniej do jednej granicy?

Odpowiedź brzmi: nie.

W „New York Herald Tribune" z 13 sierpnia 1931 r. ukazał się następujący nekrolog niejakiego Angelo Faticoniego, zmarłego 2 sierpnia tego roku w wieku siedemdziesięciu dwu lat w Jacksonville (Floryda): „Nie żyje Angelo Faticoni, znany jako 'człowiek-korek', ponieważ nawet obciążony ołowianymi ciężarkami mógł pływać po powierzchni wody. Faticoni umiał spać na powierzchni wody, zwinięty w kłębek albo w każdej innej pozycji. Pewnego razu zaszyto go w worek i wrzucono do wody głową na dół. Mimo to nie utopił się. Po ośmiu godzinach wyciągnięto go żywego. Faticoni dobrowolnie poddał się szczegółowym badaniom na Harvard University. Autorytety medyczne nie były jednak w stanie stwierdzić jakiejkolwiek organicznej przyczyny jego niezatapialności".

Czy jest to dziwny, ale może tylko odosobniony przypadek, wybryk natury, nie pozwalający na traktowanie go jako fenomenu? A jeśli niezatapialność nie jest tak rzadkim zjawiskiem?

5 grudnia 1660 r. w cieśninie Dover zatonął statek. Katastrofę przeżył tylko jeden jedyny rozbitek, który się nazywał Hugh Williams. W 1780 r., a więc sto dwadzieścia lat później, znowu dokładnie 5 grudnia, w cieśninie Dover zatonął inny statek wraz z całą załogą; jedynym ocalałym był człowiek nazwiskiem Hugh Williams. 5 sierpnia 1820 r. na Tamizie wywróciła się łódź wycieczkowa. Utonęli wszyscy

pasażerowie z wyjątkiem pięcioletniego chłopca, który się nazywał Hugh Williams. W czasie drugiej wojny światowej, 10 lipca 1940 r., trawler brytyjski zderzył się z niemiecką miną pływającą. Tu również nikt nie uszedł z życiem, poza dwoma osobami, wujem i siostrzeńcem. Obaj nazywali się Hugh Williams.

Jak należy to oceniać? Czy niezatapialność jest cechą dziedziczną, czy może tę zdumiewającą serię ocaleń tłumaczą koncepcje synchronizmu C.G. Junga? Czy rzeczywiście ludzi, przedmioty i zdarzenia w przestrzeni i czasie wiąże ze sobą nie przyczynowość, ale podobieństwo, jak twierdzą zwolennicy tego uczonego? Mimo woli przychodzi tu na myśl szkolny zeszyt Napoleona, kończący się słowami: „Mała Wyspa Św. Heleny", które dają asumpt do najróżniejszych interpretacji. Im pewniejszy wydaje się grunt faktów, na którym stoimy, tym częściej ugina się on pod nogami. Pod nim czai się to, co jest egzotyczne, niezrozumiałe, niewytłumaczalne, czego w dodatku nie możemy odłożyć *ad acta* jako rzeczy niemożliwej.

Ze słowem „niemożliwe" w ogóle są kłopoty. Amerykański autor opowiadań *science fiction*, Arthur C. Clarke, człowiek mający naukowe przygotowanie (studiował fizykę i matematykę) ujął ten problem w dwa zwięzłe sformułowania. Jedno z nich (miłośnicy *science fiction* mówią z entuzjazmem o „prawie Clarke'a") brzmi: „Kiedy jakiś poważny starszy naukowiec powie, że coś jest możliwe, to prawdopodobnie ma rację. Kiedy zaś powie, że coś jest niemożliwe, to prawdopodobnie się myli".

Bardziej znany jest jednak inny, elektryzujący cytat z Clarke'a: „Zaawansowanej nauki nie da się odróżnić od magii". Nic dodać, nic ująć.

Tak uzbrojeni, odważymy się zmierzyć z jeszcze większymi osobliwościami. Jak się okazało, w życiu otaczają nas zagadki, których źródłem nieraz jesteśmy my sami. Również śmierci niektórych osób towarzyszą niewytłumaczalne okoliczności.

To jednak musi już być naprawdę ostatnia granica. Za nią wszystko się kończy, sprawy wytłumaczalne i niewytłumaczalne.

I znowu trzeba zaprzeczyć.

Zmarli nie mogą zaznać spokoju (nie w sensie ezoterycz-

nym), wokół nas i w grobowcach dzieją się rzeczy upiorne (co nie ma nic wspólnego z upiorami), a między tym i tamtym światem ujawniają się powiązania, które z okultyzmem mają tyle wspólnego, co szklana kula z radarem.

Otwórzmy więc drzwi do innego świata...

Nietykalni

Kiedy ktoś umrze, ci, którzy go kochali, zachowują go w pamięci takiego, jakim był za życia. Jest w tym pewna pociecha, gdyż pełen trudu byt człowieka owiewa tchnienie nieśmiertelności.

Tymczasem jego doczesna powłoka wraca do ziemi i nawet najbardziej wyrafinowane techniki mumifikacji nie są w stanie jej zakonserwować po wieczne czasy. Co się zaś tyczy modnej ostatnio techniki zamrażania zmarłych, to jej przydatność będzie można ocenić dopiero wtedy, gdy w bliższej czy dalszej przyszłości zostanie podjęta próba przywrócenia do życia milionerów, leżakujących tymczasem w ciekłym helu.

Wydaje się jednak, że niektórzy zmarli nie podlegają żelaznym prawom przemiany materii.

W czerwcu 1955 r. budowlani, wykonujący fundamenty pod budynek w pobliżu miejscowości Monroe (Luizjana), natknęli się na zakopany w ziemi przedmiot. Okazało się, że była to wielka metalowa skrzynia, uszczelniona ołowiem. Robotnicy powiadomili władze. Po otwarciu pojemnika, okazało się, że wewnątrz była trumna.

Leżała w niej młoda dziewczyna, sprawiająca wrażenie śpiącej. Nie było widać żadnych oznak rozkładu, jakby umarła poprzedniego dnia i dopiero co została pochowana. Jednakże na małej srebrnej tabliczce odczytano nie tylko imię zmarłej „St. Claire", ale także datę pogrzebu. Odbył się on 7 września 1814 r. Dla medycyny była to wówczas i jest do dziś dnia zagadka. Doskonałe zachowanie się ciał zmarłych jest tajemniczym zjawiskiem, którego przykłady można znaleźć na przestrzeni wieków czy nawet tysiącleci. Jednym z najstar-

szych i najlepiej udokumentowanych jest przypadek św. Cecylii.

Ta młoda Rzymianka należała do pierwszych męczenników chrześcijaństwa. W roku 177 po nieudanej próbie ścięcia jej przez niedoświadczonego kata porzucono ją w agonii na podłodze jej rodzinnego domu. Po trzech dniach śmierć wyzwoliła ją od okropnych męczarni.

Ciało świętej przeniesiono potem do katakumb św. Kaliksta dokładnie w tej samej pozycji, w której zmarła — ze złożonymi rękoma, twarzą zwrócona ku ziemi, z na pół przeciętym karkiem. Wszystko to działo się w tajemnicy. Wiele wieków później, a mianowicie w 822 r., papież Paschalis I poznał miejsce jej pochówku, jak mówi tradycja, przez objawienie. Rozkazał on wydobyć ciało z katakumb i pochować na nowo pod ołtarzem bazyliki pod wezwaniem św. Cecylii. Minęły kolejne wieki.

W 1599 r. miejsce spoczynku św. Cecylii ponownie zakłóciły podjęte prace konserwatorskie. Jej ciało było nienaruszone, ręce złożone, a rana na karku wyraźnie widoczna. Brak było choćby najmniejszych oznak rozkładu. Przez ponad miesiąc ciało św. Cecylii było wystawione publicznie. Ani dostęp powietrza, ani inne czynniki nie spowodowały w nim żadnych zmian. Od tego czasu zmarła spoczywa, nadal niezmieniona, w specjalnym sarkofagu, który rozkazał wybudować papież Klemens VIII. Marmurowy nagrobek ukazuje młodą kobietę tak, jak wyglądała w dniu swej śmierci i jak wyglądałaby także i dziś, gdyby dokonać ekshumacji...

To nie przypadek, że pochodzące z dawniejszych czasów przykłady odporności na pośmiertny rozkład, czy jakkolwiek by to inaczej nazwać, dotyczyły przeważnie świętych. Kościół był przecież na przestrzeni wielu stuleci jedyną organizacją gromadzącą dokumentację historyczną. Nierzadko czynił to dość wybiórczo.

Poza tym samo odkrycie ewentualnego braku zmian pośmiertnych nie tylko u osób niższego stanu, ale i stanu szlacheckiego, nastręczało wielu trudności.

Trzeba przyznać obiektywnie, że władze kościelne nie dokonywały pochopnie oceny konkretnych przypadków, choć możliwość cudu chętnie akceptowano. Informacje ze

źródeł watykańskich zasługują więc na traktowanie ich jako wyników poważnych badań tych zjawisk.

Spośród wszystkich cudów przypisywanych świętym zjawisko omawiane w niniejszym rozdziale najlepiej nadaje się do weryfikacji. Niestety kręgi medyczne przez całe wieki nie chciały przyjąć go do wiadomości, mimo że kościelna kongregacja do spraw kanonizacji zgromadziła — jak dziś oceniamy — solidny materiał.

Ekshumacje i badania, jakie w takich przypadkach przeprowadzano, nie były traktowane jako sprawa jedynie wewnątrzkościelna, ale odbywały się przy udziale neutralnych świadków i lekarzy. Mimo to wśród fachowców nie wzbudziły one wielkiego zainteresowania.

Pierwsza dokumentacja naukowa tego zjawiska — równie zadziwiającego, co bynajmniej nie tak rzadkiego, jak można by sądzić — pochodzi spod pióra duchownego, którego rzetelność i obiektywizm nie ulegają wątpliwości.

Był to ojciec Herbert Thurston, który pod koniec XIX w. sporządził katalog takich zjawisk. Jak się okazało, zasadniczemu fenomenowi nieulegania rozkładowi mogą towarzyszyć zjawiska dodatkowe, różne w każdym przypadku. Niekiedy zwłoki zachowane w nienaruszonym stanie wydzielają specyficzny zapach, czasem nawet aromatyczny bezbarwny olej, którego pochodzenie i skład pozostają tajemnicą (szczególną zagadką jest niebywała ilość tego płynu, z czasem przewyższająca często kilkakrotnie masę ciała). Obserwowano brak stężenia pośmiertnego, a także w niektórych przypadkach dalsze trwanie po śmierci tzw. stygmatyzacji. Kiedy indziej ciało zachowywało ciepłotę, właściwą mu za życia, a bywało i tak, że obserwowano nawet ruchy kończyn, nie dające się wyjaśnić skurczami mięśni.

Nic dziwnego, że wspomniany bezbarwny olej, wydzielający się z nienaruszonych ciał świętych, traktowany jest jak relikwia i że przypisuje mu się moc uzdrawiającą. Nie ma nic zagadkowego nawet w tym, że tę moc faktycznie posiada, co jest medycznie dowiedzione. Moc tę można uzasadnić przywołując argument siły wiary oraz efekt *placebo*.

Bardziej skomplikowana jest sprawa zasadniczego zjawiska. Najpierw nasuwa się przypuszczenie, że ciała zmarłych

konserwują odpowiednie warunki otoczenia. Jednak, jeśli nawet pominąć różnorodność miejsc i sposobów pochówku tych zmarłych (gdyby rzeczywiście brak rozkładu zależał od tych czynników, to musiałoby to być zjawisko na skalę masową), inne fakty zupełnie do takiego założenia nie pasują.

Częstokroć stwierdzano tę osobliwą odporność na wszelkie zmiany pośmiertne w takich warunkach, które normalnie sprzyjałyby rozkładowi i przyspieszały jego przebieg, a także u zmarłych wskutek chorób powodujących wyniszczenie organizmu albo głębokie uszkodzenia narządów. Wydawało się jednak, że z chwilą śmierci czas jak gdyby się zatrzymuje. Zakonserwowane zwłoki odnajdowano także w masowych grobach, spoczywające tuż obok innych, znajdujących się w zaawansowanych stadiach rozkładu. Niektóre z nich pozostawały nietknięte nawet w warunkach sprzyjających gniciu. Ponieważ odzież na nich była całkiem zbutwiała, ciała wydobywano prawie nagie, ale poza tym zupełnie nienaruszone. U niektórych nieszczęśników, zakopywanych do ziemi jak psy, nawet bezpośrednia styczność z otaczającą glebą nie zdołała zapoczątkować rozkładu.

Dopiero w XX wieku pojawiły się teorie medyczne dotyczące tego zjawiska, które w dziejach świętych jest szczegółowo udokumentowane. Ponieważ badania prowadzone w nowszych czasach wykluczyły ewentualność zabalsamowania, wyjaśniano je więc naturalnym procesem, który otrzymał nazwę saponifikacji. W jego wyniku tkanka ciała przemienia się w mydło amoniakalne, skóra natomiast pozostaje bez zmian, a nawet staje się mocniejsza.

Dla tej substancji, przypominającej mydło, przyjęto nazwę *adipocere* (pochodzącą od łacińskich słów *adeps* — tłuszcz, *cera* — wosk). Substancja ta powstaje, gdy zwłoki pochowano w szczególnie wilgotnej glebie albo w bezpośredniej bliskości procesów gnilnych.

Nie wiadomo wprawdzie, dlaczego i w jaki sposób *adipocere* miałoby powstawać jedynie w ciałach niektórych zmarłych. Jednak fakt, że ten trupi tłuszcz może pozwalać na wieloletnie zachowanie się poszczególnych partii ciała, stwarzał nadzieję na rzeczowe wyjaśnienie zjawiska. Substancji tej

brak było jednak w ciałach nie ulegających rozkładowi, a dodajmy, że jej obecność jest łatwa do wykazania.

Jeśli przyjrzeć się dokładnie poszczególnym przypadkom, to takie próby wytłumaczenia wydają się wprost wzruszająco naiwne.

Szczególnie okrutny los przypadł w udziale polskiemu świętemu Andrzejowi Boboli, którego okaleczone, ale poza tym niezmienione po śmierci szczątki są przechowywane jako relikwia w warszawskim kościele pod wezwaniem tego świętego. Męczennik Bobola w 1657 r. był torturowany przez Kozaków. Włóczono go za koniem na postronku z jednej wsi do drugiej, a potem niemal poćwiartowano. Zanim cięcie szabli położyło kres jego mękom, oderwano mu fragmenty twarzy i części kończyn. Został pochowany bez rozgłosu obok wielu innych na cmentarzu w Pińsku. Trwało wtedy duszne lato, a ziemia parowała wilgocią.

Czterdzieści lat później ciało Andrzeja Boboli zostało odnalezione wśród rozpadłych zwłok i szkieletów; przedstawiało ten sam widok, co w dniu śmierci.

Poddane wielu medycznym badaniom cudowne szczątki św. Andrzeja były wystawione w 1917 r. na widok publiczny.

W 1922 r. żołnierze Armii Czerwonej wyłamali drzwi do miejsca spoczynku męczennika. Słyszeli o cudownym zachowaniu się jego ciała i chcieli się o tym przekonać na własne oczy. Odchodząc, porzucili ciało św. Andrzeja Boboli, istotnie wolne od oznak rozkładu, na posadzce kościoła. Po wielu zabiegach i staraniach papieża święty znalazł się tam, gdzie znajduje się do tej pory.

Przykłady tego zjawiska spotyka się także w historiografii świeckiej. Tu co prawda okoliczności towarzyszące są często niezbyt chwalebne. Interesującym przykładem jest życie członka zakonu krzyżackiego Christiana Kahlbutza. Nieustraszenie bronił on w 1675 r. ojczystej Brandenburgii przed szwedzkim najazdem, ale poza tym jego postać nie budzi zbytniej sympatii. Był tyranem i rozpustnikiem co się zowie. Do jego ulubionych rozrywek należało korzystanie, zgodnie z przyjętym wówczas zwyczajem, z „prawa pierwszej nocy", które przyznawało władcy księstwa i innym arystokratom pierwszeństwo w łożnicy świeżo upieczonych mężatek niż-

szego stanu. Był w tym niestrudzony i nie znał litości. Oprócz swych jedenaściorga ślubnych dzieci Kahlbutz spłodził jeszcze co najmniej trzydzieścioro z miejscowymi dziewczętami i kobietami. Gdy pewnego razu spotkał się z odmową, zamordował narzeczonego dziewczyny, która nim wzgardziła.

To zdarzenie przywiodło go przed sąd książęcy i dzięki temu wiemy o jego zdumiewających losach. Uratowała go z opresji władza i pozycja społeczna, podobnie jak i dziś nieraz bywa. Sąd uznał, że nie ma powodu, by nie dawać wiary słowom szlachetnie urodzonego, który na dodatek zaprzysiągł w obliczu sędziów swą niewinność, wołając takimi oto płomiennymi słowy: „Jeśli ja jestem mordercą, niech dobry Bóg nie da nigdy zgnić memu ciału!"

Dopuściwszy się wielu dalszych wybryków i aktów przemocy, Christian Kahlbutz zmarł w 1702 r. Został pochowany w kościele znajdującym się w jego włościach.

Przeszło dziewięćdziesiąt lat później przy okazji remontu kościoła otwarto trumnę i odkryto doskonale zachowane ciało rycerza. W owych czasach nie zdziwiło to nikogo, prawie nikt bowiem nie wątpił, że to on właśnie był winien zbrodni.

Jest jasne, że mamy tu do czynienia z mieszaniną zabobonu, legendotwórstwa i zniekształconej tradycji. Bezsporny jest natomiast fakt, że zwłoki Christiana Kahlbutza nie uległy rozkładowi po jego śmierci.

W 1895 r. sekcji zwłok Kahlbutza dokonał patolog światowej sławy Rudolf Virchow; dziś jest on znany wielu ludziom już tylko ze swego publicznego spożycia chleba posmarowanego bakteriami wąglika, czym chciał w drastyczny sposób obalić teorię Roberta Kocha, jakoby istniały „małe zwierzęta" powodujące choroby. Virchow nie zdołał stwierdzić w zwłokach obecności najmniejszych nawet śladów substancji balsamujących i przyznał, że zwłoki nie tylko na zewnątrz, ale i wewnątrz były w nienaruszonym stanie. Inne autorytety medyczne z Berlina również nie zdołały wykryć niczego. Ciało rycerza nie zdradziło swej tajemnicy.

W czasie igrzysk olimpijskich w 1936 r. gości zawieziono wagonami do Kampehl, aby mogli tam zobaczyć rozkrojone, ale poza tym zupełnie dobrze zachowane doczesne szczątki Christiana Kahlbutza. Równie interesująca i tajemnicza jest

okoliczność, że całun rycerza rozpustnika nie uległ rozkładowi od czasu jego pogrzebu.

Mamy także szczegółową dokumentację na temat innego osobliwego przypadku. Zdarzenia, o których będzie tu mowa, zaczęły się po śmierci maronickiego świętego Charbela Makhloufa, zmarłego w 1898 r. i pochowanego w pustelni św.św. Piotra i Pawła w Libanie.

Zgodnie z regułą jego zakonu pochowano św. Charbela bez trumny. Wkrótce potem zarządzono jego ekshumację, ponieważ wokół grobu pojawiały się osobliwe światła. Ciało świętego nie wykazywało żadnych oznak rozkładu. Nawet otaczający je szlam, pozostawiony przez powódź, nie spowodował procesów gnilnych. Zmarłego gruntownie oczyszczono, ubrano w nową odzież i złożono do drewnianej trumny w klasztornej kaplicy. Już wkrótce z jego ciała zaczęła się wydobywać jakaś oleista ciecz, której zasoby wydawały się niewyczerpane.

W 1927 postanowiono umieścić zmarłego w trumnie cynkowej i zamurować ją w ścianie. W 1950 r. pielgrzymi spostrzegli, że przez mur przesącza się oleista substancja. Rozbito grobowiec św. Charbela Makhloufa i znaleziono go w cynkowej trumnie w stanie nie zmienionym od dnia śmierci.

Od tego czasu grobowiec i trumnę otwiera się raz do roku dla kontroli. Nie stwierdzono, jak dotąd, żadnych zmian. Przy tych okazjach pobiera się oleistą wydzielinę, która wykazuje właściwości lecznicze. Już sam fakt, że ciało zmarłego jest w stanie wytwarzać płyn w takiej ilości, stanowi zagadkę.

W swoich zapiskach ojciec Herbert Thurston odnotowuje, że częstokroć nieznane miejsca pochówku niezmienionych po śmierci świętych bywają wyjawiane potomności. Dokonuje się to dzięki zjawiskom świetlnym, jak w przypadku św. Charbela Makhloufa, albo drogą objawienia, jakiego miał doznać papież Paschalis I w przypadku św. Cecylii. Zaakceptowanie takich twierdzeń jest, rzecz jasna, głównie sprawą wiary. Dowodów na wizje i znaki z nieba przeważnie albo nie można przedstawić w ogóle, albo jest to trudne. Warto jednak o tym wspomnieć ze względu na zachodzący tu związek z realnie występującym zjawiskiem niewytłumaczalnego zakonserwo-

wania zwłok, czego się nie da zakwestionować ani zracjonalizować.

Także w naszym stuleciu zjawisko to stanowi temat tabu, podobnie jak sama śmierć. Fundamentalnym i jedynym opracowaniem tego tematu, kontynuującym dzieło dokumentacji ojca Thurstona, jest książka Joan Cruz *The Incorruptibles*, wydana w 1977 r., gdzie przytacza ona 102 (!) zbadane przypadki.

I dziś jeszcze od czasu do czasu rozchodzą się pogłoski o zmarłych, których ciała nie poddają się zwykłej kolei rzeczy, właściwej wszystkiemu, co żyje.

Kiedy w 1977 r. w hiszpańskim miasteczku Espartinas jeden z mieszkańców miał znaleźć miejsce wiecznego spoczynku obok syna w rodzinnym grobowcu, okazało się, że pochowany tam wcześniej José Garcia Moreno, zmarły w 1937 r. w wieku jedenastu lat na zapalenie opon mózgowych, nie wykazuje żadnych oznak rozkładu.

Miejscowi mogli podziwiać nienaruszone ciało małego chłopca w zetlałym odzieniu. Ponieważ, jak sądzono, był to znak łaski Bożej, zwrócono się do Watykanu o kanonizację chłopca. Co prawda z niewielkim skutkiem, gdyż — jak podkreślał ze szczególnym naciskiem ojciec Thurston w swoich notatkach — takie zjawiska jak stygmatyzacja, lewitacja, wizje albo nieuleganie rozkładowi nie stanowią decydujących czynników przy kanonizacji, ale bierze się pod uwagę przede wszystkim pobożne życie.

Jakkolwiek jest... Tajemnica pozostaje tajemnicą...

Na zakończenie omówienia tego działu tematycznego przedstawimy przypadek mumifikacji zwłok z terenu Niemiec, który od stuleci jest tematem dyskusji. Wyjaśnia on niektóre kwestie, jednak zarazem rodzi nowe, a przy tym jest jeszcze jednym przykładem na to, jak trudno jednoznacznie zakwalifikować takie zjawiska.

Piwnica poza czasem

W dziele wydanym w 1753 r. *Merkwürdige Reisen durch Niedersachsen, Holland und England* (Osobliwe podróże po Dolnej Saksonii, Holandii i Anglii), Zachariasz Konrad von Uffenbach tak opisuje swój pobyt w Bremie:

„Kiedy udaliśmy się znowu do Starego Miasta, pan Löhning zawiódł nas do katedry, aby nam pokazać coś zupełnie niepospolitego i osobliwego. Jest tam pod chórem piwnica, która ma moc zachowywania ciał zmarłych od rozkładu, podobnie jak w pewnym klasztorze we Francji, o którym tak jest głośno. Piwnica ta jest bardzo piękna, wysoka, jasna i przestronna. Przez wiele lat stało w niej kilka trumien, nim przypadkiem odkryto wyżej wzmiankowaną właściwość tego pomieszczenia. Ciał leży tam osiem, siedmiu dorosłych i jedno małe dziecko. Żadnego z nich nie dotknął rozkład, nie mają żadnej skazy, nie czuć też najmniejszego odoru. Nie tylko mają one, jak można mniemać, wszystkie członki, ale też paznokcie, zęby, włosy na brodach i głowie. Skóra ich nie jest ani czarna, ani żółta czy dziwnie zmieniona, ale zda się prawie naturalnego koloru. Ciało jednak jest całkiem suche i twarde".

Tak swoje przeżycia opisał podróżnik von Uffenbach.

Oczywiście także i w samej Bremie zastanawiano się nad tą interesującą, ale jednak dość dziwną atrakcją turystyczną.

W 1760 r. pismo „Bremisches Magazin zur Ausbreitung der Wissenschaft, Künste und Tugend" wydrukowało artykuł Anglika Edgara Bocharta, który donosił o odkryciu nie naruszonych przez rozkład zwłok kobiety. Odnaleziono je w ziemi (!) przy okazji prac budowlanych, prowadzonych

w kościele św. Małgorzaty w Westminster. Bochart szczegółowo rozwodził się nad przyczynami tego, jak to nazwał, „niezgnicia", dochodząc do wniosku, że wytłumaczeniem jest zaawansowany wiek zmarłej: „Wiadomo, że w tym wieku zaczyna się ubytek wilgoci i przychodzi osuszenie. Mniej jest otworów potowych, a parowania w ogóle się nie czuje. Ciało mocniej trzyma się kości i stary człowiek staje się czymś na podobieństwo suszonego owocu..."

Takie wytłumaczenie i wtedy, przeszło dwieście lat temu, niewiele mogło wnieść do sprawy, czego dowodzi następujący komentarz wydawcy pisma „Bremisches Magazin":

„My tu w Bremie także mamy takie wysuszone i oszczędzone przez rozkład ciała. Pod chórem tutejszej katedry jest wielka, sklepiona piwnica, w której znajduje się kilka otwartych trumien z ciałami, stojącymi tu już niemal od stu lat, a które pozostały całkiem nie zepsute, choć ich nie balsamowano ani nie wyjęto z nich wnętrzności (...) Naturalnej przyczyny tego wysuszenia trzeba się chyba doszukiwać we właściwościach tej piwnicy (...) I dziś także kładą tam niekiedy zdechłe psy, koty itd., które po krótkim czasie twardnieją i wysychają".

Z teorią suchego powietrza, które miałoby działać jak naturalny środek balsamujący, przedstawioną tu tylko w zarysach, spotykamy się nie po raz pierwszy; także nie ostatni.

Nie ostała się ona jednak zbyt długo wobec rzeczowych badań, choć trzeba było na nie poczekać. W 1826 r. dyrektor teatru w Hamburgu, Friedrich Ludwig Schmidt, człowiek, który początkowo chciał zostać chirurgiem i posiadł elementarną wiedzę z zakresu medycyny, wyraził następującą opinię w sprawie zagadkowych mumii w ołowianej piwnicy w Bremie:

„Tę sprawę należałoby przedstawić do poważnego zbadania chemikowi albo lekarzowi" (rękopis w Bibliotece Uniwersyteckiej i Państwowej w Hamburgu, II 9, nr 2 z maja 1826).

Stało się tak wprawdzie dopiero 80 lat później, lecz w dramatycznej formie.

W 1902 r. chemik Arminiusz Bau wysunął oryginalną tezę, jakoby w podłodze ołowianej piwnicy powstawał gaz konser-

wujący. Nikt nie chciał się z tym zgodzić. Kilka gazet (wśród nich mająca już wówczas znaczenie „Frankfurter Zeitung") rozpisywało się o tej sprawie ze zjadliwą ironią.

Ta ostatnia gazeta w artykule z 14 stycznia 1904 r. posunęła się do przedstawienia równie absurdalnej tezy, dając wyraz przekonaniu, jakoby mnisi kapucyni zakonserwowali zwłoki według prastarych egipskich recept tajemnych. Autor artykułu pisząc o kurach, kotach i zającach, wieszanych od pewnego czasu w ołowianej piwnicy w celach doświadczalnych, które również nie podlegały rozkładowi, wyciągnął na nowo starą tezę o wysuszeniu powietrza.

Arminiusz Bau nie mógł tego przełknąć spokojnie. Nurtowały go szczególnie drwiące uwagi zawarte w niektórych publikacjach. Rozgorzał prawdziwy spór w środkach masowego przekazu, jak by to dziś nazwano.

Po pierwsze, argumentował Bau, zmarli należeli do osób niskiego stanu i po prostu o nich zapomniano. Żadna instytucja, publiczna czy tajna, nie miałaby żadnego interesu w tym, by na przykład zachować dla potomności zwłoki dekarza, który się zabił spadając z wysokości. Gdyby istotnie balsamowano zwłoki, to przecież przede wszystkim poddano by takim zabiegom ciała arcybiskupów — a jednak to nie nastąpiło. Bau skromnie, lecz z determinacją powołał się znowu na swoją teorię o gazie.

Dopiero wtedy wszystko zaczęło się na dobre. Nie będziemy tu prezentować całej barwnej gamy egzotycznych teorii, które na początku bieżącego stulecia publikowano w prasie. Uczeni amatorzy i profesjonaliści wszystkich dyscyplin zabierali głos w dyskusji. Niektóre tezy brzmiały prawdopodobnie, inne absurdalnie.

Wraz z rozwojem odkryć naukowych interpretacje stawały się bardziej nowoczesne. W 1918 r. Hjalmar Sander pisał w czasopiśmie „Naturwissenschaftliche Wochenschrift" o „mumifikacji i radioaktywności", wiążąc z tym tematem tajemnicę ołowianej piwnicy w Bremie.

Gdzie tylko jest mowa o promieniach, tam jasnowidze oraz radiesteci posługujący się różdżką lub wahadełkiem widzą wyzwanie dla siebie. Jeden z nich twierdził w latach dwudziestych, że za pomocą bliżej nieokreślonego „aparatu

promienistego" odkrył pod ołowianą piwnicą żyłę solanki zawierającej rad.

Poważne badania przeprowadzone 24 czerwca 1925 r. przez prof. dr. Prechta z Instytutu Fizyki Wyższej Szkoły Technicznej w Hanowerze nie wykazały jednak żadnej poważniejszej radioaktywności w tym miejscu. Precht doszedł do wniosku, że „niewielkie jest prawdopodobieństwo, aby mumifikacja wiązała się z radioaktywnością". Ponadto precyzyjne pomiary z użyciem scyntylometru, wykonane przez dr. D. Ortlama w 1975 r., w czasie gruntownej restauracji katedry, wykazały, że właśnie w okolicy krypty wschodniej, w której spoczywają zwłoki nieulegające rozkładowi, radioaktywność jest na wyjątkowo niskim poziomie.

Ten wynik był miażdżący. Tak skomentowała to również prasa, artykuł donoszący o wynikach badań dr. Ortlama w „Weser Kurier" z 9, 10 i 11 maja 1977 r. nosił tytuł: „Tajemnica ołowianej piwnicy wciąż nie wyjaśniona".

Gdyby ktoś zapytał o zdanie dr. Ortlama, ten z pewnością nie zgodziłby się z takim stwierdzeniem, gdyż w swoim artykule na temat „geologicznych aspektów wykopalisk w katedrze w Bremie", opublikowanym w 1985 r., zaprezentował obszerne omówienie przyczyn zakonserwowania zwłok w ołowianej piwnicy. Piwnica swoją nazwę zawdzięcza tylko temu faktowi, że w XVII i XVIII wieku w krypcie wschodniej nie odprawiano już nabożeństw, lecz składowano w niej ołów na dach katedry.

Analiza dr. Dietera Ortlama, służąca wyjaśnieniu tajemnicy ołowianej piwnicy, obejmuje 11 punktów. Uwzględnia w niej m.in. takie czynniki, jak: wielka powierzchnia dachu katedry w Bremie, panująca w niej wilgotność powietrza przy suchym jak wiór podłożu, niska wyrównana temperatura wnętrza, brak w powietrzu i ziemi organizmów żywiących się zwłokami. Jednak jego wyjaśnienie nie zadowoliło wszystkich. Nie uwzględnia ono dwukrotnych przenosin zmarłych, które wynikały z rozmaitych przyczyn. Podobne czynniki występują jednocześnie także w innych kościołach, w których jednak nie nastąpiła samoistna konserwacja zwłok.

Krypty, czy raczej kościoły grobowe, były pierwotnymi miejscami kultu męczenników i zaspokajały rozpowszech-

nioną potrzebę posiadania relikwii. Kiedy dawni męczennicy, przeważnie z wczesnego okresu chrześcijaństwa, musieli ustąpić miejsca świętym nowszej daty, wówczas krypty utraciły swoje znaczenie. Nowym świętym ofiarowywano ołtarze w nawach kościoła. Krypty znikły z planów budowlanych nowszych katedr gotyckich, a w istniejących świątyniach często były zaniedbane i wykorzystywane niezgodnie z pierwotnym przeznaczeniem (na przykład wschodnia krypta katedry w Bremie, jak już wspominaliśmy, stała się magazynem płyt ołowianych służących do napraw dachu po burzy albo pożarze).

Reformacja położyła kres wykorzystywaniu krypt do celów liturgicznych. Duchowni z Bremy byli więc szczęśliwi, mogąc zaoferować prawdziwą atrakcję w postaci mumii odkrytych pod koniec XVII wieku.

W 1822 r. liczba mumii powiększyła się o nowe nabytki. Rok później wszystkich zmarłych przeniesiono, a ówczesny proboszcz, dr Wilhelm Rotermund, uzasadnił to w następujących słowach: „Aby udostępnić ołowianą piwnicę (kryptę wschodnią) dla celów kościoła, latem 1823 r. przeniesiono mumie do piwnicy na węgiel, pod pokojem konferencyjnym..."

Pod tym eufemistycznym sformułowaniem kryje się fakt, że kapituła katedralna miała trudności finansowe, m.in. w związku z ówczesną sytuacją polityczną — zawarciem pokoju w Luneville 8 października 1802 r. i późniejszą walką między protestantami reformowanymi a lutera nami. Katedra w tym czasie utraciła większą część swego majątku.

Znaleziono wyjście, które znamy i w naszych czasach: wynajęto kryptę wschodnią kupcom z Bremy na skład tytoniu i innych towarów. Dawna ołowiana piwnica stała się bardzo atrakcyjnym obiektem, o który kupcy toczyli zaciekłe boje. Była na przemian to składem win, to magazynem piwa. Jest oczywiste, że w takiej sytuacji mumie nie były konkurencyjne i odsunięto je na dalszy plan.

Mimo że leżały teraz około 1,5 metra wyżej niż poprzednio, to jednak efekt mumifikacji wcale nie uległ osłabieniu. Dowodem były zdechłe zwierzęta, które wieszano w nowej piwnicy z mumiami.

Sprawa tych stworzeń jest szczególna. Od stuleci wieszano w towarzystwie mumii zwierzęta wielu różnych gatunków: psy, koty, indyki, jastrzębie, krogulce, łasice, kuny, gęsi, pawie, ryby...

W 1774 r. Anglik Nathaniel Wraxall, który szczególnie interesował się tą sprawą, pisał, że ich stan nie pozwala stwierdzić, czy wiszą tam od niepamiętnych czasów, czy dopiero od niedawna: „Także one (pochodzące z pradawnych czasów) zachowały się w nadzwyczaj doskonałym stanie. Skóra, dzioby, pióra — wszystko bez najmniejszych zmian". Ciekawe jest w związku z tym oświadczenie Gerharda Meyera, że nie wszystkie pokazywane zwierzęta umieszczono w piwnicy w celach doświadczalnych, ale że niektóre pochodzą z najróżniejszych miejsc w kościele, gdzie je znajdowano w stanie już zmumifikowanym. To by oznaczało, że zjawisko mumifikacji występuje na całym terenie świątyni.

W 1982 r. nastąpił powtórny *exodus* mumii. Zasadniczym celem tej drugiej przeprowadzki miało być przywrócenie godności katedrze, ponieważ zwiedzający ołowianą piwnicę zachowywali się raczej niczym tabuny turystów napływające do doliny Glottertal, aby zobaczyć „klinikę w Szwarcwaldzie". Zaważyły też względy finansowe: „Restauracja wczesnogotyckiej kaplicy katedralnej od południowego wschodu będzie znacznie subwencjonowana, jeśli zostanie oddzielona od prowadzonej na terenie katedralnym działalności gospodarczej pod szyldem ołowianej piwnicy".

Tak też się stało. Od początku maja 1984 r. zmumifikowane zwłoki spoczywają w piwnicach pod dawnym krużgankiem w okolicy obecnego wewnętrznego dziedzińca z dzwonnicą. Zwiedzający nową ołowianą piwnicę wchodzą od razu do pomieszczenia wystawowego (dopiero to pomieszczenie jest właściwą piwnicą). Dzięki temu omijają katedrę, która prawie trzysta lat służyła za korytarz wiodący do mumii.

Rodzi się pytanie, czy także tutaj da się zauważyć zjawisko mumifikacji? Na razie jeszcze upłynęło za mało czasu, by móc udzielić odpowiedzi.

W każdym razie analiza dr. Ortlama nie jest zapewne ostatnim słowem w tej sprawie. Na szczęście nie musimy tym się martwić.

Zagadka ołowianej piwnicy z Bremy jest znamiennym przypadkiem granicznym, dzięki któremu widać, jak zjawiska spokrewnione (albo uważane za takie) przechodzą jedno w drugie. Procesy przebiegające od stuleci w katedrze w Bremie mogą być inną stroną zjawisk towarzyszących niewytłumaczalnej odporności na rozkład. Albo i nie. Znacznie bardziej prawdopodobne jest, że zjawisko to w Bremie występuje lokalnie, gdy tymczasem w przypadkach takich osób, jak św. Cecylia albo okrutny rycerz Kahlbutz, chodzi o proces indywidualny.

Podobne zjawiska mogą wynikać z całkiem różnych przyczyn. Już to stwierdziliśmy i jeszcze nieraz będzie po temu okazja. Odnosi się to w szczególności do innych dziwnych zjawisk, którymi się teraz zajmiemy, a które towarzyszą największej tajemnicy, jaką jest śmierć.

Z czego wynikają te wszystkie zagadki, tego oczywiście wyjaśnić nie możemy. Być może nigdy nie poznamy odpowiedzi. Przyjmijmy do wiadomości ich istnienie, traktując je jak kolejne kamyki składające się na mozaikowy obraz świata...

Odpowiednim wprowadzeniem do następnego rozdziału będzie cytat z kazania duchownego z katedry w Bremie, Güntera Abramzika. Powiedział on w 1976 r., mając na myśli oczekiwaną drugą przeprowadzkę mumii: „Widocznie częścią losu człowieka jest to, że także i po śmierci nie może zaznać spokoju..." Jak się zdaje, są tacy, którym istotnie przypadł taki los w udziale.

Zmarli, którzy nie zaznali spokoju

W upalne popołudnie 24 sierpnia 1943 r. na wyspie Barbados grabarze pod nadzorem delegatów loży wolnomularskiej otworzyli zapieczętowany grobowiec sir Evana McGregora, pochowanego tu w 1841 r. Zleceniodawców tych robót interesował jednak nie sir Evan, ale Alexander Irvine, założyciel loży masońskiej na wyspie Barbados. To właśnie jego doczesne szczątki spoczywały w grobowcu w towarzystwie McGregora.

Krypta była wykuta w skale i wystawała nad poziom gruntu na około półtora metra. Do grobowca było tylko jedno wejście po schodach prowadzących w dół. Otwór komory grobowej zamykały opieczętowane drzwi, a za nimi jeszcze broniła dostępu potężna płyta kamienna — solidność niczym w schronie przeciwatomowym.

Po otwarciu zapieczętowanych drzwi i odsunięciu na bok ogromnej kamiennej płyty grabarzom i wysłannikom loży zagrodziły drogę cegły piętrzące się w komorze grobowej.

Było to dziwne.

Grabarze klnąc zabrali się do uprzątania przejścia. Spod stosu cegieł, zmniejszającego się powoli, wyłonił się przedmiot z metalu. Początkowo nikt nie wiedział, co to może być, jednak po uprzątnięciu cegieł okazało się, że jest to ołowiana trumna.

Stała pionowo do góry nogami, oparta o stos cegieł zagradzający wejście. Grabarze ostrożnie wyjęli spod niej cegły, aby znowu mogła spocząć poziomo na ziemi.

Delegacja masońska była zdumiona: W jaki sposób ważąca 600 funtów trumna McGregora mogła się tutaj znaleźć, skoro jej miejsce było w niszy wykutej w przeciwległej ścianie?

Krypta była zamknięta, a pieczęcie nie naruszone. I skąd się wzięły trzy małe dziurki w samej trumnie?

To były jeszcze proste pytania, jak się miało zaraz okazać. Trumny z doczesnymi szczątkami słynnego masona Alexandra Irvine'a w ogóle tam nie było! Delegaci postanowili powiadomić władze, te zaś wezwały na pomoc ekspertów. Zaczęło się szczegółowe dochodzenie, które odsłoniło w rezultacie jeszcze więcej zagadek.

Obaj, Alexander Irvine i Evan McGregor, byli pochowani w tym grobowcu, w ciężkich trumnach metalowych, obitych ołowianą blachą. Trumny te stały obok siebie w oddzielnych wnękach w ścianie. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Trzeba było również wykluczyć działalność cmentarnych złodziei, głupie żarty, wybryki fanatyków albo szaleńców. Przyczyną dziwnego zdarzenia nie mogli być ludzie; nie mogły go też spowodować znane zdarzenia naturalne.

Ktokolwiek był odpowiedzialny za to, co się stało w krypcie, musiałby albo wejść bez naruszenia pieczęci, albo je później z powrotem założyć. Nie było także drobnostką ruszenie z miejsca potężnych kamiennych płyt.

Na tym się kończy działalność zwyczajna.

Wyniesienie jednej trumny z grobowca, wymagające wcześniejszych ciężkich zabiegów, polegających na ustawieniu drugiej trumny pionowo i oparciu jej o wejście uprzednio zagrodzone murem z cegieł, było zadaniem nie do wykonania. Władze śledcze musiały się z tym pogodzić. Tak więc sprawa ta pozostała zagadką.

Ten tajemniczy przypadek wyparł nawet na jakiś czas z gazet doniesienia wojenne roku 1943. Niektórzy dziennikarze przypomnieli sobie, że nie po raz pierwszy w grobowcu na wyspie Barbados działy się dziwne rzeczy.

Odtąd wydarzenia stają się coraz bardziej nieprawdopodobne. Kłopotliwe pytania cisną się na usta: czy na maleńkim skrawku ziemi o nazwie Barbados manifestują się zagadkowe siły, jedyne w swoim rodzaju? A jeśli tak, to jakie to są siły? A może to po prostu tylko sprawił przypadek (znowu to mgliste pojęcie), że na wyspie Barbados aż dwukrotnie wystąpiło zjawisko, które zdrowy rozsądek z trudem akceptuje. Jedna niejasność rodzi następną.

Zanim poczucie absurdu ostatecznie weźmie nad nami górę, przyjrzyjmy się bliżej temu drugiemu, wcześniejszemu zdarzeniu, które obserwowano i badano przez bardzo długi czas, jednak bez rezultatu.

Przy pewnej dozie wyobraźni można by porównać odizolowaną od świata wyspę Barbados do wielkiego laboratorium. Zachodzą tam procesy, które, choć niezrozumiałe, powodują realne efekty, występujące także gdzie indziej. Co prawda nie w tak klarownych warunkach...

Zdarzenie, o którym będzie teraz mowa, przeszło do historii wyspy Barbados jako „niespokojny grób" albo „wędrujące trumny rodziny Chase".

Nawet w legendach ludowych z Indii zachodnich napotykamy wzmianki o „pełzających trumnach"; legendy te wzięły początek właśnie na Barbados.

Cofnijmy się teraz myślą do początku ubiegłego wieku. Nad zatoką Oistins, na południowym wybrzeżu wyspy Barbados wznosi się cmentarz Christ Church. Grobowiec rodziny Chase również mógłby się równać z prywatnym bunkrem atomowym (jakie już dziś miewają w swoich ogródkach niektórzy z naszych współczesnych, żywiący przedziwne pragnienie przetrwania kilku miesięcy dłużej na zgliszczach skażonych promieniowaniem). Zbudowany z wielkich scementowanych bloków rafy koralowej, o wymiarach cztery na dwa metry, był do połowy zagłębiony w ziemi. Marmurowa płyta ważąca tonę stanowiła solidne zamknięcie.

31 lipca 1807 r. znalazła się tu pierwsza trumna, jednak nie było to dla nieboszczyka miejsce spoczynku. W trumnie spoczywały zwłoki pani Thomasiny Goddard. Pochówek miał zupełnie zwykły przebieg i nic nie zapowiadało nadzwyczajnych wydarzeń. Wkrótce potem, dokładnie 22 lutego 1808 r., w krypcie umieszczono drugą trumnę. Była znacznie mniejsza, gdyż leżały w niej zwłoki dziecka Mary Anny Marii Chase, wnuczki pani Goddard. I tym razem wszystko odbyło się jak zazwyczaj.

Kiedy więc 6 lipca 1812 r. otwarto kryptę w celu pochowania w niej starszej siostry Mary Anny, Dorcas Chase, żałobnicy i grabarze stanęli jak rażeni piorunem na widok tego, co w niej ujrzeli: mniejsza trumna leżała w jednym kącie,

a trumna pani Goddard była oparta o ścianę. Wyglądało to tak, jakby jakiś olbrzym dla psoty ruszył trumny z miejsca albo odsunął na bok bez należytego respektu. O sile sprawcy świadczyło to, że trumny były obite ołowianą blachą i takie zadanie nie należało do łatwych.

Trudno było tłumaczyć przeciągiem to, co zaszło, a żadne trzęsienie ziemi o tak wielkiej sile nie nawiedziło tamtej okolicy.

W milczącym porozumieniu ustawiono trumny na właściwych miejscach, postawiono obok nich nową trumnę i zamknięto komorę grobowca. Mimo że te dziwne zdarzenia, będące hańbą dla rodziny, starano się zachować w tajemnicy, nie dało się uniknąć plotek. Mówiono, że sprawcami nieporządku w grobowcu byli Murzyni. Murzyńscy niewolnicy brali bowiem udział w pogrzebie pierwszej z sióstr Chase.

Trzeba tu dodać, że Thomas Chase był tyranem, panem kolonialnym w najgorszym rozumieniu tego pojęcia. Traktował swoich murzyńskich niewolników gorzej niż zwierzęta, a niewiele lepiej swoją własną rodzinę. Córce Dorcas zamienił życie w piekło, co popchnęło ją do samobójstwa. Gdyby więc o panującym w grobowcu chaosie rozeszły się wieści, to plotkom nie byłoby końca. Jak wspomnieliśmy, mimo wszelkich starań i tak do tego doszło.

Pomysł, jakoby miała to być zemsta ze strony murzyńskich niewolników, był w gruncie rzeczy nie do obrony. Gdyby ci bowiem zdobyli się na odwagę, by szukać odwetu na swoim ciemiężcy, to z pewnością wybraliby sposób bardziej ich satysfakcjonujący.

Jakiś czas potem, jak się wydawało, problem sam się rozwiązał: Thomas Chase umarł i 9 sierpnia 1812 r. został pochowany w tymże grobowcu. Wszystko znowu było w porządku, a o sensacji zaczęto powoli zapominać.

Aż nadszedł dzień 25 września 1816 r., kiedy znowu wszystko odżyło.

Tego dnia miał się odbyć pogrzeb dziecka Samuela Brewstera Amesa. Otworzono w tym celu grobowiec, zastając tam znowu znany nam już nieład. Tym razem nikt nie miał wątpliwości: To mogli zrobić tylko Murzyni!

Wprawdzie takie wytłumaczenie nadal nie miało żadnej logiki, gdyż niewolnikom nie udałoby się wykonać tej herkulesowej pracy tak, by nikt niczego nie zauważył, i to w najściślejszej tajemnicy. Ponadto Murzyni zabobonnie bali się zmarłych. Wszystko to jednak było bez znaczenia.

Przed grobowcem wystawiono straże, co pozwalało sądzić, że położy to kres wszelkim profanacjom, których mogliby się dopuścić zbuntowani niewolnicy.

17 listopada tego samego roku znowu odbył się pogrzeb. Tym razem miano pochować dorosłego nazwiskiem Samuel Brewster (nie mylić z małym Samuelem Brewsterem Amesem), przeniesionego do grobowca rodziny Chase z pierwotnego miejsca spoczynku na cmentarzu św. Filipa.

Ceremonia pogrzebowa przypominała ludowy festyn. Zgromadził się wielki tłum ludzi, przyjmowano zakłady; kto stawiał na powtórzenie się dziwnych zjawisk, ten wygrał: w grobowcu panował chaos.

Musiały tam działać tak gwałtowne siły, że trumna pani Goddard, która jako pierwsza „mieszkanka" grobowca była na nie najdłużej narażona, została rozbita na kawałki. Jak można było się spodziewać, podobny los czekał prędzej czy później także pozostałe trumny.

Tak dalej być nie mogło. Ponieważ o utrzymaniu tej sprawy w tajemnicy i tak już nie było co marzyć, zabrano się do badania grobowca centymetr po centymetrze. Niczego nie stwierdzono; ściany, podłoga, sufit, płyta zamykająca wejście, wszystko było w nienagannym stanie, bez śladu jakichkolwiek uszkodzeń. Nawet mysz nie zdołałaby się prześliznąć.

Choć wyniki badań nie skłaniały do optymizmu, poustawiano trumny na swoje miejsca oraz pozbierano doczesne szczątki pani Goddard i porozwalane kawałki jej trumny.

Na trzy lata zapanował spokój.

17 lipca 1819 r. w rodzinnym grobowcu, który zasłynął już w całym świecie, miała zostać pochowana Thomasina Clarke. Ceremonia ta w świetle poprzednich zdarzeń wzbudziła międzynarodowe zainteresowanie. Przy otwarciu grobowca obecni byli, oprócz setek ciekawskich, brytyjski gubernator Barbados, wicehrabia lord Combermere i dwóch innych urzędników rządowych.

Murarze odkuli marmurową płytę zamykającą wejście i niewolnicy odsunęli ją na bok. Kiedy wnętrze grobowca stanęło otworem, przez tłum gapiów przeszedł okrzyk, a potem zaległa cisza.

Grobowiec znowu nawiedziła niewytłumaczalna siła — żadna z trumien nie znajdowała się na swoim miejscu. Lord Combermere zdecydował się podjąć energiczne kroki. Brytyjski gubernator był starym żołnierzem, człowiekiem czynu, który w bitwie pod Waterloo miał poprowadzić szarżę angielskiej kawalerii przeciwko wojskom Napoleona, do czego nie doszło z czysto politycznych powodów. Jego zdaniem ludzie spoczywający w angielskiej ziemi mieli prawo do niezmąconego spokoju; nie zwlekając przystąpił więc do działania, aby zmarłym ten spokój zapewnić raz na zawsze.

Najpierw, z największą dokładnością, jeszcze raz poddano grobowiec badaniu. Nic to nie dało. Następnie po raz kolejny zaprowadzono porządek wśród trumien i posypano podłogę grobowca grubą warstwą piasku. Kryptę zamknięto, a lord Combermere osobiście ją opieczętował w obecności innych urzędników. Przed wejściem postawiono wartownika.

To miało wystarczyć; ukradkowe przedostanie się do wnętrza grobowca było niemożliwe, a nawet gdyby się komuś udało, to musiałby pozostawić swoje ślady na warstwie piasku.

Jak się jednak okazało niespełna rok później, wszystko to nie wystarczyło, by zapobiec zagadkowym zdarzeniom.

18 kwietnia 1820 r. ponownie otwarto grobowiec, mimo że nie planowano kolejnego pogrzebu. Stało się to jednak niezbędne pod naciskiem opinii publicznej. Ludność wyspy żyła w coraz większym napięciu spekulując, czy może znowu coś się dzieje w grobowcu (a jeśli tak, to co?) Poza tym władze także nie chciały czekać, aż znowu ktoś umrze, by znaleźć miejsce wiecznego spoczynku w tym niesamowitym grobowcu (o ile można tu w ogóle mówić o spoczynku).

Lord Combermere ze swoim sekretarzem, majorem J. Finchem, oraz wyżsi urzędnicy, Nathan Lucas, R. Bowcher Clarke i Rowland Cotton, udali się na cmentarz, gdzie dołączył do nich pastor Thomas H. Orderson.

Gromada Murzynów, z trwogą rozglądających się na boki, przystąpiła do otwierania grobowca. Pieczęcie znalezio-

no w nienaruszonym stanie, więc nikt nie mógł dostać się do środka.

W czasie odsuwania na bok wielkiej płyty zamykającej wejście dał się słyszeć przejmujący, zgrzytliwy odgłos, który sprawił, że nie tylko przesądnych Murzynów przeszły ciarki. Odgłos ten brał się stąd, że jedna z większych trumien opierała się o wejście i trzeba ją było odsunąć. To był dopiero początek.

Wszystkie trumny leżały dookoła porozrzucane w całkowitym nieładzie. Wyglądało to tak, jakby mała trumna dziecka Mary Anny Chase została z ogromną siłą rzucona o tylną ścianę krypty i przy tej okazji odłupała wielki kawał kamiennej ściany.

Na grubej warstwie piasku pokrywającej podłogę nie było jednak żadnych innych śladów, oprócz tych, które pozostawiły poruszone trumny.

Wdrożono po raz ostatni śledztwo. Kiedy murarze ostukali ściany i potwierdzili ich solidność, a wszelkie starania odkrycia jakiejkolwiek naturalnej przyczyny (siły przyrody albo działalność człowieka) okazały się daremne, gubernator zamknął sprawę. Będąc, jako były żołnierz, wrogiem wszelkich niejasności, zarządził rozwiązanie praktyczne, które — choć nie uchyliło nawet rąbka tajemnicy — pozwoliło nareszcie zaprowadzić spokój.

Trumny przeniesiono do innej krypty, gdzie do dziś spoczywają, już nieruchome. Grobowiec rodziny Chase pozostawiono otwarty i pusty. Można go zwiedzać jeszcze dzisiaj, jest mocny i nienaruszony jak dawniej. Jedyny nowy element to wielki znak zapytania na suficie, wykuty tam po zabraniu trumien...

Zagadka zmarłych z Barbados, którzy nie zaznali spokoju, nie doczekała się dotąd wytłumaczenia, choć do dziś podejmuje się takie próby.

Publikacji na ten temat jest bez liku, a wśród nich opis pochodzący spod pióra naocznego świadka, wielebnego Thomasa H. Ordersona, artykuły w pismach takich, jak „Folklore Journal" czy „Oddities" z początku XX w. oraz wzmianki w monografiach publikowanych współcześnie.

Żadna teoria nie mogła udzielić zadowalającej odpowiedzi. Pomysły o wdarciu się wody do grobowca, o aktywności sejsmicznej i działaniu innych sił naturalnych trzeba było odrzucić. Podobnie nie wchodzili też w rachubę, choć taka myśl od razu się nasuwała, cmentarni wandale.

Znany autor powieści *science fiction* Eric Frank Russell w swojej książce *Great World Mysteries* przedstawia teorię, w której przynajmniej pewien element kryje w sobie jakiś aspekt przyrodniczy, nie dający się od razu obalić. Autor ten zauważył, analizując rysunki przedstawiające pozycję trumien przed i po ich wędrówce, że opisywały one ruch obrotowy albo spiralny.

Jaka jednak siła mogłaby być zdolna do ułożenia ołowianych trumien podobnie, jak układają się opiłki żelaza zgodnie z liniami sił pola magnetycznego, tego i Russell się nie domyślał. Jak dotychczas nikt nie wysunął bardziej przekonywającej hipotezy. Brak tu punktów zaczepienia dla takiej interpretacji faktów, która by się opierała na mocnych podstawach. Wniosek ten jest niezadowalający, ale nic na to nie poradzimy.

Rozejrzyjmy się teraz w przestrzeni i czasie za innymi przejawami działania tej niesamowitej i dziwnej siły. Musimy w tym celu udać się do Anglii z pierwszych lat XIX wieku. Nie będziemy przy tym rozważać nasuwającego się pytania, czy czasowa zbieżność z wydarzeniami na Barbados ma jakiekolwiek znaczenie. Na takie pytanie brak odpowiedzi.

W „European Magazine" z września 1815 r. można przeczytać doniesienie na temat grobowca w Stanton w hrabstwie Suffolk, w którym kilkakrotnie występowały podobnie niewytłumaczalne zjawiska. Trumny ustawione na regałach opuściły swoje miejsca. Największa z nich, która była tak ciężka, że ośmiu tragarzy ledwo mogło ją unieść, „weszła" nawet kilka stopni w górę po schodach wiodących do krypty.

Jeśli doniesienia te są ścisłe (niestety nie ma tu rysunków jak w przypadku Barbados), to teoria sił odśrodkowych Erica Franka Russella jest nie do obrony albo wymaga uzupełnienia. Idźmy jednak dalej. Prawie trzydzieści lat później, w 1844, to niepokojące zjawisko znowu dało znać o sobie, tym razem przy akompaniamencie efektów akustycznych.

Widownią makabrycznego przedstawienia było miasteczko Arensburg położone na bałtyckiej wyspie(!) Oesel.

Zapowiedzią niesamowitych zdarzeń było w czerwcu tego roku dziwne zachowanie koni osób odwiedzających miejscowy cmentarz. Niektóre z nich bez przyczyny stawały dęba, inne traciły przytomność, a jeszcze inne padały martwe na miejscu. Zdarzało się czasami, że któryś z koni dostawał ataku szału i trzeba było go zabić.

Działo się to wszystko zawsze w pobliżu grobowca rodziny Buxhoewden.

Kiedy pewnego razu mszę żałobną odprawianą w kaplicy rodzinnej zakłóciły niepokojące dźwięki dobiegające z pobliskiego grobowca, kilku członków rodziny Buxhoewden poszło zobaczyć, co się tam dzieje. Znaleźli trumny porozrzucane w wielkim nieładzie. Natychmiast zaczęły się szerzyć pogłoski o wampirach, wilkołakach, czarownicach i diabelskich sprawkach. Baron de Guldenstabbé, prezes sądu kościelnego w Oesel, wdrożył oficjalne śledztwo w tej sprawie. Na początek obejrzał ową kryptę, która tymczasem została zamknięta i zapieczętowana po uporządkowaniu wszystkich trumien.

Jednak także baron ujrzał zadziwiający widok, gdyż trumny znowu opuściły swoje miejsca.

Podobnie jak jego towarzysz niedoli z Barbados, lord Combermere, baron Guldenstabbé był również człowiekiem żelaznej stanowczości. Nakazał wyjaśnić tę sprawę za wszelką cenę.

Komisja śledcza powołana na bałtyckiej wyspie podjęła bardziej radykalne kroki od środków podjętych przez komisję na Barbados i kazała rozkopać podłoże krypty, aby sprawdzić, czy nie ma tam jakiegoś tajemnego przejścia. Niczego jednak nie znaleziono. Nie można było także mówić o działalności cmentarnych złodziei. Pomijając fakt, że musieliby umieć czarować (co w tamtych czasach można było zaakceptować), to jednak przeciwko takiej hipotezie przemawiała okoliczność, że trumny były nienaruszone. Wszelkie uszkodzenia, jakie można było stwierdzić, były skutkiem gwałtownych przemieszczeń.

Kolejne działania, jakie podjęto, były podobne jak na Barbados i przyniosły również podobne rezultaty. Ponownie

uporządkowano trumny, wysypano podłogę grobowca i kaplicy stanowiącej do niego dojście wprawdzie nie piaskiem, ale popiołem, a wejście zamknięto i zapieczętowano. Niektóre z pieczęci ukryto w przemyślny sposób. Oddział wojska pełnił wartę dzień i noc.

Po upływie trzech dni komisja śledcza nakazała otworzyć grobowiec, aby się przekonać o skuteczności podjętych działań. Żadna z pieczęci nie była uszkodzona, a na warstwie popiołu brak było najmniejszych śladów. A mimo to wśród trumien znowu panował chaos.

Niektóre stały pionowo do góry nogami, inne leżały porozrzucane. Jedna z trumien musiała upaść z takim impetem, że pękła i wystawało z niej ramię szkieletu.

Bałtowie nie mieli takiej wytrwałości, jak mieszkańcy Barbados, którzy zmagali się z nawiedzonym miejscem przez ponad osiem lat. Wystarczyły im trzy dni, nie licząc działań wstępnych.

Komitet miasta Arensburg i rodzina Buxhoewden wspólnie postanowili przenieść trumny w inne miejsce. Po tym zabiegu także i tu powrócił spokój.

Nie zbadane pozostały zdarzenia, o których informuje niejaki F.C. Paley, syn rektora uniwersytetu Gretford w pobliżu Stamford w Lincolnshire w Anglii. Opisał je w 1867 r. w czasopiśmie „Notes and Queries".

Chodziło tam o powtarzające się wędrówki ciężkich ołowianych i drewnianych trumien, które za każdym razem znajdowano oparte o ścianę grobowca. Informacje Paleya potwierdzili świadkowie.

W tym miejscu urywa się w dziejach trop trumien, które nie zaznały spokoju.

Może tak być z wielu powodów. Może ta siła w naszej stechnicyzowanej epoce już się nie manifestuje, ponieważ na przykład zagłusza ją ogromne spektrum wytwarzanych obecnie fal elektromagnetycznych.

Może jakieś znaczenie miała tu zmiana praktyki pogrzebowej. Prawdopodobnie sprawa ma zupełnie inne jeszcze wyjaśnienie, którego nie znamy.

Zjawisko to było i jest niewytłumaczalne. Musimy się pogodzić z faktem, że istnieje coś takiego jak niepokój po

śmierci, choć na myśl o tym mamy wrażenie, jakby dotykał nas jakiś lodowaty palec. Zasadnicze pytanie brzmi: Czy jest to zjawisko lokalne, czy też wiąże się z określonymi osobami?

Nie wydaje się, jak dotąd, aby występował tu znany już nam problem podobnych zdarzeń o całkowicie odmiennym rodowodzie. Zjawisko wędrówki trumien jest dość jednolite i ma wyraźnie lokalny charakter, związany z miejscowością albo określonym grobowcem (nie da się tego rozróżnić). W każdym razie zawsze wędrówki trumien ustawały, skoro tylko zmieniono miejsce ich pobytu.

Całkiem inaczej wyglądałaby sytuacja, gdyby pośmiertne wędrówki były związane z konkretnymi zmarłymi. Wówczas istniałaby uderzająca analogia do zjawiska konserwacji zwłok po śmierci: tam także występowało ono lokalnie w ołowianej piwnicy w Bremie, a ponadto indywidualnie u poszczególnych zmarłych pochowanych w najróżniejszym otoczeniu.

Myśl o możliwości istnienia nieznanej siły przyrody, która przejawia swe działanie w grobowcach, napawa nas niepokojem. Jednak myśl o faktycznej aktywności zmarłych ścina wręcz krew w żyłach.

Mimo to, chcąc czy nie, będziemy musieli ją zaakceptować.

Na progu do tamtego świata...

Doktor A.H. Herring z Red Hand (Luizjana) w czerwcu 1883 roku zdawał sobie sprawę, że już niedługo pożyje, mimo że miał dopiero czterdzieści lat. Spisał więc testament, zawierający drobiazgowe wskazówki co do miejsca swego ostatniego spoczynku.

Życzył sobie, by pochowano go na razie w ceglanej krypcie, aż do chwili, gdy będzie można przenieść jego zwłoki na cmentarz rodzinny w Georgii. Nie koniec na tym, rozporządził ponadto, że jego ciało ma być złożone do metalowej trumny zamkniętej hermetycznie przez zalutowanie. Tę należało z kolei umieścić w większej trumnie wykonanej z piniowego drewna. Wtedy dopiero miał nastąpić pochówek w ceglanej krypcie, którą następnie należało starannie zamurować.

Ostatnią wolę ściśle wykonano. Po upływie dwu i pół roku rodzina zmarłego zdecydowała się nie przenosić jego ciała do Georgii, ale pochować w pobliżu ich domu, na cmentarzu w Red Hand. Kryptę więc otworzono i od razu odkryto coś dziwnego.

Przy zamurowaniu krypty wykorzystano szeroką deskę z piniowego drewna, na której ułożono cegły, spojone następnie zaprawą.

Po zdjęciu tego „dachu" obecnych ogarnęło zdumienie na widok piniowej deski. Jej dolna strona była wilgotna i można było na niej rozpoznać wyraźne zarysy sylwetki człowieka, przypominające nieostry obraz ze źle nastawionego rzutnika. Sam obraz zaś przypominał zdjęcie rentgenowskie.

Główne żyły i tętnice były ciemnoczerwone, płuca nieco jaśniejsze, a okolica mózgu odcinała się białawym kolorem.

Wyraźnie można było rozpoznać szkielet, a zwłaszcza żebra. Kiedy na ten upiorny obraz padły promienie światła, zaczął blednąć, jednak na tyle wolno, że zdążyli go jeszcze zobaczyć liczni świadkowie.

Ciemna siatka naczyń krwionośnych dawała się jeszcze rozpoznać nawet po kilku tygodniach.

To jeszcze nie wszystko.

Podobne zjawisko ujawniło się po otwarciu piniowej trumny. Tu również wszystko parowało wilgocią, a na wewnętrznej stronie wieka trumny widniało kolejne odbicie, czy jakkolwiek to nazwiemy. Przejęci zgrozą odkrywcy tego zjawiska postanowili już go dalej nie zgłębiać i pochować dr. Herringa. Nie otworzyli jednak metalowej trumny, nie zdecydowawszy się na przekroczenie ostatniej bariery niesamowitości.

...i z powrotem?

Mówiąc, że coś jest na zawsze pogrzebane, wyrażamy słuszne przeświadczenie, że dany przedmiot czy dana osoba znalazła swój ostateczny koniec.

W minionych wiekach ludzie nie byli tego tak pewni. W XVII w., epoce bujnie się krzewiącego zabobonu, kiedy stosy Inkwizycji wciąż jeszcze rozjaśniały niebo, konfrontowanie podejrzanych i ofiar morderstw było na porządku dziennym. Sędziowie byli przeświadczeni, że ofiara wskaże mordercę, zaczynając krwawić albo dając jakiś inny znak. Uważano to za pewny dowód winy, wystarczającą podstawę do wydania wyroku śmierci albo poddania podejrzanego torturom.

Nie ma potrzeby dodawać, że przypadki wszystkich osób, które na podstawie takiego „materiału dowodowego" w najróżniejszy sposób rozstały się z życiem, z pewnością stanowiły pomyłki sądowe. W tamtych czasach powoływano na świadków zwierzęta i badano niewinność czarownic przez pławienie ich w rzece.

Czasami jednak można natrafić na takie zdarzenia, które wykraczają poza zabobon i obłęd. Są przypadki, które jeszcze dziś można zrekonstruować i poddać ocenie. Przypadki te łączy z tańczącymi trumnami równie wiele, czy równie mało, co zachowanego w wilgotnej ziemi przez stulecia świętego z mumią w konserwującej piwnicy.

Taki przypadek wydarzył się w 1629 r. Można go poddać analizie dzięki ścisłemu sprawozdaniu sporządzonemu przez osobę, której nawet według kryteriów XX w. trzeba przyznać rzeczowe podejście. Osobą tą był John Mainard, zwany „Old

Serjeant", słynny członek Parlamentu Długiego w Anglii za panowania Karola I. John Mainard do dziś cieszy się opinią uczonego prawnika o wielkim rozumie i obiektywizmie, dalekiego od zaślepienia i fanatyzmu. Także dziś mógłby ferować wyroki. Kiedy zmarł w 1690 r. w wieku osiemdziesięciu ośmiu lat, interesujące nas sprawozdanie, którego każde słowo było napisane ręką Mainarda, znaleziono w jego spuściźnie. Chodziło w nim o morderstwo na młodej mężatce i matce, Joan Norkot z Hertfordshire. Joan była przez wszystkich lubiana, więc zbrodnia spowodowała powszechną zgrozę i wołanie o karę dla sprawcy. Morderca, albo mordercy, podcięli Joan gardło od ucha do ucha i przetrącili jej kark (kolejność czynów pozostała nie wyjaśniona). Z faktu, że została znaleziona we własnym łóżku, ze śpiącym dzieckiem na ręku, w uporządkowanej pościeli i nocnym stroju, nikt w dzisiejszych czasach nie wyciągnąłby wniosku, że denatka popełniła samobójstwo. Wtedy tak się stało.

Powszechnie wiedziano w miejscowości zamieszkania Joan, że często kłóciła się z mężem Arthurem, co władze uznały za wystarczające uzasadnienie hipotezy, że nieszczęśliwa młoda kobieta, zostawiona tamtej nocy przez Arthura, targnęła się na życie. Nie widziano potrzeby wdawania się w wyjaśnianie zagadki, jak można sobie samemu podciąć gardło, a potem złamać kark (albo odwrotnie).

Ofiarę pochowano i władze odłożyły sprawę *ad acta*. Przyjaciele i sąsiedzi Joan nie zadowolili się jednak takim obrotem sprawy. Pogłoski i publiczne dyskusje nabrały takich rozmiarów, że trzeba było coś przedsięwziąć.

Poza tym stale padały zarzuty pod adresem męża Joan i innych członków jej rodziny. Zdecydowano się więc na ulubioną konfrontację ofiary z podejrzanymi.

Nie musielibyśmy tu się zajmować tą niezdrową praktyką wymiaru niesprawiedliwości, gdyby ten konkretny przypadek nie różnił się w istotny sposób od podobnych, mianowicie przez to, że od popełnienia czynu upłynęło wiele czasu.

Kiedy zwłoki Joan poddano ekshumacji w tym dziwnym celu, leżały one w ziemi już od trzydziestu dni i zaczęły niewątpliwie ulegać rozkładowi.

Zgodnie z przyjętymi wówczas zwyczajami przeprowadzono tzw. próbę dotknięcia. Całe to postępowanie można prześledzić na podstawie akt poświadczonych przez naocznych świadków. Jednak najbardziej zasługuje na zaufanie niewątpliwie własnoręczny opis Johna Mainarda. Brzmi on następująco: „Czworgu oskarżonym (mężowi, siostrze Joan, Agnes, szwagrowi Johnowi Okemanowi i teściowej Mary Norkot) rozkazano dotknąć zmarłej. Kiedy to uczynili, na czoło nieboszczki wystąpił pot, spływający po jej twarzy wielkimi kroplami. Twarz ta, jeszcze przed chwilą mająca trupi wygląd (według określenia świadka) przybrała przy tym zdrowy, normalny kolor, potem nieboszczka otworzyła jedno oko. Zrobiła to trzykrotnie.

Równocześnie trzy razy poruszyła palcem serdecznym, wykonując ruch wskazujący, przy czym na trawę kapała krew..."

To był dowód. Niedługo potem obalono alibi Arthura Norkota (nie był u przyjaciół, jak wcześniej utrzymywał), a ponadto na światło dzienne wyszły inne okoliczności. Ostatecznie Arthur Norkot, jego matka i siostra Joan, Agnes, zostali uznani winnymi i skazani na śmierć. John Okeman wyszedł z tego cało.

Motyw zbrodni pozostał nie wyjaśniony. Sądzono, że Arthur podejrzewał żonę o niewierność, dwie zaś pozostałe kobiety stały się chętnymi wspólniczkami zbrodni, ponieważ były zazdrosne o młodość i urodę Joan oraz jej pozycję w domu.

Całkowitą zagadką pozostały jednak zdarzenia towarzyszące ekshumacji Joan. Nawet naciągana koncepcja pochowania żywcem nie wyjaśniałaby tu niczego, ponieważ zwłoki Joan znajdując się w ziemi od przeszło miesiąca znajdowały się bezsprzecznie w stanie rozkładu.

Pozostaje zatem tylko jedna możliwość zatrzaśnięcia drzwi kryjących tajemnicę, która przyprawia nas o drżenie: nie wierzyć w ani jedno słowo.

Czy tego chcemy? Czy świat będzie znowu w porządku, kiedy uznamy wszystkie informacje o tym zdarzeniu za wyssane z palca, spisane potem przez zabobonnych głupców i przez takichże potwierdzone? Czy ten i tamten świat będzie znowu można jasno oddzielić od siebie? Raczej nie. Te

tajemnicze drzwi za często się otwierają i nie każdą sprawę można zbyć racjonalnym wytłumaczeniem. Jak więc przedstawia się problem tego i tamtego świata? Do takiego pytania można podejść tylko z największym wyczuciem, a przede wszystkim w sposób rzeczowy. Wydaje się to bez sensu, skoro tamten świat od dawna jest uważany za domenę wiary, religii, sfery ducha. Oczywiście nie będziemy się starali tego zmienić. Osobiste przekonania każdego człowieka to rzecz święta.

Jednak w naszych rozważaniach przyjmujemy punkt widzenia nie subiektywny, lecz obiektywny, starając się bronić rozumu fantastycznego.

Nie bierzemy pod uwagę tradycyjnego spirytyzmu, indywidualnych doświadczeń okultystycznych czy zeznań świadków na temat tamtego świata. Wspominamy o nich tylko wtedy, jeśli zawierają coś sprawdzalnego i konkretnego.

Przedmiotem naszych rozważań są jedynie fakty, a przynajmniej poszlaki. Jest ich więcej, niż można by sądzić. Ich interpretacja jest i pozostanie sprawą osobistą, zastrzeżoną do indywidualnego uznania każdego czytelnika.

Wiadomości, wiadomości, wiadomości

Jednym z najokropniejszych koszmarów jest dla nas myśl, że moglibyśmy zostać pochowani żywcem. Edgar Allan Poe, mistrz literatury grozy, nie bez powodu pokazał w swojej prozie taki przerażający los. Przez setki lat ludzie starali się przed nim zabezpieczyć.

Kazali więc poddawać swoje zwłoki kremacji, przebijać po śmierci serce albo instalować wyrafinowane systemy alarmowe w trumnach i grobowcach. Dopiero nowoczesnej medycynie udało się położyć kres tym lękom, choć nie zawsze i nie wszędzie.

Latem 1950 r. w prastarym włoskim miasteczku Camerino kilku parapsychologów pracowało z Marią Bocca, miejscowym medium.

„I to ma być to rzeczowe wprowadzenie do tematu?", pomyśli czytelnik. „Seanse, media, trudno o większą dawkę okultyzmu!"

Cierpliwości, ten przypadek jeszcze okaże się tak konkretny, że włos się zjeży na głowie.

Seans przebiegał jak tysiące innych, o których w tej książce słusznie nie wspominamy. Medium było w transie, mamrotało zdania bez związku i zachowywało się jak wszystkie media kontaktowe. Nagle łączność została nawiązana. Zgłosiła się niejaka Rosa Menichelli, urodzona wprawdzie w odległym o 10 kilometrów Castel-Raimondo, ale zmarła w Camerino. Wiadomość, którą przekazała, była przerażająca: Pochowano ją żywcem na cmentarzu w Camerino! Prosiła o dokonanie ekshumacji, by innym oszczędzić tak okropnego doświadczenia.

Mimo swej makabryczności historia ta nie jest niczym wyjątkowym wśród całego mnóstwa udokumentowanych wiadomości z zaświatów.

Na razie.

Wśród obecnych na seansie był dr Giuseppe Stoppolini, profesor anatomii na uniwersytecie Camerino, lekarz i psycholog światowej sławy, laureat wielu nagród i wyróżnień. Na prośbę tego wybitnego lekarza władze niezwłocznie wyraziły zgodę na ekshumację Rosy Menichelli, noszącej po mężu nazwisko Spadoni. Z akt przechowywanych w szpitalu wynikało, że ta nieszczęśliwa kobieta zmarła 4 września 1939 r. w wieku zaledwie trzydziestu ośmiu lat na gorączkę połogową, której towarzyszyła niewydolność serca. Pochowano ją dwa dni później na cmentarzu wschodnim w grobie nr 10, w rzędzie 47. Na wszelki wypadek profesor Stoppolini włączył w tę sprawę władze lokalne. Przy otwieraniu grobu obecni byli oprócz niego dr Mateo Marcello z izby lekarskiej Camerino, patolog dr Alfredo Pesche, trzej przedstawiciele władz i fotograf S. Manfrini.

Po otwarciu trumny ukazał się wstrząsający widok. Pozycja, w której znaleziono zwłoki, była świadectwem okropnej agonii: Rosa Menichelli z całą pewnością została pochowana w stanie śpiączki. Zdarzenie to stało się sensacją dnia, rozpisywała się o nim prasa. Doktor Stoppolini wszczął kampanię na rzecz obowiązkowego balsamowania zwłok, która zakończyła się sukcesem. Wiele gmin we Włoszech zmieniło swoją praktykę pochówku, aby na przyszłość nie dopuścić do takich nieszczęśliwych wypadków.

Całą tę sprawę można zrekonstruować na podstawie oficjalnych akt i niezliczonych artykułów w prasie. Nie rozwiązaną zagadką pozostało natomiast źródło tej informacji. Przypomnijmy, że pogrzeb odbył się w 1939 r., a seans w 1950.

Jakie więc było pochodzenie tej prawdziwej wiadomości otrzymanej jedenaście lat po śmierci Rosy Menichelli-Spadoni?

Gdyby ktoś chciał tu znaleźć jakieś (nawet paranormalne) wytłumaczenie ograniczające się do spraw tego świata, to musiałby się odwołać do bardzo ryzykownej myślowej akrobatyki.

Przekonajmy się, czy nie znajdziemy więcej elementów tej fantastycznej układanki.

Takich elementów postanowiło dostarczyć pięciu ludzi, zmarłych na początku naszego wieku. Byli to: Frederic Myers, Edmund Gurney, Henry Sidgwick, A.W. Verrall i Henry Butcher.

Kim oni byli?

Byli cieszącymi się powszechnym szacunkiem uczonymi najróżniejszych dyscyplin, należącymi do Society for Psychical Research, poważnego towarzystwa założonego w 1882 r. pod przewodnictwem prof. Henry Sidgwicka, humanisty z Cambridge. Towarzystwo poświęcało się naukowym badaniom zjawisk paranormalnych. Rzetelność tej istniejącej do dziś instytucji jest niepodważalna. W gronie jej przewodniczących byli trzej laureaci Nagrody Nobla, jedenastu członków Royal Society, jeden premier Wielkiej Brytanii i osiemnastu profesorów, a wśród nich pięciu fizyków. Członkiem rady towarzystwa był na przykład Arthur Koestler.

Pierwszym zadaniem, jakie postawiło przed sobą towarzystwo, było oddzielenie w parapsychologii prawdy od fałszu. Jego eksperci uczestniczyli więc w seansach i publicznych występach mediów, jasnowidzów i cudotwórców wszelkiego rodzaju; zdemaskowali niejednego szarlatana mimo stosowania przezeń najbardziej wyrafinowanych sztuczek i skomplikowanej aparatury.

Problemy udowodnienia autentyczności tak skomplikowanych zjawisk były znane działaczom towarzystwa lepiej niż komukolwiek. Mieli oni pełną świadomość, jak ogromne trudności są związane z odróżnieniem rzeczywistej wiadomości z tamtego świata od rezultatów telepatycznych zdolności medium (z których ono samo może sobie wcale nie zdawać sprawy).

Dla pięciu wymienionych na wstępie osób było to jedynym w swoim rodzaju wyzwaniem, które chcieli podjąć, skrupulatnie stosując naukowe metody.

Opracowali więc pewien plan, odważny i niezwykle skomplikowany. A przy tym musiał być jeszcze opracowany na tamtym świecie, gdyż brak w tej sprawie jakichkolwiek „ziemskich" wskazówek, oprócz samego planu...

Pewna dama w 1906 r. nieoczekiwanie wyjawiła brytyjskiemu towarzystwu, że posiada zdolność pisma automatycznego i że będąc w stanie półsnu odebrała w ten sposób pewną wiadomość. Jej nadawcą był Frederic Myers, członek założyciel Society for Physical Research, zmarły w 1901 r.

Następne wiadomości (było ich w sumie ponad 3000 w ciągu przeszło trzydziestu lat) nadchodziły za pośrednictwem najróżniejszych mediów z Anglii i jednego z USA. Genialną cechą tego systemu, dowodzącą zarazem jego autentyczności, było to, że dopiero po połączeniu fragmentów w jedną całość powstawał klarowny obraz, każde zaś medium odebrało tylko część komunikatu, która sama w sobie niewiele znaczyła. Poruszane tam tematy należały do dziedzin wiedzy, w których pięciu zmarłych uczonych posiadało wybitną wiedzę specjalistyczną. Przekazane komunikaty zawierały takie szczegóły, które znali jedynie zmarli uczeni (było to możliwe do udowodnienia).

Po połączeniu w jedną całość dało się uzyskać niemal całkowitą pewność, że wiadomości pochodziły od pięciu zmarłych nadawców. Cały plan zaczął się odsłaniać stopniowo i z każdą odebraną częścią komunikatu następowało to coraz szybciej.

Pomogły w tym pułapki, rozmieszczone przez pięciu autorów w poszczególnych fragmentach tekstu, które wprawdzie początkowo utrudniały zadanie, potem jednak, w miarę jak coraz lepiej rozumiano zamysł autorów, okazały się pożyteczne. Niektóre fragmenty były sformułowane w języku greckim i łacińskim albo zawierały cytaty z ukrytym sensem, czego bezpośredni odbiorcy z braku odpowiedniego wykształcenia przeważnie nie mogli właściwie odczytać. Oczywiście zdarzało się także, że nadawcy udzielali cennych wskazówek. Tak np. Myers podyktował wdowie po zmarłym koledze, pani A. Verrall, następującą instrukcję: „Proszę zapisać części, a po połączeniu powstanie z nich jedna całość."

Całe to zdarzenie przeszło do historii wiedzy o zjawiskach paranormalnych pod nazwą „Cross Correspondences" (korespondencja krzyżowa).

Mimo szczegółowych analiz, wciąż ponawianych, nie zdołano wyjaśnić tego zjawiska złudzeniem ani oszustwem.

Można było tylko zrekonstruować jego genezę.

Frederic Myers był przekonany o istnieniu życia pozagrobowego i skoncentrował swoje dociekania na piśmie automatycznym. Jako były przewodniczący Society for Psychical Research więcej niż ktokolwiek inny wiedział o piszących mediach, poziomie ich wykształcenia i charakterystycznych cechach. Jak się wydaje, to on był motorem sprawczym umówionego spotkania na tamtym świecie, architektem planu i tym, który uczynił pierwszy krok.

Można się było po nim również spodziewać autorstwa pomysłu, którego istotą było przemyślne zaszyfrowanie i podzielenie informacji (której nie mogły z braku wiedzy w pełni zrozumieć piszące media). Pozwoliłoby to z góry odeprzeć zarzut, że między poszczególnymi mediami mogła istnieć łączność telepatyczna.

Warto więc bliżej zaznajomić się z „Cross Correspondences". Oto historia tego zdarzenia.

Pierwsze próby nawiązania kontaktu, w czasie których nie były jeszcze przekazywane żadne konkretne informacje, zaczęły się w 1904 r. 12 stycznia tego roku medium piszące, zamieszkała w Indiach Alice Fleming, bardziej znana pod nazwiskiem Holland, otrzymała od Myersa następującą wiadomość:

„Gdyby dusza mogła umrzeć, to z pewnością bym umarł z niezaspokojonej żądzy porozumienia się z wami i opowiedzenia, że wszystko, co sobie wyobrażaliśmy, nie jest nawet w połowie tak cudowne jak prawda..."

Inne medium w USA, pani Piper, odebrała wiadomość: „Staram się ze wszystkich sił... Chcę udowodnić, że jestem Myersem..."

Następnie, znowu za pośrednictwem pani Fleming-Holland: „Jestem bezsilny wobec przemożnego pragnienia, by dać się rozpoznać".

Po dwóch latach zaczęły z zaświatów nadchodzić konkretne informacje (załóżmy na razie, że tak właśnie było), których ostatni, odosobniony, fragment zarejestrowano w 1972 r. Nie miejsce tu na rozwijanie całego toku myśli i przedstawianie zaszyfrowanych wskazówek zawartych w poszczególnych fragmentach, choć właśnie w tej skomplikowanej strukturze

tkwi sedno sprawy „Cross Correspondences", coś, co ją odróżnia od mnóstwa innych wiadomości z zaświatów.

Jedno można stwierdzić z całą pewnością, a przyznają to nawet najwięksi sceptycy: Gdyby ta ogromna sieć utworzona z drobnych fragmentów informacji, której odbiorcy byli rozsiani na wielu kontynentach, a jej przesyłanie trwało całe dziesięciolecia, miała być jednym oszukańczym manewrem, to z całą słusznością można by tu użyć pompatycznego określenia „spisek światowy". Zauważmy, że taki spisek nikomu nie przyniósłby żadnej korzyści.

Tak więc nie można uznać tego przypadku za jeszcze jeden normalny komunikat z zaświatów. Występują tu niewątpliwie czynniki wykraczające poza płaszczyznę wiary lub niewiary.

Rozważenie kwestii, czy można tu mówić o dowodach czy nie, odłożymy na później. Zamiast tego zaznajomimy się z kilkoma innymi spektakularnymi przykładami, które pomogą uzyskać jaśniejszy obraz sytuacji.

15 października 1926 r. dr Neville Whymant, światowej sławy znawca języków orientalnych, wbrew swoim chęciom wziął udział w seansie spirytystycznym u swoich przyjaciół, sędziego Williama Cannona i jego żony. Dr Whymant nie był nawet w najmniejszym stopniu entuzjastą ezoteryki ani spirytyzmu i poczuł się dotknięty, kiedy się zorientował w okultystycznym charakterze tego spotkania. Nie chciał jednak innym psuć zabawy.

Zadanie medium spełniał pewien człowiek nazwiskiem George Valiantine, który podobno miał zdolność bezpośredniej projekcji głosu. Ten fenomen sam w sobie jest już dostatecznie osobliwy, bowiem przejawia się w słowach albo dźwiękach rodzących się w przestrzeni, przy czym medium nie porusza ustami. Nie może tu chodzić o brzuchomówstwo, a instalacja ukrytych głośników, czasem możliwa na scenie, w mieszkaniu Cannonów była wykluczona.

Dr Whymant z niechęcią wziął udział w tym przedstawieniu. Wkrótce jednak jego nastrój uległ gwałtownej zmianie, kiedy dały się słyszeć dźwięki chińskiego fletu, a następnie głos, zwracający się właśnie do niego w czystym starochińskim języku, który dziś zna już tylko niewielu ekspertów:

„Bądź pozdrowiony, synu mądrości i czytelniku niezwykłych ksiąg! Sługa uniżony chyli czoło przed taką znakomitością".

Dr Whymant odpowiedział w tym samym prastarym chińskim języku literackim:

„Pokój z tobą, o czcigodny. Nieokrzesany sługa pragnie poznać twe imię i twój szlachetny stan".

Niewidzialny oświadczył w odpowiedzi: „Nazywam się K'ung-fu-tsu (Konfucjusz), a mój niski stan to Kiu. Straciłem niezliczone lata i nie doszedłem do kresu drogi. Czy pozwolisz mi poznać twe szlachetne imię i stan?"

Naukowiec mimo woli dał się porwać nastrojowi chwili i zaczął wypytywać głos o wykładnię pewnych punktów nauki konfucjańskiej, co do których wśród uczonych nie było zgodności poglądów. Udzielane odpowiedzi były prawidłowe, na ile mógł to ocenić jako znawca przedmiotu. Chcąc uzyskać pewność, poprosił niewidzialnego rozmówcę o wyjaśnienie kilku niezrozumiałych fragmentów w starych chińskich wierszach, z których przynajmniej jeden pochodził od samego Konfucjusza albo powstał zgodnie z jego wskazówkami.

Otrzymał żądane wyjaśnienia, a głos zacytował nawet kilka takich wersów, których nie znał sam dr Whymant, a o ich istnieniu dowiedział się później. Nie koniec na tym, duch Konfucjusza (czy kimkolwiek był właściciel głosu) rozwikłał takie problemy wczesnochińskiej literatury, nad którymi jej znawcy od stuleci łamali sobie głowy.

Doktor Whymant nie wiedział, co o tym sądzić. Dialog był prowadzony w języku chińskim sprzed tysięcy lat, jakim mówił Konfucjusz, od wielu już setek lat należącym do języków martwych. Oczywiście istniała również możliwość, że specjalnie dla niego urządzono skomplikowane przedstawienie z wykorzystaniem ukrytych głośników, jednak w zorganizowaniu takiego przedstawienia musiałby uczestniczyć sinolog mający jeszcze większą wiedzę niż dr Whymant. Choć byłoby to wielce nieprawdopodobne, nie można jednak takiej ewentualności wykluczyć.

Gdyby oszustwem miał być także niżej opisany przypadek, to jego zorganizowanie wymagałoby jeszcze większego nakładu starań, nikomu nie przynosząc żadnej korzyści.

Medium występującym w tej sprawie była Patricia Kord, dwudziestoośmioletnia sekretarka pracująca na uniwersytecie Indianapolis. Pozwalała ona Richardowi Cookowi, swemu wujowi, wprawiać się regularnie w trans hipnotyczny, aby się pozbyć częstych migren.

W czasie jednej z takich kuracji Patricia zaczęła się nagle dziwnie zachowywać. Jej oddech stał się spazmatyczny, tętno spadło alarmująco, a z ust wydobył się głos, który w niczym nie przypominał jej własnego głosu, był to bowiem głos męski.

Należał on do żołnierza wojsk Konfederacji walczącego w wojnie secesyjnej. Stopniowo z fragmentów zdań zaczęła się wyłaniać historia życia młodego Gene Donaldsona. Wychował się na farmie w okolicach Shreveport, entuzjastycznie przyłączył się do rebeliantów (jak Jankesi określali stany Południa) i wskutek postrzału otrzymanego w bitwie pod Shiloh stracił oko. Zadając rzeczowe pytania, Cook zdołał uzyskać szczegółowy, wyczerpujący obraz życia i śmierci Donaldsona, zawierający niezliczone informacje o ludziach, ich sytuacji osobistej, warunkach życia w epoce odległej wówczas o około stu lat oraz wydarzeniach na froncie. Wszystko to utrwalono na taśmie magnetofonu, który wuj Patrycji włączył zaraz na początku seansu.

Zagadkowość tego zdarzenia podkreśla fakt, że ani Cook, ani jego siostrzenica nie znali Shreveport i nigdy nawet nie byli w tej okolicy; również żołnierz Donaldson był dla nich całkowicie obcą osobą. Nie znali ani geografii tych odległych stron, ani przebiegu działań zbrojnych w bitwie pod Nashville, w której miał zginąć ich rozmówca.

Po kilku miesiącach Richard Cook pozwolił dziennikarzom posłuchać nagrania na taśmie.

W ten sposób sprawa trafiła na czołówki wielu pism w USA. Reporterzy gazet z Nashville chcieli zbadać sprawę dokładnie i zaczęli przetrząsać dokumenty dotyczące wojny secesyjnej. Istotnie, w Archiwum Narodowym w Waszyngtonie udało im się natrafić na nazwisko Gene Donaldsona. Należał on do grona ochotników z Luizjany, którzy walczyli zarówno pod Shiloh, jak i pod Nashville.

Utrwalone na taśmie szczegółowe opowieści Donaldsona na temat jego śmierci pozwoliły historykom ustalić, że padł

w walce o Shy's Hill, mało ważnej potyczce stoczonej podczas ciężkich i krwawych zmagań o Nashville.

Udało się zrekonstruować także wiele szczegółów z życia samego Donaldsona. We wszystkich punktach pokrywały się z wiadomościami z zaświatów. Jeśli pomyśleć, jak ogromnej pracy wymagało sprawdzenie informacji dotyczących zwłaszcza osobistych losów narratora (reporter „Shreveport Times" całymi tygodniami prowadził poszukiwania, niestrudzony niczym pies myśliwski na tropie), to bez odpowiedzi pozostaje co najmniej pytanie, czy opłaciłoby się Cookowi i Patrycji Kord wykonać tak gigantyczną pracę wstępną, aby przez krótką chwilę stanąć w pełnym blasku jupiterów. Pominiemy już kwestię, czy byliby w ogóle zdolni tego dokonać.

Jeszcze więcej problemów nasuwa wyjaśnienie innej wiadomości z zaświatów, o której teraz będzie mowa. Samo medium podjęło znaczne wysiłki w tym kierunku. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Uważa się, że pożar niemieckiego sterowca „Hindenburg" w czasie lądowania w Lakehurst w 1936 r. zamknął epokę tak niegdyś dumnych sterowców, które niczym ogromne, srebrzyście połyskujące cygara albo obce statki kosmiczne szybowały po niebie.

Dla imperium brytyjskiego ten rozdział w dziejach lotnictwa skończył się już 6 lat wcześniej, 5 października 1930 r., o godzinie drugiej nad ranem.

W 1924 r. rząd angielski zlecił budowę wielkiej flotylli pasażerskich sterowców dla potwierdzenia także w powietrzu brytyjskiej obecności na całym globie. Ukoronowaniem tego przedsięwzięcia miały być dwa olbrzymy powietrzne, R 100 i R 101, zbudowane przez Airship Guarantee Company, filię zakładów Vickersa.

Oba te statki znacznie przewyższały swymi rozmiarami nawet później zbudowany sterowiec „Graf Zeppelin". Wypełniało je 140 000 metrów sześciennych wodoru, miały udźwig 60 ton przy ciężarze własnym wynoszącym 90 ton każdy. Były one w powietrzu tym, czym „Titanic" na morzu, oferowały na swych pokładach maksimum luksusu i wygody. Przemieszczając się z prędkością stu kilometrów na godzinę miały rozsławiać potęgę Wielkiej Brytanii we wszystkich stronach świata.

R 100, pierwszy z tych dwu gigantów, świetnie realizował te zamysły. Nad R 101 jednak zawisło jakieś fatum, i to od narysowania pierwszej linii na desce kreślarskiej. Względy walki konkurencyjnej przesądziły o tym, że budowę R 101 powierzono nie doświadczonemu zespołowi zakładów Vickersa w Howden, ale grupie skompletowanej przez ministerstwo lotnictwa w byłej bazie wojennych statków powietrznych w Cardington, w pobliżu Bedford. Z tych samych względów lekkomyślnie odrzucono propozycję współpracy, z którą wystąpił Barnes Wallis, już wówczas legendarny technik i konstruktor. Miał on decydujący udział w udanej konstrukcji R 100.

Popełniono jeszcze wiele zaniedbań; podejmowane decyzje bywały nie przemyślane, a potknięcia skwapliwie tuszowano. Przyczyną tego zamieszania był niesłabnący i bezwzględny nacisk ministra lotnictwa lorda Thomsona of Cardington(!) na zespół. Pragnął on zostać następnym wicekrólem Indii i wyobrażał sobie, że odniósłby wielki sukces propagandowy, wspierający jego starania, gdyby mógł przylecieć do Londynu na odbywającą się w październiku konferencję imperium brytyjskiego sterowcem R 101, wracając właśnie z podróży na subkontynent indyjski.

Mimo ustawicznego popędzania olbrzym przestworzy był gotów dopiero w początkach października. Można było jeszcze wybrać się na przejażdżkę do Indii i z powrotem, by zdążyć na początek konferencji. Wieczorem 4 października 1930 r., dokładnie o godzinie 18.36, R 101 odcumował w porcie macierzystym, by wyruszyć w tragiczną podróż ku zagładzie. Na zbyt niskim pułapie (jak się później okazało) przeleciał nad Londynem, przeciął kanał La Manche w rejonie Hastings i znalazł się nad terytorium Francji w pobliżu Dieppe.

Ostatni komunikat R 101 do bazy Cardington zawierał określenie pozycji (24 kilometry na południe od Abbeville) i kończył się beztroskim komentarzem: „Po wyśmienitej kolacji wysokie osobistości wypaliły cygara i rzuciwszy okiem na wybrzeże Francji udały się do łóżek, by wypocząć po trudach startu. Wszystkie ważne układy działają zadowalająco. Załoga dyżuruje zgodnie z rutynowym rozkładem".

O godzinie drugiej nad ranem następnego dnia pięćdziesięciosiedmioletni Eugen Rabouille, który właśnie zastawiał wnyki, usłyszał odgłos dudnienia dochodzący z wysoka. Kiedy podniósł wzrok, stanął jak wryty na widok ogromnej bryły, powoli i bezwładnie opadającej w dół, która uderzyła w pagórek oddalony od niego zaledwie o około 100 metrów. W następnej chwili rozpętało się piekło. Fala uderzeniowa rzuciła nim o ziemię, a oślepiający błysk ognia i potężny huk wybuchu niemal pozbawiły go zmysłów. Przez sekundę z dna tego piekła dobiegały okropne krzyki, a na tle jaskrawego blasku można było widzieć ciemne sylwetki.

Rabouille pozbierał się jakoś i uciekł. Był jedynym świadkiem ostatnich chwil dumnego sterowca R 101, który się rozbił w deszczową noc w pobliżu Beauvais w północnej Francji. Załoga (z wyjątkiem 6 osób) i 48 pasażerów, a wśród nich sprawca tej katastrofy, lord Thomson, zginęli w płomieniach. Wypadek R 101 zniweczył nadzieje rządu brytyjskiego pokładane w sterowcach.

Mimo całego tragizmu tej historii, nie ma w niej jednak niczego szczególnie niezwykłego. O wiele bardziej zadziwiające są inne zdarzenia, które poprzedzały ów ostatni lot R 101, a także nastąpiły po nim.

Prolog rozegrał się w 1928 r. Nikt wówczas — ani przedstawiciele rządu, ani opinia społeczna — nie widział najmniejszych powodów, by wróżyć rychłe zakończenie ery sterowców. Aż do dnia katastrofy to przeświadczenie nie uległo zmianie; żaden Brytyjczyk nie miał co do tego wątpliwości, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę, że otaczano tajemnicą sprawy związane z budową R 101 i świadomie rozniecano euforię po sukcesie R 100.

Mimo to nadeszło całkiem konkretne ostrzeżenie, choć objawiło się w sposób dość szczególny.

13 marca 1928 r. — gdy R 101 był w budowie i wszyscy z ufnością patrzyli w przyszłość tego przedsięwzięcia — bohater wojenny kapitan W.R. Hinchcliffe podjął próbę lotu przez Atlantyk. Wystartował z lotniska Cranwell we wschodniej Anglii i nigdy więcej go nie widziano.

Trzy dni później Beatrice Earl za pomocą planszy Ouija (pomoc stosowana w czasie seansów, która wprawdzie nie

należy do sfery naszych rozważań, lecz mimo to ze względu na specyficzne okoliczności zasługuje w tym przypadku na wzmiankowanie) odebrała wiadomość od Hinchcliffe'a, który chciał, by jego żona nawiązała z nim kontakt. Stało się to za pośrednictwem Conan Doyle'a, entuzjasty spirytyzmu, oraz przy udziale medium. Duch Hinchcliffe'a powiedział wtedy m.in.: „Muszę coś powiedzieć o nowym sterowcu (R 101). Ten statek nie wytrzyma obciążenia". Nalegał on, by zawiadomiono nawigatora z R 101, jego dawnego przyjaciela, dowódcę eskadry Johnstona. Ludzi z Cardington wcale to jednak nie zaniepokoiło. Ostatnie ostrzeżenie Hinchcliffa dotarło, kiedy R 101 zbliżał się już do granic Francji. Brzmiało ono: „Podnosi się burza. Tylko cud mógłby ich jeszcze uratować".

Warto tu przypomnieć, że dla okultyzmu, rozumianego potocznie, nie ma miejsca w obrębie poważnych rozważań. Nie powinno się jednak popadać w drugą skrajność i odrzucać wskazówek tylko dlatego, że pochodzą z podejrzanego źródła. Balansując na tej cienkiej linie, między nonsensem a wiarą w duchy, posuniemy się ostrożnie dalej. Ważne jest, by pamiętać w dalszych rozważaniach, że przyczyny katastrofy przez pewien czas były całkowicie nieznane. Cała seria zaniedbań, zatuszowanych błędów, naciski, ambicje osobiste itd., które legły u podstaw katastrofy, wypłynęły na światło dzienne dopiero później.

Powołano komisję dochodzeniową. Jej zadanie nie było łatwe, zginęli bowiem wszyscy pasażerowie i oficerowie. Udało się ocaleć jedynie sześciu członkom załogi spełniającym podrzędne funkcje, którzy nie znajdowali się w centralnej kabinie i niewiele umieli powiedzieć na temat przebiegu lotu, a jeszcze mniej o okolicznościach katastrofy.

W kwietniu 1931 r. komisja ogłosiła wyniki dochodzenia: R 101 wskutek utraty gazu stracił wysokość, dostał się w zstępujący prąd powietrza i z powodu lotu na pułapie poniżej 100 metrów (niewiele więcej niż połowa długości R 101) uderzył w ziemię. Było to tylko dość prawdopodobne przypuszczenie, nic więcej. Zeznanie jednego świadka mogłoby znacznie ułatwić pracę królewskim urzędnikom; niestety, jego autorem był nieżyjący kapitan R 101 i dlatego, co zrozumiałe, nie zostało wzięte pod uwagę w oficjalnym

śledztwie. Mimo to informacje w nim zawarte są niewątpliwie poprawne merytorycznie. Ze względu na niezwykłe pochodzenie tego zeznania, robiłoby ono co prawda dość dziwne wrażenie w urzędowym raporcie.

Dwa dni po katastrofie w National Laboratory of Psychical Research w zachodnim Londynie zgromadziło się towarzystwo o dość urozmaiconym składzie. Laboratorium to utrzymywał zamożny człowiek nazwiskiem Harry Price, któremu szczególnie leżało na sercu badanie zjawisk psychicznych.

Price musi być uważany za nie mniej poważnego znawcę przedmiotu niż członkowie Society for Psychical Research. Brzydził się spirytystycznym kuglarstwem i zdemaskował już niejednego oszusta, gdyż będąc z zamiłowania utalentowanym magikiem miał wszelkie dane po temu, by przejrzeć sztuczki szarlatanów. Price starał się także rzetelnie rozgraniczyć wiadomości otrzymywane z zaświatów i telepatię (świadomą czy nieświadomą).

Zainicjowany przez Price'a seans nie miał nic wspólnego z katastrofą R 101; jego celem było kontynuowanie dyskusji, której Price i Arthur Conan Doyle nie zdołali zakończyć za życia duchowego ojca Sherlocka Holmesa.

Conan Doyle uważał surowe kryteria, jakie Price stosował w swoich badaniach spraw tamtego świata, za mieszaninę ignorancji i mentalności biurokraty; z kolei Price odrzucał entuzjazm Doyle'a dla spirytyzmu jako przejaw bezkrytycznej łatwowierności.

Conan Doyle obiecał przedstawić Price'owi „dowód". I oto teraz, kilka miesięcy po śmierci Doyle'a, Price chciał mu stworzyć okazję do zaprezentowania takiego dowodu.

Zgodnie ze swymi zwyczajami, Price wybrał do roli medium osobę o nieposzlakowanej reputacji, pewną damę nazwiskiem Eileen Garrett, która zawsze zgadzała się na poddanie swych zdolności wszelkim proponowanym badaniom.

Obecni byli ponadto australijski dziennikarz Ian Coster i stenograf. Aby zapewnić optymalne warunki dla zamierzonego eksperymentu, Price nie udzielił zaproszonym żadnych informacji wstępnych. Nikt nie miał pojęcia, jakiemu celowi ma właściwie służyć ten seans, pani Garrett zaś sądziła, że

reporter jest jednym z tych obserwatorów naukowych, jakich Price zwykle angażował przy takich okazjach. Ian Coster, chłodny sceptyk, nie spodziewał się niczego.

Początkowo seans przebiegał normalnie. Zgłosił się duch kontrolny, Price otrzymał informacje o zmarłym przyjacielu. Conan Doyle'a ani śladu.

Nagle w pani Garrett zaszła dramatyczna przemiana. Ogarnęło ją wzburzenie, z jej oczu popłynęły łzy, zaczęła wołać imię Irving albo Irvin. Potem zaczęła mówić innym głosem, słowami urywanymi w pośpiechu, tonem naglącym, jakby chodziło o meldunek przekazywany w stanie najwyższego zagrożenia. Treść meldunku sprawiła, że dziennikarz nadstawił ciekawie uszu.

Brzmiał on następująco: „Gondola sterowca od początku była o wiele za ciężka jak na moc silników, szczególnie część środkowa. Także silniki o wiele za ciężkie. Dlatego trzeba było pięć razy zawracać do bazy, o wiele za mała siła ciągu".

Obcy głos, którym teraz mówiła pani Garrett, załamał się. Wydawało się, że mówiący uległ panice, wyrzucając z siebie dalsze słowa niczym karabin maszynowy: „Nasza siła ciągu za mała, źle obliczona. Powiadomić posterunek kontrolny... Ten pomysł z nowymi silnikami napędowymi zupełnie zwariowany. Jeden silnik nie działa... Pompa oleju zatkana... Układ węglowodorowy nieodpowiedni, bardzo nieodpowiedni... Lecimy o wiele za nisko, tak samo jak w czasie lotów próbnych, o wiele za krótkie loty próbne. Nikt naprawdę nie znał tego sterowca. O wiele za małe śmigła. Wtrysk paliwa niedostateczny, pompa powietrza odmawia posłuszeństwa, chłodzenie całkiem niesprawne... Dodatkowego silnika nie można już użyć. Konstrukcja lotna po prostu za ciężka, a ładunek o wiele za duży na ten długi lot... Za duży ciężar, za duży, za duży... Niedostateczna szybkość, statek kołysze się zatrważająco... Silne tarcie zewnętrznego poszycia, jego części ocierają się o siebie... Z silnikiem coś nie w porządku... Nie możemy nabrać wysokości... Wszystkie próby zawiodły, nie możemy już się wznieść... Jak na tak długi lot pogoda jest niesprzyjająca... Zewnętrzne poszycie jest całkiem przemoczone, a dziób sterowca opada alarmująco. Już nie można się wzbić w górę. Jesteśmy zupełnie bezradni. Prawie dotykaliśmy

dachów domów lecąc nad Achy... Trzymamy się kursu wzdłuż linii kolejowej..."

Rzeczywiście, późniejsze dochodzenie wykazało między innymi, że „powłoka nie była już dostatecznie elastyczna, a poza tym o wiele za ciężka. Gondola została zamocowana zupełnie niewłaściwie (...) Była o wiele za ciężka i miała nadmierny ładunek, co powodowało znaczne przeciążenie silnika (...)"

Zgadzał się także przebieg zdarzeń.

Już to wszystko było trudno wyjaśnić, jednak był to dopiero wstęp do jeszcze bardziej niezwykłych zdarzeń.

Dziennikarz Ian Coster, który utrwalił cały ten seans stenograficznie, zachował początkowo sceptycyzm. Zdecydował się jednak opublikować relację, wiedząc, że na pewno zainteresuje wielu czytelników. Jednym z nich był Will Charlton, który miał styczność z budową R 101. Poprosił on Harry'ego Price'a o kopię protokołu tego seansu.

Kiedy razem z innymi fachowcami przestudiował dokładnie te notatki, wydał zdumiewające oświadczenie.

„Wydaje się niewątpliwe — oświadczył Charlton — że w czasie tego seansu przekazano oryginalne informacje wynikające z doświadczeń nieżyjącego kapitana R 101, porucznika pilota H. Carmichaela Irvina, tak jakby to on sam we własnej osobie był przy tym obecny". Dla Charltona i jego kolegów notatki te stanowiły „zdumiewający dokument, zawierający przeszło czterdzieści ściśle technicznych i poufnych szczegółów w związku ze zdarzeniami, które się rozegrały owego fatalnego dnia". To jeszcze nie wszystko.

Trzy tygodnie później nastąpił ciąg dalszy niemożliwych do wyjaśnienia zdarzeń. Znowu nikt tego nie zaplanował wcześniej.

Jedną z osób, które pośrednio ucierpiały wskutek katastrofy, był major Oliver Villiers z ministerstwa lotnictwa cywilnego, weteran pierwszej wojny światowej, as lotnictwa. Człowiek ten bynajmniej nie był zwolennikiem mistycyzmu.

Major stracił w katastrofie wielu przyjaciół. Szczególnie boleśnie odczuł śmierć Seftona Branckera, dyrektora departamentu lotnictwa cywilnego i przełożonego Villiersa w ministerstwie.

Późną nocą w swoim pokoju major Villiers doznał nagle silnego wrażenia obecności swego przyjaciela Irvina, a w uszach zabrzmiał mu dobrze znany głos kapitana R 101. Irvin chciał pilnie z nim mówić, ale najwyraźniej nie mógł tego zrobić.

To przeżycie wstrząsnęło realistą z krwi i kości, odznaczonym wieloma orderami bohaterem wojennym, do tego stopnia, że opowiedział o nim pewnemu znajomemu, który się parał spirytyzmem. Ten zaaranżował seans z udziałem Eileen Garrett. Villiers wziął udział w tym seansie powodowany przemożnym wewnętrznym przymusem, choć tego typu imprezy napawały go najwyższym obrzydzeniem.

Seans odbył się 31 października 1930 r. i od samego początku miał niezwykły przebieg. Wychodząc naprzeciw temu, co było nieuniknione, Villiers wszczął dialog z kapitanem Irvinem, który już wkrótce się zgłosił za pośrednictwem pani Garrett. W czasie późniejszych seansów krąg bezcielesnych rozmówców rozszerzył się o dalszych uczestników śmiertelnego lotu, nie wyłączając Seftona Branckera.

W tym miejscu zrozumiała byłaby u czytelnika reakcja typu: „Czas wreszcie z tym skończyć, to już doprawdy zbyt absurdalne", albo podobna. Ostatecznie nawet rozsądnym współczesnym, jak major Villiers, mogło się przywidzieć to, co pragnęli zobaczyć. Zwłaszcza w sytuacjach ekstremalnych.

Sprawa jednak nie jest taka prosta. Jeśli przejrzymy protokoły dialogów między majorem Villiersem a jego bezcielesnymi przyjaciółmi, to napotkamy informacje, których Villiers ani sam nie znał, ani nie mógł ich uzyskać drogą telepatii (od nikogo).

Kilka wybranych fragmentów pokaże, jak trudno jest znaleźć na to wszystko jednoznaczne wyjaśnienie.

Villiers: Spróbuj mi opowiedzieć, co się wydarzyło w sobotę i niedzielę.

Irvin: On [sterowiec R 101] był o wiele ton za ciężki. Po amatorsku skonstruowany. Powłoka i szkielet z wadliwego materiału.

Villiers: Chwileczkę, przyjacielu, zacznijmy od początku.

Irvin: Dobrze. Po południu, przed startem, zwróciłem uwagę, że źle działa ciśnieniomierz gazu. Oznaczało to, że jest jakaś dziura albo nieszczelność w okolicy zaworów, której nie mogłem zlokalizować.

Villiers: Objaśnij to, proszę, dokładniej. Nie rozumiem.

Irvin: Stare powłoki Goldschlägera są zbyt porowate i nie dość mocne. Przez nieustanne ruchy balonów z gazem, które działają jak miechy kowalskie, powstaje stale wewnętrzne nadciśnienie, wskutek czego gaz ulatnia się przy zaworach. Poinformowałem o tym głównego inżyniera. Już wtedy wiedziałem, że jesteśmy prawie skazani na śmierć. Później, kiedy przyszły mapy meteorologiczne, usiadłem, aby się naradzić ze Scottie'em i Johnnie'em [dwoma innymi oficerami]. Co do problemów z gazem doszliśmy do przekonania, że najlepiej będzie wystartować zgodnie z rozkładem. Prognozy pogody były niepomyślne, ale mieliśmy nadzieję, że zdążymy jeszcze przelecieć nad kanałem i zacumować w Le Bourget, zanim nadejdzie front atmosferyczny. Wszyscy trzej byliśmy nieźle wystraszeni. Scottie powiedział jeszcze: „Słuchajcie, nie uda nam się z tego wyrwać, ale wejdziemy na pokład w imię Boże, uśmiechając się od ucha do ucha, i zostawimy Anglię nie mając sobie nic do wyrzucenia".

Przyznajmy, że to zadziwiający potok szczegółów technicznych w ustach damy, która z całą pewnością nie byłaby w stanie odróżnić zaworu od wielokrążka.

To, co nastąpiło, było jeszcze bardziej zdumiewające. Także wspomniany przez Irvina Scottie poprosił o głos. Z nim Villiers przeprowadził następującą rozmowę:

Villiers: Na czym polegały wasze kłopoty? Irvin mówił, że przyczyną problemu był dziób sterowca.

Scott: Tak, problemy z dźwigarem i silnikiem.

Villiers: Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej. Czy może pan określić, gdzie to było? Oznaczyliśmy poszczególne dźwigary literami alfabetu.

Scott: Górny to 0, a potem A, B, C i tak dalej, ku dołowi. Niech pan spojrzy na swój rysunek. To było na prawej burcie, 5c. W czasie drugiego lotu stwierdziliśmy, że jeden z dźwiga-

rów wprawdzie jeszcze nie był pęknięty, ale mocno wyciągnięty. Bardzo nadwerężał powłokę.

Villiers: Czy jest pan całkiem pewien, że dźwigar nie był jednak złamany i nie przebił powłoki?

Scott: Nie, naprawdę nie był złamany, a tylko nadpęknięty. Możliwe, że wskutek tego rozdarł powłokę. To pęknięcie powłoki na prawej burcie przy 5c mogłoby spowodować zmianę rozkładu ciśnienia, która potem doprowadziła do katastrofy. Ale było coś jeszcze o wiele gorszego, za duże ciśnienie w zbiornikach gazu i wiatr, który nam bardzo dokuczał. To bardzo silne zewnętrzne ciśnienie przy o wiele za słabych zaworach (o których wspominał też Irvin) widocznie spowodowało, że któryś zawór został wyrwany i gaz się zapalił od iskry z silnika.

Porównanie z materiałami komisji dochodzeniowej wykazało, że wszystkie informacje, które Villiers uzyskał w czasie swoich rozmów z nieżyjącymi oficerami R 101, były pod względem merytorycznym równie poprawne jak te, które podał Irvin przy pierwszym kontakcie, kiedy sprzątnął Conan Doyle'owi miejsce w kolejce.

Jest całkowicie zrozumiałe, że ten przypadek, który, jak się wydaje, wydźwignął kontakty z zaświatami z mroków obskurantyzmu spirytystycznych seansów na poziom rzeczowej analizy, musiał sprowokować niezliczone próby zakwestionowania go. Eksperci lotnictwa wgryzali się w szczegóły, które wydawały się nie całkiem logiczne, albo oświadczali, że załoga statku powietrznego, która z całą świadomością leci ku zagładzie, musiałaby być chora umysłowo, i odrzucali te relacje jako absurdalne. W dyskusji padały głosy za i przeciw i do dziś dnia kontrowersje nie zostały rozstrzygnięte. Wiele kontrargumentów budzi wątpliwości, inne z kolei wydają się naciągane. Mało przekonywający jest zwłaszcza zarzut, że oficerowie nie wykonywaliby przecież samobójczo rozkazów nie zważając na posiadany zasób wiedzy. Wprost przeciwnie, właśnie podobne przypadki stanowią regułę, i to nie tylko pod rządami dyktatorów.

Zapewne nigdy nie zapadnie ostateczny werdykt w tej sprawie. Mimo to więcej względów przemawia przeciwko naturalnemu wytłumaczeniu niż na jego korzyść.

Nie da się mianowicie zaprzeczyć, że niektóre osoby uczestniczące w seansach nie miały wiedzy fachowej. Pewne wypowiedzi mogły pochodzić jedynie od Irvina (zwłaszcza wzmianka o mieszaninie węglowodorowej, która stanowiła nie tylko nowość, ale i tajemnicę, a także nazwa maleńkiej wioski Achy na północ od Beauvais, której na większości map w ogóle nie można znaleźć). Niezaprzeczalna jest również rzetelność Harry'ego Price'a, nie można go było wywieść w pole.

To samo trzeba powiedzieć o osobie medium, Eileen Garrett. Tu dochodzimy do kolejnego motywu przedstawienia tego przypadku w naszej książce. Pragnienie pani Garrett, by nikogo nie wprowadzać w błąd (także samej siebie), było tak przemożne, że, na przykład, założyła Nowojorskie Stowarzyszenie Parapsychologiczne, które bezlitośnie i z wielką znajomością rzeczy demaskowało szarlatanów i oszustów.

Kiedy w 1970 r. Eileen Garrett zmarła w wieku siedemdziesięciu siedmiu lat, badacz i pisarz Archie Jarman, który od początku szczegółowo badał aferę R 101, poświęcił jej całą kolumnę w czasopiśmie „Psychic News". W swoim artykule przytoczył również przypadek sterowca, pisząc, że pani Garrett prosiła go o zbadanie tej sprawy z największą starannością.

Jarman pisał: „Sprawa ta rozrosła się do znacznych rozmiarów, zajęła sześć miesięcy, a uzyskane rezultaty wypełniły 455 stron druku. Przedsięwzięto dwie podróże do Francji w celu odszukania ostatnich świadków katastrofy w Beauvais, zasięgano opinii biegłych z dziedziny lotnictwa, odbyło się również spotkanie z konstruktorem silnika wysokoprężnego do R 101, w którym wziął udział posunięty w latach, ale bardzo jeszcze czerstwy pilot bliźniaczego sterowca R 100.

Powoływano wciąż nowych ekspertów technicznych, badano mapy nawigacyjne i analizowano wiedzę techniczną pani Garrett. Wiedza ta okazała się równa zeru, pani Garrett ledwo się orientowała, jak się puszcza latawce. Wkrótce sam dokładnie poznałem problemy astronomii, aerodynamiki, geodezji, jak też powiązania polityczne i skandaliczne tło całej tej sprawy. Specyficzny charakter nadaje temu przypadkowi aspekt techniczny, jest on moim zdaniem istotnie jedyny w swoim rodzaju (...) Sądzę, że przypuszczenie, jakoby Eileen

zdobyła informacje ze źródeł tego świata, jest doprawdy absurdalne".

Z biegiem czasu większość sceptyków musiała niechętnie zgodzić się z tą opinią. Wielu z nich, nie mogąc znieść w tej sprawie jej uprzykrzonego zaświatowego aspektu, odwoływało się do nie mniej kontrowersyjnych zjawisk paranormalnych, które jednak przynajmniej są z tego świata.

Sam Harry Price w swoim liście do Johna Simona, przewodniczącego komisji dochodzeniowej w sprawie katastrofy R 101, wyraził opinię, iż być może pani Garrett nie uzyskała swojej wiedzy na ten temat drogą komunikacji z duchami członków załogi, ale w niewyjaśniony sposób zdobyła dostęp do informacji zapisanej w przestrzeni i czasie (choć wyraził to innymi słowami).

Tu właśnie tkwi ten szkopuł, którego może nigdy nie uda się nam ominąć. Przy pewnym wysiłku można sobie wyobrazić taką kombinację zdolności paranormalnych (np. telepatii i prekognicji), która by w świetle pewnych koncepcji nowej fizyki (np. mostu Einsteina i Rosena, koncepcji równoczesności i odrzucenia przyczynowości) mogła pozwolić na coś takiego, jak podłączenie się do wiedzy kosmicznej.

Wtedy dałoby się jednocześnie podciągnąć szczególnie kłopotliwe przypadki reinkarnacji pod egzotyczne wprawdzie, ale jednak nieastralne teorie. Rzeczywiście, istnieją dokładnie sprawdzone informacje o ponownych narodzinach (najbardziej znana jest zapewne relacja Bridey Murphy i Ruth Simons); przypadki te niezłomnie nie poddają się próbom tradycyjnych wyjaśnień.

Nie musimy roztrząsać tych spraw szczegółowo, ponieważ relacje, które trzeba brać na serio, odpowiadają zawsze następującemu schematowi: dana osoba przypomina sobie wcześniejsze życie, z takimi szczegółami, których nie mogłaby znać skądinąd; czasami także zaczyna płynnie mówić obcymi językami, nieraz takimi, które jest w stanie zidentyfikować i zrozumieć jedynie niewielu znawców. Jeśli się zagłębić w to wcześniejsze życie, to okazuje się, że podawane informacje są spójne i zupełnie niedostępne dla danego medium. Czasami nawet opowieści o reinkarnacji wydobywają na światło dzienne sprawy dotychczas nie znane.

Jak dotąd, wszystko jest jasne i niejasne zarazem.

W każdym razie daje się zauważyć zbieżność między fenomenem ponownych narodzin i odbieraniem wiadomości z zaświatów, przy czym aspekt astralny można równie dobrze pominąć. Słyszeliśmy już, że niemożliwa informacja może docierać do świadomości człowieka. Nowym elementem natomiast jest natura tej informacji i jej witalność. Informacja jest, można powiedzieć, żywa, zgłasza się sama, nawiązuje z nami dialog...

Wszystko to niezbyt pomaga uzyskać jasny obraz sytuacji. Dziwaczne koncepcje naukowe (zagmatwane niczym deklaracja podatkowa), głosy z tamtego świata, których pochodzenie może jest zupełnie inne, powtórne narodziny, które poddano weryfikacji, a jednak nie dowodzą niczego — jak się w tym wszystkim można połapać?

Szczerze mówiąc: nie można. Żądalibyśmy zresztą zbyt wiele od siebie, skoro od tysięcy lat filozofowie, myśliciele i uczeni wszelkich dyscyplin bezskutecznie się trudzą, by uchylić rąbka tajemnicy tamtego świata.

Nie musimy być tak ambitni. Nasza książka nie zawiera ani patentowanych rozwiązań, ani wiążących deklaracji. Są tu jedynie kamyki do ułożenia poszerzonego obrazu rzeczywistości, w którym znajdzie swoje miejsce również element fantastyczny — ściśle oddzielony od tego, co absurdalne!

Takie podejście zdecydowanie dopuszcza możliwość wielu interpretacji tego samego zjawiska. Dlaczegóż by nie? Już tak bywało w dziejach ludzkiego poznania.

W naszych czasach mamy szczególnie bogaty wybór, jeśli idzie o niepojęte zdarzenia rozgrywające się w świecie wnętrza atomu. Niezależnie od tego jednak, czy będziemy zwolennikami poglądu, że w każdej mikrosekundzie powstają nowe wszechświaty, czy też uznamy, że bardziej nam odpowiada kosmos, który znika, kiedy nie poświęcamy mu uwagi, będzie to dla cząstek elementarnych (czyli fal materii) zdecydowanie mniej istotne niż dla spierających się o te sprawy badaczy.

Choć ich koncepcje niezbyt przypominają legendarne „równanie świata", to jednak każda z nich ma swoich obrońców, którzy nie ustają w dążeniu do zdobycia nowej wiedzy. Einstein czuł odrazę do chaosu i wyraził to w swoim

słynnym powiedzeniu: „Bóg nie gra w kości". Prawa natury — a podobnie i Niels Bohr — nie mogły się z tym zgodzić. Jak się zdaje, światem rządzi przypadek, nie zaś superprzyczynowość, do której tak bardzo tęsknił Einstein.

Nikt nie umie powiedzieć, czy przypadek nie okaże się kiedyś uniżonym sługą jakiegoś metaporządku w stylu Einsteina. Wtedy okaże się, że obaj mieli rację, i Einstein, i Bohr.

Wydaje się, że tamten świat jest równie dobrym celem ludzkiego dążenia poznawczego jak inne cele. Jest tylko, jak widzieliśmy, nieuchwytny i jeszcze bardziej zwodniczy niż fluktuacja próżni czy czarne dziury.

Zmarli zjawiają się w swoim konkretnym kształcie albo wracają pod postacią osób później urodzonych. Jest niemało takich przypadków, które ostaną się w ogniu najostrzejszej nawet krytyki. Poznaliśmy szczególnie charakterystyczne przypadki i ich najbardziej frapujące szczegóły.

One najwyraźniej czegoś dowodzą. Pytanie tylko: czego? W tym miejscu warto się przyjrzeć zjawisku, które tę problematykę reprezentuje w sposób szczególny. Chodzi tu o modelowy przykład, który dotychczas był rozpatrywany głównie na płaszczyźnie ezoteryki. Tak zwane poważne badanie spraw tamtego świata jak dotąd „nawet go nie ignorowało", jak by się wyraził Karl Valentin. Wypada nad tym ubolewać, gdyż pociąga to za sobą niesłychane konsekwencje. Ponadto istnieją tu dobre punkty zaczepienia do rzeczowej analizy. Spróbujemy się jej teraz podjąć, ponieważ, o ile mi wiadomo, w takiej formie jeszcze nie była przeprowadzona.

Połączmy się zatem z tym czymś z zaświatów, rozmownym i dobrze poinformowanym, albo zaczerpnijmy ze źródła wiedzy uniwersalnej, jakby pamięci kosmicznego komputera. Każdy wedle własnego gustu...

Księgi znikąd

Pewnego wieczora we wrześniu 1963 r. na poetkę Jane Roberts z Elmiry (Nowy Jork) spadło niczym grom z jasnego nieba (powiedzmy, pozazmysłowe) doznanie, które nie tylko miało odmienić całe jej życie, ale także stało się początkiem jednego z najdziwniejszych fenomenów świata.

Po kolacji ta młoda kobieta usiadła przy stole w pokoju, aby popracować nad swoimi wierszami. Zrobiła sobie kawy i zapaliła papierosa. Obok niej, na niebieskiej kołdrze, drzemał kot Willy. Panował spokój, nie zapowiadający żadnego dramatycznego zwrotu.

Nagle z ogromną siłą opadły Jane nowe i obce jej myśli. Jak się mogło zdawać, jej mózg zmienił się w stację odbioru nie znanych jej wcześniej idei, wlewających się weń niczym wezbrany potok. Nie kontrolowała już ani swego ducha, ani ciała. Jej czaszka wibrowała, wstrząsana nieznanymi wrażeniami i odczuciami. Siedziała sztywno wyprostowana, podczas gdy jej ręka nieprzerwanie coś pisała, kierowana czyjąś obcą wolą.

Jane nieoczekiwanie znalazła się w stanie odurzenia (trudno nazwać to inaczej). Wydawało się jej, że jest w kilku miejscach równocześnie, że przez materialne przedmioty wpada do wnętrza wszechświata i że do każdej komórki jej ciała jest implantowana jakaś potężna wiedza. Po pewnym czasie to ogłuszające połączenie z inną płaszczyzną bytu (jak postrzegała Jane to wstrząsające objawienie) urwało się. Kiedy powróciła do stanu pełnej świadomości i znowu była sobą, odkryła, że coś napisała. Jej notatki były nawet opatrzone tytułem, który brzmiał: *Wszechświat fizyczny jako konstrukcja myślowa.*

Zdarzenie to wywarło na niej tak głębokie wrażenie, że postanowiła napisać o nim książkę (nie o niej jednak będzie tu mowa). Choć ani ona sama, ani jej mąż Rob nie mieli pojęcia o spirytyzmie, oboje po tym niezwykłym przeżyciu Jane zaczęli trochę eksperymentować w tym kierunku. Najpierw zastosowali wspomnianą już planszę Ouija, z której obsługą nawet amatorzy nie mają trudności.

Istotnie, dzięki tej planszy można było po literze odczytywać komunikaty. Z zaświatów zgłosiła się pewna osoba, która podała swoje imię: Set.

Powiemy, nieco wyprzedzając wypadki, że mimo iż opis ten zaczyna się jak jeszcze jedna z tych od dawna znanych opowieści okultystycznych, to wkrótce ujawni on swój wymiar, który być może trwale poszerzy nasze wyobrażenie o przestrzeni i czasie, tym i tamtym świecie. A więc cierpliwości.

Między Jane i Setem powstała wkrótce tak silna więź, że można było zrezygnować ze stosowania planszy.

Więź ta miała przetrwać bardzo długo. Młoda kobieta prowadziła ze swoim astralnym partnerem długie rozmowy, w czasie których z zaświatów była przekazywana ogromna ilość informacji (Jane w momencie nawiązania kontaktu automatycznie zapadała w trans).

Początkowo Jane przypuszczała, że źródłem tych wszystkich procesów nie jest żadne bezcielesne „coś", ale jej własna podświadomość. Taka myśl sama się od razu nasuwała, ale w świetle tego, co nastąpiło później, coraz trudniej ją było obronić.

Wspomniany Set oświadczył, że spisany przez Jane tekst *Wszechświat fizyczny jako konstrukcja myślowa* był jego pierwszą próbą nawiązania kontaktu, i zaczął dyktować dalsze informacje. Powstała z tego jednolita całość, liczący ponad 6 000 stron maszynopis, księga znikąd. Po niej nastąpiły kolejne; weszły one do kanonu ezoteryki jako tzw. materiały Seta. Te zdumiewające zapiski zasługują na uwagę ze względu na to, że poruszają sprawy materii i energii, przestrzeni i czasu, realności i przyczynowości, struktury psychiki człowieka, kosmogonii, prawdopodobieństwa, pojęcia Boga, reinkarnacji i inne tematy, o których na seansach spirytystycznych

raczej się nie słyszy, a już nigdy w postaci wykładu sumującego obszerny światopogląd. Materiały Seta są bowiem właśnie kompleksowym, konkretnym i fascynującym światopoglądem, który wytrzymuje także próbę naukowej weryfikacji.

W miarę jak treści dyktowane przez Seta przekraczały granice jej własnej wiedzy, by w końcu wznieść się na wyżyny abstrakcji, Jane nabierała pewności, że istotnie jest tylko odbiorczynią, nie zaś źródłem tego niepokojącego strumienia informacji. Do takiego poglądu i my już niebawem będziemy musieli się przychylić.

Rodzi się więc pytanie, czym właściwie jest ten materiał? Dla Jane Roberts Set jest „jądrem energii osobowości, które już nie jest zogniskowane w formie fizycznej". Niewiele to wyjaśnia. Może bardziej przydatne będą osobiste wypowiedzi Seta o sobie samym i własnych celach:

„Nie jestem produktem podświadomości Ruburt [tak Set nazywał Jane Roberts], podobnie jak ona mojej. Nie jestem także jej drugą osobowością. Ruburt posiada dość rzadkie zdolności, które umożliwiają naszą komunikację. W mojej psychice istnieje coś takiego, co można by określić jako przejrzyste rozszerzenie, którego działanie przypomina otwarte okno. Wielowymiarowy otwór, przez który można postrzegać inne rzeczywistości, na przykład waszą.

Zmysły fizyczne sprawiają, że większość z was jest niedostępna dla tych otwartych kanałów, które pozwalają przechodzić do waszej struktury przestrzenno-czasowej przez rozszerzenia psychiczne, takie jakie ma Ruburt (...) Ja nie podlegam ograniczeniom przestrzeni i czasu, moja istota jest wielowymiarowa, czego wy w waszej trójwymiarowej formie nie jesteście w stanie zrozumieć. Set, który do was przemawia, jest tylko fragmentem większej całości, częścią istoty ogólnej, której wam nie mogę opisać (...)

Nie mam ciała fizycznego, a jednak za pośrednictwem Ruburt będę pisał księgę (będzie ich kilka). W niej wam przekażę wiedzę o was samych, o świecie i kosmosie. Dowiecie się, że nie ma przeszłości, teraźniejszości ani przyszłości. Powiem wam, czym jest śmierć i co po niej będzie. Dam wam nowy obraz realności fizycznej, natury materii, istoty ducha i świadomości. Znajdziecie tu rozdział poświęcony praw-

dopodobnym bóstwom i prawdopodobnym systemom realności. Będzie też rozdział końcowy, w którym zachęcę czytelników, aby uświadomili sobie rzeczywistość, w której ja istnieję, i swoją własną rzeczywistość wewnętrzną.

Taki jest konspekt tej mojej księgi. Podyktuję ją w czasie naszych posiedzeń. Oto jej tytuł: *Rozmowy z Setem — o wiecznej ważności duszy*".

No cóż.

Księga ta została spisana i opublikowana pod tym tytułem. Można ją nazwać światowym bestsellerem, co samo w sobie nie musi niczego dowodzić.

W minionych dziesięcioleciach materiały Seta — rozbudowane tymczasem do czterech obszernych ksiąg, którym towarzyszył zalew niezliczonych publikacji — stały się podstawą wiedzy ezoterycznej, wyznaniem wiary ezoteryków, okultystów i parapsychologów specjalnych kierunków.

Pozostaje jednak decydujące pytanie: Czy są one czymś więcej?

Z całą pewnością mamy tu przed sobą istną kopalnię myśli na temat bytu, materii, przestrzeni i czasu, rzeczywistości, religii, snów, duszy, innych płaszczyzn i wymiarów świadomości oraz wielu innych dziedzin, które zajmują filozofów i badaczy od niepamiętnych czasów. Dlatego raz jeszcze pytamy: Skąd pochodzi ta wiedza?

Samej Jane Roberts z największym trudem przyszło zaakceptowanie tak niewiarygodnych zdarzeń. Nigdy nie była całkiem pewna, czy Set nie jest jednak jej drugą osobowością, choć nie miała pojęcia, w jaki sposób ten ogromny skarbiec wiedzy mógłby się dostać do jej podświadomości. Kilkakrotnie poddawała się badaniom lekarzy i psychologów, którzy potwierdzali jej pełne zdrowie psychiczne i fizyczne. Testy na telepatię lub jasnowidzenie przeprowadzane przez parapsychologów wykazywały nadzwyczajne uzdolnienia do postrzegania pozazmysłowego, co również niczego nie dowodziło ani niczego nie wykluczało, ponieważ Set mówił o takim uzdolnieniu u Jane — „Ruburt".

Wybór imienia Set także nie pozwalał na dopatrzenie się skojarzeń z przeszłością Jane Roberts albo innymi okolicznościami jej życia.

W starożytnym Egipcie bóg Set ucieleśniał kosmiczne siły ciemności i zniszczenia. W Księdze Rodzaju Set występuje jako jeden z synów Adama, którego nasienie Bóg zasadził zamiast zamordowanego Abla. W gnozie Set to jeden z siedmiu archontów, siedmiu potęg stwarzających świat, ściślej ujmując, aniołów reprezentujących ostatnią i najniższą emanację bóstwa. Jedna z bardzo dawnych sekt określała się sama jako wyznawcy Seta. Jednak w przypadku poetki Jane Roberts nie mógł wchodzić w rachubę żaden z tych względów.

Autoportret Seta — jeśli przyjmiemy jego autentyczność — charakteryzuje mistyczna nieokreśloność, co nie musi jeszcze wcale przemawiać przeciw niemu. Wiele koncepcji, za pomocą których zwłaszcza dzisiejsza fizyka stara się opisywać świat, w którym żyjemy, nie ma ani trochę więcej konkretności.

Dochodzimy więc do punktu, który mógłby nam dopomóc rzucić światło na materiały Seta, a mianowicie jego dzieło, które jest przecież dostatecznie obszerne.

Odłożymy na bok hipotezy negatywne, które — co ciekawe — pochodzą niemal wyłącznie z dziedziny nauk humanistycznych, psychologii i psychiatrii (przyrodnicy w ogóle nie zajmowali się tym dziełem, czego wypada żałować). Wszystkie one starają się identyfikować Jane Roberts jako jedyne źródło wynurzeń Seta. Przyznaliśmy, że to niewykluczone, i nie ma powodu, by się nad tym ponownie rozwodzić.

Również i tej tezy nie da się bowiem udowodnić. Bardziej owocne może być odwrotne podejście: Czy fachowcom udało się odkryć w materiałach Seta wypowiedzi pozwalające wnioskować, że mamy do czynienia z wiedzą szczególną? Profesor Raymond van Over z Uniwersytetu Columbia w Nowym Yorku, pisze na ten temat: „Na mnie osobiście duże wrażenie w dziele Seta zrobiło przedstawienie tematu projekcji fragmentów osobowości, wyraźnie nawiązujące do tradycji sobowtóra (...) Koncepcję idei jako rzeczywistości można prześledzić na przestrzeni stuleci, od Platona aż do współczesnych nam filozofów (...) W materiałach Seta są zawarte wskazówki o tak istotnej treści, że zasługują na naszą pełną uwagę. I tak wspomina on o istnieniu figur symbolicznych, które w świado-

mości człowieka stają się postaciami możliwymi do identyfikacji, umożliwiając lepszą wymianę doświadczeń. Bardzo to przypomina postulowane przez szwajcarskiego psychoanalityka Carla Gustava Junga archetypy, mające swe siedlisko w podświadomości".

Istnieje jeszcze kilka innych, podobnych opinii, które jednak nie są dla nas w pełni zadowalające, ponieważ mają wyraźny charakter interpretacji (jeśli nawet wypada się z nimi zgodzić).

A może rozważenie sprawy w kategoriach nauk przyrodniczych, które pozostawiają znacznie mniej możliwości snucia interpretacji, byłoby bardziej owocne?

Jeśli zbadać obszerne materiały Seta pod tym kątem, to stale w nich napotykamy zupełnie ścisłe sformułowania, które wprawdzie niewiele mówią laikowi, jednak u fizyka powodują natychmiastowe olśnienie.

Wypowiedzianą mimochodem uwagę Seta, że także przedmioty nieożywione, jak gwoździe albo kamienie, mogą mieć pamięć, większość ludzi uznałoby za metaforę. My jednak przypomnimy omawiane w jednym z poprzednich rozdziałów zdolności szczególnie utalentowanych ludzi do odczytywania pamięciowych treści zapisanych w martwych przedmiotach.

A to tylko drobny szczegół. Zdumiewający Set bardzo chętnie udziela informacji, które nie tylko odzwierciedlają najnowsze zdobycze fizyki teoretycznej, ale często nawet objaśniają je poglądowo (o ile to w ogóle możliwe) w taki sposób, jakiego można by sobie tylko życzyć w wielu monografiach naukowych.

Aby nie być gołosłownym, wybrałem z materiałów Seta kilka szczególnie charakterystycznych fragmentów. Zestawię je poniżej z odpowiednimi twierdzeniami fizyki, które można znaleźć w każdym dziele z tej dziedziny. Dają się tu zaobserwować zaskakujące zbieżności, co naukowcy musieli przyznać otwarcie.

Set: Wybieracie określone działanie spośród różnych możliwości. Jednak równie ważne pozostają inne prawdopodobne działania. Możecie rzucać pobieżne spojrzenia na inne prawdopodobne rzeczywistości i wyczuwać echo możliwych

działań. Istnieją więc światy prawdopodobne. Wy istniejecie pośród prawdopodobnego systemu rzeczywistości prawdopodobnych światów.

Paul Davies, *Mehrfachwelten — Entdeckungen der Quantenphysik:* Również Everett (duchowy ojciec teorii wielu światów w fizyce kwantowej) nie przechodzi obojętnie obok zdolności fal do nakładania się, jak również faktu, że stany mechaniki kwantowej można rozumieć jako nakładanie się innych stanów; są to bowiem podstawowe tezy teorii kwantów. Dlatego też Everett ich nie odrzuca, lecz przeciwnie, wyciąga z nich logiczny wniosek: jeśli realne jest falowe nakładanie się (a takie założenie przyjmuje), to realna jest również hiperprzestrzeń. Dla Everetta wszystkie inne światy nie stanowią jedynie nie zrealizowanych możliwości, które uległy w walce o rzeczywistość obserwowaną. Widzi on te inne światy, światy mnogie, jako coś równie rzeczywistego jak świat, w którym żyjemy. W takim razie, wyciąga stąd wniosek, żyjemy nie w jakimś specjalnym świecie tej hiperprzestrzeni, ale sama hiperprzestrzeń jest naszą ojczyzną (...) Ten obraz różni się w bardzo znacznym stopniu od interpretacji kopenhaskiej (...) [co stanowi kolejną przesłankę wskazującą na fantastyczną naturę wszelkiego bytu — V.F.].

Set: Natura materii jest niewłaściwie rozumiana. Wy ją spostrzegacie w pewnym stadium. Atomy i cząsteczki występują jedynie w określonych stadiach. Ich aktywność można obserwować tylko w pewnym zakresie. Większa realność atomu poza możliwością obserwacji uchodzi całkowicie waszej uwagi. Podlega on fluktuacji w rytmie dającym się obliczać. Naukowcy jedynie przeczuwają luki nieobecności w życiu atomu.

Z wykładu *Die Quantentheorie der Science-fiction*, wygłoszonego przez dr. Petera Schattschneidera na Uniwersytecie Technicznym w Wiedniu: Opracowana przez Nielsa Bohra i jego współpracowników koncepcja, zwana interpretacją kopenhaską, daje się sprowadzić w skrócie do następującego stwierdzenia. Obiekt fizyczny, jak światło czy elektron, nie daje się początkowo opisać wielkościami makroskopowymi, mierzalnymi. Istnieje on jedynie w hiperprzestrzeni niedostęp-

nej dla obserwatora. Pomiar tego układu oznacza interwencję: twór z hiperprzestrzeni wchodzi w interakcję z aparatem pomiarowym — powoduje np. reakcję chemiczną w bromku srebra płyty fotograficznej — i sam zmienia się pod wpływem aparatu pomiarowego. Wynik pomiaru jest rozumiany jako projekcja, coś w rodzaju padającego na ścianę cienia tworu z hiperprzestrzeni. Możemy zmieniać ustawienie tej ściany, co odpowiada różnym eksperymentom, jakie sobie wymyślimy, a wtedy także cień ulegnie zmianie. Raz zjawi się jako fala, innym razem jako cząstka. Obiekt fizyczny sam w sobie nie jest ani falą, ani cząstką, ale staje się nią dopiero przez proces pomiaru.

Ser: Natura tych punktów nie jest rozpoznawana, należą one jednak do sfery, którą wy nazywacie podwójną rzeczywistością i zawierają wielki potencjał energetyczny. Stanowią one rozszerzenia dostarczające wielkiej części płodnej energii, czyniącej stworzenie procesem ciągłym. Wasza przestrzeń jest wypełniona tymi punktami. Stanowią one nagromadzenie śladów czystej energii i są mniejsze niż wszelkie cząstki elementarne. W sąsiedztwie tych punktów prawa fizyki podlegają wahaniom. Nie są one widzialne, można je jednak obliczyć matematycznie i wyczuć jako intensywną energię. Ich wahania wiążą się z istotą czasu. Są to niewidzialne elektrownie. Z takiej tkanki jednostek elektromagnetycznych zbudowane są cząstki elementarne materii fizycznej.

Z literatury fachowej: W przedziale Jiffyego (1^{-43} sek.) czasoprzestrzeń ulega kwantyzacji, a struktura przestrzeni przypomina granulat piankowy. Rządzą tu fluktuacje (wybuchy energii, dziury, chaos), zaciągające stałe pożyczki w „Banku Heisenberga" i powodujące procesy, określane jako pozorne powstawanie cząsteczek lub fluktuację próżni. Gdyby było można „podłączyć się" do próżni, to mielibyśmy do dyspozycji nieograniczone zasoby energii, a w razie spadku jej poziomu wszechświat mógłby nawet wybuchnąć.

Tak, po tej dawce informacji trzeba najpierw ochłonąć. Nie jest ona lekkostrawna i na pierwszy rzut oka niezbyt zrozumiała. Powyższe zestawienie nie wyczerpuje wszelkich

możliwości. Można sobie wyobrazić inne interpretacje; doniosłość wymowy niektórych porównań zdołają ocenić tylko fizycy; na ten temat zdania mogą być podzielone (i tak też jest). Zgadzamy się na te wszystkie zastrzeżenia, przyznajemy także subiektywność wyboru.

Nie są to żadne dowody, ale zaledwie poszlaki. O nic więcej nam tu jednak nie chodzi, jak to już nieraz podkreślaliśmy.

Oczywiście nie da się z całą pewnością stwierdzić, czy ojczyzną wielowymiarowego Seta jest hiperprzestrzeń, tamten świat, a może duch Jane Roberts. Już teraz jednak wiemy jedno: te informacje istnieją. W żadnym razie nie przypominają one wiadomości spoza grobu, jakie są na porządku dziennym w spirytyzmie, i mało mają wspólnego z opisami tamtego świata, do jakich przywykliśmy. Sprawa nie wygląda tak prosto, jak to sobie wyobrażamy.

Wiele sformułowań Seta kryje w sobie treści ściśle przyrodnicze, które tyle łączy ze znanym okultystycznie naiwnym obrazem świata, co teorię o świecie pustym wewnątrz z nowymi wielkimi ujednoliconymi teoriami (GUT) nowoczesnej kosmogonii. Jeśli nawet ktoś nie we wszystkim zechce się zgodzić z przedstawionymi zestawieniami słów Seta z twierdzeniami teoretycznej fizyki, to trzeba przyznać jedno, że słowa te nie mogą pochodzić z osobistej skarbnicy wiedzy poetki Jane Roberts. Już przed laty trzeba było wykluczyć taką możliwość. *Rozmowy z Setem* i kolejne dzieła pozostają księgami znikąd...

A więc wróciliśmy do punktu wyjścia i nie zdołaliśmy się posunąć w rozwiązywaniu kwestii zaświatów ani o krok. Krążymy tylko dokoła. Wciąż jeszcze równie prawdopodobna jest teza o istnieniu prawdziwych wiadomości z zaświatów, jak o podłączaniu się do czegoś w rodzaju wiedzy uniwersalnej. Oba te punkty widzenia mają swoje zalety. Dlatego zachowamy metodyczność i podejmiemy wątek zaświatów. Nie mniej fascynującej koncepcji wiedzy kosmicznej, obecnej w nowoczesnych naukach ścisłych (podobnie jak w pradawnych przekazach i mitach), zdołaliśmy już dotknąć i jeszcze do niej wrócimy.

W problematyce tamtego świata rzeczowa analiza wydaje się napotykać trudności nie do przezwyciężenia. Wszystko,

o czym dotąd była mowa — od Joan Norkot do Seta — może stanowić dowód na istnienie życia pozagrobowego, ale nie musi.

Nie wspominaliśmy jeszcze o wynikach badań życia pozagrobowego, prowadzonych w dwudziestym wieku, i ich znaczeniu dowodowym dla naszej problematyki. Przemilczeliśmy to nie bez powodu. Najpierw trzeba było wykazać, jak niepewny jest grunt, na którym musi się poruszać nawet rzeczowa, ściśle naukowa analiza. Grunt ten wcale nie staje się mniej grząski, kiedy sprawą zajmą się fachowcy.

Śmierć i życie pozagrobowe na stanowisku diagnostycznym

Amerykanie, znani z dowcipnych, a często bardzo trafnych sformułowań, ukuli powiedzenie: „Czy istnieje życie przed śmiercią?" Ten makabryczny żart wprawdzie nieco traci swą absurdalność w konfrontacji ze światem, w którym przyszło nam wieść nasz byt, pozostaje jednak tylko grą słów.

Sedno sprawy stanowi pytanie, co jest „potem". Przyjście na świat jest zbrodnią, jak mówi inne przysłowie, gdyż jest karane śmiercią. Wiadomo o tym, odkąd istnieje ludzkość. Od równie długiego czasu podejmowane są próby znalezienia wyjścia z tego dylematu, do którego w naszym stuleciu oprócz nuklearnego miecza Damoklesa dołączyła jeszcze ponura możliwość (niektórzy mówią o prawdopodobieństwie) zagłady całego gatunku.

Zupełny brak wyjścia, w czym pewną pociechą jest wiara w życie po życiu. Jak dotąd ta sprawa nie doczekała się naukowego zbadania. A może jednak?

Wprawdzie od stuleci są znane niezliczone opowieści o kontaktach ze zmarłymi, podróżach w zaświaty, materializacjach itp., można by jednak (zakładając, że nie będziemy kwestionowali ich treści) wyjaśnić je także bez uciekania się do życia pozagrobowego. Czasami wystarczyłoby się odwołać do czynników psychologicznych, kiedy indziej trzeba by się było posłużyć zjawiskami paranormalnymi, takimi jak na przykład telepatia, psychokineza, prekognicja, które wprawdzie również są fantastyczne, ale należą do tego świata.

Mogliśmy powyżej prześledzić ten proces poznawczy.

Nawet w przypadkach, które się nie poddają takim wyjaśnieniom (poznaliśmy je szczegółowo), w ten czy inny

sposób brniemy w ślepy zaułek. Niektórzy badacze sądzą, że znaleźli wyjście z dylematu. Najbardziej znanym spośród nich jest dr med. Raymond A. Moody. Zbadał on przeszło 150 przypadków przeżyć związanych ze śmiercią i zdołał ustalić ich cechy wspólne, pozwalające, jak się zdaje, na pewne uogólnienia. Jeśli metodycznie przeanalizować przebieg agonii, to można stwierdzić, że wszyscy ludzie przeżywają ten pełen grozy moment w przybliżeniu tak samo. Dr Moody zrekonstruował zdarzenia w następujący sposób:

Człowiek umiera i kiedy znajduje się w momencie największego cierpienia fizycznego, dochodzi do niego głos lekarza oznajmiającego jego śmierć. Wtedy zaczyna słyszeć przykry hałas, głośne dzwonienie albo szum, i w tej samej chwili czuje, że bardzo szybko porusza się w długim ciemnym tunelu. Potem nagle spostrzega, iż znajduje się poza swoim fizycznym ciałem, ale nadal przebywa w fizycznym bezpośrednim otoczeniu i widzi swoje ciało z pewnej odległości — jak widz w teatrze. Oszołomiony, zmieszany obserwuje nadal zabiegi reanimacyjne.

Po chwili odzyskuje panowanie nad sobą i jakby przyzwyczaja się do tej przedziwnej sytuacji. Spostrzega, że nadal ma „ciało", ale bardzo różne od dotychczasowego i obdarzone innymi możliwościami niż to fizyczne, które zostawił. Wkrótce zaczynają się dziać niezwykłe rzeczy: Pojawiają się inni, żeby mu pomóc. Widzi duchy krewnych i przyjaciół, którzy zmarli wcześniej, i pojawia się przed nim pełen miłości, promieniejący ciepłem duch, którego nigdy dotąd nie spotkał, jakaś świetlista istota. Zwraca się ona do niego bez słów, aby dokonał oceny swego życia, i pomaga mu w tym, ukazując natychmiast panoramę minionych ważniejszych wydarzeń. W pewnej chwili [następuje dramatyczny zwrot: umierający] zdaje sobie sprawę, że zbliża się do jakiejś bariery czy granicy — zapewne granicy między życiem ziemskim i przyszłym. [Ten budzący strach moment może nadejść wcześniej lub później, zależnie od tego, jak długo trwa w danym przypadku stan śmierci klinicznej.

W każdym razie myśl powrotu do życia w tym momencie nie jest niczym miłym. Umierający opierają się, pragną przejść na tamtą stronę, pełną światła, ciepła i bezpieczeństwa, gdzie czekają ich szczęśliwe istoty, aby w nim powitać jednego z sobie podobnych.

Na próżno. Jeśli nawet powrót wydaje się przytłaczającym koszmarem, to umierający rozumie, że czas jego śmierci jeszcze nie nadszedł. Mimo wewnętrznych oporów łączy się na nowo ze swoim fizycznym ciałem].

Później próbuje nawet opowiedzieć o swym przeżyciu innym ludziom, ale napotyka trudności. Po pierwsze — nie znajduje słów odpowiednich, żeby opisać owe doznania. Poza tym często bywa wyśmiany i dlatego przestaje o tym mówić.

[A jednak doświadczenie śmierci pozostawia u wszystkich, którzy je przeszli, głęboki ślad w świadomości: na zawsze opuszcza ich wszelki lęk przed śmiercią i nieraz nawet do niej tęsknią. Prawie zawsze osoby zawrócone z drogi po tych przeżyciach prowadzą życie świadome i zrównoważone, pełne spokoju i skupienia, choćby przedtem było całkiem inne.

Znikają wszelkie wątpliwości co do możliwości dalszego życia po śmierci. Nieśmiertelność jest dla tych osób w świetle ich osobistych doświadczeń czymś uszczęśliwiająco rzeczywistym].[1]

Dr Moody i inni naukowcy zbadali przeżycie śmierci i zdarzenia towarzyszące przejściu do innego świata z absolutną rzetelnością, stwierdzając jednoznacznie podobieństwo występujących przy tym zjawisk, jeśli nawet nie wszyscy ankietowani przeżywali to w dokładnie taki sam sposób. Powstaje więc decydujące pytanie: Czy można uznać to za dowód na istnienie nieśmiertelności?

Niestety nie, choć bardzo byśmy tego pragnęli.

Fakt, że u wszystkich ludzi w obliczu śmierci funkcjonuje

[1] Raymond A. Moody *Życie po życiu*, przeł. Irena Doleżal-Nowicka, b.m. i r.wyd. (Tekst uzupełniony przez tłumacza książki o fragmenty podane w nawiasach kwadratowych).

taki sam mechanizm łagodzenia cierpień przez dostarczanie pociechy, wcale nie musi dowodzić istnienia życia wiecznego, podobnie jak głosy Konfucjusza czy kapitana sterowca R 101 nie musiały naprawdę pochodzić z tamtego świata. A nawet wyjaśnienie wyników badań prowadzonych przez dr. Moody'ego i innych, ograniczające się do tego świata, byłoby o wiele łatwiejsze niż na przykład wyjaśnienie sprawy R 101 albo „Cross Correspondences".

W toku trwającej przez całe miliony lat ewolucji gatunku *homo sapiens* w naszym organizmie nagromadziło się mnóstwo genetycznych programów wszelkiego rodzaju, z których jedynie skromny ułamek dotychczas odkryliśmy. I nawet funkcjonowanie tych odkrytych nie jest naprawdę poznane. Dobrym przykładem może być homeostaza, pozwalająca utrzymywać temperaturę naszego ciała na mniej więcej jednakowym poziomie, a także sterująca procesami biochemicznymi i rozmaitymi funkcjami organizmu.

W każdym razie matka natura na różne sposoby zadbała o przygotowanie swoich podopiecznych na wiele przykrych doświadczeń.

Wystarczy choćby wspomnieć o wytwarzanych przez sam organizm środkach znieczulających, tzw. endorfinach (endogennych morfinach), które się aktywizują w określonych sytuacjach także bez naszego świadomego udziału, ale z wielką dla nas korzyścią.

Chwila śmierci z pewnością należy do tych momentów, w których jest nam pilnie potrzebna wszelka możliwa pomoc. Być może istnieje jakiś program genetyczny, przewidziany na tę ewentualność, który budzi się z uśpienia w momencie największej grozy, by nam osłodzić to, co nieuniknione. Jeśli takie przypuszczenie jest słuszne, to mechanizm ten działa bez zarzutu, o czym świadczą relacje. Na korzyść takiej tezy przemawiałaby okoliczność, że obraz poszczególnych faz zdarzenia wykazuje jednoznacznie osobiste zabarwienie. Na przykład wizja świetlistej istoty wyższej wiąże się z wyznawaną religią albo specjalnymi oczekiwaniami umierającego. Obraz ten rodzi się zatem głównie z jego własnego ducha — co jednak znowu niczego nie dowodzi. Równie dobrze przejście w zaświaty mogłoby się dokonywać za

każdym razem inaczej, na sposób dostosowany do danego człowieka.

Czyżby zatem badania życia pozagrobowego ugrzęzły w tym samym ślepym zaułku, co spirytyzm i okultyzm?

Na pierwszy rzut oka można istotnie odnieść takie wrażenie. Badania takie jak te, o których była mowa, mają pewną wartość dla umysłu badacza, który poszukuje porządku, nie potrafią jednak zaspokoić ludzkiego pragnienia nieśmiertelności. Jedyne, co w kwestii przeznaczenia wszystkiego, co żyje, zostało naukowo potwierdzone, to pewność, że nic w naturze nie ginie. Co prawda, niewielka to pociecha, że po śmierci będziemy się rozprzestrzeniać aż po odległy kraniec wszechświata jako amorficzne promieniowanie cieplne.

Pragniemy czego innego i chcielibyśmy, aby zostało to udowodnione ponad wszelką wątpliwość: nieśmiertelnej duszy czy też, formułując ten postulat bardziej nowocześnie, wieczystego trwania struktury naszej osobowości. I oto, jak się zdaje, właśnie naukowcy znaleźli na to dowód!

Wiele już rewolucji w nauce dokonało się dzięki temu, że połączenie różnych wniosków z pozornie odrębnych dziedzin dawało w wyniku nową jakość wiedzy.

Kiedy angielski neurolog dr Walter Grey skonstruował maszynę reagującą na fale myśli (nazwał ją *machina speculatrix*), fizyk i cybernetyk Jean Jacques Delpasse zwrócił uwagę na prace tego lekarza z Bristolu, chodzącego własnymi drogami. Dzięki temu profesor Delpasse mógł od samego początku z zainteresowaniem śledzić przebieg jednego z późniejszych doświadczeń doktora Greya, co go zainspirowało do myślenia...

Osoby testowane przez dr. Greya, których prądy mózgowe rejestrowano za pomocą elektrod, miały za zadanie ciągle włączać telewizor. Wykres EEG wykazał, że za każdym razem przed jego włączeniem w mózgu osoby poddawanej eksperymentowi powstawał impuls prądowy, fala gotowości.

Następnie dr Grey zmienił przebieg doświadczenia, łącząc elektrody bezpośrednio z telewizorem przy zastosowaniu elektronicznego wzmocnienia fali gotowości. Teraz badany mógł włączać telewizor już tylko samą chęcią jego włączenia, ponieważ powstająca przy tym fala gotowości wystarczała do uruchomienia urządzenia.

Wtedy Delpasse wpadł na genialny pomysł. Wyciągnął wniosek, że przy częstym ponawianiu takiej próby może dojść do uformowania się w mózgu cząsteczek pamięci, w których fala gotowości byłaby zapisana jako stały składnik pamięciowej substancji. W tym miejscu trzeba dodać pewne wyjaśnienie.

Człowiek się rodzi bez ducha; smutne to, ale prawdziwe. W momencie urodzenia kora mózgowa niemowlęcia posiada jedynie ułamek późniejszej liczby komórek nerwowych, które w dodatku jeszcze nie są ze sobą powiązane. Jeśli nawet świeżo upieczeni rodzice z wypiekami na twarzy opowiadają, jakie to wielkie zdolności, prawe cechy charakteru i inne właściwości dostał w darze od natury nowy mieszkaniec Ziemi, to jednak neurofizjologia nie może potwierdzić romantycznego porównania małego człowieka z pączkiem kwiatu, który zawiera już w sobie wszystkie cechy i czeka tylko na okazję, by się rozwinąć.

Dopiero wskutek dopływu informacji z zewnątrz powstają tak zwane tory preferowane, po których przebiegają impulsy nerwowe i które sprawiają, że nagromadzenie komórek staje się układem zorganizowanym. Powoli mózg podejmuje pracę, liczba jego komórek wzrasta, powstaje pamięć i świadomość. Przy współudziale kwasu rybonukleinowego (RNA) tworzą się cząsteczki białka, w których zapisane są treści pamięciowe.

W ostatecznym rezultacie normalna osoba dorosła ma do dyspozycji przeszło 100 miliardów komórek nerwowych, które po wspomnianych torach preferowanych bez problemów komunikują się ze sobą. Nie będziemy tu szczegółowo przedstawiać budowy mózgu człowieka ani procesów neurochemicznych i innych, które w nim zachodzą, bo za daleko odbieglibyśmy od tematu. Ponadto naukę dzieli jeszcze dystans wielu lat świetlnych od rzeczywistego zrozumienia tego, co każdego dnia odbywa się pod pokrywą czaszki każdego z nas.

Dla nas ważny jest fakt, że element naszego umysłu, a mianowicie pamięć, składa się z materii, właśnie z cząsteczek pamięci. Temu nie da się zaprzeczyć. Co gorsza, niewykluczone, że cała nasza osobowość opiera się na materialnej podstawie. Nauka uważa za możliwe, a nawet prawdopodobne, że przy współdziałaniu impulsu, toru preferowanego i cząsteczki pamięci powstaje cząsteczka nowego rodzaju, którą trzeba zdefiniować jako cechę charakteru. Na przykład cząsteczka cechy osobowości „nieufność" mogłaby powstawać przez połączenie oddziaływań wymienionych czynników z tworzoną przez długi czas cząsteczką pamięci „złe doświadczenie".

Brzmi to przygnębiająco. Jeśli duch jest materią, osobowość zaś zbiorem usieciowanych cząsteczek, to czeka nas doprawdy Wielkie Nic — mimo wszelkich badań życia pozagrobowego i kontaktów astralnych.

Za takim wnioskiem o druzgocącej wymowie wydają się przemawiać wyniki eksperymentów na płazińcach, szczurach i innych zwierzętach, które to eksperymenty wykazały, że pamięć jest jadalna (np. szczury niedoświadczone znajdowały wyjście z labiryntu równie prędko jak doświadczone, jeśli dawano im do jedzenia sproszkowane mózgi szczurów doświadczonych).

Profesor Delpasse jednak dostrzegł tu wyzwanie i niepowtarzalną szansę uchwycenia śladu duszy także wtedy, gdy już bezpowrotnie opuści martwe ciało. Można byłoby pokonać barierę, przed którą musiał skapitulować dr Moody. Oczywiście, tylko w takim przypadku, gdyby dla człowieka istniało jakieś „potem".

Bo gdyby duch, mimo doczesności swej powłoki, miał jednak okazać się nieśmiertelny, gdyby świadomość trwała nadal jako energetyczna albo astralna struktura, to musiałaby istnieć też możliwość oznaczenia określonej części świadomości, a mianowicie pamięci, i to poza granicę śmierci.

Dzięki telewizyjnemu eksperymentowi dr. Greya Delpasse wpadł na pomysł, jak to zrobić. Na razie w teorii, gdyż należałoby poddać doświadczeniu kogoś umierającego.

Stanowiło to trudność nie do pokonania. Eksperymentowanie z umierającymi nie należy wszak do codziennych praktyk; trudno zaś było marzyć, by ktoś zechciał dobrowolnie wziąć udział w próbie pod hasłem: „Najpierw zechce pan umrzeć, a potem się zobaczy". Tutaj (znowu) pomógł przypadek. Na sympozjum cybernetyków, w którym brał udział także profesor Jean Jacques Delpasse, profesor neurologii William Jongh van Amsynck przedstawił pewną technikę, która zainteresowała Delpasse'a.

Van Amsynck, który się pasjonował również cybernetyką, był jednym z pierwszych, którzy stosowali w medycynie metody biofeedbacku. Jest to dziś już uznana technika terapeutyczna do zwalczania bezsenności, migreny, nerwowości albo obniżania ciśnienia krwi (hipertonia). Ówczesne

próby Amsyncka wykorzystania biofeedbacku w medycynie miały znaczenie pionierskie.

Skonstruował on dla pacjentów hipertoników urządzenia do pomiaru ciśnienia krwi, przetwarzające wskazania na sygnał akustyczny. Przy wzroście ciśnienia dawał się słyszeć nieznośny, przeraźliwy brzęczyk, natomiast obniżenie ciśnienia sygnalizował miły dla ucha dźwięk dzwonka. W ten sposób pacjenci już po krótkim treningu byli w stanie przez dłuższy czas kontrolować swoje ciśnienie krwi po prostu dzięki temu, że jeden z tych dźwięków chcieli słyszeć, a drugiego nie.

Wielu ludzi jest także w stanie wpływać na częstotliwość fal własnego mózgu. Jest to dziś znana i akceptowana metoda.

Pacjenci profesora Amsyncka należeli do pierwszych, którzy mogli skorzystać z terapeutycznych możliwości biofeedbacku.

W wystąpieniu profesora jeden szczególny punkt od razu zafascynował Delpasse'a: Wszyscy pacjenci, z którymi pracował referent, cierpieli na nadciśnienie tętnicze, chorobę nierzadko prowadzącą do wylewu krwi do mózgu albo śmierci. Powstały więc idealne warunki dla eksperymentu Delpasse'a.

Gdyby profesor Amsynck wyraził gotowość do włączenia do swojego programu treningowego również eksperymentu Waltera Greya, to do tropienia duszy nie byłby już potrzebny żaden umierający, gdyż mógłby umrzeć jeden z trenujących. Profesor William Jongh van Amsynck był gotów do współpracy.

Jego pacjenci również. Włączanie ekranu samą siłą woli było dla nich dobrą zabawą, szczególnie dla pacjentów bardzo już osłabionych chorobą.

Co prawda wystąpił tu efekt zmęczenia, znany w treningu biofeedbacku. Po pewnym czasie maleje zdolność do celowego wytwarzania prądów mózgowych, w tym przypadku fali gotowości, która włączała telewizor. Można temu zaradzić przez pobudzenie słabnących sił źródłem promieniowania elektromagnetycznego. Na uniwersytecie w Leningradzie praktykowano z dobrym skutkiem tę metodę do likwidacji blokady mózgu spowodowanej przetrenowaniem. Również eksperyment Delpasse'a—Amsyncka mógł dzięki temu toczyć się dalej.

Zaznaczmy jeszcze raz na marginesie, że to, co wydaje się przypominać opowieści *science fiction*, jest faktem. Chodzi tu o terapię medyczno-cybernetyczną, prowadzoną w sposób merytorycznie prawidłowy przez poważnych naukowców o nieposzlakowanej opinii, kierujących się przede wszystkim dobrem chorych. Autorzy eksperymentu mieli również na względzie dążenie do wiedzy, pokonujące nie tylko — jak w fizyce — ograniczenia przestrzeni i czasu, ale nawet barierę śmierci. Nastąpiło to w momencie, gdy sześćdziesięciosiedmioletnia chora na nadciśnienie doznała uogólnionego krwotoku. W celu nadzorowania funkcji jej mózgu podłączono ją do encefalografu oraz do eksperymentalnego urządzenia Waltera Greya.

Mimo wszelkich starań pacjentki nie dało się uratować. Prądy mózgowe wygasły. Jednak w chwili ostatecznej śmierci mózgowej wystąpiła fala gotowości i monitor telewizyjny się włączył.

To zdarzenie, samo w sobie już godne uwagi, oznaczało „przejście na drugą stronę". Brak było jeszcze ostatecznego, rozstrzygającego wszystko dowodu na to, że duch nie jest przykuty do materii (jeśli nawet jest jej produktem), a mianowicie d a l s z e g o t r w a n i a s y g n a ł u n a t a m t y m ś w i e c i e.

Jak jednak można było to spowodować, kiedy trzy stopnie agonii — śmierć mózgowa, śmierć kliniczna, śmierć komórkowa — zostały przebyte i tym samym biologiczny koniec był nieodwracalny?

Wszystko, co dotąd zarejestrowano, mieściło się jeszcze w sferze dociekań doktora Moody'ego. W tej dramatycznej fazie profesor van Amsynck postanowił użyć źródła promieniowania elektromagnetycznego, które pozwalało u jego pacjentów na nowo ożywić zdolność do wytwarzania fali gotowości.

I rzecz niewyobrażalna powiodła się: Na ekranie pojawił się efekt Delpasse'a. Oczywiście nie dowodzi to niezbicie, że w ten sposób można skłonić zachowaną strukturę osobowości zmarłego do wysłania sygnału z tamtego świata, ale istnieje znaczne prawdopodobieństwo. Aby uzyskać prawdopodobieństwo bliskie pewności, Amsynck wykonał serię ekspery-

mentów kontrolnych. Wykazały one zgodnie z oczekiwaniami, że u pacjentów, którzy nigdy nie byli szkoleni w eksperymencie Waltera Greya, uzyskiwane rezultaty były równe zeru. Ani przy ustaniu prądów mózgowych, ani po późniejszym zastosowaniu źródła promieni nie dało się wywołać efektu Delpasse'a. Najwyraźniej potrzeba było do tego celu uprzedniego wykształcenia odpowiedniej cząsteczki pamięci. Można ją było wytropić także i wtedy jeszcze, gdy ciało było już martwe, a procesy rozkładu się zaczęły.

Właściwie wyniki tego zdumiewającego eksperymentu, który mógłby odpowiedzieć twierdząco na zadawane od tysiącleci pytanie o możliwość życia po życiu, powinny obiec świat niczym największa sensacja. Wydaje się jednak, że utonęły one w codziennym zgiełku środków masowego przekazu, wśród wydarzeń politycznych, dramatycznych meczów sportowych, sensacji z życia koronowanych głów itp. W każdym razie ich publikacja nastąpiła.

Teraz, po zaznajomieniu się z krzepiącym wnioskiem, że nieśmiertelność jest przynajmniej bardziej prawdopodobna niż całkowita śmierć, zwrócimy się znowu ku sprawom tego świata i jego zagadkom. Z nimi także, podobnie jak ze śmiercią, może nieoczekiwanie zetknąć się każdy z nas. Na przykład znikając bez śladu...

Rozpłynąć się w powietrzu

Znikanie ludzi nie jest niczym niezwykłym. Mąż i ojciec wielu dzieci wyskakujący na chwilę do kiosku po papierosy, by po dziesięciu latach przysłać widokówkę z Ameryki Południowej, to bohater wielu anegdot. Inni zostają porwani, schodzą na złą drogę albo dostają się w ręce morderców, którzy, przeciwnie niż w większości powieści i filmów kryminalnych, umieją jednak sprawić, by zwłoki ofiary zniknęły bez śladu.

Lista takich przypadków jest nieskończenie długa i każdego roku należałoby na niej umieścić dziesiątki tysięcy nowych nazwisk. W większości przypadków wchodzą w grę normalne przyczyny (jeśli chcemy określać jako normalne zbrodnie, przejawy braku odpowiedzialności, szaleństwa i temu podobne, typowo ludzkie formy aktywności).

Jednak nie zawsze.

Jeśli dobrze poszukać, to nagle staniemy oko w oko z takimi zdarzeniami, od których dostaniemy gęsiej skórki. Zdaje się, jakby coś niepojętego (albo nieznana siła natury) wyławiało z naszego otoczenia określone osoby, niczym jakiś niewidzialny wędkarz z innego wymiaru. Pojedyncze osoby, całe grupy, statki, dywizje — wybór jest bogaty. To niepokojące zjawisko nie zna ograniczeń ani przeszkód. Samoloty znikają na zawsze w chmurze, ludzie skręcają za rogiem ulicy i nigdy nie docierają do celu, wchodzą do jakiegoś pomieszczenia, by przepaść bez wieści. Wszystko to dzieje się na lądzie, wodzie i w powietrzu, jednym słowem: wszędzie.

Może nawet w kosmosie, tylko znamy go jeszcze za mało, by móc odróżnić zniknięcia naturalne od nienaturalnych.

Podobnie jak wędkarze, których znamy, rybak łowiący ludzi czasami wyrzuca połów, z którego nie jest zadowolony.

25 kwietnia 1977 r. kapral armii chilijskiej Armando Valdes na oczach swoich sześciu żołnierzy po prostu rozpłynął się w powietrzu.

Kiedy trwały jeszcze poszukiwania, po piętnastu minutach znowu się pojawił. Nie wiadomo dlaczego zegarek Valdesa pokazywał, że minęło dla niego pięć dni, miał też na twarzy pięciodniowy zarost. Sam kapral nic nie pamiętał ze swojej nieobecności, trwającej piętnaście minut czy też pięć dni.

Kapral został zwrócony, gdyż widocznie uznano go za nieodpowiedniego. Jednak w większości innych przypadków porwani w ten sposób już nie wracali. Na przykład Martha Wright, gospodyni domowa z USA, jechała zimą 1975 r. ze swoim mężem Jacksonem do Nowego Jorku. W tunelu Lincolna Jackson się zatrzymał, a Martha wyszła odśnieżyć szyby samochodu. Kiedy miała się zabrać do czyszczenia tylnej szyby, zniknęła na zawsze.

Nawet przy starannym zaplanowaniu wszystkiego, w XX wieku niełatwo na dobre zniknąć. Co roku muszą się o tym boleśnie przekonywać młodociani uciekinierzy z domu, oszuści podatkowi, uchylający się od płacenia alimentów, znudzeni małżonkowie pragnący z młodszymi partnerami zacząć nowe życie, przestępcy wszelkiego autoramentu, byli dyktatorzy i rozmaici inni zbiegowie. Są z drugiej strony ludzie, na przykład po utracie pamięci, którzy mają powody do wdzięczności, kiedy uwięzną w ciasnych oczkach sieci, którą nasza cywilizacja oplotła cały świat. Mimo to, oczywiście, wielu osobom udało się spędzić resztę życia incognito, tam gdzie chcieli i z kim chcieli, po spaleniu za sobą wszystkich mostów.

Nie każde zagadkowe zniknięcie jest niewytłumaczalne. Dlatego trzeba zachować ostrożność w ocenie. Nie chcemy zbyt puszczać wodzy fantazji. Łatwo ulec pokusie dostrzegania działań nieznanych sił tam, gdzie w rzeczywistości może chodzić jedynie o szczególną zręczność w zacieraniu wszelkich śladów. Tu widać istotną różnicę w stosunku do innych

ataków z niewidzialnego świata (choćby spontanicznego samospalenia): może istnieć pragnienie zniknięcia. Co prawda nieuzasadniony byłby wniosek przeciwny, że żaden przypadek zniknięcia nie jest niewytłumaczalny, jeśli tylko da się ustalić jakiś motyw albo osobę odnoszącą korzyści ze zniknięcia (np. spadkobiercę).

Temat jest trudny i często decydującą rolę odgrywa wiarygodność świadków. Ważny jest także sposób wyciągania wniosków, domniemania, prawdopodobieństwo, poszlaki, krótko mówiąc, niemal wszystko, co utrudnia obiektywną ocenę sprawy.

Z należytą ostrożnością spróbujemy oddzielić domniemania od faktów, a opowieści od zdarzeń udokumentowanych i pewnej wiedzy.

Wiele teorii na przykład opiera się na takich przypadkach, jak zaginięcie amerykańskiego pisarza Ambrose Bierce'a w czasie rewolucji meksykańskiej albo austriackiego arcyksięcia Johanna Salvatora, który pod nazwiskiem Johann Orth dowodził trójmasztowym szkunerem „Santa Margherita" i w lecie 1890 r. wyruszył z Buenos Aires do Valparaiso, by nigdy tam nie dotrzeć. Zaginęło także wielu innych znanych ludzi.

Przyznawanie takim przypadkom mocy dowodu byłoby nieuzasadnione. W wirze wojny domowej w Meksyku niejeden człowiek bezimiennie zaginął. Statek „Santa Margherita" zostałby bez rozgłosu wpisany do rubryki „zaginiony na morzu", gdyby nie obecność na nim słynnego ekscentryka Johanna Salvatora (Orthа). Oficjalna wersja podaje jako powód zaginięcia zatonięcie na Atlantyku, bardzo możliwe, że słusznie. Były także budynki, które mieszkańcy opuścili bez powodu, jak np. latarnia morska Eilean-Mor na wyspach Flannan Islands u zachodnich wybrzeży Szkocji; trzech latarników zniknęło tam bez śladu w roku 1900. Jednak i w tym przypadku można snuć różne domysły. W ten sposób daleko nie zajdziemy.

Najlepiej będzie podejść do tematu pod kątem systematyki, rezygnując z daleko sięgających interpretacji. Przeanalizujemy najpierw przypadki zniknięcia na lądzie (pojedynczych osób oraz mniejszych i większych grup), następnie na

wodzie, a wreszcie w powietrzu, zachowując podobny dystans, jak w przypadku kaprala Valdesa czy Marthy Wright. Następnie zastanowimy się, jak można to wszystko rozumieć. (Z oczywistych względów na morzu i w powietrzu znikały przeważnie grupy ludzi).

Każdy może być celem

Jeśliby czysto hipotetycznie założyć, że za znikanie ludzi odpowiedzialne są nieznane siły — wędkarze spoza Ziemi albo nieoczekiwanie otwierające się zapadnie prowadzące w inny wymiar — to wygląda to na zjawisko permanentne. Prawdopodobnie znikali już neandertalczycy, wychodzący na chwilę z jaskini, żeby tylko upolować mamuta, jednak o tym nie wiemy.

Nie dowiemy się również, czy w dokumentach z czasów średniowiecza lub renesansu, pełnych wzmianek o czarach i czarownicach, są jakieś prawdziwe informacje. Naturalnie zdarzają się wyjątki.

24 października 1653 r. pewien żołnierz hiszpański, którego nazwiska nie podają oficjalne raporty, stał na warcie w Manili, stolicy hiszpańskich wówczas Filipin.

Następnego dnia pojawił się w odległości piętnastu tysięcy kilometrów w Meksyku, będącym również pod hiszpańskim panowaniem. Nie miał pojęcia, co się z nim stało. Niezbyt to interesowało sędziów wojskowych, którzy niezwłocznie skazali go na śmierć za dezercję. Aby ich przekonać, że mówi prawdę, żołnierz ten powiedział, że gubernator Filipin niedawno umarł, o czym z powodu oddalenia 15 000 kilometrów w Meksyku można było się dowiedzieć dopiero za kilka miesięcy. Okazując rzadką wspaniałomyślność, sąd postanowił odroczyć wykonanie kary, dopóki nie nadejdą wiadomości z dalekich Filipin. Po odpowiednim czasie potwierdzenie istotnie nadeszło. Żołnierza uniewinniono i wypuszczono, jednak nieszczęśnik nie cieszył się długo tym, że o włos uniknął śmierci, bo zaraz go znowu aresztowano. Tym razem z roz-

kazu Inkwizycji, oskarżającej go o czary: dowodów winy dostarczył przecież sam aresztowany.

Początków rzeczowego podejścia do tego zjawiska bez odwoływania się do czarnej magii i diabelskich sztuczek można by się spodziewać od XVIII w. I z tych właśnie czasów pochodzi relacja o zagadkowym zniknięciu pewnej osoby...

W lipcu roku 1768 były żołnierz, krawiec Owen Parfitt, zniknął z wózka inwalidzkiego, w którym siedział przed wejściem do swego domu, tuż przy ruchliwej ulicy. To zdarzenie w małym angielskim miasteczku Shepton Mallet stało się zagadką z tego względu, że siedemdziesięciosiedmioletni Parfitt od wielu lat był całkowicie sparaliżowany i bez pomocy nie mógłby się poruszyć nawet o centymetr. Jego zniknięcie odkryto po kilku minutach, a mimo to wszczęte natychmiast poszukiwania nie dały rezultatu. Akcję poszukiwawczą prowadzono gruntownie, przetrząsając pola i lasy, a nawet sprawdzając sieciami rzeki i kanały. Zasięgiem poszukiwań objęto teren rozciągający się aż do odległego o dziesięć kilometrów miasteczka Wells. Nie udało się jednak dowiedzieć, gdzie podział się Parfitt.

Czterdzieści lat później zdarzył się znowu przypadek niewytłumaczalnego zniknięcia, który stał się głośny w owym czasie. Mimo że rząd brytyjski poruszył niebo i ziemię, a nawet sam cesarz Napoleon Bonaparte nakazał poszukiwania, zaginionej osoby nie udało się odnaleźć.

Chodzi o tajemniczą dematerializację (trudno to nazwać inaczej) brytyjskiego posła w Wiedniu, Benjamina Bathursta. W listopadzie 1809 r. ten młody, zręczny dyplomata wyjechał z ważnymi depeszami do Anglii. Wojny napoleońskie trwały wówczas w najlepsze, Austria poniosła właśnie decydującą klęskę w bitwie pod Wagram. Korsykanin trzymał Europę mocno w ręku, a wszędzie czaili się jego szpiedzy. Dlatego dla bezpieczeństwa Bathurst wybrał skomplikowaną drogę okrężną i podróżował pod fałszywym nazwiskiem.

Nie to jednak było powodem jego zniknięcia.

Do 26 listopada przebył już, podróżując w towarzystwie służącego, około połowy drogi i zatrzymał się na popas w małym brandenburskim miasteczku Perleberg, gdzie miano zmienić konie.

Wszystko przebiegało bez szczególnych sensacji. Czterech pasażerów powozu pocztowego (Bathurst i jego służący oraz dwóch innych podróżnych) pożywiało się w zajeździe przed wyruszeniem w dalszą drogę, co zaplanowano na dziewiątą. Kiedy załadowano bagaże i czas był ruszać, Bathurst z jakiegoś powodu odszedł za powóz — i nikt go już więcej nie widział. Natychmiastowe przeszukanie okolicy nie przyniosło rezultatu. Od razu pomyślano o uprowadzeniu, choć jego sprawca musiałby się odznaczać iście nadziemską zręcznością.

Afera zaczęła zataczać kręgi w ówczesnym świecie politycznym. Rząd angielski wyznaczył nagrodę 1000 funtów (co było znaczną sumą), a rodzina Bathursta drugie tyle. Mimo tej przynęty nie zgłosił się nikt, kto miałby jakieś informacje. Wiosną 1810 r. młoda żona Bathursta podjęła poszukiwania zaginionego męża. Przejechała wzdłuż i wszerz Niemcy i Francję z glejtem od samego Napoleona, który chciał się okazać łaskawym monarchą, miłującym pokój. Sprawa ta zajmowała wszystkich jeszcze długo po zaprzestaniu zakrojonych na szeroką skalę poszukiwań.

Intrygi, polityczne knowania i ciemne sprawki — jak choćby morderstwo na podwójnym agencie, hrabim d'Entraigues, który utrzymywał, że coś wie na temat zniknięcia Bathursta — sprawiły, że wszystko stało się jeszcze bardziej podejrzane. Powszechnie snuto domysły, że brytyjski dyplomata został porwany przez Francuzów, mimo że nikt nie umiał wytłumaczyć, w jaki sposób porywacze mogli się ukryć za powozem i wykonać swój zamysł nie zauważeni przez nikogo.

W pewnej niemieckiej relacji na ten temat czytamy: „Zniknięcie angielskiego posła wygląda na czary. Można odnieść wrażenie, jakby ziemia się rozstąpiła pod jego stopami i pochłonęła go bez śladu".

Takie przypadki są tajemnicze, ale nie muszą być koniecznie niewytłumaczalne. Zdarzały się jednak i takie, które zasługiwały na oba określenia. Pewnej listopadowej nocy 1878 r. szesnastoletni syn farmera Charles Ashmore został posłany po wodę do studni. Kiedy długo nie wracał, ojciec poszedł zobaczyć, co się z nim dzieje. Ślady stóp wyraźnie odciśnięte na śniegu kończyły się na środku obejścia. Nigdy nie został odnaleziony.

Podobnie stało się z jedenastoletnim Oliverem Larchem w wieczór wigilijny 1889 r. On także wyszedł po wodę i nigdy nie dotarł do studni. Ślady jego stóp nagle urywały się na śniegu.

Prawie identyczny był przypadek jedenastoletniego Olivera Thomasa, który w wigilijny wieczór wybrał się po wodę. Nie zdołał jednak dojść do studni, czego dowodzi ślad urywający się na śniegu w połowie drogi. Stało się to w 1909 r.

Czasami w jakimś miejscu występuje wiele takich zdarzeń w jednym czasie. W lipcu i sierpniu 1892 r. znikła w zagadkowy sposób tak wielka liczba osób w Montrealu w Quebec, że nagłówki w gazetach donoszące o kolejnych zaginięciach już spowszedniały i nie budziły sensacji.

„New Yorker Sun" z 14 sierpnia 1902 r. poświęcił obszerny artykuł nie wyjaśnionemu zniknięciu pięciu mężczyzn z miasta Buffalo. Były to niezależne od siebie przypadki, ale wszystkie zdarzyły się w sierpniu.

To wyliczenie można ciągnąć w nieskończoność, aż do naszych dni. Jeśli nawet w wielu przypadkach brak bezpośredniego dowodu, że zdarzenia nastąpiły w sposób niewytłumaczalny, to jednak większość z nich da się wyjaśnić w sposób racjonalny tylko wtedy, gdyby założyć istnienie czegoś w rodzaju światowego spisku, w dodatku bez żadnych rozumnych motywów.

Co mogłoby na przykład skłonić całą grupę ludzi do wymyślania absurdalnych kłamstw tylko po to, by wyjaśnić zniknięcie małego chłopca? Gdyby chodziło o zmowę w celu ukrycia wypadku albo zbrodni, to każda inna historyjka byłaby bardziej wiarygodna — i mniej podejrzana — niż prezentowana wersja wydarzeń w sprawie siedmioletniego Dennisa Martina, który z ojcem i kilkoma krewnymi latem 1969 r. pojechał na wycieczkę do Great Smoky Mountains. Dorośli ani na moment nie spuszczali chłopca z oka, który mimo to nagle zniknął, w chwili kiedy dreptał obok ojca.

Trzeba przyznać, że to dziwne i niesamowite. Ale jeszcze trudniej wyjaśnić, choćby w najbardziej naciągany sposób, przypadki zniknięć na masową skalę.

Zapaść się pod ziemię

W USA znane są tak zwane miasta-widma. Powstawały one przeważnie w czasie gorączki złota i mieszkańcy opuszczali je nieraz z dnia na dzień, kiedy złoża się kończyły, a kopalnie zamykano. Producenci westernów mają dzięki temu tanie dekoracje do filmów. Co prawda między bajki należy włożyć opowieści, jakoby miasta te opuszczano tak nagle, że na stolikach do gry zostawały porzucone żetony albo w połowie napełnione szklanki whisky na kontuarach saloonów. Na ogół rzeczywistość jest bardziej niezwykła niż niejedna legenda.

Istotnie są takie miejscowości, miasta, gminy, których mieszkańcy bez powodu w samym środku ich powszednich zajęć zdecydowali się udać się na wędrówkę donikąd.

Zdarza się tak od stuleci.

Dawnym, ale wciąż na nowo analizowanym przypadkiem jest zniknięcie osadników z wyspy Roanoke w pobliżu dzisiejszej Karoliny Północnej. Osadę na wyspie założył w 1585 r. Walter Raleigh. Kiedy po pewnym czasie nieobecności wrócił on z Anglii, skąd sprowadził sprzęty, narzędzia i następnych emigrantów, znalazł osadę całkowicie opuszczoną. Nie umiał znaleźć żadnego wyjaśnienia i na zawsze ten przypadek miał zostać zagadką.

W Anglii dzięki zastosowaniu fotografii lotniczej odkryto setki opuszczonych wsi. Po całej ziemi rozsiane są ich tysiące. Nie wszystkie zostały porzucone przez mieszkańców w odległych czasach z nieznanych powodów (o ile opuścili je dobrowolnie, czego nikt nie wie na pewno).

W listopadzie 1930 r. w związku z meldunkiem trapera Joe

Labelle'a oddział słynnej kanadyjskiej policji konnej Mountain Police udał się do wioski Eskimosów położonej w północnej Kanadzie. Wioska była zupełnie opustoszała i przedstawiała dokładnie taki sam widok, jak miasta-widma z USA w anegdotach: Wszystkie przedmioty użytku codziennego pozostawiono tak, jakby Eskimosi wszyscy razem na chwilę wyszli przed swoje siedziby, aby nigdy więcej do nich nie wrócić.

Policja potwierdziła niesamowite opowiadanie trapera. Labelle od dawna przyjaźnił się ze spokojnymi Eskimosami z ich małej osady, położonej w odległości 800 kilometrów od miasta Churchill, w którym stacjonowała policja konna. Kiedy Joe chciał odwiedzić zaprzyjaźnionych tubylców, przywitała go groźna cisza. Skóry zawieszone w wejściach do chat szarpał lodowaty wicher, wiejący znad jeziora Anjikuni. Nie zaszczekał ani jeden pies, jak okiem sięgnąć, nikogo nie było widać. Traperowi przeszedł mróz po krzyżu na ten widok, wcale nie z powodu temperatury na dworze.

Zatrzymał się na skraju wsi i głośno zawołał. Odpowiedzi nie było. Bardzo go to zadziwiło. Ostrożnie podszedł do pierwszej z brzegu chaty i uniósł skórę renifera, aby zajrzeć do środka. W chacie było pusto. Zawołał jeszcze raz. Cisza.

Labelle przez godzinę snuł się po wiosce, zaglądając do namiotów i chat w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby dać wskazówkę, gdzie podzieli się Eskimosi. Daremnie.

Garnki z jedzeniem wisiały nad ogniskami, jak gdyby kobiety na chwilę odwołano. Broń, największy skarb Eskimosów, stała po kątach. Nikt w tamtych stronach nie porzuciłby broni, bo dzięki niej można było przeżyć. Podobną wartość miały psy, a jednak również psy pozostawiono. Labelle, a w ślad za nim policjanci, odnaleźli psy Eskimosów przywiązane do pni drzew; pozdychały one z głodu, kiedy ich właściciele razem ze wszystkimi udali się w podróż do krainy nicości, i to bez żadnych przygotowań.

W efekcie swoich poszukiwań traper znalazł między innymi nie gotową jeszcze odzież dla dziecka z foczej skóry, w którą była wpięta kościana igła w taki sposób, jakby szycie przerwano tylko na krótko.

Policja nie widziała tu jakiegokolwiek normalnego wy-

tłumaczenia. Żaden Eskimos nie opuściłby swojej wioski nawet na krótko, a już na pewno odchodząc nie pozostawiłby broni, psów ani sań. To było nie do pomyślenia. Coś zmusiło tubylców do odejścia albo ucieczki z wioski, tak że porzucili nawet całą zapasową odzież. Nie było jednak żadnych śladów walki ani obecności obcych.

Na brzegu jeziora znajdowały się kajaki należące do plemienia, był wśród nich także kajak wodza, jak się przekonał Labelle. Sprowadzeni przez policję biegli strawili wiele tygodni na rozwiązywaniu tej zagadki, co jednak im się nie udało.

Bez odpowiedzi pozostało pytanie, dlaczego całe plemię Eskimosów w samym środku mroźnej, wczesnej zimy bez jakiegokolwiek ekwipunku opuściło wioskę i dokąd mogło się udać. Trzeba było odrzucić absurdalną myśl o wspólnej wycieczce łodziami zakończonej katastrofą, skoro łodzie były na swoim miejscu, a przecież w takim przedsięwzięciu nie brałaby udziału cała ludność wioski.

Doświadczeni tropiciele śladów nie znaleźli niczego, co mogłoby świadczyć o wyruszeniu na wędrówkę przez tundrę. Ten pomysł musiałby zresztą przy takiej pogodzie być przejawem wybuchu zbiorowego szaleństwa.

Jak wiadomo, „Mounties" nigdy nie dają za wygraną. Wykluczone było, by policjanci mogli uznać sprawę za niewytłumaczalną tajemnicę i przejść nad nią do porządku dziennego.

Wyruszyli na poszukiwania zaginionych Eskimosów. W ciągu kilku tygodni wytrwałej wędrówki zdążyli skrupulatnie przetrząsnąć ogromny teren, nie znaleźli jednak niczego, co mogłoby choćby w najmniejszym stopniu naprowadzić ich na właściwy trop. Ślepy zaułek.

Od biedy można sobie jeszcze wyobrazić jakieś, w miarę naturalne, przyczyny zniknięcia maleńkich, odizolowanych społeczności, jak osadników z Roanoke albo Eskimosów żyjących pośród kanadyjskich pustkowi. Na przykład nagły, zbiorowy pęd ku śmierci — wzbudzony przez jakieś wirusy, protuberancje Słońca lub inne przyczyny — mógłby popchnąć grupy ludzi do rzucenia się w morze albo wyruszenia w lodowate przestrzenie.

Trudniej jest przyjąć takie wytłumaczenie, jeśli idzie o większe i lepiej zorganizowane grupy, jak na przykład jednostki wojskowe.

W roku 84 n.e. północne królestwo Brigantia pod wodzą Arivagusa zrzuciło jarzmo rzymskiej dominacji. Nie na długo jednak.

Trzydzieści cztery lata później spróbowało szczęścia ponownie. Na wiadomość o tym wydano rozkaz wymarszu IX legionowi wojsk rzymskich, aby udzielił kolejnej lekcji posłuszeństwa. Legion ten opuścił swój silnie ufortyfikowany obóz w sercu Brigantii i znikł bez śladu. Powstańcy nie mieli w tym udziału, nigdy też tak nie twierdzili.

W rzymskich zapiskach z czasów Marka Aureliusza, które wymieniają 28 legionów, brakuje legio IX Hispana, którego zadania zaraz po jego zniknięciu przejął legio VI Victrix.

Choć niektórzy historycy nie mogą pogodzić się z myślą, że cały legion mógłby rozpłynąć się w powietrzu, i przytaczają mało przekonujące wyjaśnienia, to przecież wymarsz nieszczęsnego dziewiątego legionu, jak go wówczas nazywano w imperium rzymskim, pozostaje historycznym faktem.

Jeśli wziąć pod uwagę, że legion rzymski w pełnym składzie liczył sześć tysięcy żołnierzy, to jest doprawdy rzeczą niezwykłą, że ani intensywne dochodzenie władz imperium, ani poszukiwania archeologów w późniejszych stuleciach nie zdołały odnaleźć żadnych pozostałości po dziewiątym legionie — ani tarczy, ani miecza, ani insygniów legionowych, ani żadnego nagrobka, zupełnie niczego. Brak również jakichkolwiek osobistych relacji.

Można wprawdzie powiedzieć, że wyniki badań zdarzenia, które zaszło prawie dwa tysiące lat temu, nie mogą być stuprocentowo pewne. Inaczej jest jednak w przypadku również nie dających się wyjaśnić zdarzeń z naszego wieku.

Bitwa pod Gallipoli stoczona w sierpniu 1915 r. oznaczała nie tylko przełom w strategii pierwszej wojny światowej (odtąd armie zaczęły się okopywać, a rowy strzeleckie pokryły cały kontynent niczym ropiejące rany), ale stanowiła też kolejny rozdział w księdze spraw niewytłumaczalnych.

Plan Winstona Churchilla, by wylądować w Cieśninie Dardanelskiej, zdobyć Konstantynopol i uzyskać w ten

sposób połączenie z Rosją, umożliwiające przerzucenie milionowych wojsk rosyjskich, kosztował życie wielu żołnierzy: tysiące poległo na polu bitwy albo przepadło bez wieści. Natomiast 266 żołnierzy zniknęło, i to w tak niecodzienny sposób (nawet jak na warunki wojenne), że dowódca, generał Ian Hamilton, złożył w tej sprawie specjalny meldunek ministrowi wojny Earlowi Kitchnerowi. Pułkownik H. Beauchamp z większą częścią swojego batalionu należącego do pułku Norfolk, oddziałem liczącym 16 oficerów i 250 żołnierzy, wszedł w obłok, by zniknąć w nim na zawsze.

Żołnierzy tych spotkał równie zagadkowy los, jak przeszło dziesięciokrotnie liczniejszy oddział chiński.

Był rok 1939. Gdy w Europie druga wojna światowa dopiero się zaczynała, japońska ekspansja na Dalekim Wschodzie trwała na dobre już od dwóch lat, co w końcu doprowadziło do nieuniknionej konfrontacji z USA i wzniecił światowy pożar.

Japończycy podchodzili już pod Nankin. Pułkownik Li Fu Sien dysponował 3 100 żołnierzy, aby zatrzymać elitarne wojska cesarskie. Jego zadanie było właściwie niewykonalne, wręcz samobójcze.

Chińscy obrońcy zajęli stanowiska dwadzieścia pięć kilometrów na północ od Nankinu. Pułkownik wydał ostatnie rozkazy i udał się do kwatery głównej, położonej o półtora kilometra od linii bojowych. Nazajutrz rano telefony polowe milczały. Początkowo pułkownika to jeszcze nie zaniepokoiło. Właściwa niespodzianka dopiero go czekała: zniknięcie całej jednostki wojskowej. Jednej nocy zaginęło 2 988 żołnierzy, na posterunku trwał tylko mały oddziałek liczący 113 ludzi, strzegący pobliskiego mostu.

W pierwszej chwili nasuwa się myśl o dezercji. Inwazji japońskiej nie można już było powstrzymać, a każda taka próba równała się pewnej śmierci. Wprawdzie dezercja to również wyrok śmierci, ale jego wykonanie grozi dopiero w razie schwytania. Także moralne zobowiązanie do wytrwania aż do ostatniej kropli krwi, do którego chętnie się odwołuje propaganda wojenna wszystkich krajów, jest w stanie zagłuszyć głos instynktu samozachowawczego jedynie w szczególnych przypadkach.

W czasie pierwszej wojny światowej zdezerterowało prawie jednocześnie około miliona żołnierzy armii rosyjskiej, gdy tylko zaprzestano tam rozstrzeliwać dezerterów. Jednak w omawianym przypadku nie wchodzi to w grę. 2988 żołnierzy odeszło w całkowitej ciszy, przy czym nie widzieli ich ani koledzy broniący mostu, ani nikt inny. Przez most nie przeszli. Nie uprowadzili ich także Japończycy, dla których takie zadanie byłoby nierealne. Żaden spośród zaginionych nigdy więcej nie dał znaku życia, ani w czasie wojny, ani po jej zakończeniu.

Ponieważ wszystko to się rozegrało pod osłoną ciemności nocnych i bez świadków, a podobnie było w większości innych przypadków, to rodzi się pytanie, czy takie zdarzenia przebiegają zawsze w taki sam sposób?

Historia zna więcej przypadków dematerializacji armii i oddziałów. W czasie wojny sukcesyjnej w Hiszpanii 4 000 dobrze wyszkolonych żołnierzy z całym ekwipunkiem rozłożyło się obozem w Pirenejach nad małą rzeczką. Następnego ranka przygotowali się do wymarszu, ustawili w szeregach i na zawsze znikli za łańcuchem wzgórz. Wielu żołnierzy innych oddziałów widziało, jak maszerują, jednak nikt ich nie widział wracających zza wzgórz.

Podobny przypadek wydarzył się w 1858 r. w Indochinach. 650 żołnierzy francuskich oddziałów kolonialnych odbywało piętnastokilometrowy marsz do Sajgonu. Maszerowali po odkrytym terenie, kiedy nagle z całym uzbrojeniem i ekwipunkiem, wszystkimi taborami i zwierzętami pociągowymi zostali wchłonięci przez nicość.

Zdarzenia te odnotowano w oficjalnych raportach i notatkach osobistych, choć nie tak dokładnie i szczegółowo, aby choć z grubsza móc się zorientować w naturze tych zjawisk. Nawet wtedy, gdy istnieją zeznania licznych świadków, jak w przypadku farmera Davida Langa, który 23 września 1880 r. zniknął w pobliżu Gallatin (Tennessee), to z konkluzji tych zeznań, że Lang, w całym tego słowa znaczeniu, „rozpłynął się w powietrzu", niewiele można wywnioskować. W innych zeznaniach można znaleźć więcej informacji.

Powróćmy jeszcze do Turcji, do tragicznej kampanii pod Gallipoli z 1915 r. Wielu naocznych świadków widziało

zniknięcie wspomnianego oddziału brytyjskiego. Uwolnienia tych żołnierzy Anglia domagała się zaraz po kapitulacji Turcji w 1918 r. Tego żądania pobite państwo osmańskie nie mogło spełnić, ponieważ żaden oddział turecki nie miał do czynienia z zaginioną jednostką i niczego na jej temat nie wiedziano.

F. Reichardt, R. Newnes i J.L. Newman, saperzy należący do trzeciego pododdziału kompanii polowej nr 1 nowozelandzkiego korpusu ekspedycyjnego, we wspólnym raporcie w następujących słowach opisują zdarzenie w okolicy wzgórza 60, Sulva Bay:

Znajdowaliśmy się na posterunku obserwacyjnym około stu metrów powyżej wzgórza 60. Dzień z początku był jasny. W zasięgu wzroku nie było żadnych chmur, z wyjątkiem sześciu czy ośmiu obłoków, które miały wszystkie dokładnie taki sam kształt, przypominający bochenek chleba i wisiały nad wzgórzem 60. Mimo silnego południowego wiatru obłoki te nie zmieniały swojej formy ani nie odpływały. Bezpośrednio pod tą grupą obłoków znajdował się jeszcze jeden obłok, również nieruchomy, sięgający aż do ziemi, tego samego kształtu co pozostałe. Był całkowicie nieprzejrzysty i robił wrażenie czegoś tak ścisłego jak ciało stałe. Z naszego punktu obserwacyjnego mogliśmy dobrze widzieć zarysy tego obłoku, który widniał w odległości około trzystu metrów od strefy walk na terenie zajętym przez Anglików w łożysku wyschniętej rzeki czy też może w wyżłobieniu zapadniętej drogi (Kaiajik Dere).

Potem widzieliśmy, jak brytyjski pułk Norfolk, w sile kilkuset ludzi, maszerował po tej drodze (albo łożyskiem rzeki) pod górę na wzgórze 60, najwyraźniej w celu wzmocnienia obsady wzgórza. Kiedy doszli do dziwnego obłoku, bez wahania weszli prosto w niego, ale nikt z niego nie wyszedł. Kiedy ostatni żołnierz ostatniego szeregu zniknął w obłoku, ten oderwał się od ziemi i uniósł powoli do góry, aż zrównał się z innymi obłokami o podobnym wyglądzie, opisanymi na początku tego raportu. Przez cały ten czas grupa tych obłoków, co dziwne, nie ruszyła się z miejsca; za to kiedy zrównał się z nimi ten pojedynczy obłok, który oderwał się od ziemi, wtedy wszystkie odpłynęły na północ w kierunku Tracji

(Bułgaria). Po niecałej godzinie znikły z pola naszego widzenia. Wszystko to obserwowało jeszcze 22 żołnierzy trzeciego pododdziału kompanii polowej nr 1 nowozelandzkiego korpusu ekspedycyjnego (NZE) z rowów strzeleckich na placówce „Rododendron" około 2,5 kilometra na południowy zachód od wzgórza 60.

Opisane zdarzenie, niezbyt ważne w tej strasznej wojnie, było jednak zupełnie niezwykłe. Stało się ono przedmiotem wciąż ponawianych analiz. W zeznaniach poszczególnych świadków można się było doszukać minimalnych niezgodności, które jednak dowodzą oczywiście jedynie tego, że świadoma pamięć nie ma precyzji komputera. Fakt zniknięcia całego oddziału w obłoku — i to w biały dzień — jest niepodważalny.

Znikanie w tworach przypominających obłoki, w ławicach mgły powstających z niczego, które również wykazują zadziwiającą niewrażliwość na prądy powietrza, a także w innych oparach, nie robiących wrażenia naturalnych, nie jest tak rzadkim zjawiskiem, jak można by sądzić. Brak niestety odpowiedzi na pytanie, czy znikanie pojedynczych osób, małych grup lub całych mas ludzi (bo można tak chyba określić liczącą prawie 3 000 ludzi chińską jednostkę wojskową albo cały legion rzymski), dokonuje się zawsze za zasłoną mgły. Istnieją argumenty na korzyść takiego poglądu, niektóre obserwacje się pokrywają, ale jeszcze więcej jest elementów niepewnych. Nie można mieć nawet pewności, czy mamy do czynienia z jednym i tym samym fenomenem, którego ofiarą padają raz pojedyncze osoby, innym zaś razem tysiące ludzi. Istotna może być zarówno różna liczba osób, jak i położenie geograficzne miejsca, gdzie dane zjawisko wystąpiło. Tego nie wiemy, być może chodzi tu o zróżnicowane przejawy tego samego zjawiska, a być może o zdarzenia niezależne od siebie. Znowu trzeba podkreślić, że zewnętrzne podobieństwo nie musi jeszcze oznaczać identyczności albo pokrewieństwa zjawisk.

Cokolwiek to jest, nie są to zwyczajne zjawiska. To wrażenie jeszcze się wzmaga, kiedy opuścimy ląd, który, jak się okazało, wcale nie jest czymś pewnym, i uświadomimy sobie ten przykry fakt, że statki nie tylko toną, a samoloty

spadają na ziemię, ale że również znikają. Razem ze wszystkim, co mają na pokładzie; czasami zresztą znika tylko to, co jest na pokładzie...

Oczywiście, na wodzie i w powietrzu jest bez porównania trudniej odnaleźć ślady czy też na pewno stwierdzić ich brak. Mimo to w niektórych (wcale nie tak rzadkich) przypadkach jest to możliwe.

Jak się zdaje, to co nieznane nie uznaje żadnych ograniczeń miejsca, w którym daje znać o sobie.

Drogi wodne donikąd

Kiedy jest mowa o niemożliwych do wyjaśnienia zdarzeniach, które się rozegrały na oceanie, to od razu przychodzi na myśl klasyczna już zagadka „Mary Celeste".

Tajemnica ta budzi zainteresowanie już od 1872 r. Piątego listopada tego roku dwumasztowiec „Mary Celeste" wypłynął z Nowego Jorku do Genui. Miesiąc później angielski bryg „Dei Gratia" napotkał „Mary Celeste" dryfującą bez załogi między Azorami a wybrzeżem Portugalii. Pierwszym głosem w dyskusji na temat tego statku, która do dziś się nie zakończyła, była wypowiedź przedstawiciela brytyjskiej admiralicji z Gibraltaru, F. Solly Flooda, który pisał w raporcie do Londynu: „Jak się okazało w rezultacie podjętej akcji ratowniczej, statek był nienaruszony i znajdował się w tak dziwnie dobrym stanie, że poczułem się zmuszony do wdrożenia szczegółowego śledztwa".

Zazwyczaj z przejęciem na własność opuszczonego statku nie ma wielkiego problemu, bo statki takie przeważnie są znajdowane z poważnymi uszkodzeniami — bez masztów, częściowo zatopione itd. Z „Mary Celeste" było inaczej. Ten statek był całkowicie sprawny, jego ładunek znajdował się na pokładzie w nienaruszonym stanie, a także inne okoliczności przemawiały za nagłym opuszczeniem go przez załogę. Nie było jednak śladów żadnej katastrofy, która miałaby ją do tego zmusić.

W pomieszczeniach załogi stały skrzynie z rzeczami marynarzy. Nic nie wskazywało, aby się spakowali, mając zamiar zejść ze statku. Można było się raczej domyślać, że pognali dokądś w wielkim pośpiechu, gdyż zostawili nie tylko swoje

rzeczy w skrzyniach, ale także gumowe buty, fajki i wiele innych przedmiotów, które musiały być im drogie, albo były niezbędne, by przeżyć. Otwarty flakonik z lekarstwem wskazywał na to, że jego użytkownik nie zdążył go nawet zakorkować. Koja, w której spały żona kapitana Benjamina Spoonera Briggsa i jej dwuletnia córka Sophia, była zostawiona w nieładzie, a takie niedbalstwo w przypadku kobiety z Nowej Anglii, wychowanej tak jak Sarah Briggs, mogła usprawiedliwić jedynie siła wyższa. Także wszystkie inne przedmioty w kabinie wskazywały na to, że porzucono je nagle. Skrzynie z ubraniami, przybory do szycia, guziki, igły, książki, fisharmonia, szafa z instrumentami, biurko, wszystko było najwyraźniej na swoim miejscu.

Mimo woli przychodzi na myśl pewna wioska Eskimosów...

Śledztwo zainicjowane przez Flooda przeprowadzono z największą starannością i dociekliwością. Od początku podejrzany wydawał się fakt pozostawienia ładunku o wartości 30 000 dolarów, co na owe czasy stanowiło ogromną sumę.

W trakcie przeszukania znaleziono wiele dziwnych rzeczy, niczego jednak, co mogłoby dowodzić próby oszukania firmy ubezpieczeniowej albo wyłudzenia nagrody za odzyskanie statku. Kadłub „Mary Celeste" nie wykazywał żadnych uszkodzeń, nie nastąpiła żadna eksplozja, nie było pożaru. Statek znajdował się w znacznie lepszym stanie niż wiele innych na Atlantyku. Wzdłuż kadłuba biegły jedynie dwie rysy, jakby wydrapane jakimś ostrym narzędziem. Były na obu burtach, od dzioba aż do rufy, na wysokości około pół metra nad linią wodną. Rysy te nie stanowiły dla dwumasztowca żadnego zagrożenia, nie wskazywały też na żadne zdarzenie naturalne, jak np. zderzenie z innym statkiem albo podwodnymi rafami. Flood uznał, że te dziwne uszkodzenia wykonano w celu upozorowania zderzenia ze skałami, nie udało mu się jednak przeforsować tego punktu widzenia.

Z coraz większą zajadłością Flood drążył tę tajemniczą sprawę. Opisano go jako człowieka pyszałkowatego i małostkowego, ale i sumiennego. Połączenie takich cech charakteru u osoby badającej sprawę pozwoliło już zdemaskować niejedną mistyfikację.

Kiedy ekipa dochodzeniowa odkryła na pokładzie i relingu, a później jeszcze na ostrzu bogato zdobionego włoskiego miecza, leżącego pod koją kapitana, brązowe plamy, Flood zdwoił wysiłki. Własnym sumptem kazał przeprowadzić analizę tych plam, które według niego mogły być tylko plamami krwi; nie chciał jednak później, co dziwne, poinformować o wyniku analizy gubernatora brytyjskiego ani nikogo innego. Nawet Horatio J. Sprague, konsul Stanów Zjednoczonych w Gibraltarze, nie zdołał skłonić Flooda do przekazania kopii tych wyników. Sprague, nie mniej uparty od Flooda, zdołał mimo to wejść w posiadanie odpisu; potrzebował na to wprawdzie aż czternastu lat.

Sprague przekazał ten odpis w 1887 r. władzom USA. Lekarz, który przeprowadzał badania, dr J. Patron wydał następujące orzeczenie:

„Za pomocą szpachli zdjąłem wierzchnią warstwę rdzawych plam na pokładzie, relingu głównym i włoskim mieczu. Wykonane badania i próby (które poniżej szczegółowo przedstawiono) upoważniają mnie do stwierdzenia, że pobrana substancja zgodnie z obecnym stanem wiedzy nie ma nic wspólnego z krwią".

Ten zaschnięty płyn, w którym Solly Flood oraz sędzia śledczy James Cochrane bardzo chcieliby widzieć dowód popełnionej zbrodni, mógł prawdopodobnie pochodzić z pewnego pojemnika na pokładzie „Mary Celeste". Informował o nim pierwszy mat z „Dei Gratia", Oliver Deveau, który z dwoma ludźmi 5 grudnia 1872 r. jako pierwszy wszedł na pokład dryfującej „Mary Celeste".

Na nic się zdały próby wyjaśnienia zagadki napaścią piratów, buntem załogi, walką między buntownikami a wiernymi marynarzami i innymi, zwykłymi przyczynami. Jeszcze bardziej tajemnicze było to, że statek, choć bez załogi, kapitana i sternika, przez przeszło pięćset mil utrzymywał się na przewidzianym kursie, mimo falowania i burz. Taki wniosek wynikał z ostatniego zapisu w dzienniku okrętowym.

Treść dziennika nie upoważniała do wniosku, że wszyscy członkowie załogi, włącznie z żoną i córeczką kapitana, zaraz po wykonaniu ostatniego zapisu opuścili statek. Jednak gdyby nawet załoga pozostała jeszcze na pokładzie na tyle długo, by

statek mógł przebyć taką odległość utrzymując się na kursie, to jej późniejsze zniknięcie bez śladu stałoby się tym bardziej dziwne. Nie wspominamy już o innych dziwnych okolicznościach. W końcu Flood, a z nim władze musiały dać za wygraną.

W marcu 1873 r. zapadł werdykt w tej sprawie. Prowadzący dochodzenie stwierdzili, że nie mogą określić przyczyny opuszczenia „Mary Celeste" ani zrekonstruować przebiegu wypadków na pokładzie. Pierwszy raz w historii tego trybunału zdarzyło się, że nie zdołał wydać jasnego orzeczenia w sprawie, którą badał.

„Dei Gratia" przyznano nagrodę za odnalezienie statku, odpowiadającą mniej więcej jednej piątej wartości „Mary Celeste" wraz z ładunkiem. Pechowy statek powrócił do właściciela Jamesa Winchestera, który go zaraz sprzedał. Opinia statku-widma na trwałe przylgnęła do „Mary Celeste", która w takim właśnie charakterze przeszła do historii żeglugi.

Od stu lat los „Mary Celeste" jest symbolem zagadkowego zniknięcia za siedmioma morzami. Próby racjonalnego wyjaśnienia tej zagadki współzawodniczą tu z najdziwaczniejszymi teoriami, a beletrystyka i film znalazły jeszcze jeden temat do nie pohamowanej produkcji.

Nowojorskie towarzystwo ubezpieczeniowe Atlantic Mutual Insurance Company urządziło dla „Mary Celeste" osobne muzeum, którego nie powstydziłoby się żadne miasto.

Jeśli przyjrzeć się najpopularniejszym racjonalnym wyjaśnieniom, to w porównaniu z nimi najbardziej fantastyczne teorie na temat UFO, pułapek czasoprzestrzeni czy dziur prowadzących w inny wymiar wcale nie wydadzą się już takie wydumane. Nie świadczy to najlepiej o „rozumnych" wytłumaczeniach. Snuto przypuszczenia, że statek mogła zaatakować ośmiornica, wywlekając swoimi mackami przez bulaje jednego marynarza po drugim. Jeszcze bardziej oryginalna była koncepcja, jakoby załoga zbudowała sobie boczne platformy, aby obserwować wyścigi pływackie; platformy te załamały się i wszyscy utonęli. To by przy okazji wyjaśniało też osobliwe rysy na burtach.

Rozsądniejszy wydaje się pomysł, że woda i żywność mogły być zatrute, co miałoby popchnąć załogę do szaleń-

czych działań, jak na przykład do zbiorowego albo indywidualnego utopienia się w lodowatym morzu. Przypuszczenie to jednak upadło, skoro załoga „Dei Gratia" korzystała potem z zapasów pozostałych na „Mary Celeste" i nikt z tego powodu nie zachorował.

Istnieją oczywiście jeszcze inne wersje, nie odwołujące się do ogromnych ośmiornic ani porywaczy spoza Ziemi. Wszystkie jednak pozostawiają otwarte rozmaite kwestie, przyjmują niepewne założenia i pomijają niektóre szczegóły.

Zaledwie dwa lata później sławna „Mary Celeste" zakończyła na zawsze swoją karierę w zatoce Gonave na Haiti. Jeszcze dzisiaj można zobaczyć jej poczerniałe deski na rafie koralowej Rochelois, gdzie znalazła samotne miejsce spoczynku w tropikalnych wodach Karaibów, z dala od miejsca swych narodzin w Nowej Szkocji. Jej legenda będzie żywa dotąd, aż doczeka się trafnego wyjaśnienia. A to może nigdy nie nastąpi...

Nam jednak legenda nie wystarcza. Zagadkę „Mary Celeste" wprawdzie wiele łączy z innymi przypadkami nie wyjaśnionych zniknięć, ale jest to w najlepszym razie poszlaka.

Dla naszych rozważań potrzebne byłoby na przykład zniknięcie załogi statku na oczach świadków, porównywalne ze zniknięciem żołnierzy batalionu Norfolk, którzy weszli w obłok, żeby z niego nigdy więcej się nie wyłonić.

Takiego przypadku chyba nie było. A może jednak?

Szkuner „J.C. Cousins", dwumasztowiec o długości trzydziestu metrów, który początkowo służył pewnemu milionerowi jako luksusowy jacht, przeszedł potem w inne ręce i stał się statkiem pilotowym. W październiku 1883 r. dowodził nim doświadczony żeglarz i pilot, kapitan H.A. Zeiber.

W jasny i pogodny październikowy dzień szkuner wypłynął z macierzystego portu Astoria (Oregon), słynącego z konserw łososiowych, aby przeprowadzić pewną francuską barkę przez niebezpieczne ujście rzeki do miejsca przeznaczenia. Statek Zeibera manewrował pośród zdradzieckich mielizn Zachodniego Wybrzeża, omijając niebezpieczne piaszczyste ławice, i zarzucił kotwicę w pobliżu Fort Stevens, co wyraźnie było widać z punktu obserwacyjnego Cape Disapointment. Zeiber czekał na odpływ, który miał umożliwić jego dwumasztowcowi spotkanie na pełnym morzu.

Również załoga holownika „Mary Taylor" mogła wyraźnie widzieć stojący na kotwicy „J.C. Cousins". O piątej po południu szkuner podniósł kotwicę i wraz z zaczynającym się odpływem wyruszył na spotkanie z francuskim statkiem. To również wyraźnie widzieli strażnicy wybrzeża z latarni morskiej Canby. Nagle stało się coś dziwnego. Bez żadnego sygnału ani widocznej przyczyny „J.C. Cousins" wykonał zwrot, kierując się prosto na wybrzeże, ku piaszczystym ławicom i mieliznom, których omijanie było przecież zawodową umiejętnością kapitana Zeibera. Świadkowie zdarzenia z wielu różnych miejsc obserwowali rozwój wypadków — z narastającym zdumieniem, potem z troską, a wreszcie z przerażeniem. „J.C. Cousins" coraz szybciej mknął ku zagładzie. Nie próbując nawet wykonać żadnego manewru ani awaryjnie zarzucić kotwicy, statek osiadł wreszcie na piaszczystej ławicy Clatsop Spit. Oczy obserwatorów skierowały się na miejsce katastrofy, wiele z nich było uzbrojonych w lunety albo lornetki.

Nikt nie opuścił rozbitego statku, nikt też nie wzywał pomocy. Na miejsce zdarzenia pospieszyła straż przybrzeżna. Nawoływania zbliżającej się ekipy ratunkowej pozostały bez odpowiedzi, i nic dziwnego, na „J.C. Cousins" nie było bowiem żywego ducha. Nic nie świadczyło, aby rozegrały się tam jakieś dramatyczne wydarzenia. Łodzie ratunkowe wisiały na żurawikach. Zupełny spokój sprawiał niesamowite wrażenie. Kuchnia w kambuzie jeszcze nie ostygła, ciepłe były kartofle w garnku.

Pomieszczenia załogi były w nienagannym stanie. Ostatni zapis w dzienniku okrętowym zrobiony ręką kapitana Zeibera brzmiał: „Wszystko w porządku".

Szczególnie przejmującym szczegółem było żarzące się cygaro w popielniczce, które musiało tam zostać odłożone na chwilę przedtem.

Nigdy nie zdołano wyjaśnić, nawet w najmniejszym stopniu, co zaszło owego dnia. Zagadkowe fakty są niepodważalne: mały statek, obserwowany przez cały czas od momentu wyjścia z portu, i to nie tylko gołym okiem, ale i przez lunety, okazał się nagle zupełnie pusty, choć nikt nie skoczył z niego do wody ani go nie opuścił w jakikolwiek inny sposób.

Kapitan wraz z załogą dosłownie rozpłynęli się w powietrzu, można by rzec, między jednym zaciągnięciem się cygarem a drugim. Ani sam Zeiber, ani żaden z członków jego załogi nigdy więcej nie był widziany, żywy czy martwy.

Wprawdzie „J.C. Cousins" nie zanurzył się we mgle, aby się w niej zdematerializować, ale mimo to nikt nie potrafił powiedzieć, co zdarzyło się na pokładzie przed zniknięciem załogi.

W innych przypadkach znikają całe statki. Bez śladu i równie tajemniczo, jak załoga „J.C. Cousins".

„Iron Mountain" (Żelazna Góra) był to potężny rzeczny parowiec tylnokołowy, w pełni zasługujący na swoją nazwę. Mając 60 metrów długości i przeszło 10 szerokości, „Iron Mountain" bezpiecznie przewoził pasażerów i ładunki do celu. Nieznany pozostaje wprawdzie cel jego ostatniej podróży. Pewnego słonecznego ranka w czerwcu 1872 r. „Iron Mountain" opuścił Vicksburg, ciągnąc za sobą na holu rząd barek towarowych. Miał przewieźć do Louisville czterysta bel bawełny, które powinny stamtąd powędrować dalej do Cincinnati i Pittsburgha. Dobry ładunek, 55 pasażerów na pokładzie i wspaniała pogoda sprawiały, że panował doskonały nastrój, zwłaszcza że tego właśnie dnia wypadały ósme urodziny statku. Świadkowie widzieli, jak „Iron Mountain" znika za zakrętem rzeki Ohio; jednak nigdy już nie miał się więcej wyłonić zza tego zakrętu.

Znikł tak, jakby wyparował prosto w przestrzeń kosmiczną. Być może zresztą to właśnie się stało. Nieco później inny parowiec tylnokołowy, płynący w dół rzeki, w ostatnim momencie wyminął rząd dryfujących barek. Fakt ten nie zaniepokoił zbytnio załogi tego statku o nazwie „Iroquois Chief", gdyż takie przypadki czasem się zdarzały. Potem jednak zauważono, że liny holownicze tych barek nie były zerwane, jak należałoby oczekiwać, ale przecięte. Kapitanowie statków sięgali po taki środek jedynie w ostateczności.

Cokolwiek się przydarzyło „Iron Mountain", statek ten znikł błyskawicznie i bez śladu z powierzchni ziemi czy raczej wody. Poszukiwania nie przyniosły żadnego rezultatu. Gdyby nastąpił wybuch, to szczątki musiałyby pokryć rzekę Ohio na przestrzeni wielu mil, zwłaszcza że na pokładzie były ułożone

bele bawełny i beczki z melasą. Los tego statku wszedł do annałów żeglugi rzecznej jako przykład nie wyjaśnionego zniknięcia.

Rok później podobny los spotkał inny statek, jednak to wydarzenie miało o wiele większy rezonans. Nic dziwnego, gdyż tym razem nie chodziło tylko o jakiś tam zwykły parowiec, ale o słynną „Mississippi Queen", mogącą uchodzić za rzecznego „Titanica" z uwagi na swe luksusowe wyposażenie i sławę eleganckiego pałacu na wodzie.

Miejsca na „Mississippi Queen" były zarezerwowane z góry aż do końca stulecia. Kiedy majestatyczny parowiec przepływał rzeką, jej brzegi regularnie oblepiały tłumy gapiów. Nieraz przyjeżdżano całymi rodzinami z daleka, by przez wiele godzin czekać na to imponujące widowisko.

Również początek rejsu 17 kwietnia 1873 r. miał charakter ludowego festynu. Muzyka przygrywała, widzowie machali rękoma, nad wodą wśród gwaru rozlegały się okrzyki, gdy tymczasem okaz sztuki okrętowej wziął kurs na południe do Nowego Orleanu. Pozdrawiając krótkimi sygnałami napotykane mniejsze stateczki, statek znikł w oddali. Nigdy jednak nie dotarł do Nowego Orleanu.

Dwanaście godzin po przewidzianym terminie przybycia nieco zaniepokojeni armatorzy zaczęli wysyłać telegramy do wszystkich przystani leżących na trasie rejsu. Wprawdzie „Mississippi Queen" nigdy się jeszcze nie spóźniła, ale możliwość zaginięcia na rzece była nieporównanie mniejsza niż na pełnym morzu. Zniknięcie bez śladu w takich warunkach wydawało się właściwie nie do pomyślenia. Już wkrótce jednak armatorzy musieli się przekonać, że jest możliwe.

Z miast, do których wysłano telegramy, nadchodziły meldunki, że statek nigdzie nie miał nieprzewidzianego postoju. Pędził całą naprzód, widziany przez wielu ludzi. Krótko po północy wszystko jeszcze odbywało się zgodnie z rozkładem rejsu. Potem nagle stracono statek z oczu i nikt go więcej nie widział.

Kiedy nie było już wątpliwości, że coś musiało się stać z luksusowym statkiem, wszczęto poszukiwania na wielką skalę. Przeczesywano brzegi rzeki, na wodzie roiło się od łodzi z przeciągniętymi między nimi łańcuchami niczym sieciami

z żelaza. Gdyby została choćby jedna deska z pokładu zaginionego parowca, musiano by ją odnaleźć.

Tymczasem nie znaleziono niczego — nawet najmniejszego śladu po załodze, pasażerach, ładunku czy samym ogromnym statku. Chyba tylko wybuch bomby atomowej mógłby dokonać tak gruntownie dzieła zniszczenia (nie należy tego porównania rozumieć jako próby konstruowania dziwacznej hipotezy, a jedynie jako wyraz bezradności wobec tego i innych podobnych przypadków).

Oczywiście, Ameryka nie ma monopolu na takie zdarzenia. Rankiem 14 grudnia 1928 r. w Montevideo do wyjścia w morze przygotowywał się duński statek szkolny „København". Pięćdziesięciu kadetów szkoły morskiej, którzy uczestniczyli jeszcze w uroczystościach w konsulacie Danii, wkrótce miało znaleźć się na pokładzie statku, by po powrocie z ostatniego rejsu szkolnego do ojczyzny stać się pełnoprawnymi marynarzami. Miał to być istotnie ich ostatni rejs.

Na krótko przed południem wszystko było gotowe do wyjścia w morze. Statek „København" wypuszczając kłęby pary opuścił Montevideo. Minął kilka małych łodzi rybackich, oddalił się od portu — i znikł. Statki zbliżające się do Montevideo już go nie spotkały, choć była to rzecz całkiem niemożliwa. Jakaś nieznana siła porwała „København", podobnie jak inne zaginione w tajemniczy sposób statki, z gładkiej jak lustro powierzchni morza. Dokonało się to w mgnieniu oka, bez najmniejszych śladów i niewytłumaczalnie.

Nie będziemy tu wyliczać wszystkich przypadków tego rodzaju. Pozostaje faktem, że odkąd istnieje oficjalny rejestr statków (a więc od przeszło trzystu lat), nieustannie znikają duże i małe statki cywilne albo okręty wojenne. Liczba tych zaginięć jest przerażająca i nieprawdopodobna, przez co chcemy powiedzieć, że właściwie nie powinno być ich aż tyle w tej ponurej statystyce, co zwalnia firmy ubezpieczeniowe z obowiązku wypłaty odszkodowań i przesądza o bezowocnym wyniku poszukiwań. Poddaliśmy szczegółowej ocenie kilka szczególnie charakterystycznych przypadków, stwierdzając, że trzeba je zaliczyć do zjawisk bez wyjaśnienia.

Nie ma tu potrzeby poświęcać szczególnej uwagi Trójkątowi Bermudzkiemu, osławionemu morzu diabelskiemu

i innym miejscom o złej sławie, na temat których istnieją całe tony publikacji. I tak nie moglibyśmy w tych sprawach zająć zdecydowanego stanowiska, inaczej nie byłoby tej góry rozmaitych wyjaśnień — teorii i hipotez (uwzględniających czynniki pozaziemskie, wielowymiarowe czy naturalne). Nawet największy sceptyk musi niewątpliwie przyznać, że wiele z tych wydarzeń, które się rozegrały czy też dzieją się nadal w Trójkącie Bermudzkim, jak i w innych newralgicznych punktach naszego globu, nie jest całkiem normalne.

Na tym zakończymy ten temat. Przy doborze przykładów spraw zagadkowych kierujemy się tylko faktycznym występowaniem tajemniczych okoliczności i wspominamy o nich niezależnie od tego, czy wydarzyły się w Trójkącie Bermudzkim, czy na podwórku u sąsiada. Pomijamy natomiast rzekome zjawiska niewytłumaczalne, choćby się wiązały z nawet najbardziej legendarnym zakątkiem ziemi. Przedstawiamy przebieg zdarzeń, nie przemilczając argumentów ani za, ani przeciw, wnioski zaś pozostawiamy czytelnikowi.

Mówimy o tym jedynie dla przypomnienia, gdyż teraz opuścimy morza i rzeki, by skierować wzrok w świetliste przestworza otaczającej Ziemię powietrznej powłoki. Tam także nagłe zniknięcia są na porządku dziennym, co nie zawsze daje się wytłumaczyć niedostępnością tych rejonów. Szczątki rozbitego statku mogą opaść w bezdenną otchłań. Co jednak raz znalazło się w powietrzu, to musi znowu spaść na ziemię. Tak się przynajmniej uważa...

W powietrzu nie ma przeszkód – ale jest coś innego

Odkąd człowiek przyjął postawę wyprostowaną i zaczął się zastanawiać nad tym, co widzi wokół, jego wzrok wciąż kierował się ku niebu. Rozmyślał, jakie to osobliwe potęgi albo bóstwa mogą tam mieć swe siedlisko. Pioruny napawały go przerażeniem, a kształt obłoków wędrujących po niebie wydawał się kryć tajemne przesłanie. Postęp nauk przyrodniczych wygnał bóstwa w wyżej położone rejony, a takie zjawiska jak błyskawice i pioruny straciły swój mistyczny charakter. Wiele spraw udało się wyjaśnić, ale bynajmniej nie wszystkie. Kiedy człowiek przystąpił do podboju przestworzy, poznanie teoretyczne uzupełniły praktyczne doświadczenia.

Firmament nie jest naszą wyłączną własnością, dzielimy go z czymś nieznanym. Jeśli jest to jakaś świadoma moc, to trzeba przyznać, że jest niezwykle tolerancyjna, bo tylko z rzadka atakuje nasze ociężałe maszyny do latania. Jeśli natomiast miałaby to być siła natury, to jej działanie jest dyskretne, potajemne i występuje w nieznanych warunkach. Może jest więcej takich sił. Jak zwykle, wiemy na ten temat tyle, co nic.

Jak na przykład zakwalifikować tumult na niebie, który widziały setki ludzi 28 lipca 1874 r. nad Mill Runn (Pensylwania), miasteczkiem w pobliżu Pittsburgha, a który poprzedzał nadejście groźnej klęski żywiołowej?

To, co się wtedy wydarzyło, teoretycznie nie mogło się zdarzyć: nastąpiło zderzenie czołowe dwóch obłoków, które się poruszały w przeciwnych kierunkach. Obłoki przesuwają się po niebie z wiatrem, a wiatr przecież nie może na tym

samym pułapie wiać w różnych kierunkach, a już na pewno nie może wiać przeciwko samemu sobie.

Wyglądało jednak na to, że ta zasada niewiele obchodzi dwa twory przypominające obłoki, które się wówczas pojawiły nad Mill Runn.

Nie były one zbyt podobne do obłoków, jakie znamy. Oba były gęste i czarne, otoczone świecącą czerwoną obwódką. Jeden zjawił się z północnego wschodu, drugi zaś z południowego zachodu. Niczym dwie istoty pozaziemskie mierzące swe siły na niebieskiej arenie, latające kolosy płynęły prosto ku sobie. Wielu przejętych strachem widzów mówiło, że mieli wrażenie, jakby widzieli w górze ogromne okręty wojenne, manewrujące niczym w morskiej bitwie, aby wreszcie natrzeć na siebie. Wrażenie to potęgowały tytaniczne błyskawice, które czarno-czerwone obłoki-potwory wymieniały między sobą niczym ciosy.

Kiedy doszło do zderzenia, wydawało się, jakby rozwarły się wrota piekieł. Niebo wybuchło, a ziemia zadrżała. Wielu przyszedł na myśl Sąd Ostateczny, który wprawdzie nie nastąpił owego lipcowego dnia roku 1874; doszło za to do lokalnego potopu. Po piekielnym widowisku na firmamencie z nieba spłynęły ogromne masy wody, które w kilka minut porywały ze sobą płoty, mosty, ludzi i zwierzęta. Sto pięćdziesiąt osób zginęło we wzburzonych odmętach, zmiatających wszystko na swej drodze. Klęski żywiołowej o takich rozmiarach jeszcze w tej okolicy nie notowano. Oprócz wielkich spustoszeń dodatkowym źródłem przerażenia była niezwykłość tego, co się działo. Do dziś nikt nie wie, co to właściwie było.

Można byłoby ulec pokusie doszukiwania się podobieństw z „twardym obłokiem", w którym znikli na zawsze brytyjscy żołnierze, byłoby to jednak niedopuszczalne. Jedno z drugim absolutnie nie musi mieć nic wspólnego, z wyjątkiem tego jedynie, że oba zjawiska nie poddają się wyjaśnieniu. Zamiast się wdawać w czcze spekulacje, powróćmy lepiej do tematu. Także w powietrzu napotkamy dobrze nam już znany schemat zdarzeń: znikają pojedyncze osoby albo grupy ludzi razem z niosącymi ich maszynami lub bez nich.

Multimilioner Alfred Loewenstein, podróżujący 4 lipca 1928 r. trójsilnikowym holenderskim samolotem Fokker VII z Croydon w Wielkiej Brytanii do Brukseli, nie przeczuwał nawet, jakie konsekwencje może pociągnąć za sobą wejście do toalety w samolocie. Loewenstein udał się tam, kiedy samolot znajdował się nad kanałem La Manche i nigdy już z niej nie wyszedł. Chwilę później jego prywatny sekretarz Arthur Hodgson uznał przedłużającą się nieobecność pracodawcy za dziwną i zwrócił na to uwagę kamerdynerowi, Fredowi Baxterowi, który wraz z dwiema stenotypistkami i pilotem należał do osobistej ekipy Loewensteina.

Służący poszedł sprawdzić, co się stało, i znalazł pustą toaletę. Zewnętrzne drzwi kabiny pasażerskiej, przeznaczonej do wyłącznego użytku Loewensteina, nie były zamknięte. Prawdopodobnie wypadł z samolotu. Jak to się mogło stać? Nigdy nie znaleziono zadowalającego wytłumaczenia. Prowadzący śledztwo w sprawie dziwnego zniknięcia milionera sugerowali, że mógł pomylić drzwi toalety z drzwiami wyjściowymi. Był to absurdalny pomysł; wystarczy jeden rzut oka na plany samolotu Fokker VII, by go odrzucić. A zatem samobójstwo albo atak zaburzeń umysłowych. Ta teza również ma słabe punkty, gdyż drzwi wyjściowe w czasie lotu można tylko odrobinę uchylić, i to z największym wysiłkiem.

Można by poprzestać na tym stwierdzeniu, gdyby nie wydarzył się przypadek podobny, również niemożliwy do wyjaśnienia. Zanim jednak do niego przejdziemy, najpierw podsumujmy: jak się zdaje, korzystanie z urządzeń sanitarnych w czasie lotu stanowi dodatkowy, szczególny czynnik ryzyka.

To przykre doświadczenie musiał poznać Jerrold I. Potter z Kanakee (Illinois), kiedy w 1968 r. leciał z żoną samolotem DC-3 do Teksasu, aby wziąć udział w zjeździe Lions Club w Dallas. Ponieważ tam nie doleciał, nie może niestety osobiście zabrać głosu w tej sprawie.

Potter był niemłodym już amerykańskim obywatelem, zaliczającym się do wyższych warstw społecznych. Pod koniec lotu udał się do toalety w ogonie samolotu. Zamieniwszy w przejściu kilka słów ze swoim znajomym, Jamesem Shaive,

prezesem Lions Club z Ottawy (Illinois), wszedł do toalety. Kilka minut później przez kadłub DC-3 przebiegł wstrząs, który przypisano turbulencjom powietrza.

Żona Pottera, zaniepokojona długą nieobecnością męża, poprosiła stewardesę, aby go poszukała. Poszukiwania były jednak daremne, pięćdziesięciopięcioletniego Jerrolda I. Pottera już nie było na pokładzie.

Z braku jakiejkolwiek innej możliwości przypuszczano, że Potter pomylił drzwi wyjściowe z drzwiami toalety. Było to jeszcze bardziej absurdalne niż 40 lat wcześniej w przypadku Loewensteina.

W roku 1968 bezpieczeństwo lotów było nie tylko prawnym wymogiem, ale stanowiło atut reklamowy wszystkich towarzystw lotniczych. Wystąpienie jakiehkolwiek nieprawidłowości sygnalizowały w kabinie pilota urządzenia kontrolne wszelkiego rodzaju. Start z nie domkniętymi drzwiami zewnętrznymi był tak samo nie do pomyślenia, jak ewentualność, aby Potter wskutek roztargnienia wysiadł z samolotu w czasie rejsu. Drzwi są zabezpieczone łańcuchem, że nie wspomnimy już o tym, iż na wewnętrznej ich stronie widnieją wielkie białe litery z ostrzeżeniem: NIE OTWIERAĆ W CZASIE LOTU. Gdyby jednak ktoś się uparł popełnić samobójstwo, to musiałby obrócić o 180 wielki uchwyt, cofający oba sworznie zamykające. Aby wszystko to wykonać niezauważalnie, trzeba by jeszcze wprawić w stan głębokiego uśpienia załogę i pasażerów.

Takie zdarzenie, jak tu opisane, różni się w istotny sposób od ostatnich lotów słynnych pionierów lotnictwa, jak na przykład lot Amelii Erhart czy Paula Redferna. Nie można także tego wypadku stawiać na równi ze zniknięciami takich asów lotnictwa, jak Francuz Georges Guynemer, Niemiec Max Immelmann i inni. Jeśli nawet okoliczności zaginięć całych samolotów wraz z załogami często pozostawały nie wyjaśnione, to jednak przeważnie nie są to zdarzenia niewytłumaczalne. Takie przypadki były niestety na porządku dziennym w czasie obu wojen światowych. Zdarzają się także w czasie pokoju; choć są one ze wszech miar tragicznymi zrządzeniami losu, to jednak nie zawierają aspektu fantastycznego.

Czasem jednak tragedia się z nim łączy, jak było w przypadku wojskowego sterowca obserwacyjnego L-8.

W czasie drugiej wojny światowej widok takich statków powietrznych służących do wykrywania i zwalczania okrętów podwodnych był czymś zwykłym na zachodnim wybrzeżu USA. Dlatego dwaj rybacy na wybrzeżu Kalifornii, którzy się natknęli na dryfujący sterowiec koło Fort Funston, wcale nie byli tym faktem zaniepokojeni. Starali się schwytać liny cumownicze tego powietrznego statku, jednak podmuch wiatru wyrwał im je z rąk, choć, starając się je utrzymać, pozwolili się ciągnąć przeszło sto metrów po plaży. Bezpański sterowiec podryfował w kierunku podwodnej rafy, gdzie odpadła jedna z bomb głębinowych, ważąca sto pięćdziesiąt kilogramów, nie wybuchając jednak. Uwolniony od ciężaru, „blimp", jak nazywano ten typ sterowca (określenie to pochodzi od angielskiego słowa *limp* — wiotki; chodzi o balon bez wewnętrznego szkieletu) wzbił się znowu w górę. Około pół godziny później opadł na ulicę w Daly City, na południe od San Francisco. W gondoli nie było załogi, na którą się składali porucznik Ernest D. Cody i mat podchorąży Charles E. Adams.

Zagadkowe było nie tyle samo zdarzenie, co jego okoliczności. Dlatego prowadząca dochodzenie komisja wojskowa zrekonstruowała przebieg zdarzeń co do minuty. Nie udało się w ten sposób jednak uzyskać klarownego obrazu sytuacji, wprost przeciwnie.

Obaj doświadczeni oficerowie wsiedli do gondoli L-8 dokładnie o godzinie 6 rano 16 sierpnia 1942 r. Sterowiec wystartował następnie z lotniska Moffett bazy marynarki wojennej na wyspie Treasure Island w zatoce San Francisco. Pogoda była słoneczna i sucha, na niebie prawie nie było chmur. Był piękny letni dzień z idealnymi warunkami do lotu i obserwacji. Około dwie godziny regularnie utrzymywano łączność radiową, nie nadchodziły jednak meldunki o żadnych nadzwyczajnych wydarzeniach.

O godzinie siódmej pięćdziesiąt pięć porucznik Cody zameldował, że zeszli na wysokość 100 metrów, aby ocenić z bliska plamę ropy. Dziwne wydarzenia, które potem na-

stąpiły, widziało wielu świadków na pokładach dwóch uzbrojonych łodzi patrolowych i dwóch kutrów rybackich.

Te cztery statki znajdowały się poniżej L-8 i z ostrożności odpłynęły na bok, kiedy sterowiec zniżał lot, na wypadek, gdyby miał zrzucić bombę głębinową. Zamiast tego jednak L-8 po zejściu na pułap około 100 metrów nagle wzbił się ponownie i zniknął w obłoku, w którym pozostał przez jakiś czas.

Kilka minut później, o godzinie ósmej pięć, wieża kontrolna próbowała się połączyć ze sterowcem drogą radiową. Nie zgłosił się jednak żaden z dwóch oficerów. Wysłano więc na poszukiwania samoloty OS2U Kingfisher. Lekki mglisty obłok z wczesnych godzin rannych ukazał się oczom ich pilotów jako gęsta, nieprzenikniona ławica chmur, tak masywna, że nie mieli odwagi się przez nią przebić i pozostali wyżej, na wysokości 700 metrów.

W ciągu tych przeszło dwóch godzin przed upadkiem cień sterowca L-8 był widziany w chmurze przez załogi samolotów prowadzących poszukiwania. Na koniec poszybował na chwilę nad dziwacznym tworem z chmur, a zaraz potem spadł jak kamień i niedługo potem odnaleźli go dwaj rybacy. W tym momencie gondola z całkowitą pewnością była już pusta.

Po dziś dzień nie zostało wyjaśnione, gdzie podzieli się Cody i Adams. Całe wyposażenie L-8 było sprawne i znajdowało się na swoim miejscu, były także spadochrony i tratwa ratunkowa. Brak obu jasnożółtych kamizelek ratunkowych o niczym nie świadczył, gdyż załoga miała obowiązek je nosić w czasie lotu nad morzem. Nie było żadnych uszkodzeń, do gondoli nie dostała się również woda. Zapłon był włączony, jedna dźwignia gazu ustawiona w położeniu całkowitego otwarcia, a druga w połowie. Radiostacja pracowała bez zarzutu. Jak należało się spodziewać, wszczęto poszukiwania na szeroką skalę z wykorzystaniem wszelkich środków, jakie miały do swej dyspozycji straż wybrzeża, siły powietrzne i marynarka wojenna. Obu oficerów nie zdołano odnaleźć.

Jest pewne, że L-8 nie schodził na mniejszą wysokość niż 100 metrów. W czasie manewru zniżania pułapu był widziany.

Gdyby z gondoli wypadły dwa ciała (do tego jeszcze w jasnożółtych kamizelkach ratunkowych), to nie mogło to pozostać nie zauważone, podobnie jak nawet najkrótsze ich dryfowanie po Pacyfiku. Tak samo musiano by spostrzec ewentualne szczątki kamizelek, które ponadto były niezatapialne.

Dobrowolnego skoku z takiej wysokości załoga raczej by nie ryzykowała bez spadochronu. Tymczasem spadochrony były na swoich miejscach. Jakkolwiek by tę sprawę rozpatrywać, zagadka pozostaje niemożliwa do rozwiązania. Do tego samego wniosku doszły również władze śledcze. Obłokowi nie poświęcono zbyt wiele uwagi; i my nie będziemy go stylizować na siedlisko demonicznych mocy, a jedynie przypomnimy, jaką rolę mogą — ewentualnie — odgrywać twory przypominające obłoki przy znikaniu osób i przedmiotów. Wielokrotnie to stwierdziliśmy...

Po południu 10 lipca 1930 r. z lokalnego lotniska w Corpus Christi (Teksas) wystartował mały samolot, aby odwieźć grupę pięciu biznesmenów do ich rodzinnego miasta Kansas City. Start przebiegał normalnie, niebo było czyste. Informował o tym szósty członek tej grupy, Frederick H. Dierks, którego w Teksasie zatrzymały jeszcze jakieś sprawy, więc z ziemi obserwował, jak odlatuje samolot z jego przyjaciółmi. Kilka minut później samolot wszedł w ciemną, gęstą chmurę, wiszącą na firmamencie niczym jakieś obce ciało, i wybuchł. Jego szczątki spadły na ziemię w odległości ośmiu kilometrów od Aransas Pass.

Farmerzy, którzy znajdowali się w bezpośrednim sąsiedztwie tego miejsca, twierdzili zgodnie, że katastrofa małego samolotu nastąpiła zaraz po jego zniknięciu w ciemnej chmurze.

W marcu 1952 r. brytyjski as lotnictwa z czasów drugiej wojny światowej, J. Baldwin, wraz ze swoją eskadrą odbywał krótki lot rozpoznawczy wzdłuż koreańskiego wybrzeża. Jego odrzutowiec znikł w chmurze — i już w niej pozostał.

Sprawa jest dziwna, ale powstrzymamy się od wszelkich komentarzy. W każdym razie okazuje się, że osławiony Trójkąt Bermudzki nie ma monopolu na zagadkowe zniknięcia na wodzie i w powietrzu. Obiektywizm nakazuje wprawdzie nie przemilczać całkowicie tego zakątka

Oceanu Atlantyckiego, zwłaszcza z tej racji, że jest tak kontrowersyjny.

W końcu już od dawna w tym „trójkącie śmierci", jak nazwał ten rejon amerykański autor Vincent H. Gaddis, z przerażającą regularnością znikają statki i samoloty i nie daje się odnaleźć ich szczątków, plam oleju, zwłok pasażerów ani niczego innego. Dochodzi do tego w okolicznościach, które trudno by było określić jako normalne.

Czasami piloci po prostu tracą orientację, jak było w przypadku słynnego „lotu nr 19". Kiedy dowódca eskadry pięciu bombowców torpedowych typu Avenger 5 grudnia 1945 r. o godzinie 15^{45} na radiowe zapytanie wieży kontrolnej w bazie lotniczej Fort Lauerdale (Floryda) odpowiedział, że nie może podać swojej pozycji, wzbudziło to zdziwienie, gdyż porucznik Charles C. Taylor był doświadczonym pilotem. Nieznajomość własnej pozycji zakrawała w tym przypadku na absurd. Eskadra oddaliła się od brzegów Florydy jedynie o 250 kilometrów w kierunku wschodnim w celu przeprowadzenia ćwiczebnego nalotu, następnie skierowała się na północ i przeleciała 60 kilometrów. Konieczne byłoby czysto rutynowe obliczenie, igraszka nawet dla początkujących lotników.

Zdumiona załoga wieży kontrolnej przekazała instrukcję, aby eskadra Taylora wzięła przepisowy kurs na zachód. Odpowiedź porucznika wywołała popłoch: „Nie wiemy, gdzie jest zachód. Wszystko jest jakieś inne... obce... W ogóle nie potrafimy już rozpoznać kierunków. Nawet ocean nie wygląda tak samo, jak zwykle".

Mimo dłuższej rozmowy prowadzonej przez radio, w trakcie której udzielano dokładnych wskazówek nawigacyjnych, eskadra z niepojętych przyczyn nie była w stanie odzyskać orientacji w terenie. Piloci nie umieli powiedzieć, czy lecą na zachód, ani podać rzeczywistego kierunku lotu. Ich głosy stawały się coraz słabsze, aż w końcu całkiem zamilkły. Nic po nich nie zostało, z wyjątkiem legendy lotu numer 19, o którym powstały niezliczone książki i artykuły oraz filmy.

Był i inny skutek tego lotu. Dla ratowania zaginionych pięciu bombowców wysłano latającą łódź Martin Mariner z załogą czternastu ludzi. Ten potężny samolot był prze-

znaczony do akcji ratunkowych. Miał 23 metry długości, skrzydła o rozpiętości 37 metrów i wzmocniony kadłub, dla którego nawet twarde lądowanie nie było zbyt groźne. Pozwalało to dotychczas samolotom tego typu świetnie zdawać egzamin także w sytuacjach zagrożenia. Czternastoosobową załogę można było uważać za weteranów. Także sprzęt ratowniczy nie pozostawiał nic do życzenia.

Jednak już dwadzieścia minut po starcie amfibii nie dało się nawiązać z nią łączności radiowej. Znikła tak samo bez śladu, jak maszyny, które miała ratować. Krążące pogłoski były mało konkretne. Komisja dochodzeniowa marynarki wojennej nie osiągnęła żadnych wyników, a pewien oficer powiedział: „Zniknęli tak, jakby odlecieli na Marsa", mimo woli wyprzedzając późniejsze fantastyczne domysły.

Choć ten akwen, położony między Zatoką Meksykańską i Wyspami Bahama, mógłby dostarczyć wielu przykładów zagadkowych zniknięć na morzu i w powietrzu, i choć istnieje na ten temat mnóstwo publikacji, to jednak nie będziemy rozwijać tego wątku. Sama ilość tych przypadków (są ich setki) nie jest żadnym dowodem. Akwen o powierzchni miliona kilometrów kwadratowych jest tak ogromny, że mogłyby tam zniknąć wszystkie floty świata, jeśli nawet na globusie Trójkąt Bermudzki prezentuje się skromnie.

A jednak osobliwe jest, że z reguły nie udaje się odnaleźć szczątków wraków. W wielu regionach świata są strefy niebezpieczne, ale niemal wszystkie statki, które spoczęły na dnie morskim koło Przylądka Dobrej Nadziei, Przylądka Horn, w Wielkiej Zatoce Australijskiej, pod Sable Island czy gdziekolwiek indziej, istnieją jako wraki albo pozostały po nich przynajmniej szczątki. Podobnie jest w przypadku rozbitych samolotów. O ich katastrofach na wszystkich siedmiu morzach świata niezbicie świadczą plamy ropy i pływające po wodzie pozostałości. Inaczej jest w Diabelskim Trójkącie. Dość jednak o tym; jeśli zestawić ze sobą wszystkie próby wyjaśnienia, realistyczne i fantastyczne, to nasuwa się następujący wniosek: Nie wszystkie wypadki w Trójkącie Bermudzkim są niewytłumaczalne, ale niektóre — tak (podobne stwierdzenia zdumiewająco często można znaleźć także w oficjalnych raportach komisji dochodzeniowych).

Po tej drobnej dygresji powróćmy do tematu zagadek powietrza.

Jak mogliśmy się przekonać, nie wszystko wraca na ziemię, co się od niej oderwało. Czasami znika i nie wiemy gdzie. Bywa jednak i tak, że z nieba spadnie coś takiego, czego tam z całą pewnością nie posyłaliśmy. Dzieje się tak nierzadko, a są to dziwne i niesamowite przypadki...

Niebieskie śluzy

Deszcze ryb i żab to nic nowego; wprawdzie nie wyjaśniono tego zjawiska, ale jest ono znane. Faktem jest, że doniesienia na ten temat mogłyby dostarczyć materiału na kilka książek (które rzeczywiście powstały).

Na całym globie spadają z nieba istoty żywe: żaby, ropuchy, płazy wszelkiego rodzaju, ryby najróżniejszych gatunków, niczym resztki z jakiejś astralnej uczty. W czasie burzy 28 maja 1881 r. tony ślimaków i raków pustelników spadły na Cromer Gardens Road i pola w pobliżu angielskiego miasta Worchester. Mieszkańcy zbierali je do worków i różnych naczyń, by potem sprzedawać na rynku.

Istnieją stare ryciny przedstawiające deszcze żab i ropuch. Zjawisko to jest znane od czasów starożytnych, choć nie wiadomo, jaka jest jego przyczyna.

Ryby, żaby, raki czy ślimaki nie mają prawa wyłączności na spadanie z nieba wbrew naturze, choć najczęściej się je spotyka. W Alabamie spadło z nieba tyle węgorzy, że farmerzy nawozili nimi pola, 28 grudnia 1857 r. w Montrealu padał deszcz żywych jaszczurek, a 9 sierpnia 1892 r. w Paderborn deszcz muszli. Można by tak wyliczać bez końca. Choć są to dziwne zdarzenia, to jednak nie napawają przerażeniem, kojarzą się raczej z manną z niebios.

Ale to tylko jedna strona medalu. Nie wszystko bowiem, co spada na ziemię z nieba, daje się zidentyfikować, a niektóre opady świadczą o takich zdarzeniach gdzieś w górze, których wyobrażenie każe nam zadrżeć.

W „Philadelphia Times" z roku 1896 można na przykład przeczytać, że z jasnego nieba spadły na ulice Baton Rouge

(Luizjana) setki ptaków przeróżnych gatunków: dzięcioły, dzikie kaczki, drozdy, nieznane ptaki przypominające kanarki. Miały jedną wspólną cechę: były martwe, zanim jeszcze uderzyły o ziemię. Przedstawiano wiele wyjaśnień tego zjawiska, ale żadne nie wytrzymało próby.

Być może podobny był los setek kaczek, które w styczniu 1969 r. lecąc nad St. Mary's City (Maryland), zostały dosłownie zdruzgotane w powietrzu, zupełnie jakby znalazły się w centrum jakiegoś wybuchu. Musiałby to być wprawdzie wybuch niewidzialny i niesłyszalny, skoro wielu świadków na ziemi nie zauważyło niczego oprócz spadających kaczek. Badania wykazały, że nieszczęsne ptaki zagadkowym sposobem doznały w powietrzu wielokrotnych złamań żeber i wewnętrznych krwotoków.

To już jest mniej zabawne, a bywa jeszcze gorzej. Zanim jednak przejdziemy do szczegółowego omówienia „wielkiej jatki nad chmurami", przedstawimy inne dziwaczne pociski spadające z firmamentu, które, mimo że zagadkowe, nie przejmują jednak dreszczem.

Oczywiście, dostać kamieniem spadającym z nieba to też nic miłego. W 1922 r. w Chico (Kalifornia) nastąpiła słynna seria kamiennych deszczów. W maju tego samego roku w Afryce Południowej doszło do podobnych wydarzeń, jak się zdaje, związanych z konkretną osobą. Mimo że przeprowadzono wnikliwe obserwacje, nie znaleziono wytłumaczenia.

Pewna apteka w Johannesburgu od miesięcy znajdowała się pod prawdziwym ostrzałem kamieni z nieba i nikt nie wiedział dlaczego. W końcu wysunięto przypuszczenie, że sprawczynią może być pewna młoda Hotentotka, pracująca w tej aptece. Policja zaczęła śledzić Murzynkę, zmuszano ją do udawania się w różne miejsca, jednak grad kamieni nie ustawał, i to zawsze w pobliżu obserwowanej osoby. Nikt nie mógł rzucać tymi kamieniami. Trwające tygodniami śledztwo nie przyniosło żadnych wyników, a odporność nerwowa policjantów została wystawiona na ciężką próbę, ponieważ grad kamieni nie przestawał padać także w ich obecności.

Jeśli dokładnie zbadać sprawę, to można dojść do zdumiewającego wniosku, że niewytłumaczalny grad kamieni wy-

stępuje tak często, że mógłby być poczytany za zjawisko prawie codzienne. Oczywiście, tylko prawie.

Wzmianki na ten temat sięgają czasów biblijnych i dawniejszych. Rzymianie informują o kamieniach padających z nieba na Mons Albanus, kiedy Tullus zwyciężył Sabinów. Kronikarze zarejestrowali ponad 2 000 relacji uznanych za wiarygodne, a jeszcze więcej niepewnych. Oto kilka próbek.

7 listopada 1492 r. koło Ensisheim w obecności licznego wojska Maksymiliana I spadł z nieba wielki kamień. 13 września 1768 r. okruch skalny ważący wiele kilogramów uderzył w obecności świadków w ziemię w pobliżu francuskiej miejscowości Luce. „Times" z 1 maja 1821 r. donosił: „Na dom w Truro w Kornwalii nadal spada grad kamieni mimo całodziennej ochrony i mimo że ten przypadek był badany przez burmistrza, żołnierzy i inne osoby".

W naszych czasach, 27 października 1973 r., dwóch wędkarzy koło Skaneatles (Nowy Jork) wystraszyła seria kamieni, które w ich pobliżu z pluskiem wpadły do jeziora.

Przeszukali oni najbliższą okolicę, ale nie znaleźli nikogo, kto mógłby rzucać kamieniami. Grad kamieni zmusił ich do odejścia i ścigał aż do samochodu. Kiedy na krótko się zatrzymali, aby się przebrać, znowu w nich sypnęło. Jeszcze kilkakrotnie na nieszczęśników posypał się grad kamieni.

Jak stwierdzili geologowie z University of Syracuse, spadające kamienie zawsze były podobne do występujących w danej okolicy. Nie mogli jednak wyjaśnić, dlaczego spadają z nieba, zwłaszcza w dziwnym związku z konkretną osobą.

Naukowcy wciąż od nowa podejmują próby wyjaśnienia tego zjawiska niezwykłymi wiatrami, co jednak budzi przeważnie tylko politowanie tych, którzy jednak są gotowi przyznać, że sprawa jest całkowitą zagadką. Wysuwana dawniej teoria spadających meteorytów nigdy nie miała w sobie nawet iskierki naukowej słuszności.

Podobnie problematyczna jest również sprawa solidnych brył lodu, które od czasu do czasu spadają z góry, jednak z gradem (nawet najgrubszym) mają tyle wspólnego, co kula ulepiona ze śniegu z lawiną. Problemem tym zajmował się już słynny astronom francuski Camille Flammarion. Uczony ten, otwarty na sprawy niezwykłe, czego dowodzą jego studia nad

piorunami kulistymi, informuje o bryle lodu o długości 4,5 metra, szerokości 2 metrów i wysokości 3,5 metra, która spadła na ziemię w czasach Karola Wielkiego.

W 1802 r. na Węgrzech spadła bryła lodu o objętości pół metra sześciennego. W 1828 r. pod Candeish w Indiach spadł blok lodu o boku długości prawie jednego metra.

Prawdziwym potworem był blok lodu, który spadł 13 sierpnia 1849 r. w Ord w Rosshire. Zgodnie z doniesieniem, które zamieścił „Times" następnego dnia, miał on obwód sześciu metrów i musiał ważyć około pół tony. Również dwudziesty wiek zna podobne przypadki.

W 1921 r. w Portland (Oregon) spadały z nieba wielkie bryły lodu wraz z kawałkami białego materiału, który wyglądał jak porcelana. Została nim pokryta powierzchnia przeszło 30 metrów kwadratowych.

Pewna farma w Exmoor koło North Molton w hrabstwie Devon w listopadzie 1950 r. została zasypana bryłami lodu o wielkości talerzy. Londyński dziennik „Evening News" z 9 listopada tego roku wspomina pewien makabryczny szczegół, który się kojarzy ze śmiercią tysięcy owiec w Teksasie, zabitych w maju 1877 r. przez bombardowanie bryłami lodu. Otóż na terenie farmy w Exmoor pośród brył lodu leżała martwa owca, której szyję przeciął kawał lodu o wadze 6,5 kilograma.

Podobny los spotkał 10 stycznia 1951 r. pewnego cieślę koło Düsseldorfu: na dachu własnego domu przebił go lodowy oszczep o grubości 15 centymetrów i długości prawie 2 metrów.

4 lipca 1953 r. kilka samochodów zaparkowanych przy American Avenue w Long Beach (Kalifornia) zostało ciężko uszkodzonych przez spadające z nieba wielkie bryły lodu.

Z innym przypadkiem, łączącym w sobie kilka aspektów omawianego zjawiska naraz, zetknęli się 22 grudnia 1955 r. George Brinsmaid i William Shannon. Ci dwaj graficy udawali się właśnie do RCA Service Company do Alexandrii (Wirginia) i kiedy jechali samochodem Brinsmaida autostradą Mt. Vernon Highway, nagle na przednią szybę samochodu spadła niczym granat zamarznięta ryba o długości prawie 30 cm. Musiała spaść ze znacznej wysokości, gdyż energia

uderzenia była tak duża, że w hartowanej szybie powstała dziura o powierzchni przeszło 30 centymetrów kwadratowych. W pobliżu nie przelatywały żadne samoloty.

Jak dotąd, wyjaśnienia naturalne wydają się jeszcze do pewnego stopnia możliwe do zaakceptowania, choć są naciągane.

Najsłabsze podstawy ma teoria łącząca wytłumaczenie dziwnych opadów z samolotami, gdyż najbardziej niewiarygodne rzeczy spadały z firmamentu na długo przed pojawieniem się lotnictwa. Meteorologowie badający bryły lodu sformułowali hipotezę, że mogłyby one pochodzić z ogromnej płyty lodu znajdującej się w górnych warstwach atmosfery. Również ta hipoteza nie ostała się w ogniu krytyki. Nie istnieją wiszące w powietrzu lodowe płyty, a gdyby nawet tak było, to z takiej płyty nigdy nie mogłaby się oderwać aż taka ilość lodu, jaka rzeczywiście nieraz spada w jednostce czasu na jednostkę powierzchni.

Odpowiedzialność za deszcze ryb, żab, ślimaków, węży, węgorzy, pająków, raków itp. przypisywano trąbom powietrznym, które miałyby porywać takie drobne stworzenia w górę, by pozwolić im opaść na ziemię w innym miejscu. Milczeniem pokrywano przy tym najwyraźniej wybiórcze działanie takich prądów powietrznych (opady nie zawierały szlamu, wody, kamieni, roślin ani innych istot żywych), jak również fakt, że zwierzęta spadają z nieba także przy całkowicie bezwietrznej pogodzie. Tej sprawy nie da się tak łatwo wyjaśnić, zwłaszcza że różne przedmioty nie muszą spadać zawsze na otwartej przestrzeni. Chwileczkę, pomyśli czytelnik, czy to ma znaczyć, że coś podobnego zdarzało się także w pomieszczeniach zamkniętych? Byłoby to niewiarygodne.

A jednak się zdarza.

Ten chyba najbardziej oryginalny aspekt tej sprawy, która i bez tego jest zagadkowa, zawiera być może wskazówkę, w jakim kierunku trzeba szukać wyjaśnień.

Przekonajmy się więc, co o tym sądzić.

Gazeta „San Francisco Chronicle" z 3 marca 1929 r. określiła deszcz śrutu padający przez kilka dni w pewnym biurze w Newton (New Jersey) jako „największą tajemnicę w historii miasta". Trudno się z tym nie zgodzić.

Jeszcze bardziej dramatyczne były wydarzenia, o których donosi „Madras Mail" z 5 marca 1888 r. Tym razem nie chodziło o tak maleńkie przedmioty jak kulki śrutu, ale o cegły. Zaczęły one padać w szkole koło Government House w Madras w Indiach wewnątrz pomieszczeń. Zjawisko to trwało pięć dni mimo obecności trzydziestoosobowej komisji dochodzeniowej, której niczego nie udało się stwierdzić. W braku jakiegokolwiek pomysłu na wyjaśnienie tego zjawiska, postanowiono, za radą duchownych, narysować biały krzyż na jednej z cegieł i położyć ją na środku nawiedzonej klasy. Ku powszechnemu zdumieniu z powietrza spadła cegła identycznej wielkości z czarnym krzyżem, dokładnie przykrywając cegłę-przynętę z krzyżem białym. Komentarz jest tu niemożliwy.

Nie mniej zdumiewające rzeczy miały miejsce w indyjskim mieście Pondicherry. Jak donosi „Bulletin of the Sri Aurobindo International Centre of Education" z lutego 1974 r., w grudniu 1921 r. w niektórych pomieszczeniach Sri Aurobindo Ashram wystąpił prawdziwy deszcz odłamków cegieł. Badanie nie wykryło ani winnego, ani przyczyny zjawiska. W kuchni, na podwórzu i na klatce schodowej bez przerwy dalej padał deszcz cegieł. Podobnie jak we wcześniej przytaczanym przypadku młodej Murzynki z Afryki Południowej, tu również podejrzenie w końcu padło na określoną osobę, a mianowicie młodego pomocnika kucharza. To jeszcze nie wyczerpuje wszystkich zbieżności, zjawisko towarzyszyło bowiem młodemu człowiekowi wszędzie, jak tamtej Hotentotce. Kiedy go zamknięto w pomieszczeniu bez okien, także i tam zaczął padać deszcz cegieł, które raniły samego sprawcę. Wszyscy byli bezradni wobec tego zjawiska.

Co tu można powiedzieć? Jeśli takie zdarzenia — jakich podobno było więcej — są faktami, to każda, nawet najbardziej nieśmiała próba ich interpretacji jest skazana na niepowodzenie. Poza tym wchodzi tu w rachubę tyle innych jeszcze zjawisk (na przykład zdolności paranormalne), że w rezultacie takiej próby musiałby się zrodzić beznadziejny chaos. Nie chcemy tego ryzykować.

Wygodnym wyjściem byłoby po prostu potraktować takie doniesienia i zeznania świadków jako urojenia lub kłamliwe

historyjki, skoro są tak dziwaczne. Nie musimy sięgać po takie rozwiązanie, gdyż nie mamy zamiaru wyjaśniać na siłę spraw fantastycznych, chcemy je tylko zaakceptować.

Często się zdarza, że zagadkowy fenomen jest jeszcze w dodatku trudny do sklasyfikowania. Już się zetknęliśmy z tym problemem i jeszcze nieraz nas to czeka. Być może ta sama siła odpowiada za to, że przedmioty materializują się w budynku albo spadają z wysoka. Prawdopodobieństwo wprawdzie przemawia raczej przeciwko takiemu założeniu, ale nie możemy wiedzieć tego na pewno. To nic nie szkodzi; możemy się na tym przykładzie tylko raz jeszcze przekonać, jak mało wiemy o świecie, w którym żyjemy, i do którego zagłady właśnie dążymy wytrwale i pomysłowo.

Niezależnie od wszystkiego, jedno jest pewne: z nieba spadają przedmioty, których żaden człowiek (ani żaden prąd powietrza) nie wywindował do góry w sposób naturalny. Jak się okazuje, małe zwierzęta, bryły lodu czy kamienie są jeszcze stosunkowo zwyczajnymi obiektami pochodzącymi ze świetlistych przestworzy. Inne rzeczy spadające na ziemię składają się na niewiarygodną zbieraninę osobliwości. Jeśli dokładnie przeanalizować te w miarę zwyczajne zdarzenia, o których już była mowa, jak również te straszniejsze, o których dopiero usłyszymy, to trudno sobie wyobrazić, by ludzie, nawet wyposażeni w zdolności paranormalne, mogli rzeczywiście wywoływać wszystkie te zjawiska. Wydaje się raczej, że chodzi tu znowu o podobne skutki, lecz wynikające z różnych przyczyn. Te powietrzne fenomeny nie mogą być dziełem ludzi. Jak widać, niebieski róg obfitości kryje w sobie niejedną niespodziankę.

Paleta możliwych opadów jest zdumiewająco bogata: kryształy soli, stopy miedzi, klinkier i alabaster, grad z węglanu sodu, deszcz kwasu azotowego (w czasach, gdy jeszcze nie słyszano o zanieczyszczeniu środowiska naturalnego ani o odpadach przemysłowych), bryła szklanych odłamków połączonych z niemal czystym cynkiem (spadła w Cannifton, Ontario), wielobarwne paciorki szklane z otworkami do nanizania na nitkę (padały one z nieba w indyjskim mieście Bijori przez prawie sto lat), gwoździe, śruby i nakrętki, a nawet pieniądze (marzenie o spadającej z nieba gotówce ziściło się

w kwietniu 1957 r. dla mieszkańców francuskiego miasta Bourges, gdzie sfrunęło na ziemię mnóstwo banknotów tysiącfrankowych).

Szczególnie to ostatnie zdarzenie nadaje omawianemu w tym rozdziale zjawisku niemal sympatyczny wydźwięk. Są to jednak tylko pozory, ponieważ mogą także spadać z nieba rzeczy nieopisanie okropne. Może świadczą one o losie osób, które znikły w nie wyjaśniony sposób. Miejmy nadzieję, że tak nie jest...

O krwawym deszczu wspominają najstarsze legendy. Od stuleci uważany za karę albo zły znak, napawa lękiem niczym dżuma. Nauka zdołała go zidentyfikować jako coś nieszkodliwego — niestety niezupełnie.

Już w 1608 roku pewien uczony zdołał ustalić, że liczne czerwone plamy na ścianach i murach Aix-en-Provence są wydzielinami pewnego gatunku motyli. Mieszczanie jednak woleli wierzyć duchownym, którzy mówili, że padał deszcz diabelskiej krwi.

Dziś wiadomo, że powtarzający się czerwony deszcz wprawdzie nie jest bajką, ale że jego zabarwienie bierze się przeważnie z gliny, piasku itd. Nie ma w nim niczego nienaturalnego; niestety nie zawsze. Pora więc zaznajomić się z wydarzeniami, które całkowicie usprawiedliwią użyte kilka stron wcześniej pojęcie wielkiej jatki nad chmurami. Nasuną się nawet jeszcze drastyczniejsze określenia.

Tam w górze jest strasznie

Niepokojąca jest świadomość, że coś nieznanego, a w każdym razie niewidzialnego, zabija lub ciężko rani przelatujące ptaki. Jednak to tylko wierzchołek góry lodowej niebieskich koszmarów.

15 maja 1890 r. czerwony deszcz spadł na Messignadi w Kalabrii. Tym razem nie chodziło o substancję podobną do krwi, ale prawdziwą krew, ściśle biorąc krew ptasią, co stwierdziła włoska służba meteorologiczna. W artykule na ten temat, zamieszczonym w numerze 35/104 „Popular Science News", meteorologowie wyrazili przypuszczenie, że burza mogła roztrzaskać stado ptaków. Niestety, z notatek tychże meteorologów wynika, że panowała wtedy bezwietrzna pogoda. Pominięto również milczeniem kwestię, gdzie się podziały ptasie trupy, z których musiałaby pochodzić ta krew.

Kilkadziesiąt lat wcześniej, 17 sierpnia 1841 r. kolorowym robotnikom na plantacji tytoniu przeszkodził w pracy czerwony deszcz. Wielkie, ciemnoczerwone krople uderzały z pluskiem w liście tytoniu. Przerażeni robotnicy sprowadzili plantatora i niejakiego profesora Troosta, którzy stwierdzili, że pole jest pokryte cuchnącymi strzępami.

W artykule zamieszczonym w „American Journal of Science" z października 1841 r. profesor Troost zidentyfikował te makabryczne znaleziska jako tkankę mięśniową i tłuszcz zwierzęcy. Powstrzymał się od zajęcia bardziej konkretnego stanowiska. W końcu znalazło się zadowalające i zgodne z duchem czasu wyjaśnienie: Wszystko to było prowokacją czarnych robotników. Zostali oni w ten spo-

sób kozłami ofiarnymi, podobnie jak ciemnoskórzy grabarze w przypadku wędrujących trumien na wyspie Barbados.

Nam jednak takie łatwe wyjaśnienie nie wystarczy, bo trudno przypisywać Murzynom to, co dzieje się nad chmurami.

Mimo że chętnie obarczano ich winą za wszystko, nie mogli być odpowiedzialni za zdarzenia z 8 marca 1867 r. Jak donosi „Scientific American", tego dnia w Kentucky spadł prawdziwy deszcz strzępów mięsa. Poszczególne kawałki miały od ośmiu do dziesięciu centymetrów kwadratowych i były całkiem świeże, jak stwierdzili uczeni. Jeden z nich skosztował kilka kawałków i uznał, że są smaczne. Smakowały jak dziczyzna albo baranina. Niezdrowa myśl o rzeźni w podniebnych strefach narzuca się z coraz większą siłą. Sklecone wówczas wyjaśnienie niezbyt pomaga uwolnić się od uczucia grozy. Zakładało ono, że te kawałki mięsa zostały wyplute przez stado myszołowów. No cóż...

9 sierpnia 1869 r. setki kilogramów postrzępionych kawałków mięsa spadły na teren farmy Hudson w Los Nietos (Kalifornia). Przypominały one, choć zabrzmi to makabrycznie, sznycle dla olbrzymów. Wielkość poszczególnych kawałków wahała się od wielkości monety jednodolarowej do wielkości dłoni. Świadkowie mówili, że mięso było całkiem świeże, jednak szybko zaczęło się psuć. Sprawa nie do wyjaśnienia, nawet sprzysiężeniem wśród Murzynów.

Podobny widok ukazał się 3 marca 1876 r. oczom mieszkańców w Bath County (Kentucky). Według notatek sporządzonych przez pracowników college'u w Lexington badających tę sprawę, spadło wtedy z nieba chyba z pół wagonu świeżego mięsa, starannie pokrojonego w paski (wiele jeszcze z krwią), pokrywając pagórkowaty teren. Strzępki mięsa opadały w obecności wielu świadków, którzy poza tym niczego nie widzieli. To zatrważające zdarzenie nie doczekało się wyjaśnienia.

W naszym stuleciu ten koszmar nie zanikł. Gazety brazylijskie wspominają o deszczu mięsa i krwi, padającym 27

sierpnia 1968 r. przez pięć do siedmiu minut na terenie o powierzchni około jednego kilometra kwadratowego, między Cocpava i São José dos Campos.

Powstaje pytanie, czy zawsze tak było. Opowieści o krwawych i tajemniczych zdarzeniach są oczywiście tym mniej wiarygodne, im bliższe są czasów, kiedy diabły i czary były na porządku dziennym, przynajmniej w ludzkich wyobrażeniach.

Wyjątkiem od tej reguły jest być może wspomniany w dokumentach deszcz bryłek tłuszczu, który wiosną 1695 r. wzbudził najwyższe niezadowolenie spacerowiczów w irlandzkich hrabstwach Limerick i Tipperary. Bryłki te miały średnicę dwu i pół centymetra, były ciemnożółte, miękkie, lepkie i cuchnące. Tamtejsza ludność nazwała je „masłem".

Przywołaliśmy to zdarzenie tylko jako przykład na to, jak silna jest pokusa dostrzegania we wszystkim mistyfikacji. Oczywiście, można sobie wyobrazić, że prawie trzysta lat temu zaobserwowano inny wariant tego fenomenu, który powoduje deszcz odpadków kuchennych. Równie prawdopodobne jest każde inne wyjaśnienie, także naturalne.

14 sierpnia 1819 r. w ogródku przed domem w miejscowości Amherst (Massachusetts) znaleziono kulisty twór zbudowany z substancji, którą określono jako „inną od wszystkiego, co ludzie kiedykolwiek widzieli". Obiekt ten miał formę balonu, średnicę około 20 cm oraz 2,5 cm grubości. Kiedy zdjęto cienką skórkę, ukazała się warstwa o konsystencji miękkiego mydła i kolorze skóry. Dookoła rozszedł się obrzydliwy, duszący odór. Po kilku minutach kula ta przybrała ciemny kolor przypominający krew i rozpłynęła się. Czy był to wytwór organiczny z nieba o niemożliwym do wyjaśnienia pochodzeniu? Organiczny — owszem, ale zidentyfikowany kilka lat później jako odmiana galaretowatego grzyba *Nostoc*.

Czy dlatego możemy już odetchnąć z ulgą? Czy w końcu także deszcz mięsa i krwi da się wyjaśnić jakąś nieszkodliwą przyczyną? Na to się raczej nie zanosi. W chwili obecnej naturalne wyjaśnienie wydaje się jeszcze odległe. Wiele natomiast wskazuje na to, że wszystko wygląda jeszcze gorzej, niż się z pozoru wydaje.

Aby te groźnie brzmiące słowa można było uznać za uzasadnione, musiałoby na przykład spaść z nieba pół krowy czy też wydarzyć się coś równie monstrualnego. Chyba tylko w królestwie fantazji dzieją się takie rzeczy? Niestety nie.

Michael Harrison wspomina w swojej książce *Vanishings* taki właśnie przypadek, nie zagłębiając się jednak w szczegóły. I bez tego jednak można z całą słusznością przyjąć za rzecz pewną, że tam w górze dzieją się rzeczy potworne. Niestety, także i tu, na dole.

Cokolwiek tam nad chmurami dokonuje wyczynów, o których wolelibyśmy nie wiedzieć zbyt wiele, to nie omija również, jak się zdaje, innych zakątków naszej planety. Podobnie jak Scarlett Pimpernell (bohaterka powieści *Die scharlachrote Blume* baronówny Orczy) jest raz tu, raz tam, może wszędzie naraz. Mogą to być zresztą rozmaite wrogie nam zjawiska. I nie tylko nam...

„Rozpruwacz" krów

Wyobraźnia producentów, reżyserów i scenarzystów filmów grozy wydaje się równie krwawa, co niewyczerpana. Pozwala im serwować publiczności złaknionej horroru wciąż nowe okropieństwa. Czasem jednak scenariusz bywa bardzo bałamutny. Co też autorowi przychodzi do głowy, żeby czynić łagodne przeżuwacze — krowy i woły — celem tajemniczych napastników, którzy w okropny sposób okaleczają nieszczęsne zwierzęta? Aby nieprawdopodobieństwo było jeszcze większe, wyczyny te szerzą się jak epidemia, zmuszając do interwencji władze. W związku z nimi zaczyna się istne polowanie na czarownice, którego celem są sekty i podejrzane elementy wszelkiego rodzaju, a także odżywa na nowo szaleństwo UFO z lat pięćdziesiątych. Podejrzewa się spisek, jednak szeryf w spódnicy Harriet Purdue nie daje za wygraną...

Z punktu widzenia dramaturgii ten scenariusz filmowy nie jest zbyt dojrzały, prawda? I nie może taki być, bo opiera się na faktach. Powstały w 1982 r. film *Endangered Species* odzwierciedla prawdziwe wydarzenia, które wydawały się pozbawione sensu i celu (chyba że ich celem było szerzenie paniki).

Mowa tu o nie wyjaśnionych okaleczeniach zwierząt na znacznym terenie Stanów Zjednoczonych.

Podobne akty bestialstwa nie są niczym nowym. Zapewne wydarzały się zawsze, a w czasach historycznych utonęły w morzu krwi, której przelewanie było i jest ulubionym zajęciem *homo sapiens*. Najwcześniejsze zapiski dotyczące zagadkowych okaleczeń bydła, przydatne do naszych celów,

pochodzą z roku 1810. Zdarzyło się to wówczas na pograniczu Anglii i Szkocji.

Interesujący nas przypadek trwa od 1963 r. — a jego końca jeszcze nie widać. Wypadki z listopada tego roku z Gallipolis (Ohio) rozrosły się w końcu do rozmiarów sensacji, która pociągnęła za sobą konieczność oficjalnych dochodzeń i stała się tematem wspomnianego filmu. Zapanowało wzburzenie, a środki masowego przekazu nadały odpowiedni rozgłos tej makabrycznej historii. Zwolennicy wszelkich możliwych teorii wodzili się za łby. W kilku stanach USA doszło do wybuchu paniki, farmerzy organizowali oddziały samoobrony, wyznaczano nagrody za ujęcie sprawcy. Wszyscy podejrzewali wszystkich, a stad bydła pilnie strzeżono. Mimo to okaleczenia nadal się powtarzały.

Przerażającym znaleziskiem z listopada 1963 r., które miało wprawić kilka stanów USA w histerię, choć nie nastąpiło to od razu, było kilka okrutnie okaleczonych zabitych krów. Ich tusze zostały pocięte z chirurgiczną wprost precyzją. Całkowicie brak było krwi, podobnie jak mózgów i innych narządów. Tak samo było we wszystkich zbadanych przypadkach, co nasuwało skojarzenie z Kubą Rozpruwaczem. Dotychczas zarejestrowano 8 000 takich zdarzeń, jednak liczba ta wzrasta w dalszym ciągu z roku na rok.

Zazwyczaj atak na nieszczęsne zwierzęta następuje w nocy. Nie znajduje się śladów stóp, kopyt, opon ani żadnych innych śladów; brak też oznak walki. Ciała krów nie zawierają ani kropli krwi, jednak poszukiwania plam krwi na ziemi pozostają bezskuteczne. Zawsze brak ważnych narządów i części ciała, najczęściej genitaliów. W wielu przypadkach odbytnica została usunięta wręcz operacyjnie. Często tajemniczy skalpel wykrawał język albo kawałki skóry.

W 1963 r. to dziwne zdarzenie nie zwróciło na razie powszechnej uwagi; pojedyncze przypadki zawsze jeszcze można tłumaczyć działaniami włóczęgów, zwierząt drapieżnych albo innymi znanymi przyczynami.

Jednak cztery lata później, 9 września 1967 r., lawina ruszyła, kiedy odkryto martwego okaleczonego wałacha o imieniu Snippy. Ten ulubiony koń niejakiej Berle Lewis

został znaleziony na rancho Harry King w pobliżu Alamosa (Kolorado). Jego ciało znajdowało się w znanym nam już stanie: bez krwi i niektórych części ciała. Pewien patolog z Denver stwierdził ponadto, że w tajemniczy sposób został usunięty cały płyn mózgowy Snippy'ego.

Zaczął się szerzyć niepokój. Przypomniano zdarzenie z 1963 r. i powiązano je z nowym przypadkiem. W 1970 r. doszło do kolejnych okaleczeń, choć były to wciąż jeszcze odosobnione przypadki. W 1973 r. zaczęła się szerzyć prawdziwa epidemia, której końca nie było widać, a która odbiła się głośnym echem w opinii publicznej.

W ciągu zaledwie sześciu tygodni, poczynając od 30 listopada 1973 r., w północnej części środkowego Kansas 44 krowy zostały w niewytłumaczalny sposób zabite i poćwiartowane. Latem 1974 r. nastąpiło kolejne sto zdarzeń tego rodzaju w południowej Dakocie, Nebrasce i Iowa. Jesienią tego roku „Rozpruwacz" krów skupił swoją uwagę na stanie Minnesota. W 1975 r. jego aktywność przesunęła się w kierunku południowym. W lutym częściowo poćwiartowane ciała zwierząt znajdowano w całym Teksasie i Oklahomie. Zaczęto organizować samoobronę; hodowcy wyznaczyli nagrody za wskazówki mogące pomóc w ujęciu sprawcy, nie było bowiem dotąd żadnego punktu zaczepienia dla śledztwa.

21 lutego Oklahoma Cattlemens Organisation wyznaczyła nagrodę w znacznej wysokości dla osoby, która przyczyniłaby się do schwytania i udowodnienia winy sprawcom spustoszenia wśród bydła. W czerwcu również stowarzyszenie Elbert Country Colorado Livestock Association wyasygnowało na ten cel poważne środki, ponieważ przez cztery miesiące w tym stanie wydarzyło się 36 okaleczeń.

Choć nie brakowało chętnych, by się tą drogą wzbogacić, nie uzyskano jednak żadnych użytecznych informacji. Rzeź tymczasem trwała w dalszym ciągu.

W marcu i kwietniu zjawisko to powtórzyło się znowu w Kansas, w czerwcu nawiedziło Kolorado, między sierpniem 1975 a majem 1976 r. jak epidemia szerzyło się w Montanie, Idaho i części Wyoming.

W połowie lat siedemdziesiątych okaleczenia następowały na taką skalę, że zaczęła się szerzyć histeria. Wzmagało ją to, że wszelkie poszukiwania prowadziły donikąd, dając co najwyżej pożywkę dziwacznym domysłom. Później wypadki te zdarzały się rzadziej, jedynie w Arkansas i Nowym Meksyku doszło w 1978 i 1979 r. jeszcze raz do ich znacznego nasilenia.

Również w naszym dziesięcioleciu pojawiają się wciąż doniesienia o znajdowaniu martwych wołów i krów, które wyglądają tak, jakby je wyssał wampir, a szaleniec poddał sekcji. Ameryka z czasem przyzwyczaiła się do tego, podobnie jak do wielu innych rzeczy. Jak wiadomo, nic nie jest aż tak potworne, aby przez dłuższy czas przykuwać uwagę środków masowego przekazu. Wręcz przeciwnie: im dłużej trwa dane zagrożenie, tym bardziej powszednieje. Dowodzi tego brak zainteresowania sprawą zanieczyszczenia środowiska, chorób dziedzicznych, nuklearnego miecza Damoklesa i wielu innych dokonań naszego stulecia. Dlaczego nie miałby podlegać tej zasadzie akurat żałosny los jakichś tam roślinożernych zwierząt?

Dla nas on jednak jest interesujący. Chcemy bowiem wiedzieć, czy tę masakrę da się jakoś wyjaśnić, czy nie?

Prób wyjaśnienia nie brakowało. W 1979 r. władze stanu Nowy Meksyk we współpracy z federalną organizacją Law Enforcement Assistance Administration (LEAA) przeprowadziły żmudne dochodzenie. Ranczerzy od pierwszej chwili jednak za nic mieli te działania, gdyż LEAA była organizacją znaną z nieudolności i marnotrawstwa środków. Podejrzewano, że jedynym celem jest mydlenie oczu ludności i uspokajanie wzburzonych umysłów. Nieufność jeszcze wzrosła, kiedy kierowanie śledztwem objął były funkcjonariusz FBI nazwiskiem Kenneth Rommel.

Ostateczne rezultaty dochodzenia wydają się potwierdzać te wątpliwości. Opublikowany rok później komunikat wymieniał jako jedyną przyczynę zdarzeń drapieżne zwierzęta, powtarzając oficjalną wersję, którą można znaleźć w licznych raportach policyjnych, zwłaszcza z Arkansas. Już przedtem hodowcy nie chcieli się z nimi zgodzić, a teraz ich wzburzenie jeszcze wzrosło. Podniosły się protesty, powoływano się na

fakt, że Rommel przebadał jedynie 15 martwych krów i na tej podstawie oparł końcowe wnioski. Żaden z tych przypadków, zdaniem ranczerów, nie był klasycznym przypadkiem okaleczenia.

Jak ocenić tezę zawartą w komunikacie?

Od początku sceptycy uważali to wszystko za przejaw zbiorowej psychozy. Ich zdaniem sprawcami okaleczeń były wilki, stada psów, kojoty, drapieżne ptaki, łasice, śmierdziele itd.

Pewien eksperyment, którego wyniki ogłosiło biuro szeryfa Washington County w Arkansas w październiku 1979 r., wydawał się potwierdzać przypuszczenie działania drapieżnych zwierząt. 4 września zabito chorą krowę i położono na środku pola. Dwóch policjantów z Arkansas State Police, sierżanci Rick OKelley i Doug Fogley, obserwowało trupa, robiąc zdjęcia. Po 33 godzinach doczesne szczątki krowy wykazywały pewne podobieństwo do innych okaleczonych zwierząt. Myszołowy i muchy raczyły się oczyma, krwią i genitaliami. Poza tym nikt nie zbliżał się do martwego zwierzęcia. Tak więc znaleziono naturalne wytłumaczenie. O nie wyjaśnionych punktach można było zapomnieć albo przypisać je innym drapieżnym zwierzętom, które w tym przypadku nie ośmieliły się podejść wskutek obecności policjantów.

Ta teoria ma szczególnie uderzający słaby punkt: właśnie jeśli jest trafna, musi być fałszywa. Zawiera bowiem wprost klasyczną wewnętrzną sprzeczność: zjawiska, na których się tu oparto, są tak naturalne, że musiałyby wystąpić w związku z każdą martwą krową. (Właściwie dlaczego dotyczy to jedynie bydła? To także bezsensowne).

A poza tym, skoro pogłowie bydła w USA sięga setek milionów, to śmieszna jest myśl, że z takiej masy w ciągu dziesięciu do dwudziestu lat tylko nieco więcej niż 8 000 miałoby samotnie zakończyć żywot. Łupem drapieżników i padlinożerców padłoby o wiele więcej sztuk.

Liczba tajemniczych okaleczeń jest na tyle duża, by powodować niepokój, ale o wiele za mała, by można ją było przypisać zwyczajnym przyczynom, czyli atakom drapieżników. To wytłumaczenie nie wytrzymuje krytyki wobec

takich okoliczności, jak sporadyczność okaleczeń, okresowe nasilanie się tego zjawiska czy przesuwanie się miejsc jego występowania. Szkoda, moglibyśmy być spokojniejsi.

Ludności terenów dotkniętych tym zjawiskiem również wcale nie uspokoił nie trafiający do przekonania komunikat. Większe powodzenie miały domysły, że istoty pozaziemskie (albo CIA) prowadzą na niewinnych krowach amerykańskich niehumanitarne doświadczenia, że grasują sataniści albo gangi motocyklowe dopuszczają się sadystyczno-sodomistycznych wybryków czy po prostu chcą dokuczyć farmerom. Na takich przypuszczeniach opiera się akcja wspomnianego filmu.

Jak można się było spodziewać, pojawiły się doniesienia o świecących obiektach latających, dziwnych zjawiskach na niebie i snujących się po lasach kosmitach albo potworach. Doprawdy wypada żałować, że znowu nie da się oddzielić urojeń od (możliwej) rzeczywistości. W każdym razie w 1975 r. w Gregg County (Teksas) wykryto tajny kult satanistyczny. Tych „synów szatana", jak sami nazywali się jego wyznawcy, oskarżono o odprawianie czarnych mszy z krwawymi ofiarami ze zwierząt. Z kolei w Teksasie banda motocyklistów, nosząca typową dla takich grup nazwę „uczniowie diabła", wzbudziła podobne podejrzenia. Nic jednak z tego nie wynikało. Gdyby sprawcami byli rockersi albo sataniści, to z całą pewnością musieliby w czasie nocnych podchodów wpaść w ręce ranczerów lub wynajętych przez nich strażników, którzy niejedną noc spędzili na zbrojnym czuwaniu nad bezpieczeństwem zagrożonych stad.

Pojawiały się nawet domysły, że doszło do wznowienia wojen toczonych między ranczerami w XIX wieku, czego jednak nic nie potwierdziło. W końcu nie zdołano nikogo obarczyć odpowiedzialnością ani znaleźć żadnej naturalnej przyczyny.

Okaleczenia bydła pozostały ponurym misterium, które zresztą nie ogranicza się wyłącznie do krów, czego dowodzi przypadek wspomnianego konia Snippy, najprawdopodobniej wiążący się z tą falą. Podobne zjawisko uboczne zaobserwowano również w Gallipolis (Ohio), gdzie w 1963 r. po raz pierwszy okaleczenia wystąpiły oficjalnie.

Na drugim brzegu rzeki Ohio w początkach listopada 1966 r. zaginął owczarek niemiecki niejakiego Williama Watsona. Tydzień później znaleziono psa martwego pośrodku pola znajdującego się przy Georges Creek Road w pobliżu Gallipolis. Okoliczności zdarzenia napawały grozą.

Sięgająca do kolan trawa wokół martwego psa była wygnieciona w obrębie regularnego koła o średnicy sześciu metrów. W jego centrum leżał martwy pies. Wszystkie kości miał połamane, a raczej pogruchotane. Nie było widać oznak walki ani śladów krwi (czy innych śladów), a żadne znane zwierzę drapieżne nie mogło spowodować u psa takich obrażeń. Nawet szaleniec mógłby tego dokonać tylko wielkim wysiłkiem — i na pewno nie w tajemnicy.

Zdarzają się godne politowania próby wytłumaczenia takich zjawisk. Dobrym przykładem może tu być oficjalne stanowisko National Investigation Committee on Aerial Phenomena (NICAP) w sprawie konia Snippy. Oto grupa sprawców miała się udać na pole, gdzie znajdował się Snippy, by tam niezauważalnie ustawić koryto i zbudować ogromny trójnóg z wielokrążkiem. Następnie schwytali konia, powiesili go za pomocą wielokrążka i trójnogu nad korytem i dokonali swojego okropnego i bezsensownego dzieła, by następnie zniknąć równie niezauważenie.

Wobec takich wniosków łatwiej już uwierzyć w wampiry albo kosmitów. Jakiekolwiek są przyczyny tego zjawiska, wciąż dochodzi do ataków na zwierzęta domowe na naszej planecie. A przecież wydawało nam się, że to my mamy monopol, by postępować według naszego uznania ze wszystkim, co się rusza. Jak widać, jest to błędne przekonanie. Istnieje wiele doniesień o rzezi wśród zwierząt, za którą człowiek wyjątkowo nie odpowiada. Wybraliśmy z nich kilka takich, które nie polegają wyłącznie na pojedynczych zeznaniach czy relacjach z trzeciej ręki. Robią one duże wrażenie. Niestety nikogo przy tym nie było, a pozostałe przy życiu zwierzęta mówić nie umieją.

Tak więc nigdy się nie dowiemy, co miałby do powiedzenia wielki czarny pies z Karoliny Północnej, który — być może — spotkał się z zagadkowym „Rozpruwaczem" krów i uszedł z życiem. Jest to czysta spekulacja, ale fascynująca...

Pies ten, wielki, odważny kundel, należał do trójki młodych ludzi, którzy lubili włóczyć się po lesie i polować. Wytresowali psa tak, że nawet największe stworzenie nie było w stanie zmusić go do ucieczki.

W drodze na polowanie zaskoczyła ich ulewa. Szczęściem znaleźli w pobliżu leśny szałas, w którym się schronili, chcąc przeczekać do rana. W środku nocy zbudził ich pies, który warczał i wył jak szalony. Jeden z trzech przyjaciół chciał wypuścić psa na dwór, ale kiedy chwycił klamkę, na zewnątrz rozległo się sapanie, przypominające odgłosy miecha kowalskiego. Pies zjeżył sierść, wcisnął pysk w szczelinę drzwi i kopał wściekle łapami. Młodym ludziom zrobiło się nieswojo. Zapalili światło i z bronią gotową do strzału otworzyli drzwi.

Rozwścieczony pies wypadł dziko szczekając i warcząc w ciemność, by wyjąc zniknąć w lesie. Po upływie kwadransa myśliwi zaczęli się niepokoić o czworonożnego towarzysza. Choć czuli się niepewnie, postanowili ruszyć na poszukiwanie. Nagle za drzwiami coś zaskomliło. Pies wrócił cały i zdrowy, bez śladów zadrapań ani ukąszeń. Jego czarna jak smoła sierść stała się jednak śnieżnobiała.

Nie będziemy tego komentować, stwierdzimy tylko, że w gruncie rzeczy jest wszystko jedno, czy za tymi zdarzeniami kryje się jedno i to samo zjawisko czy też cała gama zjawisk. Faktem jest, że gdzieś „tam" istnieje coś nieznanego, a my jesteśmy zdani na jego łaskę. Wprawdzie podobnie zależymy od sił przyrody, ale te przynajmniej znamy. Nie wiemy natomiast, co atakuje naszą trzodę. Co więcej, nie możemy się uspokajać, że przynajmniej nas samych zostawia w spokoju. Bo nie zostawia.

Niewidzialni sadyści

Wizja nieoczekiwanego spłonięcia jest równie niemiła, jak myśl o wypadnięciu przez drzwi toalety w samolocie. Dopóki w takich zagrożeniach można jeszcze dostrzec ewentualne działanie sił natury, możemy je przyjąć w miarę spokojnie. Spontaniczne samospalenie — gdyby można je było sobie samemu wybrać — byłoby z pewnością lepsze niż śmierć w pożarze na autostradzie, a niejeden człowiek być może chętnie wysiadłby przez drzwi toalety w ostatnim momencie przed katastrofą samolotu. Poza tym możemy się pocieszać, że już nie takie zjawiska naturalne udało nam się rozszyfrować i wykorzystać do naszych celów (wystarczy choćby pomyśleć o cyklu wodorowohelowym Słońca, który kopiujemy w bombach wodorowych — co prawda z niezbyt wielkim pożytkiem).

Nie można się jednak uspokajać w taki sposób tam, gdzie istnieją niewidzialni, świadomie działający napastnicy. Mimo wszelkich teorii starających się wyjaśnić okaleczenia krów, raczej trudno by je było przypisać zjawisku naturalnemu, zważywszy niemal przemyślaną celowość tych ataków.

Ich brutalność nie ustępuje ludzkiej, a jedynie *modus operandi* sprawcy skrywają ciemności. Tylko człowiek pozbawiony uczuć (albo mający klapki na oczach) mógłby nie odczuć grozy choćby na widok jednej ze szczególnie poszkodowanych krów z Gallipolis. Nieszczęsnemu zwierzęciu nie tylko brakowało bowiem, jak już wiemy, krwi i wielu narządów, ale również było precyzyjnie przecięte na dwie części jakby ogromnym mieczem albo nożycami. Takie działanie bardziej by pasowało do demonów niż sił przyrody.

Wydaje się, że to coś nie omija także korony stworzenia. Od stuleci stale się powtarzają informacje o celowych atakach na ludzi, często dzieci. Niektóre z nich dają się być może wyjaśnić autoagresją, czymś w rodzaju nieświętej, szaleńczej odmiany stygmatyzacji; inne, być może, zjawiskami paranormalnymi. Niektórych wyjaśnić się nie da w ogóle. Jeden z najstarszych, w miarę dobrze zbadanych, przypadków pochodzi z roku 1761. Wcześniejsze, podobnie jak wiele innych spraw, giną w pomroce dziejów.

Pięć kobiet zbierających chrust wracało do swojej wsi koło Ventimiglia w północnych Włoszech. Nagle jedna z nich z okropnym krzykiem upadła na ziemię. Ku przerażeniu pozostałych okazała się martwa. Jej ciało przedstawiało straszny widok. Ubranie i buty były porwane na strzępy i leżały rozrzucone wokół zwłok. Wydawało się, jakby w ciągu sekundy została wprost zmielona. Miednica była pęknięta, z prawego boku widać było wnętrzności, a większość narządów była poszarpana albo bez krwi. Miała na głowie rany sięgające do kości, na biodrze i udzie prawie nie było mięśni i odsłonięta była roztrzaskana główka kości udowej, wybita ze stawu. Podbrzusze pokrywało wiele głębokich, równoległych ran ciętych.

To potworne wydarzenie zarejestrowała francuska Akademia Nauk. Dodatkową zagadkę stanowiła tu okoliczność, że obok zmarłej nie było ani krwi, ani strzępów mięśni.

Opublikowana w 1800 r. praca pt. *A Narrative of Same Extraordinary Things that Happened to Mr. Richard Giles's Children* opisuje bardzo szczegółowo ataki znikąd, które, jak głosi tytuł, były zwrócone przeciw dzieciom.

Szczegółowe zeznania świadków informują, jak małą dziewczynkę udusiły niewidzialne ręce. Obecni widzieli, że ściska się jej gardło, przy braku kontrakcji mięśni szyi. Inne z kolei dzieci bywały bite, tarmoszone, opluwane, i to przy świadkach.

Także w naszym stuleciu zdarzają się ukąszenia przez istoty bezcielesne. Pewna młoda dziewczyna w nocy 10 maja 1951 r. była dręczona przez kogoś takiego, i to nawet wtedy, gdy trzymali ją policjanci. Pięciu z nich zeznało: „Widzieliśmy, jak jej ramiona tego wieczora zostały ukąszone jakieś dwa-

dzieścia razy. (...) Nie mogła zrobić tego sama, bo przez cały czas nie spuszczaliśmy jej z oka. Przy badaniu ukąszeń znaleźliśmy tam odciski 18 do 20 zębów. Miejsca te były bardzo wilgotne i lepkie, jakby od śliny, i wydawały odrażającą woń. Odciski przypominały usta albo szczękę". Niektórzy sądzą, że źródłem tych udręk była podświadomość dziewczyny, co jednak nie znajduje wielu zwolenników.

Osiemnastoletnia Clarita Villaneuva należała do rzeszy bezdomnej młodzieży, pozostałej po wojnie na ulicach Manili, ludzkich wraków, traktowanych z pogardą przez mniej doświadczonych przez los.

Policjantów nie zdziwił więc szczególnie tumult, na jaki natrafili tego dnia. Na rogu ulicy powstało małe zbiegowisko wokół tarzającej się po ziemi młodej dziewczyny, która krzyczała wniebogłosy. O ile można było zrozumieć jej piski i płacz wśród jazgotu, śmiechu i komentarzy, dziewczynę coś kąsało.

Była to najwyraźniej jakaś wariatka, narkomanka albo pijaczka. A może chora na padaczkę. W gruncie rzeczy policjantom było wszystko jedno, codziennie widywali gorsze rzeczy.

Zapędzili więc rozwrzeszczanych gapiów z powrotem do lokali, z których się wysypali na ulicę, i zabrali dziewczynę na komisariat w celu wytrzeźwienia.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi celi, Clarita z łkaniem padła na kolana i prosiła policjantów o pomoc. Wyciągała do nich ręce, pokazując rany po ukąszeniach, zadanych jej przez „to coś", jak mówiła. Policjanci się odwrócili, a wtedy młoda dziewczyna zaczęła histerycznie krzyczeć. To coś zjawiło się znowu. Rozzłoszczeni policjanci otworzyli celę i zaprowadzili Claritę, zachowującą się jak wariatka, do pokoju przesłuchań. Kiedy jeszcze zastanawiali się, co robić z zatrzymaną, na ramionach Clarity pokazały się wyraźnie widoczne niebieskosine ślady ukąszeń, pokryte śliną. Jeden z policjantów popędził wezwać kapitana, a ten z kolei zawiadomił szefa policji.

Wezwano lekarza sądowego nazwiskiem Mariana Lara. Nie był bynajmniej zachwycony, że wyciąga się go z łóżka w środku nocy, aby zmusić do oglądania jakiejś epileptyczki. Na miejscu zdarzenia czekał na niego nie tylko szef policji, ale

także burmistrz Manili, Arsenio Lacson. Biegły z niechęcią obejrzał młodą dziewczynę i stwierdził u niej epilepsję i samookaleczenie. Poszedł do domu spać, wciąż jeszcze dysząc wściekłością.

Po odejściu lekarza szef policji z burmistrzem osobiście obejrzeli rany Clarity. Myśl o samookaleczeniu była nonsensem. Niechby medyczny inspektor zademonstrował, jak można się samemu ugryźć w kark czy ramiona, i to tak, aby nikt nie zauważył. Osiemnastolatka spędziła resztę tej nocy na ławce w komisariacie policji w Manili, gdzie w końcu zasnęła. Następnego dnia sprawy potoczyły się zgodnie z rutynowym porządkiem. Oskarżenie o włóczęgostwo, kilka dni aresztu i na tym osobliwości miały się zakończyć. „To coś" jednak miało inne plany. Kiedy Claritę chciano przewieźć do sądu, ta znowu zaczęła krzyczeć. Dwóch silnych policjantów chwyciło jej ręce żelaznym uściskiem. Wtedy na oczach pełnych niedowierzania funkcjonariuszy, reporterów i lekarza sądowego niewidzialne zęby zaczęły się wbijać w ramiona, dłonie i kark dziewczyny. Ten atak trwał pięć minut, aż Clarita osunęła się nieprzytomna. Wszyscy byli bezradni i przerażeni.

Lekarz sądowy Lara raz jeszcze obejrzał ofiarę, tym razem wyspany i zdolny do obiektywizmu, po czym odwołał wydaną w nocy opinię. Nie było tu mowy ani o epilepsji, ani o samookaleczeniu. Ślady ukąszeń były absolutnie realne. Clarita nie byłaby w stanie zadać ich sobie sama.

Sprowadzono burmistrza i arcybiskupa. Zanim przybył burmistrz, upłynęło około 30 minut. W tym czasie miejsca ukąszeń na ramionach dziewczyny napuchły, podobnie jak zaatakowane ręce. Burmistrz i lekarz sądowy zawieźli Claritę do szpitala więziennego. W czasie przejazdu nastąpił kolejny atak, znowu na ciele krzyczącej dziewczyny pojawiły się sine ślady ukąszeń. Tym razem wystąpiły po bokach szyi, na palcu wskazującym i ręce, którą burmistrz mocno trzymał w swojej dłoni. Piętnastominutowa podróż do więziennego szpitala była nieopisanym koszmarem dla burmistrza Manili, lekarza sądowego, szofera, i oczywiście samej Clarity.

Kiedy wreszcie dotarli do celu, niewytłumaczalne ataki się skończyły. Wydawało się, że kąsające „coś" przeniosło się gdzie indziej.

Burmistrz Arsenio Lacson w następujący sposób skomentował to zdarzenie: „Mamy tu do czynienia ze zjawiskiem, którego nie sposób wytłumaczyć".

Lekarz sądowy dr Mariana Lara był mniej oględny w doborze słów. Powiedział: „Ze strachu o mało nie narobiłem w portki".

I nic dziwnego.

W sierpniu 1960 r. w Afryce Południowej nastąpiła cała seria dziwnych zjawisk związanych z osobą dwudziestoletniego Jimmy'ego de Bruin, który pracował w pobliżu farmy Datoen. Wszystko się zaczęło niczym fenomen parapsychologiczny, określany jako „poltergeist", a skończyło krwawym koszmarem, który mógłby wymyślić jakiś współczesny scenarzysta.

O przebiegu zdarzeń donosi Agencja Reutera z White River, powołując się na słowa szefa policji Johna Wessela i kilku innych naocznych świadków.

Wessela i trzech konstabli wezwano na farmę w sprawie tajemniczych wypadków: przedmioty fruwały tam dokoła, jakby ktoś nimi rzucał. Zaledwie policjanci przybyli na miejsce, zaraz spadła z półki tuż przed nimi wielka szklana miska, by pęknąć z łoskotem. To był dopiero wstęp.

Funkcjonariusze nie zdążyli jeszcze zacząć na dobre dochodzenia, gdy zaalarmowały ich głośne krzyki. Pobiegli do innego pomieszczenia, gdzie w gwałtownych bólach wił się młody Jimmy de Bruin. Źródło bólu było widoczne, ale przyczyna nie.

Nie wierząc własnym oczom, policjanci patrzyli na młodego człowieka, ubranego w krótkie spodnie, na którego nogach pojawiały się długie rany cięte. Krew tryskała na podłogę; ofiarę zagadkowego zjawiska poddano obserwacji. Następnego dnia na piersi Jimmy'ego pokazało się głębokie cięcie, i to pod jego białą koszulą, która pozostała nienaruszona. Dwóch policjantów stało obok rannego, obserwując go w pełnym osłupieniu.

Całymi dniami Jimmy'ego de Bruin nawiedzały takie ataki (czy jakkolwiek to nazwiemy). Rany zadane przez niewidzialnego napastnika miały wszelkie cechy cięć wykonanych ostrym narzędziem, żyletką czy nawet skalpelem. Nieszczęsny

młody człowiek w żaden sposób nie mógłby sam sobie zadać tych ran. Był bowiem obserwowany podejrzliwie przez policjantów, którzy mieli wielkie doświadczenie w znajdywaniu nawet najbardziej pomysłowo ukrytych noży i innych niebezpiecznych narzędzi.

Nie da się tego wyjaśnić szaleństwem. Można by ewentualnie odwołać się do fenomenu stygmatyzacji, ale tylko z wielkimi zastrzeżeniami.

Jeszcze trudniejsze jest wyjaśnienie innych zagadkowych ataków, które na szczęście nie zawsze były tak brutalne.

Na przykład na zawsze zostaną zagadką działania bezcielesnego „fetyszysty" pozbawiającego kobiety włosów. W piśmie „Religio-Philosophical Journal" z 4 października 1873 r. można przeczytać o pewnej dziewczynce z Menomonie w Wisconsin, której włosy nagle zostały obcięte tuż przy skórze i znikły. Świadkiem zdarzenia była matka dziecka. No cóż, można tu wysunąć zarzut, że zdarzenie jest znane tylko ze słyszenia.

Równie dziwny przypadek przedstawia relacja biskupa Jamesa Pike'a z San Francisco, zamieszczona w „The Other Side" z 1969 r. Opowiadał tam o pewnej pomocy domowej, która nagle rano zauważyła, że jej włosy zostały przypalone w całkowicie prostej linii. To samo się powtórzyło następnego dnia. Dziwnym trafem jeden z przypalonych kosmyków znalazł się po trzech tygodniach na stoliku nocnym. Oczywiście, takie opowieści, rozpatrywane z osobna, nie mają wielkiej mocy dowodowej. Warto jedynie odnotować, że lęk przed utratą włosów ma długą historię. Od setek lat całe regiony w Chinach ogarnia od czasu do czasu panika; ludzie w Szangaju, Nankinie i innych miastach wychodzili z domu przytrzymując włosy obydwiema rękami z obawy, by ich nie zabrała niewidzialna istota.

W grudniu 1922 r. podobna masowa histeria wybuchła w Londynie. Prawdopodobnie chodziło tu rzeczywiście o zbiorową sugestię. Sprawa jest jednak osobliwa ze względu na to, że w tym samym roku w Londynie trzy osoby padły ofiarą niewidzialnego napastnika.

16 kwietnia 1922 r. pewien człowiek przywieziony z raną ciętą karku do londyńskiego szpitala Charing Cross oświad-

czył, że „coś" zadało mu cios, kiedy skręcił w przecznicę Coventry Street.

Kilka godzin później przywieziono innego człowieka, z identyczną raną. Jemu przytrafiło się dokładnie to samo, i to w tym samym miejscu. Również trzeciego przechodnia to spotkało koło wylotu tejże przecznicy. Nigdy nie wyjaśniono, co tam naprawdę się wydarzyło; w każdym razie nie było to normalne zdarzenie. Można o tym przeczytać w czasopiśmie „The People" z 23 kwietnia 1922 r.

Dwunastoletniego Harry'ego Phelpsa ze Stratford (Connecticut) nękały najrozmaitsze ataki. Przypadek ten wydarzył się w 1850 r. i należy on do najbardziej znanych.

Za chłopcem leciały kamienie, gwałtownie unosił się w górę, uderzając głową w sufit, a kiedy indziej wylądował na drzewie. Jakaś niewidzialna ręka systematycznie darła na nim ubranie, został także wrzucony do zbiornika z wodą. Wszystko to działo się na oczach świadków.

W tym miejscu postawimy kropkę. Jeśli nawet można odnieść wrażenie, że czatują na nas niewidzialni wrogowie, stale gotowi dręczyć ludzi w sposób zastrzeżony zasadniczo dla przedstawicieli naszego własnego gatunku albo robić im okrutne żarty, to jest to jedynie hipoteza, bynajmniej zresztą nie oczywista. Rany cięte i kąsane możemy sobie także zadawać sami; nie tyle za pomocą noży albo podobnych narzędzi, bo tego raczej nie dałoby się ukryć, ile siłą ducha. Wiemy już, jakie są jej możliwości.

A jednak musi tu wchodzić w grę coś więcej. Jedynie zdarzenie z roku 1761 nie pasuje do schematu, inne przypadki istnieją, jeśli nawet nie są bliżej zbadane. Dają one do myślenia, a o to nam przecież chodzi.

Jest całkiem możliwe, na przykład, że ta sama złowroga potęga (czy cokolwiek to było), która roztrzaskała w 1969 r. stado kaczek w locie nad St. Mary's City, w 1761 r. zmiażdżyła niewidzialną ręką młodą zbieraczkę chrustu. Być może za okaleczenia krów odpowiada inny „wydział" tego nieznanego fenomenu, a za pozbawianie owłosienia głów i kąsanie jeszcze inny. Równie uzasadniona jest każda inna kombinacja. Wiemy przecież, jakie problemy nastręcza klasyfikacja podobnych zjawisk. Na szczęście nie musimy się borykać z tym

zadaniem. W końcu nie ma decydującego znaczenia kwestia, jakie zjawiska i w jaki sposób współdziałają ze sobą w kokretnym przypadku. Chodzi nam przede wszystkim o odpowiedź na pytanie, czy zjawiska te istotnie są niewytłumaczalne — i czy istnieją? Tutaj zapewne tak jest. Możemy więc dalej podążyć tropem zasadniczej myśli tej książki, którą jest uzasadnienie tezy, że świat jest o wiele bardziej osobliwy, złożony i zwodniczy, niż utrzymuje oficjalna nauka (a zrodziła ona już poważne wizje świata, których trudno nie nazwać egzotycznymi).

Próba tymczasowego bilansu

Dotarliśmy więc do punktu zamykającego naszą inwentaryzację. To oczywiste, że wielu czytelników stwierdzi w niej braki. Nie poruszyliśmy na przykład kwestii UFO, a także bogów-astronautów, których istnienia od dwóch dziesięcioleci pragnie dowieść Szwajcar Erich von Däniken, natrafiając na coraz to nowe zdumiewające zjawiska, ku irytacji archeologów i innych klasycznych naukowców.

Pominięcie to nie jest przypadkowe, gdyż w tej sprawie nie ma nic niewytłumaczalnego. Zagadnienie, czy każde obserwowane zjawisko świetlne jest pozaziemskim statkiem kosmicznym, ma równie akademicki charakter jak dyskusje o prehistorycznej obecności kosmitów na naszej planecie. Wszystko to wcale nie jest tajemnicze, a co najwyżej sporne.

Kiedy Erich von Däniken zadaje prowokacyjne pytanie, w jaki sposób Inkowie z Peru mogli wznieść skalne miasto prawie 4 000 metrów powyżej twierdzy Sacsahuaman (a przed takim przedsięwzięciem musiałaby skapitulować nawet współczesna technologia), archeolodzy zgrzytają zębami, a inżynierowie zmieniają temat.

Jeśli spytamy jakiegoś naukowca, czy od stuleci znane astronomom dziwne zjawiska na Księżycu (które otrzymały nawet odrębny termin naukowy: Transient Lunar Phenomena, TLP — krótkotrwałe zjawiska księżycowe) mogłyby świadczyć o tym, że to po prostu jakaś obca cywilizacja eksploatuje surowce naturalne Księżyca, nie usłyszymy w odpowiedzi jasnego „nie", a tylko niezliczone „jeśli" i „ale". Krótko mówiąc, taki problem nie nadaje się do rozważenia w tej książce.

Może kosmici lądowali na Ziemi, a może nie. Może bogowie-astronauci zmienili geny naszych małpich przodków, aby powstał gatunek *homo sapiens*, a może nie. Może UFO od stuleci stale kontrolują Ziemię, ojczyznę niebezpiecznego i szalonego gatunku, a może nie. I cóż z tego? Jeśli wcześniej nie doprowadzimy się sami do zagłady, to również i my w odległej przyszłości może będziemy niepokoić wszechświat i staniemy się bogami-astronautami dla innych istot żywych (o ile ich nie zamienimy w niewolników albo nie zlikwidujemy). Wątpliwości co do samej możliwości życia poza Ziemią przypominają dowcip, w którym pchły się zastanawiają, czy istnieje życie na innych psach. W istocie nie ma spraw naprawdę niewytłumaczalnych. Wszystko musi funkcjonować zgodnie z jakimiś zasadami natury, inaczej byłyby to czary albo okultyzm. Jak dotąd trzymaliśmy się od tego z daleka i będziemy robić to nadal.

Jest nam potrzebny nowy, niczym nie ograniczony rozum, który akceptuje to co fantastyczne jako część większego obrazu świata (jego prawa znamy jedynie fragmentarycznie), a który odwraca się od tego co absurdalne. Musieliśmy przyjąć do wiadomości, że rzeczy zdumiewające są na porządku dziennym. Nie wiemy dokładnie, co się wokół nas dzieje, zarówno w powietrzu, na wodzie czy na lądzie.

Wszystko może się zdarzyć w każdej chwili, i rzeczywiście się zdarza. Liczne zjawiska są tylko dziwaczne, inne groźne, a niektóre śmiertelne. Jednak o piorunach i trzęsieniach ziemi też można to powiedzieć. Dlaczego więc mielibyśmy przymykać oczy na niektóre sprawy? Na skraju przepaści, do której, obyczajem lemingów, chce się rzucić pięć miliardów ludzi, nie możemy sobie pozwolić na roztrząsanie problemów jutra w kategoriach dnia wczorajszego.

Odrzućmy zatem jednostronne widzenie rzeczy i przyjmijmy to, co się nie daje pomyśleć. Tylko dla wprawy, która bardzo się nam przyda.

Wiedza przyrodnicza jest dla nas partnerem, nie przeciwnikiem. Przypomnijmy sobie wizje nowoczesnej fizyki, trudne do przełknięcia dla zdrowego rozsądku. Świat nie istnieje, chyba że na niego patrzymy. Prawdopodobieństwo podlega prawom przypadku(!), tak samo jak zachowanie cząstek

elementarnych. Elektrony wiedzą w jakiś sposób o sobie nawzajem. Obiekty kosmiczne (często przywoływane czarne dziury) kurczą się z szaloną szybkością, i to na zawsze. Wszechświat to naturalne siedlisko półmartwych albo półżywych kotów... Dość, pomyśli czytelnik. Nikt nie może być półmartwy ani półżywy (kot czy człowiek), tak jak nie można być trochę w ciąży.

Bardzo słusznie. A jednak „kotu Schrödingera" udała się ta sztuka. Słyszeliśmy o tym zwierzęciu z bajki już na wstępie, kiedy była mowa o demonie Laplace'a, który podobnie jak ów kot stanowi rodzaj alegorii.

Erwin Schrödinger, jeden z ojców fizyki kwantowej, którego wielu stawia na równi z Einsteinem, jest o wiele mniej od Einsteina znany. W Austrii cieszy się wielką popularnością, co prawda głównie z tego powodu, że jego wizerunek znajduje się na banknocie o nominale 1000 szylingów. Słysząc o „kocie Schrödingera" wielu pomyśli zapewne, że chodzi o domowe zwierzę słynnego fizyka i laureata Nagrody Nobla. Tak jednak nie jest.

Kot Schrödingera to konstrukcja myślowa, która pokazuje, jak niewyobrażalne i (z naszego punktu widzenia) irracjonalne są prawa niepodzielnie panujące w świecie atomu, w którym fale materii wywijają dzikie hołubce. Wprawdzie nasz makrokosmos bazuje na tym mikrokosmosie, mimo to obu tych płaszczyzn zamieniać nie można.

Nawet jeśli niejedna opowieść *science fiction* opiera się na takim założeniu (np. niemiecki serial komiksowy *Nick kosmonauta* z lat pięćdziesiątych wykorzystał je w jednym ze swoich cykli), to jednak niestety całkowicie bezpodstawne są wyobrażenia, że atomy mogłyby być mikroskopijnymi układami planetarnymi. Szkoda, bo te historyjki były dość zajmujące.

Dlaczego właściwie atomy nie są miniaturowymi układami planetarnymi? Wyobrażenie, że Układ Słoneczny mógłby być po prostu jednym z atomów jakiegoś supersystemu, a ten znowu atomem systemu wyższego rzędu i tak w nieskończoność, cechuje pewna elegancja. Niestety, nie jest ono realne.

Zilustrujemy to na przykładzie. Jeśli weźmiemy blok

żelaza i będziemy go podgrzewać aż do wyparowania, a następnie z powrotem zestalimy parę, to otrzymamy to samo żelazo. Oznacza to, że konstelacja typowa dla atomów żelaza pozostaje bez zmiany. Taka stabilność jest całkowicie obca układom planetarnym. Gdyby na przykład wymieszać Drogę Mleczną, to charakterystyka poszczególnych układów planetarnych na zawsze uległaby zniszczeniu. Atomy natomiast wykazują stałość, dla której w makrokosmosie gwiazd i planet brak odpowiednika. Na szczęście dla nas, gdyż bez tej stabilności nie istniałyby pierwiastki, więc i nas nie byłoby także. Ta stabilność pozwalająca na trwałość struktury wynika ze swoistej falowej natury elektronu, która wprawdzie wydaje się dziwna w świecie, w którym istnieją takie obiekty, jak stoły czy góry, niemniej jest warunkiem istnienia tego świata.

Powróćmy zatem do „kota Schrödingera", którego nie można by było hodować w charakterze zwierzęcia domowego. Chodzi tu bowiem o falową formę prawdopodobieństwa, która stała się kotem. Trzeba to bliżej objaśnić.

Wspomniany pseudokot jest głównym elementem myślowego eksperymentu Erwina Schrödingera. Do zestawu eksperymentalnego należy ponadto skrzynka, pojemnik z kwasem pruskim, mechanizm uwalniający trujący gaz, zegar, licznik Geigera-Müllera i substancja radioaktywna.

Istnieją dwie możliwości, a prawdopodobieństwo każdej wynosi 50%. Jeśli pierwiastek radioaktywny w ciągu godziny emituje cząstkę, to rejestruje ją licznik Geigera, który włącza mechanizm uwalniający cyjanowodór i kot zdycha. Jeśli w ciągu godziny nie dochodzi do emisji cząstki, to nic się nie dzieje i kot żyje. Jak dotąd, jest to wprawdzie niezbyt humanitarne, ale jednak zrozumiałe. Kłopot dopiero się pojawi.

O ile z pozoru nietrudno sobie wyobrazić stan kota w czasie tej godziny, to dla fizyki kwantowej sprawa nie jest taka prosta. Pyta ona: co dzieje się z kotem w ciemnej skrzyni? Z naszymi mruczącymi przyjaciółmi z makrokosmosu nie działoby się nic tajemniczego. „Kot Schrödingera" jest jednak przeniesionym z mikrokosmosu do naszego świata modelowym zwierzęciem, falową formą prawdopodobieństwa z no-

gami i uszami. Odnoszą się do niej prawa „z dołu", inne od naszych.

Przedstawiony w postaci falowego równania, kot w tym czasie, w którym jego los jeszcze się nie rozstrzygnął, zgodnie z prawami fizyki kwantowej jest *de facto* półmartwy lub półżywy. Zanim ktoś nie zajrzy do skrzyni (pamiętamy o hipotezie obserwatora, mówiącej o tym, że nie istnieje nic, na co się nie patrzy), nieszczęsny kot wiedzie coś w rodzaju półżywota. Jeśli w końcu zajrzy się do skrzyni, to załamuje się funkcja falowa, która ustala jedynie prawdopodobieństwo takiego lub innego rezultatu doświadczenia i albo zwierzę wyskakuje, albo jest wydobywane martwe.

Od czasu sformułowania tak zwanego paradoksu kota toczy się spór wśród fizyków-teoretyków, czy mamy tu do czynienia z matematyczną łamigłówką, czy też rzeczywistością. Kot otrzymał też dwunożnego towarzysza niedoli, którego nazwano „przyjacielem Wignera".

Ów przyjaciel to stworzona przez fizyka Eugene Wignera konstrukcja myślowa, w celu zastąpienia kota człowiekiem. Podczas gdy nawet żywy kot niewiele może powiedzieć o tym, czy w tej skrzyni przez godzinę był w zawieszeniu w jakimś pośrednim królestwie równych prawdopodobieństw, to człowiek mógłby to opisać. Zakładając, że uszedłby z życiem.

Dyskusja nad tym problemem osiągnęła już taki poziom, przy którym kraina czarów Alicji musi się wydawać terenem najnormalniejszym pod słońcem.

Podczas gdy rozsądni (według tradycyjnych wyobrażeń) fizycy kwantowi koci eksperyment traktują jako czystą matematykę bez rzeczywistego odniesienia do makrokosmosu, to inni wskazują na eksperymenty myślowe Johna Bella i Clausera-Freedmanna, według których czysta obserwacja wywołuje faktyczną zmianę rzeczywistości. Nie będziemy się wplątywać w gąszcz abstrakcyjnych rozważań.

Proszę mi wierzyć: tak jest!

Mało tego; wielu teoretyków kwantowych nie zatrzymuje się w pół drogi. Superdeterministyczna interpretacja mechaniki kwantowej mówi, że los kota i tak od czasu prawybuchu był z góry przesądzony. Cokolwiek obserwator mógłby uczynić, nic tego nie zmieni, ponieważ on także przecież jest z góry

zaprogramowany. Jeszcze bardziej oryginalna jest myśl, że wszechświat poza obserwacją w ogóle nie istnieje. W tym obrazie świata o losie kota rozstrzyga jedynie to, co odczuwa obserwator. Jeśli jest optymistą, zwierzę żyje, jeśli zaś ma skłonność do pesymizmu, to nic kotu nie pomoże, choćby ten nawet miał dziesięć, a nie jedno życie do stracenia. Tak to się właśnie dzieje.

Hugh Everett, John Wheeler i Neill Graham uważają, że w rzeczywistości istnieją dwa koty — jeden żywy i jeden martwy, ponieważ wszechświat przy każdym rozstrzygnięciu tak—nie po prostu ulega rozszczepieniu.

Inni znowu logicznie i konsekwentnie rozszerzają krąg obserwatorów, a wtedy w ogóle znika z zasięgu wzroku kres załamań funkcji falowych.

To, drodzy przyjaciele, jest rzeczywistość.

Nie będziemy się mieszać w spory naukowców, które w podejrzany sposób zbliżają się do rozważań nad tym, ile aniołów może się zmieścić na czubku igły. Nam wystarczy następujący wniosek: Kot, którego można głaskać, nie jest falową formą prawdopodobieństwa, a falowej formy prawdopodobieństwa nie można pogłaskać. I na tym koniec.

Świadomie przedstawiłem szczegółowo tę bardziej niż abstrakcyjną koncepcję fizyki teoretycznej z niektórymi jej jeszcze dziwniejszymi następstwami. Niech to będzie przygotowanie do następnego kroku.

Rzeczywistość, jak pokazuje przypadek „kota Schrödingera" (i nie tylko), nie jest czymś stabilnym, ale tym, za co ją akurat uważamy. To niezwykłe wyobrażenie, ale przyjmijmy je.

Ma ono chyba także dobre strony; przestajemy się na przykład obawiać ryzyka spekulacji. Skoro wszechświat już jest tak zwariowanym miejscem, prawa natury tak nonsensowne, a w głębi atomów rządzi przypadek, to nie ma potrzeby ukrywać spraw fantastycznych. Przeciwnie, można z całym spokojem spróbować je rozważać tak, jak kwestię „kota Schrödingera". Taką właśnie próbę chcemy podjąć.

Nie ma obawy, nie będziemy tworzyli pseudonaukowej wizji świata wypełnionego po brzegi niewidzialnymi „Rozpruwaczami" krów, rzeźnikami z nieba, wiadomościami z za-

światów, samobójcami ulegającymi samospaleniu, jasnowidzami, specjalistami od lewitacji, telekinezy i podobnych wyczynów. To zbyteczne. W tym celu musielibyśmy znać jednoznaczne wyjaśnienie tych zjawisk, a przecież go nie znamy. Jeszcze nie.

Zróbmy co innego. Popatrzmy na nieznane jak na zbiór elementów układanki, który składa się na wielki, lecz bardzo niekompletny obraz. Zastanówmy się, gdzie umieścić ten czy inny element (unikając jednak dowolności) i jak mogłyby ewentualnie wyglądać elementy brakujące. Natrafimy przy tej okazji jeszcze na niejedno niezwykłe zjawisko...

Świat bez granic

Maski życia

Przekonaliśmy się, że na mapie nauki pozostało jeszcze wiele białych plam, a są pewnie i takie, o których nawet nie wiemy. Może kiedyś się uda tę mapę uzupełnić, ale na pewno nie nastąpi to w bliskiej przyszłości. Tymczasem oprzyjmy się wygodnie w fotelu i spróbujmy oddać się swobodnym rozmyślaniom. Wiemy, że nie jesteśmy jedyną formą życia na Ziemi. Niewykluczone, że kiedyś tak będzie, ale na razie jeszcze glob ziemski dzielą z nami miliony innych istot. Pytanie brzmi: Czy rzeczywiście znamy już wszystkie? Wprawdzie w przedmowie padła twierdząca odpowiedź, ale teraz nie jesteśmy już tego tak całkiem pewni. Oczywiście, raczej nie należy się spodziewać odkrycia jakiegoś nieznanego płaskowyżu, na którym przeżyły miliony lat dinozaury, jak pisze Arthur Conan Doyle w powieści *Świat zaginiony*. Odkrywanie natomiast „żywych skamieniałości" jest na porządku dziennym, czego dowodzi choćby słynny przedstawiciel trzonopłetwych (*latimeria chalumnae*), który mimo pewnych wątpliwości zoologów powinien według nich być gatunkiem dawno wymarłym.

Smoka z wyspy Komodo również uważano jeszcze w naszym stuleciu za mitycznego stwora, dla którego nie było miejsca w katalogu gatunków. Było tak aż do chwili, gdy zorganizowana w latach trzydziestych ekspedycja amerykańska przywiozła z Indonezji żywy okaz takiego stwora (warana).

Cóż jeszcze mogło ujść naszej uwagi? Tak naprawdę zbadano dokładnie jedynie niewielką część powierzchni Ziemi, nie wspominając już nawet o morzach. Jednak zasób nagromadzonej wiedzy jest doprawdy gigantyczny. Przyjmij-

my więc kompromisową formułę: „Mamy już dość dokładną wiedzę o naszych braciach zwierzętach i ich niezliczonych formach. Nie wiemy jednak wszystkiego..."

Wiele zjawisk dzieje się na naszych oczach, a mimo to uchodzi naszej uwagi.

Pomyślmy choćby o delfinach. Podziwiamy ich zdumiewające umiejętności na pokazach i jesteśmy im wdzięczni, dowiadując się, że holują rozbitków na brzeg albo nawet bronią ich przed rekinami (tak naprawdę się zdarza).

Nie przeszkadza nam to jednak wcale mordować delfiny na skalę masową albo wyzyskiwać ich umiejętności do celów wojennych, z niewielkim co prawda sukcesem, ponieważ delfiny najwidoczniej są „za głupie", aby odróżnić okręty podwodne przeciwnika od własnych.

Nasuwa się pytanie: Czy one naprawdę są za głupie? Sądzę, że żaden naukowiec nie byłby w stanie powiedzieć z absolutną pewnością, czy delfiny i ich krewniacy mogą się mierzyć z naszą inteligencją. Jeśli tak, to są widać wystarczająco sprytne, by to przed nami zataić. Dzięki temu, choć postępujemy wobec nich haniebnie, nie spotkał ich jednak dotąd taki los, jaki staramy się zgotować każdemu, kto wydaje się nam konkurentem do tytułu korony stworzenia.

Nie wspominaliśmy jeszcze wcale o roślinach. Kiedy Cleve Backster, najwybitniejszy i głośny już ekspert amerykański od wykrywaczy kłamstwa, przedstawił swoją hipotezę o zdolności do komunikacji naszych zielonych przyjaciół, spotkał się początkowo tylko z niewiarą i drwiącym śmiechem. Z czasem jednak śmiech ten umilkł.

Backster i jego zwolennicy wieloma eksperymentami dowiedli, że rośliny istotnie niezbadaną drogą utrzymują ze sobą łączność i reagują na emocje ludzi, co można sprawdzić: kwiaty rozkwitają, aby sprawić radość lubianym osobom. Rośliny wysyłają i odbierają takie sygnały (być może nawet z przestrzeni kosmicznej), którym niektórzy fizycy przypisują prędkość przesyłania wyższą od prędkości światła; być może w dalekiej przyszłości dałoby się je wykorzystać jako „hiperradio" na międzygwiezdnych dystansach.

To tylko wierzchołek góry lodowej. Prawdopodobnie jesteśmy w stanie uchwycić tak skromny wycinek rzeczywisto-

ści, jak skromny jest zakres wrażeń odbieranych przez nasze zmysły.

Przyroda jest tajemnicą, a jej misteria pozostają zagadką. To sformułowanie, choć nieco napuszone, trafia zapewne w samo sedno. Tak naprawdę nie mamy najmniejszego pojęcia o tym, czym jest natura.

Choć jesteśmy w stanie wytępić całe gatunki (i robimy to z wielką zręcznością), to jednak nie możemy mieć pewności, czy sieć, którą zarzuciliśmy na przyrodę, nie jest dziurawa.

Przypatrzmy się stworzeniom, które, jak się zdaje, wciąż przedostają się przez oka sieci, burząc naszą niezachwianą wiedzę.

Ukaże się naszym oczom zdumiewające panoptikum. Niech więc jego mieszkańcy defilują przed nami, niezgodnie z porządkiem alfabetycznym, ale właśnie tak, jak się pojawiają: nieoczekiwanie i niesystematycznie...

Stwory z bajek, monstra i fantomy

Ślady diabła

Osobliwe znaleziska odkryte w okolicy angielskiej wyspy Canvey w latach pięćdziesiątych naszego wieku przypomniały tamtejszym mieszkańcom zdarzenie, jakie prawie sto lat wcześniej przejęło zgrozą mieszkańców Devonshire. Zdarzenie to, które jest obszernie udokumentowane, rozegrało się śnieżną nocą 7 lutego 1855 roku. Coś dziwnego musiało wówczas wędrować po okolicy, nie omijając budynków wzniesionych przez człowieka.

Rankiem 8 lutego mieszkańcy hrabstwa spostrzegli ślady wędrówek nocnego gościa, jakich nie mógł pozostawić ani człowiek, ani zwierzę, ani pojazd. Także i obecnie nie byłoby dla nich wytłumaczenia. Były to dziesiątki tysięcy niewielkich tropów, najwidoczniej pochodzących od istoty dwunożnej, przypominające odciski podkutych kopyt osła. Nasuwały skojarzenie z Belzebubem, nie tylko zresztą ze względu na swój wygląd.

Odciśnięte w świeżym śniegu ślady biegły prosto jak po sznurku, pokrywając teren na przestrzeni stu kilkudziesięciu kilometrów, od Topsham i Bicton na północy po Dawlish i Totnes na południu. Także Lympstone, Exmouth i Teignmouth, Exeter i Devon znalazły się w zasięgu tego horroru, za jaki wkrótce uznano te ślady.

Nie były bowiem wcale normalne. „Ślady diabła" biegły prosto przez wszelkie przeszkody terenowe i można je było widzieć nawet w najbardziej niedostępnych miejscach. Były na dachach i ścianach domostw, płotach, murach, dosłownie wszędzie. Cokolwiek je pozostawiło, musiało się przemieszczać przez tereny hrabstwa z szybkością rakiety, uważając

przy tym za swój punkt honoru, by nie pominąć żadnego miejsca.

W Lympstone prawie nie było ogrodu, którego by nie pokrywały te ślady. Pewien piekarz z Topsham opowiadał, że ślad zmierzający prosto do jego małego sklepu w odległości metra od drzwi wejściowych skręcił pod kątem prostym wspinając się na mur o wysokości półtora metra, a potem biegł dalej prosto, dokładnie po zwieńczeniu muru.

Precyzja idealnych prostych linii, jakiej nie mogłaby osiągnąć żadna ludzka istota, to tylko jedna z tajemnic tych „śladów diabła". Z pewnością i w tamtych czasach można by wykonać jakiś mechanizm pozostawiający równie proste linie odcisków. Nie dałoby się ich jednak zrobić na dachach ani wysokich płotach, a już zupełnie niemożliwe byłoby uniknięcie pozostawienia przy tym innych śladów na świeżym śniegu.

Jeszcze mniej realne byłoby pokonanie najróżniejszych przeszkód, które musiałyby nieuchronnie powstrzymać każdego, oprócz tajemniczego gościa.

Jego jednak (o ile był to „on") nic nie mogło powstrzymać. Ani stóg siana, przez który przechodziły ślady nie burząc go, ani mur czterometrowej wysokości, przed którym ślady się kończyły, aby biec dalej po drugiej stronie, ani też ujście rzeki Exe o szerokości trzech kilometrów. Można było tam odnieść wrażenie, jakby nieznana istota po prostu przeskoczyła na drugą stronę. Nie mniej niesamowity i niewytłumaczalny był fakt, że między poszczególnymi odciskami był zawsze zachowany jednakowy odstęp wynoszący 21 centymetrów.

Wieczorem 8 lutego w całym hrabstwie Devonshire panowało wielkie poruszenie. Mężczyźni przeczesywali okolicę z bronią w ręku. Nie odkryto niczego poza dalszymi śladami na polach i dachach domów, w zatoce w pobliżu Powderham Castle (znowu mimo wodnej przeszkody) oraz w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach. Biegły w idealnej linii prostej, zawsze z takim samym odstępem między poszczególnymi odciskami. Sprawa ta wywołała wielką wrzawę w prasie; „Times", „Illu-

strated London News" i inne gazety pisały o niej wielokrotnie.

Nie zabrakło również prób znalezienia naturalnego wyjaśnienia tego zjawiska. Ślady miały pozostawić wilki, kangury, ptaki, wydry, szczury albo też (nie mniej oryginalna koncepcja) liny zwisające z balonu. Profesor Owens, który wcześniej szybko się rozprawił ze złowieszczym wężem morskim, demaskując go jako fokę, nie zawiódł także w tym przypadku i jasno zakwalifikował nocnego wędrowca jako borsuka.

Niemal wszystkie wyjaśnienia pasowały do niektórych cech charakterystycznych śladów. Żadne jednak nie uwzględniało wszystkich aspektów.

„Ślady stóp diabła" nie są tak rzadkim zjawiskiem, jak można by sądzić.

Jak donosi „Illustrated London News" z 14 marca 1855 r., niemal identyczne odciski ukazywały się co roku na śniegu i piasku na pewnym wzgórzu w pobliżu polskiej granicy. Istnieje również notatka z maja 1846 r. w dzienniku wyprawy na Antarktydę Jamesa Rossa. Odnotowuje on odkrycie śladów przypominających odciski kopyt na Wyspach Kerguelena w pobliżu Antarktydy. Trzeba tu zauważyć, że w tej okolicy nie ma żadnych zwierząt, które mogłyby takie ślady pozostawić.

Cokolwiek to jest, maszeruje niestrudzenie...

Już od XIX w. na plażach New Jersey i okolicy grasuje tak zwany diabeł z Jersey pozostawiając ślady uderzająco podobne do poprzednio omówionych. Tropy te również przechodzą przez przeszkody, na przykład ogrodzenia z drutu kolczastego.

Wydaje się, że istnieją różne kategorie „diabłów".

Odciski parzyste, w formie półksiężyca, mniejsze i nie tak regularne jak tamte z lutego 1855 roku z Devon, odkryto w 1945 r. w Belgii.

W październiku 1950 r. pewien człowiek nazwiskiem Wilson znalazł się na odludnej plaży na zachodnim wybrzeżu Devon. Natrafił tam na ślady znacznych rozmiarów, pozostawione najwidoczniej przez „diabła". Odstępy między poszczególnymi odciskami kopyt wynosiły aż dwa metry.

Dziwne były tu dwie okoliczności: ślady nie były odciśnięte, ale wydawały się usypane z piasku, a poza tym zaczynały się tuż pod stromą ścianą skalną, a stamtąd biegły prosto do morza. Ten fakt najbardziej zastanowił Wilsona, to on bowiem zszedł jako pierwszy w czasie odpływu morza w dół, do zatoki z trzech stron zamkniętej skałami.

Jeszcze dziwniejszy przykład takich śladów opisuje podróżnik James Alan Rennie, który prawdopodobnie spotkał ich sprawcę, nie mogąc go jednak zobaczyć.

Rennie, który w 1924 r. wędrował w towarzystwie Kanadyjczyka — poganiacza psów, przekraczając zamarznięte jezioro w północnej Kanadzie zauważył rząd wielkich, parzystych śladów rozmieszczonych w równomiernych odstępach. Na ich widok nieustraszony poganiacz psów zaczął dygotać ze zgrozy.

Kiedy Rennie później w pojedynkę wracał tą samą drogą przez jezioro, zrozumiał przerażenie swego towarzysza. Jak sam opisuje, był oddalony od brzegu o niecały kilometr, gdy ślady zaczęły się nagle pojawiać bez przyczyny przed jego oczyma: „Mimo że nie było widać żadnego zwierzęcia ani innej żywej istoty, ślady pojawiały się jeden po drugim zbliżając się niepowstrzymanie właśnie w moim kierunku. Stałem jak skamieniały i ze zgrozy nie byłem w stanie zdobyć się na żadną jasną myśl. Ślady było widać w odległości pięćdziesięciu metrów, potem dwudziestu, dziesięciu. Wreszcie rozległ się plusk. Krzyknąłem głośno, kiedy woda opryskała mi twarz. Wytarłem oczy, odwróciłem się i zobaczyłem, jak ślady biegną dalej po powierzchni jeziora..." Tyle Rennie.

Opis ten, wyrwany z kontekstu, budzi słuszne wątpliwości. Człowiek przemierzający samotnie lodowate pustkowia Kanady może łatwo ulec przywidzeniom, choć James Alan Rennie nie był bynajmniej niedoświadczonym niedzielnym turystą.

W każdym razie istnieje mnóstwo doniesień, przekazów, dokumentacji i legend na temat niezwykłych śladów. Bez wdawania się w szczegóły można przyjąć, że jest w nich coś niesamowitego, choć niekoniecznie w związku z diabłami czy demonami.

Nasuwa się pewna śmiała hipoteza, która mogłaby wyjaśnić, co tamtej nocy w lutym 1855 r. pozostawiło niezliczone ślady (prawdopodobnie były ich miliony) w kilku miejscowościach na wybrzeżu Devon i po odtańczeniu dzikiego, niewidzialnego tańca po polach i łąkach, ogrodzeniach, murach i dachach domów znikło bezpowrotnie.

Jak już wspomnieliśmy, niemal sto lat później, w listopadzie 1953 r. na brzeg brytyjskiej wyspy Canvey fale wyrzuciły dziwną istotę. Nigdy dotąd nie widziano niczego podobnego. Nieznana istota była pokryta grubą, brunatną skórą o czerwonawym odcieniu, miała około 80 centymetrów wzrostu i nieforemną głowę z parą wyłupiastych oczu. Znalezisko przykryto wodorostami i powiadomiono władze.

Lokalne władze uznały, że sprawa przekracza ich kompetencje i zwróciły się do rządu w Londynie. Na Canvey przyjechało dwóch poważanych zoologów, którzy zbadali, zmierzyli i sfotografowali dziwne stworzenie i wreszcie oświadczyli, że nie jest ono spokrewnione z żadną spośród znanych istot żywych ani też żadnej nie przypomina.

Pochodziło prawdopodobnie z morza. Kształt jego kończyn pozwalał na przemieszczanie się w postawie zgiętej albo wyprostowanej. Więcej szczegółów akta nie zawierają, gdyż uczeni postanowili raz na zawsze usunąć tę zoologiczną zagadkę. Kazali spalić znalezioną istotę i odmówili wszelkich oficjalnych komentarzy.

Ta wypróbowana taktyka ukrywania faktów dałaby lepsze wyniki, gdyby 11 sierpnia następnego roku fale nie wyrzuciły na ląd kolejnej martwej istoty. Wielebny Joseph Overs dosłownie się o nią potknął przechadzając się po plaży niedaleko miejsca znalezienia pierwszego „zwierzęcia". Zwłoki leżały w kałuży pozostałej po ostatnim odpływie. Duchowny powiadomił policję, która wyciągnęła dziwną istotę na brzeg. I znowu eksperci przystąpili do dzieła. Choć tym razem badania przeprowadzono z większą starannością, to jednak nie zdołano oficjalnie zaklasyfikować także tego okazu.

Zwierzę(?) było niemal dwukrotnie większe od poprzedniego, ważyło około 12 kilogramów i zachowało się w dob-

rym stanie. Miało dwoje wielkich oczu, nozdrza, otwór gębowy z mocnymi, ostrymi zębami i skrzela. Zamiast spodziewanych łusek okrywała je różowa skóra, przypominająca skórę świni. Podobnie jak poprzednie miało dwie krótkie nogi, zakończone stopami o łukowatych podeszwach. Wszelkie inne szczegóły przemilczano.

Możemy snuć domysły, czy te dziwne, niezidentyfikowane formy życia były odpowiedzialne za pozostawione sto lat wcześniej w nocy „ślady diabła" w Devonshire, czy też stanowią nową zagadkę. Do dziś nie ma na to pytanie odpowiedzi.

Od biedy można by jeszcze pogodzić się z myślą, że nieznane stworzenia buszują po nocach, wychodzą z morza, żeby do niego wrócić przed nadejściem świtu, czy też wiodą samotniczy żywot w niedostępnych kryjówkach. Opowieści o Wielkiej Stopie czy Sasquatch mogą zawierać ziarno prawdy, podobnie jak legendy wielu narodów i plemion, mówiące o przemykających przez lasy kudłatych postaciach i innych dziwach.

Również cywilizowani ludzie miewają podobne przygody. Kłopot pojawia się jednak wtedy, gdy te istoty zupełnie nie pasują do naszego świata.

Stworzenia nie z tego świata

Są takie zjawiska, które właściwie musiałyby zostać dawno odkryte, gdyby w nich chodziło o jakąś formę życia. Przykładem może być słynny człowiek-mól z Wirginii Zachodniej.

Niczym w klasycznym filmie grozy zjawa ta ukazała się po raz pierwszy na cmentarzu, by wkrótce objąć zasięgiem swego działania jeden ze stanów w USA.

12 listopada 1966 r. na cmentarzu w pobliżu miejscowości Clendenin pięciu grabarzy kopało właśnie grób, kiedy z korony drzewa sfrunął dziwny stwór i zaczął krążyć nad głowami wystraszonych ludzi. Nigdy dotąd nie widzieli oni jeszcze niczego podobnego. Stwór nie przypominał żadnego ze znanych ptaków, ale wyglądał jak „brązowy skrzydlaty człowiek", według słów świadka Kennetha Duncana z Blue Creek.

Po upływie około minuty znikł między drzewami, odprowadzany wzrokiem pięciu grabarzy. Zapomnieliby oni zapewne o dziwnym zjawisku, gdyby w rozmowach między znajomymi nie wyszło na jaw, że widzieli je także inni. Pewna kobieta, zamieszkała nad rzeką Ohio w pobliżu Clendenin, niespełna rok wcześniej musiała uspokajać swojego siedmioletniego synka, kiedy ten z uporem twierdził, że widział anioła (skrzydlatego człowieka). Oczywiście nie uwierzyła słowom dziecka: wiadomo przecież, jak bujną fantazję miewają dzieci. Nie można było jednak równie łatwo wytłumaczyć tego, co widziała pewna lekarka z doliny rzeki Ohio latem 1966 r. Kiedy była koło swego domu, ze strachem spostrzegła jakąś istotę o długości około 180 centymetrów, która szybko nad nią przeleciała. Istota przypominała jej ogromnego motyla czy też mola.

To był tylko wstęp do dalszych zdarzeń. W listopadzie 1966 r. podobne obserwacje zaczęły się szerzyć jak epidemia. Trzy dni po ukazaniu się na cmentarzu człowieka-mola, jak tymczasem nazwano to stworzenie, odbyły z nim długie spotkanie dwie młode pary. Małżonkowie Scarberry i Mallette przejeżdżali około północy przez rejon zwany okolicą TNT, ponieważ w czasie drugiej wojny światowej składowano tam amunicję i materiały wybuchowe. Teren ten znajduje się około siedmiu mil od Point Pleasant (Wirginia Zachodnia). Jak się miało okazać później, człowiek-mól widocznie miał upodobanie do tej okolicy.

W każdym razie nocą z 15 na 16 listopada 1966 r. stał przy drodze wpatrując się w przejeżdżające tamtędy dwie pary, podobnie jak one w niego.

„Wyglądał jak człowiek, tylko był dużo większy — opowiadał potem Roger Scarberry. — Mógł mieć ze dwa metry wzrostu albo i więcej. Na plecach miał złożone wielkie skrzydła".

Inny szczegół jednak jeszcze długo miał się obu parom śnić w koszmarnych snach, a mianowicie oczy nieznanego stwora. Drżąc ze zgrozy Linda Scarberry opowiadała: „Jego oczy nas wprost zahipnotyzowały. Były wielkie, czerwone, jak światła hamowania samochodu".

Opis ten mógłby (podkreślam, mógłby) nasuwać skojarzenie z pewnym zdarzeniem, które poprzedniej nocy rozegrało

się w niedalekim Salem. Przyznajemy, że to czysta spekulacja, ale nie całkiem bezpodstawna. Tej nocy pewien człowiek nazwiskiem Newell Partridge widział na swym polu dwa okrągłe, świecące czerwonym światłem obiekty, niczym ogromne płonące oczy. Jego pies, owczarek niemiecki wabiący się Bandyta, pognał w pole za tymi czerwonymi światłami i nikt go nigdy więcej nie widział.

Choć oba małżeństwa nic nie wiedziały o tym zdarzeniu, to i tak nie miały ochoty zawierać bliższej znajomości z ponurym osobnikiem. Roger nacisnął pedał gazu, by wreszcie zostawić za sobą okolicę TNT i pomknęli z prędkością przeszło 150 kilometrów na godzinę po autostradzie 62 prowadzącej do Point Pleasant. Nagle żona Rogera zawołała przerażona: „On leci za nami!"

Wszyscy czworo zaklinali się potem, że zjawa leciała nad nimi na małej wysokości z rozpostartymi skrzydłami (które musiały mieć ponad trzy metry rozpiętości), bez trudu nadążając za szybko jadącym samochodem. Co dziwne, nie poruszała przy tym skrzydłami.

„Leciał za nami aż do granicy stanu — opowiadał Roger. — Tam zauważyliśmy zdechłego psa, to było dziwne".

Czwórka ogarniętych paniką podróżnych zatrzymała się dopiero przed biurem szeryfa Mason County, gdzie rzuciła się na zastępcę szeryfa Millarda Halsteada, żeby mu opowiedzieć swoją pełną grozy historię. Ten, będąc ich znajomym, uwierzył w to, co mówili. Wszyscy razem wrócili w okolicę TNT. Człowieka-mola nie było nigdzie widać, ale z radiostacji w wozie policyjnym zaczęły się nagle wydobywać dziwne dźwięki, przywodzące na myśl zbyt szybko odtwarzaną płytę gramofonową.

Nocny lotnik był jeszcze kilkakrotnie widziany w okolicy TNT, często przez kilka osób jednocześnie. Małżonkowie Wamsley, jadący razem z niejaką Marcellą Bennett i jej córeczką Tiną w odwiedziny do zaprzyjaźnionej rodziny Thomasów, widzieli krążące nad tą okolicą dziwne czerwone światło, choć na razie nie zwrócili na nie uwagi.

Kiedy przyjechali do domu Thomasów, znajdującego się w okolicy TNT, Raymond Wamsley postanowił dla żartu zapukać w okno swoich przyjaciół. Swego zamiaru jednak nie wykonał.

Pani Bennett wysiadła jako pierwsza trzymając na ręku dwuletnią Tinę, kiedy za samochodem ukazała się przerażająca postać. Było to coś szarego, większego od człowieka, z niesamowitymi oczyma świecącymi czerwonym światłem.

Marcella Bennett doznała szoku. Mała Tina wypadła z jej ramion, ona zaś osunęła się nieprzytomna na ziemię. Wamsleyowie pognali do domu, jakby ich diabel gonił, a za nimi Marcella, która po chwili przyszła do siebie i zabrała swoją córeczkę.

W domu Wamsleyowie, pani Bennett i troje dzieci rodziny Thomasów (rodziców nie było w domu) zesztywnieli ze strachu, gdy tymczasem to „coś" człapało tam i z powrotem po werandzie, zaglądając przez okna do wnętrza domu. Raymond Wamsley wezwał na pomoc policję, jednak nieproszony gość nie czekał, aż przyjedzie. Przeżycie to spowodowało taki uraz psychiczny u pani Bennett, że przez wiele miesięcy nie była w stanie o tym mówić nawet ze swoją rodziną i musiała podjąć leczenie u psychiatry.

Człowiek-mól, którego czytelnicy komiksów nazywali także Batmanem, ukazywał się w tym czasie w okolicy miast Mason, Lincoln, Logan, Kanawah.

Oczywiście nie dało się uniknąć konieczności zajęcia oficjalnego stanowiska w tej sprawie. Zabrało w niej głos wielu ekspertów, którzy nie dopatrzyli się tu niczego nienormalnego, mogli więc uspokoić opinię publiczną.

Na przykład dr Robert Smith z wydziału biologii Uniwersytetu Wirginii Zachodniej oświadczył, że chodzi tu o rzadki okaz żurawia Sandhilla. Świadkowie, którym pokazywano zdjęcia tego ptaka, nie widzieli jednak jakiegokolwiek podobieństwa z człowiekiem-molem. Roger Scarberry zauważył ironicznie: „Chciałbym zobaczyć, jak ten żuraw ściga się z naszym samochodem".

Trzeba było w końcu także wyeliminować niedźwiedzie, sowy, indyki i wiele innych zwierząt, które podejrzewano o spowodowanie tego całego zamieszania. Akta sprawy wypełniły kilka grubych segregatorów, nie będziemy tu jednak rozwijać szczegółowo tego wątku, ilość nie stanowi bowiem jeszcze dowodu ani nawet poszlaki. W sumie można jednak z dużą dozą pewności przyjąć, że przyczyną nie była ani

zbiorowa histeria, ani żaden ze znanych gatunków zwierzęcych. Zbyt wielu świadków niezależnie od siebie podawało te same szczegóły: czerwone hipnotyzujące oczy, zdumiewająca prędkość lotu ślizgowego (zjawa ścigała się raz nawet z samolotem), podczas którego skrzydła pozostawały nieruchome, i wiele innych.

W niektórych przypadkach pojawiania się tego stworzenia (czy cokolwiek to było) radioodbiorniki wydawały takie same dziwaczne dźwięki jak radiostacja wozu policyjnego zastępcy szeryfa Halsteada.

Pod koniec 1967 r. dziwny lotnik bywał widziany coraz rzadziej i wreszcie zupełnie przestał się pojawiać, powróciwszy zapewne w nieznane rejony, z których przybył.

Można się zastanawiać, czy makabryczne wydarzenie z kwietnia 1969 r., które zaszło koło pewnej farmy w pobliżu New Haven (Wirginia Zachodnia), było ostatnim znakiem życia człowieka-mola czy też nawiedziła tę część USA inna osobliwość (może „Rozpruwacz" krów?) Dyskusja na ten temat nie jest zakończona.

Tego kwietniowego ranka Ernest Adkins znalazł swojego jedenastotygodniowego psa rasy beagle martwego na podwórzu. Ciało psa nie zdradzało żadnych oznak stoczonej walki i tylko w jego boku widniał duży, równo wycięty otwór. Serce beagle'a leżało obok. Żadne ze znanych zwierząt nie mogło tego zrobić.

Najpóźniej w tym momencie powinien paść zarzut, że już od pewnego czasu poruszamy się po kruchym lodzie śmiałych spekulacji. Jest to absolutnie słuszny zarzut. Przytaczanych tu faktów nie da się udowodnić w sposób pewny, snute zaś przeze mnie przypuszczenia to w najlepszym przypadku hipotezy. Z tym również wypada się zgodzić.

Niczego jednak nie musimy udowadniać. W trzeciej części tej książki nie chcemy przedstawiać ścisłych opisów ani dowodów, ale całą gamę dziwacznych zdarzeń, zjawisk i fenomenów natury, które gorszą wyznawców klasycznego obrazu świata. Dzięki temu, miejmy nadzieję, uświadomimy sobie, że nasz tradycyjny obraz świata nie jest wprawdzie fałszywy, ale zbyt wąski. Trzeba go poszerzyć tak, by znalazło się w nim miejsce dla nieznanych stworzeń, skądkolwiek pochodzą, dla

nowych właściwości ludzi, zwierząt, roślin i materii w ogóle oraz dla nowego spojrzenia na prawa natury (które zresztą i tak według nowoczesnych teorii naukowych są już dostatecznie egzotyczne).

Atawizmy i wytwory człowieka, odmieńcy i chimery

Nie mamy wprawdzie pojęcia, co naprawdę dreptało po naszych polach i domach, co pozostawiło w lasach i lodowatych górach ogromne odciski stóp albo szybowało z gorejącymi oczyma po nocnym niebie. Zjawiska te jednak były widziane i pozostawiły uchwytne ślady. Powinno nam to wystarczyć.

Nie ma potrzeby szczegółowego przedstawiania całego zoo monstrów i fantomów. Niektóre z nich, jak na przykład skrzydlate koty z Wirginii Zachodniej (znowu!) i Ontario, są być może autentycznymi wybrykami natury. Inne, jak można sobie wyobrazić, należą do kategorii rzadkich egzotycznych stworów wiodących żywot w niedostępnych niszach ekologicznych. Mogłyby to być owe martwe stwory wyrzucone przez fale na brzeg wyspy Canvey, podobnie jak to bezgłowe coś, co wyglądało niczym świnia z ogonem langusty i zostało odnalezione w 1885 r. w Adelajdzie w Australii.

W naszych postępowych czasach także my sami staramy się ze wszystkich sił dopomóc naturze w produkowaniu dziwacznych mutantów. Robimy to zarówno prostymi sposobami, jak przy wykorzystaniu najbardziej wyrafinowanej techniki. Jeśli na przykład płaz aksolotl otrzyma zastrzyk hormonu tarczycy, to zaczną rosnąć mu nogi, zaniknie płetwa ogonowa i skrzela i oto stanie przed nami zwierzę lądowe, jakiego w naturze wcale nie ma. Tak łatwo jest obudzić pozostające w uśpieniu programy genetyczne.

Możliwe są także ambitniejsze ingerencje: przy użyciu określonego wirusa grypy, który, jak wiele innych wirusów, zabity ma właściwość stapiania obcych komórek, można łączyć ze sobą komórki człowieka i myszy. Materiał chromosomowy jąder komórkowych człowieka i myszy stapia się

w jedno jądro komórkowe i tak powstała komórka zaczyna się dzielić.

Zgodnie z aktualnym stanem wiedzy można to robić także bez pomocy wirusów, rozpuszczając komórki enzymami. Wyprodukowano już dziś niemało zmodyfikowanych komórek zwierzęcych z domieszką gatunku ludzkiego pod postacią chromosomów pochodzących od człowieka, w każdym przypadku podporządkowanych zwierzęcej zasadzie ukształtowania danego organizmu. Pięknie, prawda? A to dopiero początki...

Oczywiście, sama przyroda była w eksperymentowaniu zawsze niedoścignioną mistrzynią. Nasze poszukiwania pozostałości po najbardziej odległych epokach konfrontują nas stale z takimi znaleziskami, których naszym zdaniem właściwie nie może być.

Na przykład olbrzymy.

W pobliżu Brayton (Tennessee) odkryto ślady człowieka odciśnięte w twardej skale. Już to było dziwne, jednak jeszcze dziwniejszy był fakt, że ów praczłowiek miał piętę o szerokości 25 centymetrów i sześć palców u nogi. Towarzyszył mu, jak się okazało, pasujący do niego „koń-olbrzym", który zostawił odciski kopyt o równie imponującej szerokości 25 centymetrów. Próżno by szukać takich gatunków w klasycznym drzewie genealogicznym.

Wiemy, że dinozaury, pod których potężnymi nogami przez 140 milionów lat dudniła ziemia, zginęły w jakiejś katastrofie około 65 milionów lat temu. Wprawdzie nie wiemy dokładnie, co spowodowało tę katastrofę, ale na podstawie złogów irydu w osadach z tego okresu wysunięto hipotezę o uderzeniu gigantycznego meteorytu, które wzbiło w powietrze takie masy ziemi i pyłu, że przez wiele lat nie mogły do powierzchni Ziemi docierać promienie słoneczne. Wskutek tego wymarło wiele gatunków, zależnych od siebie nawzajem. Za taką hipotezą wydaje się przemawiać fakt, że wyginęły niemal z dnia na dzień nie tylko ogromne gady, ale także prawie wszystkie inne żywe stworzenia o wadze przekraczającej 10 kilogramów. Prawdopodobnie bez tej interwencji z nieba gatunek *homo sapiens* w ogóle by się nie wyłonił,

ponieważ żyjące ówcześnie ssaki, które możemy uważać za naszych dalekich przodków, były małymi gryzoniami odgrywającymi podrzędną rolę. Kariera ssaków zaczęła się od momentu zniknięcia z powierzchni Ziemi większych zwierząt; jej ukoronowaniem jesteśmy my (przynajmniej jeśli idzie o zdolność myślenia; bo pod względem harmonijnego współistnienia z przyrodą nie moglibyśmy się równać nawet z karaluchem).

Wszystko to należy do kanonu wiedzy. Wyłania się jednak kłopotliwe pytanie, skąd się wziął ten pochodzący niewątpliwie z prehistorycznych czasów rysunek wyskrobany na skale Havasupai Canyon, odgałęzienia Wielkiego Kanionu Kolorado, przedstawiający z wszelkimi szczegółami gada *tyrannosaurus rex*. Wydaje się, że ogromny jaszczur spogląda z pogardą na dzisiejszych badaczy, którzy żadnym sposobem nie mogą pojąć, kto uwiecznił jego portret w granicie. Obraz ten, umieszczony wysoko na ścianach kanionu, jest tak stary, że utworzyła się już na nim ochronna warstwa żelaza. Jak wiadomo żelazo wydziela się z kamienia, co musiało w tym przypadku trwać już od nieprawdopodobnie długiego czasu.

Co ciekawe, w tym samym kanionie jest jeszcze inny zagadkowy rysunek na skale. Ukazuje on człowieka ogromnych rozmiarów w walce z mamutem. Także i ten wizerunek jest pokryty nalotem żelaza powstałym na przestrzeni milionów lat.

W 1833 r. żołnierze zatrudnieni przy budowie magazynu prochu w Lampock Rancho (Kalifornia) wydobyli szkielet człowieka, który musiał mieć prawie cztery metry wzrostu. Zmarłego otaczały zdobione muszle i porfiry pokryte niezrozumiałymi symbolami. Obok ciała leżała gigantycznych rozmiarów kamienna siekiera. Mało tego, prehistoryczny olbrzym miał w górnej i dolnej szczęce po dwa rzędy zębów.

Na wyspie Santa Rosa w tym samym stanie USA już wcześniej wydobyto ogromny szkielet istoty człekokształtnej mającej cztery rzędy zębów.

W sztolni numer trzy kopalni Eagle Coal w Bay Creek (Montana) górnicy odkryli w listopadzie 1926 r. wielkie zęby

trzonowe człowieka. Problemem dla archeologów i antropologów był fakt, że zęby te znajdowały się w warstwie osadów, której wiek szacowano na co najmniej 30 milionów lat. W 1958 r. w kopalni we Włoszech znaleziono kompletny szkielet człowieka. Znajdował się on w pokładzie węgla liczącym co najmniej 11 milionów lat. Choć posiadacz tego szkieletu był przeszło dziesięć razy starszy od najdawniejszego znanego praczłowieka, to i tak można go jeszcze uznać za niemal nam współczesnego w porównaniu z tą podobną do człowieka istotą, która pozostawiła odcisk swej stopy w piaskowcu pochodzącym z epoki karbonu (ok. 350 — ok. 270 milionów lat temu!) Takie ślady nie są czymś wyjątkowym; po niektórych nawet stąpały później dinozaury.

Jednak za największą sensację wypada uznać skamieniały odcisk buta znaleziony w Fisher Canyon (Newada), zachowany w pokładzie wapienia powstałym z muszli skorupiaków w okresie triasu (ok. 220 — ok. 180 milionów lat temu). Wyraźnie można rozpoznać starannie przykrojoną, przyszytą podwójnym ściegiem podeszwę ze skóry.

Robotnicy wykonujący w 1891 r. fundamenty pod biurowiec w pobliżu miejscowości Crittenden (Arizona) natknęli się prawie trzy metry pod powierzchnią ziemi na gigantyczny sarkofag kamienny. Na miejsce odkrycia wezwano przedstawicieli władz i ekspertów.

Wewnątrz sarkofagu znajdowała się wielka granitowa trumna w kształcie antropoidalnym, w której złożono niegdyś doczesne szczątki człowieka (albo istoty człekokształtnej) wzrostu co najmniej czterech metrów. Same zwłoki niemal całkowicie już się rozpadły, ale rysunek wykonany rylcem na trumnie ujawniał znaną nam już skądinąd cechę zmarłego: miał po sześć palców u nóg!

Gdzie są olbrzymy, tam nie może zabraknąć także krasnoludków. Nie będziemy się zatrzymywać nad ludowymi legendami i przekazami, gdy mamy do dyspozycji fakty.

W ciasnym górskim wąwozie — tak zwanym gulch — u stóp Pedro Mountains, sześćdziesiąt mil na zachód od Casper (Wyoming), dwóch poszukiwaczy złota wysadzając skały przypadkowo odsłoniło małą naturalną pieczarę. Kiedy opadł dym i pył po wybuchu, obaj mężczyźni

zdrętwieli z przerażenia. Z pieczary patrzyła prosto na nich mumia maleńkiego stwora przypominającego człowieka. Siedział wewnątrz pieczary na czymś w rodzaju poprzecznego gzymsu, ze skrzyżowanymi nogami i rękami złożonymi na kolanach. Jego skóra była ciemnobrązowa, pomarszczona, a rysy twarzy podobne do ludzkich, na ile można je było rozpoznać.

Poszukiwacze złota zawieźli swoje znalezisko do Casper, gdzie wzbudziło sensację. Już sam pochówek w solidnym granicie naukowcy uważali dotąd za niemożliwy; także inne szczegóły nie zgadzały się z dotychczasowymi poglądami nauki. Podejrzewano mistyfikację albo żart.

Wykonano prześwietlenie w celu zdemaskowania oszustwa. Udało się zrobić jedynie zdjęcia rentgenowskie, na których było widać kości czaszki, kręgosłup, żebra, kości ramion i nóg, zęby itd. Badana istota musiała za życia mieć nie więcej niż 35 centymetrów wzrostu. Nikt nie umiał powiedzieć, kiedy żyła; biolodzy stwierdzili jedynie, że w chwili śmierci miała około 65 lat, co dla praczłowieka oznaczało wiek wprost matuzalemowy.

Wydział antropologii Harvard University potwierdził autentyczność mumii. Dr Henry Shapiro, kierownik działu antropologii Muzeum Amerykańskiego, informował, że badaniom poddano kompletny szkielet dorosłej osoby, obciągnięty wyschniętą skórą. Istotę tę musiano złożyć w granitowym grobie niesłychanie dawno. Kustosz działu egipskiego muzeum w Bostonie stwierdził, że wykazuje ona znaczne podobieństwo do tych mumii egipskich, które nie były owinięte w bandaże.

Przeszukano pieczarę w nadziei odkrycia czegoś, co pomogłoby wyjaśnić tę sprawę. W całkowicie pustym pomieszczeniu o wymiarach 1,20 x 1,20 x 4,5 m nie było żadnych śladów obecności człowieka. Brak tam było jakichkolwiek symboli, darów grobowych czy innych przedmiotów nie będących wytworem natury, z wyjątkiem jedynie kamiennego gzymsu, na którym mumia siedziała od niepamiętnych czasów czekając na odkrycie. Jej tajemnicy nigdy nie wyjaśniono. Dziś można ją podziwiać w Casper; jest jednym z wielu materialnych znaków rozsianych po całym świecie ostentacyjnie

świadczących o tym, że jednak nie wszystko jeszcze jest tak do końca wyjaśnione i zamknięte, jak chciałaby podręcznikowa wiedza.

Archeologia zna wiele niezwykłych znalezisk, anachronizmów, o których nie lubią mówić znawcy. Przykładem może być czaszka bizona, którą można podziwiać w Muzeum Paleontologii w Moskwie i która ma pośrodku czoła okrągły otwór po kuli. Czaszka ma około 10 000 lat, na podstawie zaś wyglądu rany (otwór o regularnym kształcie jak spod sztancy, początki tworzenia się zgrubień na brzegach itd.) trzeba wykluczyć cios kamiennego toporka albo włóczni czy też działanie czynników naturalnych.

Podobny los mógł spotkać praczłowieka, którego czaszkę znaleziono w jaskini w północnej Rodezji. Na prawej skroni widać otwór, jakiego nie mogła zrobić strzała, a potylica jest rozerwana. Zbyt śmiałe byłoby doszukiwanie się na tej podstawie podobieństw do plastycznych pocisków naszych czasów, które powodują takie obrażenia. Kto chciałby wyrobić sobie własne zdanie na ten temat, ten powinien odwiedzić Muzeum Historii Naturalnej w Londynie. Do tego obrazu, bardzo wprawdzie niewyraźnego, mogłyby dobrze pasować żelazne gwoździe, znajdowane w zawierających złoto okruchach kwarcu, blokach wapienia itd. jak również inne przedmioty metalowe (niektóre zdobione, a jeden nawet wykonany ze stopu), wydobyte z warstw skalnych pochodzących z dawnych epok geologicznych. Na każdym kroku rodzą się wątpliwości.

Starając się uniknąć rezygnacji ze zbyt wielu ugruntowanych teorii, sugerowano oddziaływania nieokreślonych sił przyrody powodujących lokalne powstawanie przedmiotów, a więc na przykład naczyń zdobionych ornamentami w warstwach skał osadowych liczących sobie miliony lat. Jak się zdaje, łatwiej było znieść koncepcję spontanicznego, ale za to równoczesnego powstawania materii, niż załamanie się oficjalnej filogenezy. (Oczywiście spirytystów „nawet się nie ignoruje", kiedy wysuwają tę samą koncepcję w związku z materializacjami). Cóż, faktów zmienić nie można.

Być może znaleziska te wskazują, że istniały już wcześniej inne wysoko rozwinięte cywilizacje, a olbrzymy, krasnoludki i inne egzotyczne stwory mogłyby być nieznanymi dotychczas gałęziami drzewa ewolucji. Otwarte są niemal wszelkie ewentualności. Wiele gatunków ponosi klęskę w walce o byt i wymiera, inne po milionach lat pomyślnego rozwoju giną wskutek nagłych zmian w środowisku. W ostatnich czasach pojawiło się na Ziemi nowe, szczególnie wielkie zagrożenie, które usunęło w cień wszelkie naturalne przyczyny wymierania gatunków: człowiek.

Z pewnością jeszcze nieraz naukowcy natrafią na ślady pozostawione przez dawne formy życia. Będą wśród nich takie, które, choć nie obalą ustalonego porządku istot żywych, to skłonią do jego zrewidowania. Przykładem mogłyby być olbrzymy o czterech rzędach zębów i istoty humanoidalne wzrostu zaledwie 35 centymetrów.

Jakie niespodzianki mogą nas jeszcze czekać, pokaże następujący przykład. Żaden naukowiec nie zaprzeczy, że wymieranie gatunków zwierzęcych to zjawisko codzienne (działalność człowieka sprawiła, że nasiliło się zwłaszcza w naszych czasach). W odniesieniu do roślin jednak obowiązuje inny pogląd. Wprawdzie i dla nich w XX wieku nastały ciężkie czasy, ale nie jest to wcale zjawisko naturalne. Nasi zieloni przyjaciele, zdaniem botaników i biologów, aż do rewolucji technicznej *homo sapiens* nie znali wymierania gatunków.

Była sobie raz... roślinka, która w starożytności nosiła grecką nazwę silfion. Musiała być ogromnie rozpowszechniona, gdyż była popularnym przedmiotem handlu. Wiele miast-państw zawdzięcza tej niepozornej roślinie bogactwo i sławę. Przysłowie z tamtych czasów mówi, że szczególnie cenne jest to „co ma większą wartość od silfionu..." Pliniusz Starszy pisze w swoim monumentalnym dziele *Historia naturalna* (księga V, rozdział 5) o bujnie krzewiącej się roślinie silfion, wychwalając jej moc leczniczą. W księdze XXII, rozdział 48, tego samego dzieła Pliniusz wyraża jednak żal z powodu zaniku tej rośliny.

Trzysta lat po Pliniuszu gatunek ten znikł z powierzchni Ziemi. Jego zejściu ze sceny życia nie towarzyszyły żadne geologiczne rewolucje, jak zagładzie prehistorycznych lasów skrzypowych. Jedynie z pism Teofrasta (Paracelsusa), Dioskuridesa, Columelli i innych autorów można poznać szczegóły dotyczące wyglądu, właściwości i zastosowania silfionu, pochodzącego z Afryki Północnej. Jego gospodarcze znaczenie można poznać i po tym, że widnieje na dwu różnych monetach dwudrachmowych pochodzących z okresu rozkwitu Cyreny. Także na słynnej misie Arkesilasa z VI w. p.n.e. (zawdzięczającej swoją nazwę przedstawionemu na niej królowi Arkesilasowi III) widać scenę handlu silfionem.

Tak nieścisłe bywają utrwalone poglądy.

No dobrze; zaginione gatunki może i podważają pewne dogmaty, ale nie kryją w sobie niczego zagadkowego. Nawet człowiek-mól, którego niełatwo upchnąć w naszą koncepcję ewolucji, może razem z innymi przedstawicielami swego gatunku zamieszkuje jakieś odległe schronienie i tylko sporadycznie je opuszcza. Nawet gdyby miał wysiąść z UFO, nie byłoby to tajemnicze (a tylko fascynujące). Na pewno trudno zaakceptować istnienie prehistorycznych gigantów albo istot pozaziemskich, ale nie jest to niemożliwe. My jednak nie będziemy się zatrzymywać w pół drogi. Zajmiemy się teraz omówieniem zjawisk, które nie mieszczą się w tradycyjnych (nawet najbardziej otwartych) koncepcjach i właściwie powinny należeć do królestwa baśni. Gdyby nie to, że istnieją...

Żywe sagi i mity

Na początek jeszcze o śladach. W Szkocji pozostawia je „powóz diabła"; widziało je wiele osób. Spotykane są często na zamarzniętych stawach albo bagnach. Przypominają ślady kół wozu, zaczynające się nagle i równie nagle się urywające. Nigdy nie ma ich na lądzie; brak także jakichkolwiek śladów towarzyszących.

Nikt nie wie, jak powstają takie odciski i co je pozostawia.

W „Sunday Express" z 1 sierpnia 1976 r. można znaleźć szczególnie godny uwagi opis tego zjawiska. Jest tam mowa o dwóch równoległych do siebie bruzdach, zakreślających wielki łuk o długości około 65 metrów w wysoko położonej i całkowicie niedostępnej alpejskiej dolinie w Alpes Maritimes na północ od Nicei. Bruzdy musiały zostać odciśnięte w śniegu i lodzie pod dość znacznym ciężarem, gdyż okruchy skalne i żwir były starte na pył. Ten podwójny ślad zaczynający się nagle jest niewiadomego pochodzenia.

Skoro już, jak się zdaje, trzeba się pogodzić z istnieniem widmowych pojazdów, to może i wróżek? Pod względem wróżek, duchów, skrzatów itd. palma pierwszeństwa należy się Anglii, Szkocji i Irlandii. Mało jest narodów, których folklor wykazuje taką obfitość baśniowych postaci; wielu ludzi było gotowych przysiąc w dawnych czasach, a także i dziś, że one naprawdę istnieją i regularnie się ukazują. Nie mamy ambicji weryfikowania legend, nie chcemy też ich wszystkich odrzucać. Któż potrafiłby na przykład powiedzieć, jak zaklasyfikować wróżkę Melekin z Suffolk we wschodniej Anglii, która, jak powiadano, miała wygląd małego dziecka, utrzymywała ożywione kontakty z ludźmi i umiała dyskutować po łacinie z księdzem? Nigdy się także nie dowiemy, ile jest prawdy w opowieści o zielonoskórym rodzeństwie, które znaleziono przed pewną jaskinią (także w Suffolk). Brat i siostra mówili niezrozumiałym językiem; on pożył niedługo, ona natomiast wyrosła, by wieść potem wędrowne życie. O swoim pochodzeniu powiedziała jedynie: „Przybyliśmy z kraju zmroku..." Działo się to wszystko w XII wieku.

Oczywiście legenda z biegiem stuleci obrasta plątaniną fantazji, przesady, zabobonu i kłamstwa.

Nie zmienia tego faktu ogromna obfitość baśniowych przekazów, wprost przeciwnie. Jak wiadomo, najpiękniejsze wróżki są w Irlandii. Nazywają je Dana O'Shea. Otaczają się średniowiecznym przepychem, podobno można zobaczyć ich uroczyste orszaki. Ulubionymi postacia-

mi sag irlandzkich są także słynne na całym świecie skrzaty, nazywane małym ludkiem. Czasami pomagają ludziom, jak nasze krasnoludki, ale bywają i złośliwe, gotowe do niemiłych psot.

Wesołe i swawolne, ale w gruncie rzeczy dobrego serca są elfy z Kornwalii w południowo-zachodniej Anglii. W czysto posprzątanych kuchniach zostawiają srebrne monety, by wynagrodzić pracowite gospodynie.

W królestwie tych mniej lub bardziej zwiewnych istot istnieją hierarchie, klasy i kasty. Rozróżnia się koboldy (*goblins*), diabełki (*imps*) i upiory (*bogeys*). Skarbnikiem skrzatów jest Leprechaun, który szyje baśniowe buty. W wielu opowieściach występuje także przynoszący pecha minidiabeł Nuckelavee z niziny szkockiej.

No i co z tego, pomyśli czytelnik. Takie wyliczenie na pewno można by jeszcze długo ciągnąć, a jeśli dodać jeszcze fantastyczne postacie z sag w języku niemieckim, to dałoby się wypełnić całą encyklopedię. Po co to wszystko?

Bo chyba nikt nie może podać przykładu elfa z nowszych czasów, najlepiej z dokumentacją fotograficzną? A może jednak?

Jedna z uliczek w pewnej angielskiej wsi Cottingley w hrabstwie Yorkshire nosi nazwę Doliny Wróżek. Tak ją nazwano na cześć pewnego zjawiska z początku naszego wieku, które obserwowano właśnie w tej miejscowości, a które zostało ogłoszone całemu światu w świątecznym wydaniu pisma „Strand Magazine" na Boże Narodzenie 1920 r. w artykule z następującym nagłówkiem: *Nadchodzi nowa epoka — publikacja fotografii wróżek i elfów!*

Zapoczątkowało to dyskusję, która do dzisiaj się nie zakończyła. Nie bez powodu.

Pochodząca z Afryki Południowej dziesięcioletnia Frances Griffiths latem 1917 r. zamieszkała w Cottingley w domu swojej trzynastoletniej kuzynki Elsie Wright. Za domem rozciągała się dzika i odludna dolina, gdzie obie dziewczynki spędzały każdą wolną chwilę. Spotykały się tam z wróżkami, które miały przejść do historii jako wróżki z Cottingley.

Oczywiście rodzice nie brali na serio opowiadań Frances i Elsie. Dziś psychologowie mówiliby o wypartych projekcjach dojrzewających dziewcząt albo podobnych sprawach.

Dzieci z uporem powtarzały swoją historię. Elsie molestowała ojca o aparat fotograficzny, który pozwoliłby jej dowieść prawdy. W końcu dziewczynki dostały aparat z celuloidową zwijaną błoną filmową. Ojciec objaśnił, jak się nim posługiwać i zajął się innymi sprawami. Po godzinie dziewczynki wróciły, wymachując triumfalnie aparatem. Miały w nim dowód na to, że nie kłamały.

Arthur Wright wywołał naświetlony film. Ku zdumieniu wszystkich na zdjęciach było widać gromadę skrzydlatych wróżek, otaczających Frances niczym motyle. Ojciec był zadziwiony, ale nie wyzbył się sceptycyzmu. Jeszcze raz posłał swoją córkę w to samo miejsce. Zrobiła ona więcej zdjęć; tym razem było na nich widać Elsie, trzymającą na kolanach małą wróżkę w obcisłym kaftaniku, czerwonej czapce i ze skrzydłami.

Wrightowie orzekli, że dzieci zrobiły fotomontaż z wyciętych obrazków (choć rezultaty tej roboty świadczyłyby o profesjonalizmie wysokiej klasy), i postanowili nie wracać więcej do sprawy. Odtąd aparat fotograficzny pozostał w domu, a osobliwe zdjęcia pokrywał kurz na półce. Prawdopodobnie do dzisiaj by tam leżały, dzieląc los zakopanych w archiwach wielu innych poszlak świadczących o fantastycznych zdarzeniach, gdyby Polly Wright latem 1919 r. nie udała się do Bradford na wykład Towarzystwa Teozoficznego.

Opowiedziała tam o wykonanych niegdyś zdjęciach jednemu z mówców, który w swym wystąpieniu wspominał o wróżkach. Dzięki temu sprawa dotarła do przewodniczącego Towarzystwa, Edwarda L. Gardnera, który poprosił o zdjęcia i ich negatywy, aby je poddać wnikliwej weryfikacji. Gardner bardzo się interesował wszystkim co niezwykłe, niełatwo jednak było wprowadzić go w błąd. Brzydził się wszelkimi trickami i manipulacjami, ponieważ uważał, że mogą tylko zaszkodzić rzetelnym badaniom (co jest prawdą).

Henry Snelling, fotograf i ekspert w sprawach fałszerstw, na prośbę Gardnera poddał negatywy gruntownej ocenie. Snelling doszedł do następujących wniosków: „Negatywy te nie są sfałszowane. Nie zostały one naświetlone w zamkniętym pomieszczeniu. Nie są to również zdjęcia wykonane w atelier, przy użyciu figur papierowych, czarnego tła albo innych technik montażu. Moim zdaniem mamy tu do czynienia z autentycznymi negatywami".

O tej sprawie dowiedział się Arthur Conan Doyle, który nosił się z zamiarem napisania do świątecznego wydania wspomnianego „Strand Magazine" artykułu na temat wróżek, i zachwycił się tym materiałem. Wprawdzie Conan Doyle był entuzjastą okultyzmu, nie był jednak łatwowierny, podobnie jak bohater jego powieści Sherlock Holmes.

On także zlecił zbadanie negatywów. Doświadczony producent filmów, do którego się zwrócił w tej sprawie, w zasadzie potwierdził opinię Snellinga. Na życzenie Conan Doyle'a Edward L. Gardner udał się do Cottingley, aby prosić obie dziewczynki o wykonanie dalszych zdjęć. Elsie i Frances — które teraz były w wieku 16 i 13 lat — dostały aparat zawierający oznakowany film. W ciągu czternastu dni udało im się zrobić jeszcze dwa dalsze „zdjęcia wróżek". Producent filmów rozpoznał oznakowany uprzednio film, a eksperci i tym razem wykluczyli fałszerstwo. Po tych wszystkich badaniach, które trwały w ciągu 1920 roku, w listopadzie ukazał się ów sensacyjny artykuł, w którym można było zobaczyć pierwsze zdjęcia wróżek.

Ostatnie zdjęcia dziewczęta zrobiły w 1921 r., gdy publiczny spór o wróżki rozgorzał na dobre.

Więcej zdjęć już się nie dało wykonać. Znawcy problematyki duchów elementarnych (o ile jesteśmy skłonni zaakceptować takich ekspertów) — tłumaczyli to faktem, że Frances i Elsie widocznie były już zbyt dorosłe na kontakt ze światem duchów.

Nie musimy tu rozważać kwestii, czy utrata dziecięcej naiwności i niewinności młodzieńczej pociąga za sobą utratę zdolności komunikowania się ze światem stworzeń takich jak wróżki (C. G. Jung mówiłby prawdopodobnie o archetypach),

czy też nie. Chcemy tylko wiedzieć, czy wtedy rzeczywiście wróżki zostały utrwalone na filmie?

Te zdjęcia są właściwie zbyt piękne, aby były prawdziwe. Mogłyby pochodzić z filmowej produkcji Lucasa albo ze studiów filmów rysunkowych lat osiemdziesiątych. Maleńkie skrzydlate wróżki, widoczne z taką wyrazistością, jakiej próżno szukać na innych zdjęciach przedstawiających duchy, otaczają w zwiewnym tańcu jedną z dziewczynek, przywodząc na myśl fantazje Walta Disneya. Inne zdjęcia przedstawiają wróżki stojące albo siedzące w postawie pełnej gracji na gałęziach czy liściach, zawsze widoczne z wszelkimi szczegółami. Jeszcze większe wrażenie wywiera zdjęcie małego elfa w kaftaniku, spodniach, czapce — i oczywiście ze skrzydłami — tańczącego na trawie przed siedzącą w kucki Elsie. To naprawdę niemal niewiarygodne. Sceptycy od pierwszej chwili byli tego zdania.

Natychmiast po artykule w „Strand Magazine", który rozszedł się w mgnieniu oka, ekspert w sprawach radiestezji major Hall-Edwards oświadczył, że to wszystko szwindel. Ograniczył się wprawdzie do omówienia czynników psychologicznych, ostrzegając przed zaburzeniami umysłowymi, które mogłyby wystąpić u Francis i Elsie, jeśli stanowczo i zdecydowanie nie usunie się tych urojeń z ich mózgów.

W ten sam ton uderzyło czasopismo „Truth" w wydaniu z 5 stycznia 1921 r. Podobnych komentarzy było całe mnóstwo.

Nie zagłębiano się przy tym zbytnio w rzeczowe rozważania, przynajmniej w aspekcie nauk przyrodniczych.

Nawet ta sensacja ustąpiłaby w końcu znowu miejsca raportom o pierwszej wojnie światowej, gdyby wiosną 1921 r. nie opublikowano jeszcze trzech zdjęć przedstawiających wróżki.

Conan Doyle wykorzystał je w drugim artykule na ten temat, który ukazał się w 1921 r. w „Strand Magazine". Spotkał się on z równie zróżnicowanym przyjęciem jak pierwszy, z przewagą reakcji negatywnych. Za najbardziej niewiarygodną uznano tę okoliczność, że utrwalone na zdjęciach wróżki wyglądały dokładnie tak, jak je sobie wyobrażano.

Ten zarzut wysuwa się do dziś. Z równą wytrwałością ponawia się starania, by wreszcie zaliczyć kłopotliwe zdjęcia wróżek do kategorii „kłamstwo i oszustwo". Sprawiło to jednak pewne trudności.

Argumenty, że obie dziewczynki były znane jako entuzjastki wróżek i duchów albo że Polly Wright była wyznawczynią teozofii, Edward L. Gardner natomiast okultystą, oraz inne podejrzane okoliczności nie są przekonywające, gdyż wszystko to podąża w niewłaściwym kierunku. Podejrzenie fałszerstwa i tak nasuwało się od razu i było wytrwale rozwijane, co prawda bez szczególnych sukcesów. Ilekroć ktoś znalazł w zbiorze bajek ilustrację wykazującą duże podobieństwo do wróżek z Cottingley, oświadczał zaraz, że odkrył tajemnicę. Tak było przez całe dziesiątki lat.

W 1966 r.(!) Peter Chambers z „Daily Express" dotarł do Elsie Hill (z domu Wright). Dzięki temu w latach siedemdziesiątych zdołano przeprowadzić kilka efektownych wywiadów z Elsie oraz Frances Way (z domu Griffiths), którą również odnaleziono. Pokazano je w telewizji BBC Nationwide Programme oraz Yorkshire Television.

Choć obie kobiety zapewniały o prawdziwości swoich słów i autentyczności zdjęć, których jak dotąd mimo wszelkich starań nie udało się zdemaskować jako fotomontażu, to jednak w środkach masowego przekazu przedstawiono tę sprawę w aspekcie oszustwa, jarmarcznych sztuczek i dziecinady. Kazano kobietom przysięgać na Biblię, a prowadzący wywiad ukazywali się w otoczeniu elektronicznie wmiksowanych postaci wróżek i nie grzeszyli delikatnością.

Nadal niestrudzenie poszukiwano materiału obciążającego. W sierpniu 1977 r., 60 lat po wykonaniu tamtych zdjęć, pewien autor piszący pracę o ilustracjach z XIX w. przedstawiających elfy, odkrył egzemplarz *Princess Mary's Gift Book*, która to książka była bardzo popularna w latach pierwszej wojny światowej. Były tam zamieszczone obok wiersza Alfreda Noye *A Spell for a Fairy* urocze rysunki elfów Claude'a Sheppersona, frapująco podobne do wróżek z Cottingley. Niewielkie różnice w kształcie skrzydeł, ich wielkości

itd. nikły wobec faktu, że wreszcie, po sześćdziesięciu latach, odnaleziono wzór dla mistyfikacji.

Nie są to najbardziej przekonujące dowody, chciałoby się powiedzieć. Gdyby za tajemnicą tych zdjęć kryły się istotnie tylko manualne umiejętności dwóch małych dziewczynek, które w roku 1917 pod gołym niebem, mając do dyspozycji co najwyżej skromne środki, wykonały jeden z najbardziej wyrafinowanych fotomontaży w dziejach, to wszystkim fachowcom od tamtych czasów do dziś należałby się stopień niedostateczny.

Taką ocenę jednak słusznie odrzuciliby z oburzeniem wszyscy eksperci w dziedzinie filmu i fotografii, którzy jako pierwsi poddali negatywy analizie. A więc sprawa nie jest taka prosta, co ukazują starania zmierzające do pozbycia się wróżek ze świata w jeszcze inny, racjonalny sposób, skoro już nie zdołano ich zdemaskować jako mistyfikacji.

Wysuwano mianowicie tezę, że mogłoby tu chodzić o zdjęcia myśli, powołując się na przypadek Amerykanina Teda Seriosa, który miał zdolność wytwarzania siłą woli obrazów na nie naświetlonych materiałach fotograficznych. Tę jego zdolność badano i potwierdzono w USA (dr Jule Eisenbud) i Japonii.

Jeśli wziąć pod uwagę te próby, jak również polowanie na czarownice, którego obiektem były Frances i Elsie przez wiele lat, i które odżyło jeszcze raz, kiedy obie były już w podeszłym wieku, to można uznać raczej za kapitulację niż przyznanie się, kiedy obie starsze panie w 1981 i 1982 r. (!) ostatecznie przyznały się do sfingowania niektórych zdjęć.

Nikomu nie przeszkadzało, że przedstawiony przez nie sposób dokonania fałszerstwa brzmi niczym jakiś żart; najważniejsze, że wszystko znowu było w porządku.

Po tej wojnie na wyczerpanie, która obie winne „fałszerstwa" kobiety już w 1975 r. skłoniła do pełnego goryczy wyznania, że te zdjęcia przez całe życie przynosiły im same kłopoty, byłyby zapewne także gotowe przyznać się do zatopienia „Titanica", byle tylko wreszcie mieć spokój. Zostawmy je więc w spokoju.

Chcemy poznać odpowiedź na pytanie, które brzmi: Czy wróżki istnieją, czy nie?

Prawidłowa odpowiedź musi być taka: Nie wiadomo — coś jednak w tym jest!

I to coś właśnie jest kolejnym elementem wielkiej układanki świata fantastyki. Zaakceptujmy ten element takim, jaki jest, jeśli nawet nie wiemy, gdzie go dołączyć.

Tak więc przedstawiliśmy pobieżny, daleki od kompletności przegląd, dający pewne pojęcie o niesłychanej różnorodności tych wszystkich istot, które teraz i w przeszłości pozostawiały na ziemi dziwne ślady, szybowały nocą po niebie ze świecącymi oczyma albo w prześwitujących szatach tańczyły w powietrzu przed szeroko otwartymi oczyma dzieci.

Istoty te są fascynujące i przy całej swej różnorodności mają jedną wspólną cechę: oficjalnie nie istnieją. Mimo to nie sposób ich się pozbyć w drodze racjonalizacji. Przykre to, ale trzeba się z tym pogodzić.

Jeśli liczne klasyczne teorie toczą nieubłaganą walkę przeciwko takim mglistym formom życia albo zjawiskom natury, to jest to właściwie walka z wiatrakami. Zwycięstwo wiatraków było z góry przesądzone, ponieważ Don Kiszot ze swoją krzywą kopią niewiele mógł przeciw nim wskórać.

Podobnie jest z przyrodą i jej kaprysami: możemy je znać i akceptować albo ich nie znać i zaprzeczać im. Po co w ogóle podejmować tę walkę?

Więcej korzyści wynika z poszerzenia pola widzenia. Kosmos jest dziwnym miejscem, podobnie jak świat, w którym żyjemy. Nie silmy się na wyjaśnianie zjawisk, których na razie wyjaśnić się nie da. Pozwólmy wróżkom trzepotać skrzydłami, a kosmatym olbrzymom włóczyć się po lasach. Będą to bowiem robić nadal także i wtedy, kiedy z największą nawet błyskotliwością zmieciemy teoretycznie te istoty z powierzchni Ziemi. W gruncie rzeczy zjawiska takie nie są bardziej zagadkowe niż na przykład małe gwiezdne obiekty, odległe od nas o miliony lat świetlnych, które emitują więcej energii niż cała galaktyka (mam na myśli tajemnicze kwazary) czy też fale materii wewnątrz atomu. Gdzie przebiega granica?

Czy cząstka niematerialna, wirtualna, jest czymś bardziej serio niż skrzat tylko z tego względu, że nie nosi zielonych spodni i jest mniej nieobliczalna?

Wiem, że to demagogiczna argumentacja. Niech i tak będzie. Książka ta nie chce niczego jednoznacznie objaśniać, ale tylko oczyścić to co fantastyczne z domieszki absurdu. Jaki obraz świata sobie na tej podstawie stworzymy, to osobista sprawa każdego z nas; jak wiadomo, ta sama zasada coraz częściej obowiązuje także w odniesieniu do modeli świata konstruowanych przez nauki przyrodnicze (pomyślmy tylko o różnorodnych koncepcjach nowoczesnej fizyki — wszystkie wyjaśniają jedno i to samo zjawisko, i to tak skutecznie, że można na tej podstawie obliczać i projektować zupełnie konkretne rzeczy).

Oczywiście, z tańca wróżek z Cottingley nie da się wyprowadzić żadnych równań falowych, ale od czasu do czasu można dostrzec powiązania między światem fantastyki i legend a trzeźwą nauką. Już o tym słyszeliśmy i jeszcze usłyszymy w królestwie magicznego rozumu...

A więc krótki sens tego rozwlekłego wywodu jest następujący: rozejrzyjmy się wokoło i bądźmy gotowi na niespodzianki, jakie napotkamy w postaci zdumiewających zjawisk przyrodniczych, których chyba tylko dlatego brak w podręcznikach, ponieważ występują rzadziej niż błyskawice i pioruny...

Tajemne siły

Pewien fizyk powiedział, mając na myśli niekończący się zalew specjalistycznych publikacji, artykułów i rozpraw, że nowe spojrzenie na makro- i mikrokosmos kryje w sobie pewien dylemat. Można bowiem zaryzykować ocenę wartości jakiejś teorii jedynie wtedy, gdy przedstawiono ją w sposób zrozumiały. Gdy natomiast teoria została przedstawiona w sposób niezrozumiały, to istnieje zbyt wielkie ryzyko, że jednak może być słuszna, aby ją po prostu zignorować. Dlatego ogromnie wiele się publikuje, a mało rozumie.

Dawniej nie wahano się tak bardzo od razu potępiać w czambuł wszystkiego co nowe. Powszechnie wiadomo, jak zareagował świat nauki w połowie XVI w. na heretyckie twierdzenie Kopernika, jakoby to Ziemia krążyła wokół Słońca. Darwin także nie miał łatwego życia. Podjętych przez niego zmagań o akceptację teorii walki o byt nawet i dziś jeszcze nie można uznać za zakończone ostatecznym zwycięstwem, w świetle starań religijnych fanatyków i ruchu Evolution Protest Movement o wznowienie „małpiego procesu" z 1925 r. Kiedy wielki chemik Dalton przedstawił swój układ okresowy pierwiastków, zrobiono sobie z niego pośmiewisko; proponowano mu uporządkowanie pierwiastków według alfabetu. Jednak i w naszych czasach wciąż można znaleźć miliony ludzi gotowych wyznawać teorię katastrof Wielikowskiego czy bronić do upadłego lodowej kosmogonii Hörbigera, a także ludzi święcie przekonanych, że żyją wewnątrz pustej kuli albo że odwiedzają ich przynoszące spełnienie mesz-

kanki Wenus o kręconych blond włosach, choć przy temperaturze powierzchni tej planety wynoszącej 400 — 500°C raczej nie należy się spodziewać wyższych form życia.

Naukowcy stracili już odporność na egzotyczne rozumowanie. Słyszeliśmy o teorii stanu trwałego wszechświata (*steady state*), której twórcy — Hoyle, Bondi i Gold — są uczonymi światowej sławy o niekwestionowanej reputacji.

Dr Iosif Szkłowski, jeden z najwybitniejszych astronomów rosyjskich, uważa, że księżyce Marsa Phobos i Deimos to dawne sztuczne stacje kosmiczne, z których korzystali Marsjanie. Znany astronom skandynawski dr Ernst J. Öpik of Armagh wiąże wybuchające na Ziemi rewolucje z aktywnością plam słonecznych, a równie wybitny astronom T.J.J. See aż do swojej śmierci był przekonany, że jest nieśmiertelny. Takie przykłady można mnożyć bez końca.

A więc mamy wszelkie podstawy, by przyjrzeć się z bliska nietypowym zjawiskom natury i spróbować samodzielnie je zinterpretować. Zrobimy to analizując kilka nie powiązanych ze sobą przykładów.

Gdy prawa natury stoją na głowie

Każdy, kto zbliża się do słynnego wiru w stanie Oregon nad brzegiem Sardine Creek (w odległości około 50 kilometrów od Grants Pass), może łatwo się zorientować, że coś tu jest nie tak. Konie zaczynają się płoszyć, ptaki nagle zmieniają kierunek lotu, drzewa zaś rosną dziwnie pochyło.

Wir zajmuje teren zbliżony do koła o średnicy prawie 55 metrów, którego położenie podlega niewielkim wahaniom co 90 dni. W obrębie tego koła znajduje się stara drewniana chata, w której sto lat temu mieścił się urząd probierczy monet. Wir jednak wywierał tak silny wpływ, że w 1890 r. chatę opuszczono. Wówczas stała jeszcze wysoko na pagórku,

z biegiem czasu jednak wraz z częścią zbocza wsysanego przez wir osunęła się w dół. Stoi tam do dziś, wykrzywiona i obrócona przez dziwne siły. Kiedy się do niej wchodzi, to jakby przekraczało się granicę świata, w którym obowiązują inne prawa natury.

Osobom przebywającym w tym miejscu wydaje się, jakby grawitacja była tu silniejsza niż gdzie indziej. Odruchowo przybierają ukośną postawę ciała odchylając się od centrum wiru, aby zrównoważyć przyciąganie ziemskie. Kto przechyla się w przeciwnym kierunku, ten ma wrażenie, jakby ciągnęły go niewidzialne ręce.

Dym papierosowy zaczyna wirować spiralnie. Przedmioty o okrągłym kształcie mogą, zależnie od miejsca, toczyć się pod górę albo na równej płaszczyźnie poruszać się w kierunku centralnego punktu wiru. Ścinki papieru podrzucone do góry zaczynają wirować po spirali, podobnie jak dym papierosów. Widok ten jest doprawdy niesamowity, co stanowi oczywiście atrakcję dla turystów.

Nikt nie wie, na czym polega to zjawisko. Nauka musiała tu skapitulować, choć nie bez walki.

Przeprowadzano pomiary, rejestrowano ich wyniki, stosowano metody spektroskopowe, eksperymentowano. Rezultaty jednak okazały się równe zeru. Występował tu wpływ pola elektromagnetycznego, ale to nie wyjaśniało, dlaczego podlega mu każdy rodzaj materii. Nie sposób było stwierdzić, jaka siła jest odpowiedzialna za to, że np. kije golfowe, miotły i tym podobne przedmioty zachowują równowagę przy dziesięciostopniowym nachyleniu, zawieszona na łańcuchu kula ze stali o wadze 15 kg zwisa ukośnie i tylko z trudem można ją odchylić od kierunku zgodnego z centrum wiru, a światłomierze i kompasy umieszczone w obrębie wiru zaczynają wariować. Również dla dzisiejszego człowieka zjawiska te są niepojęte. Pewne jest tylko to, że prawa natury w tym dziwnym miejscu nie są takie same jak gdzie indziej.

Wir z Oregonu ma „mniejszego brata" 70 kilometrów dalej, w Camp Burch (Kolorado). Tam również oddziałują osobliwe siły przyciągania, co prawda mniej wyraziste niż w stanie Oregon.

Z kolei w Nowym Brunszwiku w Kanadzie jest magnetycz-

ne wzgórze, na które można wjechać samochodem na jałowym biegu, a przy zjeżdżaniu trzeba dodać gazu.

Takie wybryki natury są wprawdzie dziwne, nieraz nawet niesamowite, nie napawają jednak prawdziwą grozą. Inaczej bywa wtedy, gdy świat nagle przestaje się toczyć zwykłym torem i w środku dnia zapada noc.

Jest to dobrze znane zjawisko, nie tylko z Biblii. Wywołują je przyczyny naturalne, jak na przykład zaćmienia Słońca albo szczególnie gęste obłoki pyłu kosmicznego, w które wchodzi Ziemia w czasie swej wędrówki przez ramię Oriona w naszej Drodze Mlecznej.

Zdarza się jednak, że ciemność okrywa ziemię z innych, nieznanych przyczyn. Tak było 19 maja 1780 r. w Nowej Anglii, regionie obejmującym kilka północno-wschodnich stanów USA. Do dzisiaj nie wiadomo, co spowodowało to zjawisko. Był słoneczny majowy dzień; o godzinie dziesiątej rano na południowym zachodzie pojawiła się lekka mgła, którą wiatr spychał na północny wschód ku granicy Kanady. Potem w tym regionie zapanowała ciemność bardziej nieprzenikniona niż w bezksiężycową noc.

Co jeszcze dziwniejsze, ciemność stawała się stopniowo coraz głębsza. Najpierw zapalono świece, na ulicach miast zamocowano pochodnie, a szkoły zamknięto. W samo południe ludność zaczął ogarniać niepokój. Kiedy o pierwszej godzinie wciąż jeszcze trwała najczarniejsza noc, wybuchła panika i histeria. Kościoły zapełniły się wierzącymi i niewierzącymi, a z ambon obwieszczano dzień Sądu Ostatecznego, o czym zresztą nie trzeba było nikogo specjalnie przekonywać. Atramentowa czerń spowiła tereny dzisiejszych stanów Maine, New Hampshire, Vermont, Massachusetts, Rhode Island, Connecticut, wschodnią część stanu Nowy Jork i część Pensylwanii. Ciemność cechowała się dziwną gęstością; nie było widać nawet białej kartki papieru, trzymanej tuż przed oczyma.

Kiedy zapadła „noc", w Hartford były właśnie w pełnym toku obrady zgromadzenia ustawodawczego stanu Connecticut. Około południa członkowie rady nie widzieli już siebie nawzajem. Kiedy wskutek przerażenia uczestników

obrady utknęły, jeden z obecnych nazwiskiem Davenport wstał i wypowiedział następujące zdanie, równie oryginalne, co świadczące o odwadze i rozsądku: „Panie przewodniczący, dzisiejszy dzień albo jest dniem Sądu Ostatecznego, albo nim nie jest. Jeśli nie jest, to nie ma żadnego powodu, aby przerywać obrady. Jeśli zaś jest, to powinien mnie zastać przy wypełnianiu moich obowiązków. Proponuję więc, abyśmy się postarali o świece i kontynuowali omawianie naszych spraw".

Ponieważ, jak wiadomo, koniec świata wtedy nie nastąpił, możemy po dziś dzień podziwiać odwagę Davenporta. Można sobie tylko życzyć, by podobne zalety charakteru częściej cechowały współczesnych polityków. Niepokojąca ciemność, w której potem nie było też widać wschodzącego księżyca, panowała przez 24 godziny, a potem znikła w równie tajemniczy sposób, jak się pojawiła. Podobne zjawiska można było obserwować wielokrotnie.

Siedemnaście lat wcześniej, 19 sierpnia 1763 r. cały Londyn spowiła ciemność, której nie mogło przeniknąć światło świec, latarni ani pochodni — i to w samym środku dnia.

26 kwietnia 1884 r. niebo nad Preston w Anglii nagle stało się czarne w samo południe, jakby zaciągnięto jakąś ogromną zasłonę.

Kwadrans śmiertelnej trwogi przeżyli mieszkańcy Memphis (Tennessee), kiedy 2 grudnia 1904 r. bez widocznego powodu zgasło na niebie słońce i zapadła całkowita ciemność.

Czasami nasza centralna gwiazda nie znika, ale przybiera jedynie dziwne barwy. 24 września 1950 r. miliony Amerykanów ujrzało niebieskie słońce; 26 września Anglicy i Szkoci widzieli je w kolorze niebieskozielonym, podobnie jak niewiele później Duńczycy. Odkryto w końcu wytłumaczenie tego zjawiska: grę barw wywołał dym z pożaru lasów w prowincji Alberta w Kanadzie. Tyle tylko, że wiatr musiałby w tym celu wiać w dwóch przeciwnych kierunkach jednocześnie.

Nie, prawda wygląda raczej tak, że przyroda ma jeszcze w zanadrzu niejeden fortel, przed którym staniemy bezradni.

Równie dziwne zjawisko obserwowano na drodze z Londynu do Portsmouth, na tak zwanej mili zagadek.

Na odcinku drogi o długości około czterech kilometrów, przebiegającym przez odkryty teren o dobrej widoczności, w 1952 r. jakiś niewidzialny strzelec atakował z ukrycia przejeżdżające tamtędy pojazdy również niewidzialnymi pociskami, które jednak powodowały skutki realne.

Jakieś drobne obiekty nieustannie przebijały przednie szyby i karoserie samochodów niczym wystrzeliwane znikąd serie pocisków karabinów maszynowych. Policyjni eksperci w dziedzinie balistyki wykluczyli użycie broni palnej, że nie wspomnimy już o tym, iż sprawca musiałby nosić czapkę niewidkę.

Pociski-widma nie mogły być pociskami rozpryskowymi ani miniaturowymi meteorytami. Kiedy zawiedzeni policjanci wciąż łamali sobie głowy, dlaczego mimo wszelkich środków ostrożności i zastawianych pułapek nadal trwa ta strzelanina, fantom ten (albo fenomen) powędrował przez Anglię i trafił w końcu do Ameryki, gdzie w czerwcu 1952 r. policja stanowa w Indianie i Illinois gwałtownie, choć bezskutecznie poszukiwała tego samego niewidzialnego strzelca, atakującego z ukrycia. Nigdy nie zdołano wyjaśnić tej sprawy. Zdarzenie to stanowi więc kolejny rozdział w kronice niezrozumiałych przypadków. Czasami przyroda demonstruje wręcz z pogardą, co potrafi zrobić bez żadnego wysiłku, jakby chciała nas sprowokować do połamania sobie na tym zębów.

Innym przykładem są tajemnicze „zdjęcia błyskowe". Znamy kilka przypadków z minionego i obecnego stulecia, kiedy (przeważnie po burzy) na szybach okien ukazywały się obrazy, jakby szyby zamieniły się w płyty fotograficzne. Czasem obrazy takie są trwałe, kiedy indziej bledną, by potem ujawnić się znowu. Widać na nich przeważnie osoby, które przebywały w danym pomieszczeniu. Raz na szybie została uwieczniona tęcza. Jeszcze bardziej zagadkowe były obrazy, które w 1903 r. odkryli goście podczas pewnego przyjęcia w Waszyngtonie na wielkiej szybie w ogrodzie; ukazały się na niej bowiem, co można było sprawdzić, osoby od lat nieżyjące.

Wszystko to jest jedynie maleńkim wycinkiem ogromnej panoramy działających w ukryciu sił przyrody. Subiektywnie

dobrane i przedstawione przykłady są niczym elementy układanki... Jest oczywiste, że także w królestwie przyrody ożywionej poszukiwania przejawów działania niewytłumaczalnych sił zostaną uwieńczone sukcesem.

O bioenergii inaczej

Pojęcie bioenergii jest dziś na ustach wszystkich. Jest ono modne, dopuszczono je na salony, jednak nie doczekało się jasnej definicji. Dawniej naukowcy i filozofowie rozumieli przez nie siłę witalną, która jest istotą „iskry życia". Występuje ona w każdym organizmie i ma charakter niemal mistyczny, jest bliska pojęciu substancjalności ducha, używanemu przez okultystów i ezoteryków. Nowa fizyka XX wieku zrobiła z tym porządek. Orgon i od, eter i aura to przebrzmiałe sprawy. (Na marginesie warto zauważyć, że dzisiejsze nauki przyrodnicze muszą się zmagać z takimi energiami, wobec których dobra stara bioplazma robi wręcz poczciwe wrażenie).

W naszych czasach bioenergię wykorzystuje się w terapii grupowej, psychologowie starają się wzbudzić pozytywny przepływ tej energii, entuzjaści ekologii zaś posługują się do swoich celów siłą życiową, która znowu nabiera cech niemal ezoterycznych. W ten sposób krąg się zamyka. My jednak chcemy z niego wyjść i spojrzeć na sprawy pod zupełnie innym kątem, z punktu widzenia neutralnego obserwatora, który rejestruje zjawiska, powstrzymując się jednak od ich interpretacji.

Może naprawdę istnieje jakaś elementarna siła, która przenika wszystko i wszystkich, a czasem użycza żywym organizmom zdolności do takich dokonań, które daleko wykraczają poza ich normalne możliwości fizyczne i psychiczne. Tak może być, ale nie musi. W każdym razie zdążyliśmy już zawrzeć znajomość z siłą ducha. Niezależnie od jej potęgi występują jednak takie zjawiska, których nie sposób wytłumaczyć nawet tą siłą: ludzie świecą niczym robaczki świętojańskie, wytwarzają prąd na podo-

bieństwo elektrycznych węgorzy i przejawiają zdolności magiczne.

Dr Georg Gould i dr Walter Pyle wspominają w swojej encyklopedii *Anomalies and Curiosities of Medicine* z 1897 r. przypadek raka piersi, któremu towarzyszyły zjawiska świetlne. Światło promieniujące z piersi chorej osoby było wystarczająco silne, by można było odczytać godzinę na tarczy zegarka. Rok wcześniej zwróciła na siebie uwagę pewna Amerykanka, której prawa stopa świeciła (nawet gdy ją trzymała pod wodą).

Ciało dziecka zmarłego wskutek zaburzeń trawienia przez dłuższy czas było otoczone niebieską poświatą. Na zwłokach zmarłej w 1833 r. Jane Pallister ukazał się natomiast promienisty krzyż (inna forma stygmatyzacji? Być może, gdyż zjawiska świetlne obserwuje się często u szczególnie religijnych osób).

W 1934 r. piersi Włoszki Anny Monaro zaczęły świecić niebieskawym światłem w czasie ataku astmy. Zjawisko to występowało z taką regularnością (przeważnie w czasie snu), że osoba ta zyskała sławę jako „świecąca kobieta z Pirano". Zjawiska świetlne były fotografowane, filmowane i wielokrotnie badane przez lekarzy.

Nie istnieje żadne wytłumaczenie faktu wysyłania światła przez ciało człowieka; podobnie mają się sprawy z wytwarzaniem prądu elektrycznego.

Wiele młodych dziewcząt w okresie dojrzewania skarży się na fizyczne dolegliwości wszelkiego rodzaju; bez precedensu jednak było to, co przeżywała czternastoletnia Jennie Morgan z Sedalii (Missouri). Dosłownie z dnia na dzień dziewczynka zamieniła się w chodzący akumulator. Czegokolwiek dotknęła, zaraz przeskakiwały iskry powodujące dotkliwy ból u każdego, kto się zbliżył. Dla Jennie oczywiście było to równie bolesne. Doznawała również cierpień psychicznych, gdyż zaczęto jej unikać, czemu trudno się dziwić. Szczególnie przykre było dla Jennie rozstanie z jej ulubionym kotem, który doznawszy kilku elektrowstrząsów zaczął ją z daleka omijać. Kiedy skończył się okres dojrzewania i Jennie przeistoczyła się w młodą kobietę, elektrostatyczne koszmary przestały ją dręczyć. A było to w 1895 r.

Podobne przeżycia w 1877 r. stały się udziałem siedemnastoletniej wówczas Carolin Clare z Bondon (Ontario). Najpierw bez widocznej przyczyny zaczęła chudnąć, a kiedy odzyskała dawną wagę, ujawniła się u niej zdolność wymierzania elektrycznych uderzeń i magnetycznego przyciągania przedmiotów z metalu. Zarówno napięcie wytwarzanego przez nią prądu, jak siła jej niezwykłego pola magnetycznego były bardzo znaczne. Przedmioty żelazne, przywierające do jej ciała, można było oderwać jedynie dużym wysiłkiem. Wnikliwe studia nad tym przypadkiem przeprowadzono w Ontario Medical Association, a wyniki przedstawiono w 1879 r.

W 1889 r. zwrócił uwagę swoim ładunkiem elektrycznym niejaki Frank McKinstry z Joplin w Missouri. Ładunek ten był tak duży, że przeszkadzał mu w chodzeniu; rankiem często zdarzało się nawet, że McKinstry musiał prosić przechodniów o oderwanie jednej z jego stóp, która przywarła do podłoża.

Rok później szesnastoletni Louis Hamburger, chodzący silny magnes, demonstrował swe niezwykłe właściwości wobec naukowców z Maryland College of Pharmacy.

Takich przypadków było wiele, również w naszym stuleciu. W 1938 r. w Universal Council for Psychic Research stwierdzono autentyczność magnetyzmu rąk niejakiej Antoine Timmer. W 1953 r. przyszło na świat elektrycznie naładowane niemowlę. W 1967 r. „Sunday Express" i „Daily Mirror" donosiły o dwóch „ludziach pod napięciem". Jak dotąd nie odkryto, z czego wynika niezwykła moc takich osób.

Jeszcze bardziej zagadkowe są inne przejawy niezwykłej mocy, które w wiekach ciemnoty natychmiast spowodowałyby posądzenie o czary. W stuleciu oświecenia takie proste wyjaśnienia już nie są możliwe.

Dodatkowo niepokoi fakt, że najwidoczniej można w pewnych warunkach panować nad takimi właściwościami i stosować je świadomie.

Powszechnie znane są niewiarygodne dokonania mistrzów walki karate, kung fu i innych pokrewnych technik. Wscho-

du, jeśli idzie o łamanie różnych przedmiotów. Nieraz mężczyźni dość kruchej postury umieją rękoma, łokciami czy czołem rozbijać cegły, drewniane deski, betonowe bloki, bryły lodu i inne przedmioty, których łączna waga nierzadko dwukrotnie przewyższa wagę samego mistrza. To jeszcze dałoby się jakoś wyjaśnić niezwykłą koncentracją i nagłym wyzwoleniem nagromadzonej siły w tak zwanym *Kiai*. Bruce Lee, supergwiazdor sztuk walki, był w stanie — bez zamachu, zadając jedynie niewielki cios ręką — odrzucać na kilka metrów przeciwników ważących 40, 50, 60 kilogramów więcej od niego. W wielu wywiadach opowiadał, jak można się tego nauczyć; potrzebna jest do tego nadludzka wytrwałość, nie zaś mistyka.

Imponujące są już tylko te umiejętności. Sztuka, o której mowa, ma jednak jeszcze zupełnie inny wymiar: podobno, według szerzących się po cichu pogłosek, możliwe jest zabicie człowieka jedynie delikatnym dotknięciem, co więcej, można spowodować śmierć dopiero po kilku dniach. Nazywają to *dim mak*, opóźnioną śmiercią. Przesada, bzdury, jednym słowem: nonsens — a może jednak coś w tym jest? W 1957 r. zapaśnik John F. Gilbey na Tajwanie miał wyjątkowy zaszczyt zobaczyć maleńką próbkę tej techniki w wykonaniu azjatyckiego mistrza Oh Hsin-yanga. Ten ostatni wymierzył własnemu synowi łagodnego klapsa, zapowiedziawszy, że młody człowiek za trzy dni przeżyje załamanie i będzie potrzebował wielu miesięcy, by dojść do siebie. Tak też się stało. Znane są przypadki podobne, zakończone śmiercią. Snuje się nawet przypuszczenia, że przedwczesna śmierć Bruce'a Lee (zmarłego w wieku 32 lat w nie wyjaśnionych okolicznościach) była wynikiem takiego śmiertelnego dotknięcia — kary wymierzonej mu za pokazanie swojej sztuki publicznie, co było jej zbezczeszczeniem.

Krążą nawet ciche wieści o jeszcze straszniejszej technice niż *dim mak*, która nie ma nawet nazwy (a przynajmniej my jej nie znamy), a która pozwala zabijać na odległość. Przyznajemy, że trudno w to uwierzyć; trzeba jednak przyjąć do wiadomości fakt, że mistrzowie sztuk walki, posiadający najwyższe stopnie wtajemniczenia, w czasie niektórych poka-

zów po uprzedniej zapowiedzi wybiórczo rozbijają cegły i inne przedmioty ułożone w stos. Tak np. znawca karate C.W. Nicol informuje o japońskim mistrzu szóstego dan (szósty czarny pas) Hirokazu Kanazawa, który demonstrował swoim uczniom (jednym z nich był Nicol) umiejętność rozbicia cegły umieszczonej pośrodku między dwiema innymi, bez ich uszkodzenia.

Wschodnie sztuki walki zawsze okrywała tajemnica. Na Dalekim Wschodzie wielki nacisk kładzie się na autodyscyplinę, ćwiczenie koncentracji i medytację. Ludzie z tego regionu świata zawsze byli bliżsi sile ducha niż my. Niewykluczone, że w tych supertechnikach przejawiają się obok niezwykłego opanowania ciała pewne zdolności paranormalne, jak psychokineza albo sugestia; a może i nie.

Być może życiowa siła *chi* albo *ki*, którą w Azji wiąże się zwłaszcza z technikami walki, stanowi istotnie elementarną energię życia, której jednak nie nauczyliśmy się wykorzystywać, wskutek czego na Zachodzie występuje rzadko i zupełnie nie kontrolowana. To całkiem możliwe.

Nasuwa się tu skojarzenie z popisem siły, jakim zadziwiała świat ważąca 45 kilogramów Annie May Abbott w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych minionego wieku. Na oczach setek widzów samym tylko dotykiem dłoni unosiła ciężkiego mężczyznę razem z fotelem. Jej samej siedzącej w fotelu nie mogło jednak podnieść nawet kilku silnych mężczyzn. W Japonii zapaśnicy sumo o wadze od dwustu do trzystu kilogramów na próżno usiłowali przesunąć tę drobną kobietę choćby o jeden centymetr. Jeszcze bardziej zawstydzający był fakt, że skośnoocy tytani nie mogli podnieść nawet małych przedmiotów, których dotknęła Annie May Abbott.

Podobnie niewytłumaczalną siłę demonstrowała w 1921 r. w Liverpool Mary Richardson. Nie mogło jej ruszyć z miejsca sześciu mężczyzn naraz, podobnie jak było to niemożliwe dla zapaśników sumo w przypadku delikatnej May. Szkocki badacz zjawisk parapsychologicznych A.C. Holms kładł ręce na barki Mary Richardson, a trzynastu mężczyzn stojących rzędem ze wszystkich sił daremnie próbowało ją przesunąć. Holms w ogóle nie czuł ich wysiłku.

Można było odnieść wrażenie, jakby jakimś sposobem duża siła mechaniczna tych trzynastu mężczyzn była kierowana gdzie indziej. Mary z kolei mogła lekkim dotknięciem rzucić dużych mężczyzn na odległość kilku metrów. Była to zagadka, być może tylko dla zachodnich mózgów. Tego nie wiemy.

Wydaje się, że jedno jest pewne: organizmy żywe zdolne są do wyczynów wykraczających poza ich zbadane możliwości fizyczne. Znowu zdołaliśmy jedynie zobaczyć wierzchołek góry lodowej, na subiektywnie dobranych przykładach.

Prawdopodobnie do kategorii siły życia (żeby pozostać przy tym wygodnym terminie) należałoby zaliczyć znacznie więcej fenomenów, pytanie tylko których?

Możliwe, że niemiecki inżynier Zinßer z Idar-Oberstein zdołał po dziesięcioletnim eksperymentowaniu wpaść na właściwy trop. Instytut w Stuttgarcie pod kierunkiem profesora Peschki był pod takim wrażeniem ocen przedstawionych przez Zinßera, że w celu ich weryfikacji zaplanowano dwuletnie badania na szeroką skalę. Wykazały one, że ludzie mogą emitować siłę działającą na odległość, która może godzinami wprawiać w ruch przedmioty (na przykład wagę obrotową), nawet wtedy, gdy osoba biorąca udział w eksperymencie już dawno opuściła pomieszczenie. Przekazywanie energii tą drogą ogromnie przewyższa swą wydajnością wykorzystanie wszelkich innych znanych nośników. Być może niektórzy ludzie mogą wykorzystywać tę siłę w chwili śmierci.

Osobliwe były ostatnie słowa wypowiedziane przez Jeffery Derosiera 20 lutego 1936 r. w War Memorial Hospital w Sault St. Marie (Michigan), gdy spojrzał na ręczne lusterko: „Nie będziecie mogli podnieść tego lusterka". Co dziwniejsze, istotnie po śmierci Derosiera przez 24 godziny nie można było ruszyć tego lusterka z miejsca. Leżało jak przyklejone na szpitalnym stoliku i wszelkie próby zabrania go stamtąd były daremne. Usiłowano je odrywać, podważać szpikulcami do lodu i innymi przyrządami. Wszystko na nic. Po upływie dwudziestu czterech godzin samo nagle wzniosło się w powietrze i upadło na podłogę.

Czar prysł i już się nie dało z powrotem unieruchomić tego lusterka. W końcu „przypadkowo" je stłuczono, ku wielkiej uldze wszystkich zainteresowanych. O tym wydarzeniu donosiły agencje informacyjne i pisały o nim gazety, na przykład „Evening News".

Bardziej zrozumiałe były motywy, które skłoniły Johna Newtona z Montgomeryshire w Walii, skazanego na śmierć przez powieszenie w 1821 r., by po ogłoszeniu wyroku zawołać do składu sędziowskiego: „Jestem niewinny i na znak tego przez całe pokolenie na moim grobie nie wyrośnie trawa!" Tak też się stało, choć czyniono wiele starań, by trawa wyrosła: wymieniano ziemię, wysiewano wciąż nowe nasiona, nic jednak nie pomogło. Jeszcze w 1941 r. po nagiej ziemi można było poznać miejsce, w którym przed 120 laty pogrzebano prawdopodobnie niewinnie straconego.

Nauka okazała się bezradna wobec tych zjawisk, podobnie jak nie zdołała udzielić odpowiedzi na pytanie, co pozwala nadal myśleć niektórym ludziom, mimo że ich mózg uległ zniszczeniu.

Znany lekarz boliwijski dr Augustin Iturricha przedstawił na forum Towarzystwa Antropologii w Sucre w Boliwii kilka zaskakujących przypadków, odnotowanych przez dr. Nicolasa Ortiza, których dokumentacja jest przechowywana w pewnej klinice.

Chodziło o osoby w różnym wieku, które aż do samej śmierci były w pełni władz umysłowych. W czasie sekcji zwłok zdumieni chirurdzy odkrywali jednak, że mózgi tych osób na skutek rozmaitych przyczyn (wrzody, guzy itd.) były niesprawne już na długo przed śmiercią. A mimo to zdolność myślenia pozostawała.

Czy jest to jeszcze jeden przejaw działania sił fundamentalnych, niemożliwych do zdefiniowania? Kto wie...

Dość tego przypadkowego zbioru zagadek. Raczej nie należy liczyć na to, że w niedalekiej przyszłości zdołamy się dowiedzieć, czy przytoczone tu fenomeny są przejawami uniwersalnego pola bioenergetycznego (jeśli dla uproszczenia przyjmiemy taką nazwę), czy też nic ich nie łączy, oprócz tego, że dotyczą ludzi. A jak to wygląda u zwierząt?

Jak wiadomo, ich zmysły pod wieloma względami różnią się od naszych. Nietoperze widzą ultradźwięki, chrabąszcze majowe, ptaki i niektóre ryby potrafią się orientować według pola magnetycznego ziemi, pszczoły wykorzystują do nawigacji polaryzację światła słonecznego, czego się muszą najpierw nauczyć, narząd jamkowy grzechotnika pozwala mu odbierać trójwymiarowy obraz w podczerwieni, a stułbia, słodkowodny polip, jest znakomitym myśliwym, mimo że nie posiada zmysłu wzroku. Nikt nie wie, w jaki sposób zwierzęta przewidują przyszłe zdarzenia.

Nauka traci pewny grunt pod nogami w przypadkach, gdy zwierzęta przeczuwają katastrofy albo inne zdarzenia, co daje się wyjaśnić jedynie prekognicją, nie zaś większą wrażliwością zmysłów. Biologia i zoologia muszą ostatecznie skapitulować przed bramą do krainy zjawisk baśniowych. Jak bowiem inaczej nazwać rozmowy między ludźmi i zwierzętami?

W USA jasnowidz Fred Kimball cieszył się sławą człowieka rozmawiającego ze zwierzętami. Kiedyś po krótkiej wymianie zdań z pewnym koniem, który kulał na tylne nogi, a jego stan stale się pogarszał, Kimball dowiedział się, że zwierzę ma drzazgę w kręgosłupie. Po jej wyjęciu koń wrócił do zdrowia, ku zawstydzeniu wielu weterynarzy, którzy długo i daremnie poszukiwali przyczyny choroby.

Pewien pies opowiedział Kimballowi, że cierpi wskutek rozwodu swoich państwa i że zanieczyszczając mieszkanie chce się zemścić na pani, która, jego zdaniem, jest winna rozwodu. Dama ta była zdumiona, gdyż nie opowiadała Kimballowi o swojej sytuacji rodzinnej, a powiedziała mu tylko, że pies brudzi w mieszkaniu.

Ku zaskoczeniu widzów, podejrzewających szarlatanerię, Kimball umiał uzyskiwać od zwierząt wszelkiego rodzaju (ptaki, gady, płazy, ssaki...) dokładne informacje dotyczące ich właścicieli. Będąc na wyścigach Kimball po krótkiej rozmowie z końmi podał prawidłowo czternastu spośród siedemnastu późniejszych zwycięzców. Przypadkowe uzyskanie takiego wyniku byłoby zupełnie nieprawdopodobne.

No dobrze, w stosunku do gwiazd telewizyjnych zawsze wskazana jest pewna ostrożność.

Nie można jednak zarzucić stosowania jarmarcznych tricków ani uprawiania jakichkolwiek sztuczek siedemnastoletniemu Francisco Duarte z Brazylii. Ten fizycznie i umysłowo niedorozwinięty chłopiec najwidoczniej ma zdolność komunikowania się z wszelkimi istotami żywymi (pszczoły, pająki, węże, szczury itd.). Badacze potwierdzili, że Francisco umie przekazywać pszczołom skomplikowane polecenia (które one ściśle wykonują), przywoływać do siebie ryby i skłaniać dzikie jadowite węże do wykonywania najdziwniejszych sztuczek.

Takie przypadki jak tu przedstawiony różnią się od numerów cyrkowych, w których tresowane zwierzęta reagują na mikrosygnały dawane przez swoich panów, czego wynikiem są pozornie zadziwiające „wypowiedzi". Żaden treser psów nie byłby jednak w stanie nauczyć swego czworonożnego przyjaciela tego, co umiał seter angielski Jim z Sedalii (Missouri).

Umiał on między innymi przewidzieć, które konie wygrają derby. Jego właściciel, solidny hotelarz Sam van Arsdale, układał przed Jimem kartki z imionami koni startujących w gonitwie, a seter wskazywał łapą zwycięzcę. Wiele razy mu się to udało. Każdego człowieka cieszyłaby taka zdolność jego pupila — trudno tu cokolwiek sfingować.

Pies ten zaczął zdobywać sławę w 1929 r. i przez wiele lat był badany przez naukowców. Profesorowie wydawali mu w kilku językach złożone polecenia, które on dokładnie wykonywał. Jim musiał składać dowody swoich niemal nadludzkich zdolności przed prawnikami i politykami zgromadzenia ustawodawczego stanu Missouri; polecenia wydawano mu w alfabecie Morse'a. Wcale to nie przeszkodziło Jimowi zrozumieć je i wypełnić tak dokładnie, że i człowiek nie mógłby lepiej. W 1936 r. Jimowi nie dopisywało już zdrowie. Podobnie jak starzejącego się człowieka, nie interesowało go już zbytnio zamieszanie wokół niego. Jedynie wybory prezydenta USA skłoniły go do zabrania głosu. Wskazał przyszłego zwycięzcę w osobie Roosevelta, inaczej niż wyniki wszelkich sondaży, według któ-

rych zdecydowanym faworytem był Landon. Kiedy Jim zdechł w 1937 r., Roosevelt był już prezydentem Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Były jeszcze dziwniejsze przypadki prawdziwej komunikacji między psami i ludźmi. Latem 1913 r. profesorowie Ziegler i Schoeller z uniwersytetu w Berlinie badali niezupełnie rasowego bedlington-teriera Rolfa, który pewnego dnia włączył się do rozmowy między swoją właścicielką Paulą Moekel z Mannheim a innymi członkami jej rodziny. Kiedy pani Moekel chciała powiedzieć córce, jaki jest prawidłowy wynik zadania rachunkowego, Rolf podszedł i czterokrotnie dotknął łapą ramienia Pauli Moekel. Właścicielka psa pomyślała, że to przypadek, jednak czworonóg pomyślnie przeszedł i inne próby. W końcu opracowano specjalny alfabet, umożliwiający regularną komunikację z psem. Dr Schoeller i dr Ziegler odkryli, że Rolf umie wykonywać trudne rachunki, nazywać przedmioty wskazując litery, że rozróżnia kolory i zna się na pieniądzach (przeliczał je i odróżniał marki od fenigów). Miał nawet zdolność analizowania słów. Na przykład na pytanie, co to jest jesień, odpowiedział litera po literze: czas na jabłka. Rolfa oglądały także inne autorytety naukowe, które wydały jednomyślną opinię, że ten pies jest czymś więcej niż tylko psem; ale w takim razie czym?

Można by cynicznie odpowiedzieć, że czymś lepszym od człowieka, gdyż Rolf nie mógł zrozumieć tylko jednego słowa: „wojna".

Co ciekawe, córka Rolfa, Lola, przejawiała równie nadzwyczajne właściwości jak jej ojciec. Naukowcy, którzy poddali ją badaniom (wśród nich prof. dr Ziegler), potwierdzili jej umiejętność odpowiadania na pytania, określania dni tygodnia, miesięcy i lat oraz definiowania pojęć abstrakcyjnych, jak miłość, strach albo nadzieja.

W 1953 r. nabrał rozgłosu przypadek pewnego psa z East Greenwich (Rhode Island). On także umiał porozumiewać się bez słów. Dr Henry Nugent, profesor z Rhode Island College of Education, powiedział, że jest on żywą zagadką, porywającą, ale i wstrząsającą zarazem. Taki zaś badacz, jak słynny dr J.B. Rhine, ojciec badań nad parapsychologią, nazwał go

„zdumiewającym psiakiem, którego zdolności nie sposób wyjaśnić..."

Właściciele psa, państwo Wood, nazywali tego niezupełnie rasowego beagle'a imieniem Chris. Przyjaciel rodziny opowiadał, że nauczył swojego psa liczyć do dziesięciu. Czy Chris także to potrafi? Umiał więcej. Po kilku tygodniach Chris znał się na rachunkach lepiej od swoich właścicieli, liczył do miliona, pierwiastkował w swojej psiej pamięci i mógłby zdać egzaminy wstępne do niejednej szkoły. Sprawa stała się przedmiotem zainteresowania opinii publicznej. Opracowano system porozumiewania się z psem. Sprawą zajęli się fachowcy, podejmując różne eksperymenty. Mając matematyków za rywali, Chris rozwiązał w ciągu czterech minut zadanie, które dwunożnym mistrzom rachunków zajęło dziesięć minut. Na pytanie, jak tego dokonał, Chris odparł: „Mądry pies". Bardzo słusznie.

Podamy jeszcze lepszy przykład. W 1937 r. zdechł w Weimarze rasowy jamnik Kurwenal, którego właścicielka, baronówna Mathilde von Freitag-Loringhoven, nauczyła mówić alfabetem Bella. Ku zdumieniu profesora uniwersytetu w Berlinie dr. Siegmunda Schultze i innych znanych naukowców można było prowadzić z psem prawdziwe rozmowy, w których prezentował poziom umysłowy przewyższający niejednego człowieka. Liczył szybciej niż większość uczonych, którzy chcieli go wystawić na próbę albo zdemaskować oszustwo, umiał zidentyfikować wszystko i wszystkich, a na pytanie, co sądzi o śmierci, odparł: „Nie boję się".

Przedstawioną tu barwną zbieraninę rozmaitości tylko z największym trudem dałoby się jakoś powiązać. Prawdopodobnie poszczególne przypadki mają ze sobą niewiele wspólnego, a może nawet nic ich nie wiąże. To całkiem możliwe. Łączy je natomiast jedno: wszystko to naprawdę się wydarzyło. Może ludzie, którzy nadal myślą mimo zniszczenia ich mózgów, korzystają z tej samej siły życia, co mówiące psy, a może i nie. Jak nieraz już przedtem, powstrzymamy się i teraz od komentarza. Nie musimy rozważać tej kwestii, skoro chcemy — ni mniej, ni więcej — budować

obraz świata bez granic. Uzupełnimy jeszcze ten obraz o ostatnie, jak na razie, najbardziej osobliwe elementy naszej układanki...

Poza wszelką logiką

Mamy za sobą długą drogę, pełną osobliwości wszelkiego rodzaju. Możemy więc sobie teraz pozwolić na pozbycie się ostatnich resztek racjonalizmu i przyjęcie bez komentarza tych zjawisk, które są jawnym szyderstwem z wszelkich prób ich wytłumaczenia.

A jest ich niemało.

Klątwy

Niemiecki pancernik „Scharnhorst", 26 000 ton przerażającej siły bojowej, wyposażony w ciężkie działa kalibru 280 mm i najnowocześniejsze urządzenia techniczne, miał podobnie jak jego okręt bliźniaczy „Gneisenau" odegrać ważną rolę w wojnie na morzu. Że się tak nie stało, o tym przesądziła, jak się zdaje, ciążąca na nim klątwa.

Kadłub okrętu był dopiero w dwóch trzecich zmontowany, kiedy bez widocznej przyczyny przechylił się na bok, zabijając sześćdziesięciu jeden stoczniowców i raniąc stu dziesięciu. Wyprostowanie go zajęło trzy miesiące. Do tego zadania trzeba było kierować robotników rozkazem wojskowym, gdyż dobrowolnie nikt nie chciał mieć do czynienia z przeklętym okrętem. Kiedy nadszedł dzień wodowania, na nabrzeżu zgromadzili się wszyscy prominenci III Rzeszy, z führerem na czele. Nieobecny był jednak jeden ważny uczestnik: sam „Scharnhorst".

Poprzedniej nocy zerwał się bowiem z uwięzi i zsunąwszy się z pochylni zmiażdżył dwa barkasy. Dla zatuszowania

skandalu ogłoszono, że pancernik został już potajemnie spuszczony na wodę pod osłoną nocy i rozpuszczono pogłoski o rzekomym ściśle tajnym „systemie wodowania". Tym sposobem „Scharnhorst" wypłynął w końcu na morze z ciążącą na nim klątwą.

W czasie ostrzału Gdyni w 1939 r. wybuchło na okręcie jedno z potężnych długolufowych dział, zabijając dziewięciu żołnierzy. Dwunastu dosięgła śmierć z powodu awarii układu dostarczającego tlen do jednej z wież. Rok później pod Oslo „Scharnhorst" trafiło więcej pocisków niż wszystkie pozostałe okręty niemieckiego zgrupowania razem wzięte. Miał na pokładzie przeszło trzydzieści ognisk pożaru i jego bliźniak „Gneisenau" musiał go odholować poza zasięg artylerii nadbrzeżnej. Rejs do stoczni remontowej mógł się odbywać tylko nocą z obawy przed angielskimi bombowcami. Kiedy pancernik dotarł do bezpiecznego portu Elbehafen, tam w nie wyjaśnionych okolicznościach zderzył się z „Bremen", jednym z największych pancerników świata, dumą niemieckiej floty. „Bremen" zatonął i przez resztę wojny tkwił w mule, aż roztrzaskały go na kawałki bomby lotnicze aliantów.

Po gruntownym remoncie w 1943 r. „Scharnhorst" wypłynął na Morze Północne. Ominąwszy poszarpany bombami wrak pancernika „Bremen", popłynął ku Norwegii, by u jej wybrzeży napadać na angielskie konwoje do Rosji. Załoga nie zauważyła jednak brytyjskiej łodzi patrolowej dryfującej z uszkodzonym silnikiem, która zaalarmowała flotę angielską. Po krótkiej wymianie ognia „Scharnhorst" zdołał się oderwać od ścigających go wolniejszych okrętów przeciwnika, aby się ukryć pod osłoną nocy. Okręty uczestniczące w pościgu zostawały coraz dalej. Mimo to któryś z kapitanów rozkazał oddać jeszcze na wszelki wypadek salwę z dział, choć szanse trafienia były niewielkie z odległości wynoszącej już około 15 kilometrów. Wtedy z niemal matematyczną precyzją „Scharnhorst" wykonał zwrot, który sprawił, że znalazł się dokładnie na linii ognia. Dosięgające go pociski wywołały liczne pożary na pokładzie i w ciągu paru minut potężny pancernik o wyporności 26 000 ton zatonął w arktycznych

wodach prawie z całą załogą. Stało się to 25 grudnia 1943 r. Jedynie dwóch marynarzy, którym się udało w maleńkiej łódce pontonowej dopłynąć do brzegu, uszło z życiem; nie na długo jednak. Po kilku miesiącach odnaleziono ich zwłoki. Obu rozbitków zabił wybuch małego piecyka na ropę, którym się posługiwali...

Jest to charakterystyczny przykład serii nieszczęść, która każdą statystykę potrafi doprowadzić do absurdu. Za dużo miejsca zajęłoby tu nie kończące się wyliczanie przedmiotów, domów, pojazdów, miejscowości itd., nad którymi zawisła klątwa. Takie wyliczenie musiałoby być dłuższe, niż można to sobie wyobrazić, i jeszcze bardziej zdumiewające.

Samolot komunikacyjny Lokheed typu AHEM-4 od pierwszej chwili prześladowały dziwne katastrofy, podobnie jak okręt „Scharnhorst", aż w końcu rozbił się w okolicach Chicago i nikt nie ocalał z katastrofy. Samochód, którym jechał do Sarajewa austriacki następca tronu z małżonką w 1914 r., powodował już wcześniej jeden śmiertelny wypadek po drugim. Okrutny los spotkał niemal wszystkich mieszkańców zamku Miramar, który rozkazał zbudować arcyksiążę Maksymilian w pobliżu Triestu, o czym zaświadcza historia. Powszechnie znana jest sprawa klątwy ciążącej nad diamentem Hope. Ktokolwiek wchodził w posiadanie diamentu błękitnego niczym z bajki, tego spotykało nieszczęście bez względu na to, czy była to koronowana głowa, milioner czy ktokolwiek inny.

Na początku 1988 r. otrzymaliśmy z USA wiadomość, że, jak się zdaje, nad aktorami występującymi w filmie Spielberga *Poltergeist* zawisła klątwa. Dosłownie tak się wyraził producent z wytwórni MGM. Jak dotąd ofiarami klątwy padło czterech odtwórców ról w tym filmie. Dominique Dunne, dwudziestodwuletnia odtwórczyni głównej roli, została zamordowana. Zwalisty aktor indiańskiego pochodzenia Will Sampson zmarł w wieku pięćdziesięciu trzech lat. Odkryta przez Spielberga dwunastoletnia Heather O'Rourke zapadła na dziwną chorobę (w czasie operacji koniecznej dla ratowania życia dziewczynki jej jelito po pro-

stu pękło). Julien Beck zachorował zaś na raka. Już w czasie zdjęć do tego filmu działy się podobno dziwne rzeczy. Znikały rolki filmu albo ukazywały się na nich zagadkowe znaki, obsada skarżyła się na stany lękowe i depresyjne. Dopiero po interwencji indiańskiego medyka wszystko to ustąpiło; jak się jednak okazuje, może nie tak całkiem...

Mniej niedorzeczne, niż można by sądzić, jest pytanie, czy klątwa prześladuje prezydentów USA wybranych w roku podzielnym przez 20. Wydaje się w każdym razie, jakby tak właśnie było. Od roku 1840 r. kilku prezydentów spotykały nieszczęścia, ostatnio Ronalda Reagana, wybranego w 1980 r.(!), który już rok później został postrzelony przez zamachowca.

Na ogół kojarzy się klątwy, uroki i temu podobne sprawy z działaniem diabłów, duchów, sił astralnych, magicznych czy demonicznych. Zwolennicy ezoterycznych zapatrywań powołują się na dwa wielkie pechowe statki z XIX wieku, brytyjskie parowce „Hinemoa" oraz „Great Eastern".

„Hinemoa" w swoim dziewiczym rejsie przewoził żwir ze starego londyńskiego cmentarza, „Great Eastern" miał zaś jako balast kości. To nie mogło dobrze się skończyć. Spośród sześciu kapitanów „Hinemoa" pierwszy zwariował, drugi był przestępcą, trzeci alkoholikiem, czwartego znaleziono martwego w jego kabinie, piąty zaś popełnił samobójstwo. Pod rozkazami szóstego kapitana statek osiadł na mieliźnie.

„Great Eastern" był swego czasu największym statkiem pasażerskim na świecie, zwanym „cudem mórz". Już w czasie jego budowy zdarzyła się seria nieszczęść, co doprowadziło do ruiny kilka przedsiębiorstw żeglugowych.

W czasie rejsu przez kanał La Manche na „Great Eastern" nastąpił wybuch komina, pociągając za sobą śmierć pięciu ludzi i znaczne szkody materialne. Pech prześladował ten statek także później. Pewnego razu zerwał się z cum i zaczął dryfować na pełne morze, to znowu kiedyś przy wchodzeniu na jego pokład utonął kapitan wraz ze sternikiem i dziewięcioletnim synem płatnika. Pasażerowie mający większą gotówkę zaczęli unikać „Great Eastern", ciągle bowiem spotykały go nieszczęścia. W koń-

cu niesławnie zakończył służbę — reklamował dom towarowy w Liverpool i herbatę pewnej marki. W czasie wykonywanego przez specjalistyczną firmę złomowania statku, z czym również było więcej problemów niż zwykle, odkryto między jego podwójnymi burtami dwa szkielety.

Odczuwamy pokusę, by tłumaczyć podobne zdarzenia działaniem przypadku. Zgoda, ale w takim razie czym jest ten przypadek?

Sprzeczność sama w sobie: prawo przypadku

Pewna niemiecka gospodyni domowa, Christa Müller, może twierdzić, że wygrała już połowę wyposażenia domu. Od lat nie ma prawie konkursu, w którym wzięłaby udział na próżno.

Podobnie jak w domu słynnego szczęściarza Gustava Gansa, który w ogródku ustawił skrzynkę z napisem: „Pod moją nieobecność wygrane proszę składać tutaj", również u pani Müller mijają się w drzwiach posłańcy, dostawcy i listonosze. Trudno by jej było wyliczyć wszystkie swoje wygrane: nowiutki golf, kolorowy telewizor, pióro wieczne i zegarek na rękę, kalkulator kieszonkowy, obrus, korkociąg, szklanki, spodki, nawet woda po goleniu dla pana domu itd. itd.

Kiedy pewne biuro podróży organizowało telefoniczny konkurs, Christa Müller spontanicznie się zgłosiła i nie tylko przypadkowo przyszedł jej na myśl odpowiedni slogan reklamowy, ale jeszcze również przypadkiem była pięćsetnym uczestnikiem telefonicznej zabawy. Taki właśnie bywa przypadek...

Można snuć przypuszczenia, czy pani Müller, której zdumiewającą historię opisuje „Tina Aktuell", jak również inni wybrańcy losu, którym ze zdumiewającą regularnością dopisuje szczęście, posługują się nieświadomie zdolnościami parapsychologicznymi.

Jednak inne przypadkowe zrządzenia losu i frapujące zbieżności faktów nie pozwalają na takie domysły.

Sprawa prezydentów USA jest istotnie osobliwa. Zbieżności dają się zauważyć nie tylko w odniesieniu do roku elekcji i śmierci; wydaje się również, że liczba sto odgrywa tu jakąś nieokreśloną rolę.

Abrahama Lincolna wybrano do Kongresu w 1846 r., Johna F. Kennedy'ego w 1946. Obaj otrzymali nominację w tym samym miesiącu, Lincoln 6 listopada 1860, a Kennedy 8 listopada 1960 r. To jeszcze dałoby się jakoś wyjaśnić rytmem pracy zgromadzenia ustawodawczego. Niemożliwe do wyjaśnienia natomiast jest to, że następcą Lincolna został Andrew J o h n s o n urodzony w 1808 r., następcą Kennedy'ego zaś Lyndon B. J o h n s o n, rocznik 1908. Także osoby zamachowców wiąże tajemniczym sposobem liczba sto: John Wilkes Booth, który zastrzelił Lincolna w teatrze w Waszyngtonie, przyszedł na świat w 1839, a zabójca Kennedy'ego Harvey Lee Oswald w 1939 r. Dodatkową zbieżność, równie groteskową, jak irracjonalną, stanowi to, że Booth popędził z teatru do magazynu, w którym się zabarykadował na wiele godzin, podczas gdy Oswald strzelał z szóstego piętra składnicy podręczników szkolnych, a potem szukał schronienia w kinie. Dziwne wrażenie wywiera także swoiste pokrewieństwo między teatrem Forda w Waszyngtonie, gdzie zginął Lincoln, a samochodem ford lincoln, w którym Kennedy'ego dosięgły kule Oswalda. Jak powiada C.G. Jung w swojej teorii synchronizmu: „Dzieją się rzeczy, które są podobne do siebie". Niewiele to, niestety, wyjaśnia.

Nikt nie wie, jak to się dzieje, że w określonym pokoju hotelowym zatrzymują się po kolei ludzie o tym samym nazwisku, nic nawzajem o sobie nie wiedzący, albo że znany z komunikatów w środkach masowego przekazu numer pociągu, który wpadł do zatoki Newark Bay, był szczęśliwą liczbą dla grających w lotto. Zdarzają się takie korelacje, których prawdopodobieństwa nie sposób nawet obliczyć.

Weźmy taki przykład. Popularny, choć nigdy nie schwytany potwór z Loch Ness, nosi nazwę łacińską *nessiteras rhombopteryx*, którą temu nieuchwytnemu wężowi z jeziora z całą powagą nadał sir Peter Scott. Zdumiewające jest to, że litery

składające się na tę łacińską nazwę można przestawić tak, aby powstało następujące zdanie: *Monster Hoax by Sir Peter S.* (fałszerstwo monstrum dokonane przez sir Petera S.). Piękny przypadek, prawda?

Równie nieprawdopodobny jest przykład, o którym w innym kontekście wspomniałem w książce *Lasset uns Menschen machen* (jej współautorem był Peter Krassa). Przykład ten jest tak zadziwiający, że chciałbym go tu jeszcze raz przytoczyć.

Kiedy w miejsce kolejnych liter alfabetu wstawimy liczby 1 — 26 (a więc A1, B2 itd., aż do Z26), a następnie według tego klucza wykonamy poniższe działanie:

$$G^2 + E^2 + O^2 + R^2 + G^2 + E^2 + O^2 + R^2 + W^2 + E^2 + L^2 + L^2 - B - I - G - B - R - O - T - H - E - R$$

to w wyniku uzyskamy, rzecz nie do uwierzenia, złowróżbną liczbę 1984. Z całą pewnością George Orwell wybierając tytuł dla swojej książki oraz pseudonim nie kierował się chęcią umożliwienia nam tej matematycznej zabawy. 1984 to odwrócona data roku 1948, w którym powstała ta ponura utopia, a prawdziwe nazwisko Orwella brzmiało Eric Blair. Jednym słowem: przypadek *par excellence*.

Podejmując w swojej teorii synchronizmu śmiałą próbę objaśnienia tego nieostrego pojęcia i oddzielenia go od koncepcji mistycznych, C.G. Jung doszedł do wniosku, że związek przyczynowo-skutkowy w ostatecznej konsekwencji jest wynikiem procesów psychicznych. Koncepcja ta nie jest ani bardziej konkretna, ani bliższa zdrowemu rozsądkowi choćby w porównaniu z hipotezą obserwatora, wysuwaną przez fizykę kwantową, ale jest do tej hipotezy dość podobna. Właściwie tu się krąg zamyka, gdyż chyba nigdy nie zdołamy naprawdę sięgnąć aż do samych podstaw natury. Nie dowiemy się, co pozwala cząstkom elementarnym komunikować się ze sobą z szybkością większą od szybkości światła, albo też dlaczego np. amerykański autor Robert Anton Wilson, zaproszony przez bazylejskie wydawnictwo Sphinx do napisania artykułu na temat sfinksów, po przyjeździe do hotelu Dalkey

Castle pił drinka siedząc w patio, gdzie z muru uśmiechał się właśnie sfinks.

Dość, chyba już wystarczy rezonowania. Jak widać, nic nie jest naprawdę rzeczywiste, przyczyna i skutek pozostają w sferze marzeń i tylko to co fantastyczne zachowuje niewzruszenie swą realność. Ostatecznie każdy punkt widzenia jest uzasadniony. Kto preferuje koncepcję wszechświata pozbawionego związków przyczynowych, w którym wszystko w cudowny sposób wiąże się ze sobą (podobnie jak cząstki elementarne w eksperymencie Einsteina, Podolskiego, Rosena i Bella), przestrzeń i czas zaś nie odgrywają roli, ten znajdzie na to dowody.

Jeśli zaś ktoś daje pierwszeństwo koncepcji głoszącej, że „Bóg nie gra w kości" i że koniec końców jednak jakaś głębsza nadprzyczynowość zapewnia pewien rodzaj nadrzędnego porządku, to i taki pogląd można uzasadnić. Wystarczy choćby wspomnieć wielką liczbę kosmogonii, mało znaną stałą, nad którą fizycy już od lat dwudziestych łamią sobie głowy.

Tą osobliwą wielką liczbą jest 10^{40}:

- Wiek wszechświata wyraża dziesięć do czterdziestej potęgi atomowych jednostek czasu.
- Liczbę wszystkich cząstek widzialnego wszechświata szacuje się na kwadrat dziesięciu do czterdziestej potęgi.
- Grawitacja, najsłabsza spośród czterech sił podstawowych, jest dziesięć do czterdziestej potęgi razy słabsza od siły elektrycznej.

Przypadek czy ukryty porządek, kto może wiedzieć? My, ludzie, pragniemy porządku. Francis Bacon powiedział: „Wolałbym uwierzyć w bajki Talmudu czy Koranu niż we wszechświat pozbawiony ducha".

Światowej sławy astrofizyk Carl Sagan spożytkował literacko tę myśl w swoim bestsellerze *Kontakt*. Kazał bowiem bohaterce w zakończeniu powieści odkryć tajemnicę transcendentalnej liczby *pi*: jej rozwinięcie do niezmiernie dalekiego miejsca po przecinku daje w rezultacie obraz okręgu. „Podpis Autora", dowód istnienia stwarzającej wszystko ręki za sceną kosmosu...

Równie dobrze ostatnie słowo mogą mieć statystyczne fluktuacje, których zazdrośnie strzeże demon Maxwella (kon-

strukcja myślowa szkockiego fizyka Jamesa Clarka Maxwella, spokrewniona z demonem Laplace'a i „kotem Schrödingera").

Odmian rzeczywistości jest wiele, do wyboru. Dziś, u progu trzeciego tysiąclecia, powinniśmy szczególnie pamiętać, że w tezie, iż sami stwarzamy nasz świat, może się kryć sens daleko wykraczający poza treści etyczne i filozoficzne.

Przeszłość i teraźniejszość są fantastyczne, a przyszłość może być fantastyczna nawet w jeszcze większym stopniu...

Wyprawa do krainy zjawisk niewytłumaczalnych dobiegła (na razie) końca. Nie uwzględniliśmy w niej wszystkiego, bo było to niemożliwe. O wielu sprawach nie wspomnieliśmy, inne po prostu są nieznane. Niektóre mogły budzić sprzeciw, i słusznie, nie powinno się wierzyć na słowo — ani w to co oczywiste, ani w to co niezwykłe. Starałem się jak najdokładniej przedstawić nawet najdziwniejsze fakty, aby umożliwić ich merytoryczną ocenę (o ile to w ogóle jest możliwe). Korzystałem z różnych źródeł, jeśli tylko istniały, konfrontując je ze sobą w celu usunięcia niejasności. Faktografia poszczególnych przypadków jest zawsze solidna, możliwa do weryfikacji i sprawdzona. Hipotezy, interpretacje i przypuszczenia zostały wyraźnie określone. Pomyłki i błędne tezy obciążają moje konto. Będę wdzięczny za wszelkie inspiracje, poprawki albo odmienne opisy zdarzeń. Thomas Alva Edison po wykonaniu całej serii szczególnie frustrujących eksperymentów stwierdził: „Pokazały nam one mnóstwo rzeczy, o których wcześniej nie wiedzieliśmy, i uświadomiły nam, jak niewiele rozumiemy z tego, co wiemy". Mogę się tylko z całym przekonaniem podpisać pod taką myślą. W następnym tysiącleciu, opuściwszy nasz zakątek świata, którego tajemnice trochę już poznaliśmy, zapuścimy się głębiej w kosmos i zetkniemy z jeszcze wieloma jego zagadkami. Bardzo pomocne może się wtedy okazać przyswojenie sobie postawy, która cechowała Timura Langa, zwanego także Tamerlanem, potomka Dżyngis-chana. Ów władca Mongołów i zdobywca połowy świata tylko jeden jedyny raz w swoim życiu użył słowa „niemożliwe": kiedy umierał.

Po śmierci Williama Jamesa, prawdopodobnie jedynego filozofa amerykańskiego, na jego biurku znaleziono następującą zagadkową notatkę:

„Wyciąganie wniosków jest niemożliwe. Co wywnioskowało, że my wyciągamy wnioski na jego temat?"

Dołączmy się do tych godnych uwagi słów, z czym nie trzeba przecież czekać do ostatniej chwili. Można to zrobić już teraz. Nie powinniśmy we wszystko wierzyć, ale nie powinniśmy również wszystkiego z góry odrzucać.

O tylu sprawach jeszcze nie wspominaliśmy:

● *Poznanie stłumione i wiedza tajemna* (Być może biorezonator do uzdrawiania drzew, który wynalazł Friedl Hummel z Innsbrucku, należy do tej samej kategorii, co zapomniane wynalazki Nikola Tesli, wprawiające w zdumienie fizyków lat osiemdziesiątych, albo niewykorzystane skarby wiedzy alchemicznej i magicznej?)

● *Wiedza kosmiczna* (Być może z liczącej sobie 5000 lat chińskiej *I Cing Księgi Przemian* dałoby się naprawdę wszystko wyczytać, gdyby ją zrozumieć. Przypadkowo natrafiono przecież na zdumiewające zgodności między *I Cing* i kodem genetycznym. Oto bazą kodu genetycznego jest podwójna skręcona w formie ślimacznicy nić DNA; bazą *I Cing* są pierwotne bieguny *jin* i *jang*. Opisując podwójną nić DNA używa się czterech liter, połączonych parami: A — T, C — G; cztery znaki stanowią również podstawę *I Cing*. Na jedno słowo kodowe określające syntezę białka składają się zawsze trzy litery DNA; trzy znaki *I Cing* stanowią jeden trigram. 64 triplety DNA programują budowę aminokwasów; w *I Cing* są 64 heksagramy — trigramy zdwojone. Istnieją triplety początkowe i końcowe ograniczające zapis kodowy DNA; w *I Cing* występują natomiast heksagramy, określające pozycję przed i po przemianie).

● *Ogniska sił kosmicznych* (Być może „Święta Włócznia" — kopia rzymskiego żołnierza Longinusa, który przebił bok Chrystusa — faktycznie jest instrumentem potęgi losu. Władcy wszystkich epok, od Heroda po Hitlera, wyciągali po ten instrument ręce).

● *Forma jako energia* (Może naprawdę coś jest w tak często wspominanej energii piramidy. Istnieją opatentowane rozwiązania, a dziwne zjawiska, jak ostrzenie się żyletek czy brak więdnięcia roślin wspomina się nie tylko w literaturze nauk pogranicza...)

Nie ma obawy, nie zaczynam od początku. Ta krótka i chaotyczna wyliczanka końcowa ma być tylko ostatnim akordem tej książki. Otacza nas ogromna ilość zagadek. Nigdy nam się nie uda ich wtłoczyć w ramy jednoznacznego schematu ani wtedy, gdy je szczegółowo omówimy, ani gdy się tylko po nich prześliźniemy, jak to zrobiliśmy teraz na zakończenie.

Podjąłem w tej książce próbę, przekonującą — mam nadzieję, powiązania różnych zjawisk jako aspektów większej całości, starając się przy tym przedstawić różne sposoby rozumowania. Może nawet ktoś dozna nagłego olśnienia. Oczywiście, wielka część opisywanych zjawisk wymyka się prawdziwej systematyzacji.

Nad wszystkimi odkrytymi zasadami, skojarzeniami i powiązaniami unosi się wielki, niewidzialny znak zapytania, który nigdy nie zniknie.

Pewne jest tylko to, co Wittgenstein mówi w pierwszej spośród swoich siedmiu zasadniczych tez: „Świat jest wszystkim, z czym mamy do czynienia".